

**MARK GREANEY**

---



**GRAY  
MAN**

**COURT GENTRY**

 **Poradnia K**

# **MARK GREANEY**

# GRAY MAN

Przełożyła Karolina Rybicka-Tomala

 **Poradnia K**

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty

Epilog

Podziękowania

Przypisy

*The Gray Man*

Copyright © 2009 by Mark Strode Greaney

Copyright © for the Polish translation by Karolina Rybicka-Tomala

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2021

Redaktor prowadząca: JOLANTA KUCHARSKA

Redakcja: MAGDALENA GERAGA

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, JOANNA CIERKOŃSKA

Projekt okładki: ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ

Cover art copyright © Netflix 2022

Used with permission

Skład i łamanie wydania papierowego: ADAM KOLENDA

Wydanie II

ISBN 978-83-66555-52-5

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.

Prezes: Joanna Bażyńska

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25 lok. 6

e-mail: [poradniak@poradniak.pl](mailto:poradniak@poradniak.pl)



**Poradnia K**

Poznaj nasze inne książki.

Zapraszamy do księgarni:

[www.poradniak.pl](http://www.poradniak.pl)

[facebook.com/poradniak](https://facebook.com/poradniak)

[linkedin.com/company/poradniak](https://linkedin.com/company/poradniak)

[instagram.com/poradnia\\_k\\_wydawnictwo](https://instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

EDWARDOWI F. GREANEYOWI JR.  
I KATHLEEN CLEGHORN GREANEY

MAMO, TATO – BRAKUJE MI WAS  
OBOJGA

## PROLOG

Błysk rozświetlił odległe poranne niebo, przykuwając uwagę kierowcy land rovera, którego ubranie było przesiąknięte krwią. Spolaryzowane okulary marki Oakley chroniły go przed palącym słońcem, ale i tak musiał zmrużyć oczy. Spojrzał przez przednią szybę. Gorączkowo usiłował zidentyfikować płonący obiekt, który leciał w stronę ziemi, ciągnąc za sobą niczym ogon komety pas czarnego dymu.

Stwierdził, że to helikopter. Wielki wojskowy chinook. Choć sytuacja pasażerów i załogi była nie do pozazdroszczenia, kierowca land rovera odetchnął z ulgą. Miał być ewakuowany przez KA-32T ruskiej roboty, z ekipą polskich najemników na pokładzie, lecących od granicy z Turcją. Owszem, szkoda chinooka, ale lepiej, żeby płonął on, a nie kamow.

Patrzył, jak śmigłowiec spada i kręci się niekontrolowanie, plamiąc błękitne niebo płonącym paliwem.

Land rover skręcił ostro w prawo, następnie przyspieszył i skierował się na wschód. Zakrwawiony kierowca zamierzał znaleźć się jak najdalej stąd. Choć bardzo chciał pomóc znajdującym się na pokładzie chinooka Amerykanom, wiedział, że i tak nie jest w stanie nic zrobić.

Poza tym sam był w niemałych tarapatach. Od pięciu godzin przemierzał obszar zachodniego Iraku, uciekając od brudnej roboty, którą zostawił za sobą. Teraz znajdował się mniej niż dwadzieścia minut od punktu odbioru. A skoro zestrzelono śmigłowiec, to niebawem będzie się tu roiło od bezczeszczących zwłoki bojowników, strzelających w powietrze z karabinów i skaczących w tę i w tę jak pieprzeni idioci. Wolałby ominąć tę imprezę, zwłaszcza że łatwo mógłby stać się jedną z głównych atrakcji.

Po lewej chinook opadł i zniknął w oddali, za brązowym pasmem gór.

Kierowca skupił wzrok na ciągnącej się przed nim drodze. „To nie moja sprawa” – powtarzał sobie. Nie szkolono go po to, aby prowadził akcje poszukiwawcze czy

ratunkowe. Nie uczono go udzielania pierwszej pomocy, a na pewno nie prowadzenia negocjacji o zwolnienie zakładników.

Uczono go, jak zabijać. I to robił tam, za syryjską granicą. Teraz nadszedł czas, aby wydostać się ze strefy śmierci.

Land rover przyspieszył i jechał w obłokach kurzu z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Kierowca zaczął prowadzić ze sobą dyskusję. Jego serce nalegało, żeby zawrócił i pognął na miejsce rozbicia się chinooka. Musiał zobaczyć, czy ktoś ocalał. Głos rozsądku natomiast zajął stanowisko znacznie bardziej pragmatyczne.

„Jedź dalej, Gentry, po prostu jedź. Wiesz, że ci kolesie i tak mają przesrane. Nie jesteś w stanie nic z tym zrobić” – próbował przekonać samego siebie.

Sęk w tym, że jego serce nie chciało posłuchać głosu rozsądku.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pierwsi strzelcy, którzy dotarli do wraku, nie należeli do Al-Kaidy i nie mieli nic wspólnego z zestrzeleniem śmigłowca. To byli czterej miejscowi chłopcy ze starymi kałachami z drewnianą kolbą, którzy akurat tego ranka niezdarnie wznosili blokadę jakieś sto metrów od ulicy, na którą runął helikopter. Przepchnęli się przez rosnącą falangę gapiów, sprzedawców i dzieci ulicy, które rzuciły się w poszukiwaniu schronienia, kiedy dwuwirnikowy śmigłowiec spadł między nimi. Przemknęli pomiędzy taksówkarzami zjeżdżającymi z drogi, aby uniknąć kolizji z zestrzeloną amerykańską maszyną. Podeszli na miejsce ostrożnie, choć bez jakichkolwiek umiejętności taktycznych. Huk pistoletu smażącego się w ogniu sprawił, że odskoczyli w poszukiwaniu kryjówki. Po chwili wahania wysunęli z niej głowy, wycelowali rżące spluwy w stronę powyginanej maszyny i opróżnili zawartość magazynków.

Z wraku wyłonił się mężczyzna w poczeriałym amerykańskim mundurze i oberwał od chłopaków dwadzieścia cztery kulki z karabinów. Męka żołnierza skończyła się z chwilą, gdy pierwsze strzały przeszły mu plecy.

Adrenalina po zabiciu człowieka na oczach tłumu rozwrzeszczanych cywilów dodała chłopakom odwagi, podeszli więc bliżej wraku. Przeładowali broń i już mieli strzelać w płonące ciała załogi kokpitu, kiedy z tyłu zajechały trzy ciężarówki pełne uzbrojonych cudzoziemców, Arabów.

Al-Kaida.

Miejscowi chłopcy rozsądnie odstąpili od helikoptera, stanęli wśród cywili i zaintonowali pieśń religijną, patrząc, jak zamaskowani mężczyźni rozstawiają się wokół wraku.

Z tyłu chinooka wypadły jeszcze dwa ciała żołnierzy. To było pierwsze, co zarejestrowała trójosobowa ekipa telewizji Al-Dżazira, wyskakując z trzeciej ciężarówki.

\* \* \*

W odległości ponad półtora kilometra od miejsca tych zdarzeń Gentry zjechał z drogi, skręcił w koryto wyschniętego potoku i wjechał land roverem jak najgłębiej się dało pomiędzy wysokie, brązowe rzeczne zarośla. Wszedł z wozu, pobiegł do bagażnika, zarzucił plecak, po czym za uchwyt wyciągnął długi, beżowy futerał. Odchodząc od pojazdu, po raz pierwszy zwrócił uwagę na krew zasychającą na jego luźnym ubraniu. Nie była jego, ale doskonale wiedział, czyja to krew.

Pół minuty później przemierzał już, najszybciej jak mógł, wzgórza przy suchym korycie. Kiedy uznał, że jest wystarczająco niewidoczny pośród piachu i badyli, wyciągnął z plecaka lornetkę, przyłożył ją do oczu i wyostrzył na unoszącym się w oddali czarnym dymie. Napiął mięśnie zuchwy.

Chinook spoczął na ulicy miasta Al-Ba'adż, przy wraku zdążył się już zebrać tłum ludzi. Lornetka była za słaba, żeby dojrzeć przez nią szczegóły, więc przeturlał się na bok i otworzył beżowy futerał. W środku leżał karabin wyborowy Barrett M107: pięćdziesiątka, strzelająca ciężkimi pociskami wielkości połówki puszek piwa, i to z prędkością wylotową pocisku wynoszącą ponad osiemset metrów na sekundę.

Gentry nie naładował broni, tylko skierował ją w stronę miejsca upadku helikoptera, żeby skorzystać z mocnej lunety, w którą była wyposażona. Przez celownik optyczny o szesnastokrotnym przybliżeniu widział i ogień, i ciężarówkę, nieuzbrojonych cywili, jak również mężczyzn z karabinami.

Część miała odsłonięte twarze. Miejscowe rzezimieszki. Inni natomiast nosili czarne kominiarki, głowy niektórych owinięte były kefijami. Ci to pewnie kontyngent Al-Kaidy. Zagraniczni pierdziele. Korzystając z niestabilności regionu, przyjechali zabijać Amerykanów i tych, którzy z nimi współpracują.

Nagle zauważył błysk podnoszonego, a następnie prędko opuszczanego metalu: ostrze cięło leżącą na ziemi postać. Nawet przez potężny celownik optyczny Gentry nie był w stanie się zorientować, czy mężczyzna żył w momencie, kiedy klinga weszła w jego ciało. Znow napiął mięśnie zuchwy. Nie był żołnierzem, nigdy nie służył w wojsku. Był jednak Amerykaninem. Choć nie miał żadnych zobowiązań ani związku z armią Stanów Zjednoczonych, całe lata oglądał w telewizji sceny rzezi, jaka teraz odbywała się na jego oczach. Wywoływało to

u niego obrzydzenie oraz gniew tak silny, że tracił umiejętność panowania nad emocjami.

Tłum zebrany wokół helikoptera zaczął falować. Upał wydobywający się z rozpalonej jałowej ziemi pomiędzy jego kryjówką a miejscem katastrofy zaburzał pole widzenia, więc dopiero po chwili mógł dostrzec, co właściwie się dzieje. W końcu rozpoznał wyraz radości oprawców zebranych wokół wraku zestrzelonego śmigłowca.

Te skurwysyny tańczyły nad ciałami.

Gentry ściągnął palec ze spustu potężnego barretta i koniuszkiem palca pogłaskał gładki spust. Dalmierz laserowy określił odległość. Trzepot kilku namiotów stojących pomiędzy jego kryjówką a miejscem zestrzelenia chinooka sprawił, że zdecydował się wziąć poprawkę na wiatr. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien strzelać z tej broni. Owszem, zabiłby kilku zasrańców, ale wtedy okolica rozpaliby się od wieści, że w tym sektorze grasuje snajper. Wtedy każdy młody samiec wyposażony w karabin i komórkę byłby w stanie dopaść go, zanim pokona te osiem kilometrów do miejsca ekstrakcji. Misja zostałaby odwołana i musiałby na własną rękę wydostać się ze strefy śmierci.

„Nawet o tym nie myśl” – mruknął do siebie. Owszem, nawet taka nędzna odpowiedź byłaby satysfakcjonującym wymierniem sprawiedliwości, ale wywołałoby to gównoburzę, na którą nie miał odpowiedniego parasola.

Gentry nie był hazardzistą, tylko płatnym zabójcą. Spluwą na wynajem. Człowiekiem od mokrej roboty. Zlikwidowanie sześciu dupków zajęłoby mu tyle czasu, co zawiązanie sznurówki. Wiedział jednak, że zemsta nie byłaby warta poniesionych kosztów.

Splunął na ziemię mieszanią śliny i piasku, po czym włożył wielkokalibrowy karabin z powrotem do futerału.

\* \* \*

Ekipa telewizyjna Al-Dżaziry została przerzucona przez granicę syryjską tydzień wcześniej wyłącznie po to, aby uwiecznić zwycięstwo Al-Kaidy w północnym Iraku. Kamerzysta, dźwiękowiec oraz reporter, będący równocześnie producentem, podróżowali razem z grupą bojowników Al-Kaidy,

sypiając w kryjówkach tej organizacji. Nakręcili wystrzelenie pocisku, moment, w którym trafił chinooka, oraz to, jak helikopter zamieniał się w kulę ognia.

Teraz nagrywali rytualne obcinanie głowy martwemu już amerykańskiemu żołnierzowi, mężczyźnie w średnim wieku, z przyczepionym do kamizelki kuloodpornej odręcznie napisanym identyfikatorem: „Phillips – Gwardia Narodowa Stanu Missisipi”. Nikt z ekipy nie znał angielskiego, wszyscy jednak zgodnie uznali, że na pewno uwiecznili właśnie zniszczenie elitarnego oddziału komandosów CIA.

Pochwały Allaha zaczęły się tańcem bojowników i strzelaniem w niebo. Choć lokalna komórka Al-Kaidy liczyła tylko szesnastu członków, tutaj uzbrojonych wojowników, zgodnie otaczających dymiący na ulicy kawał metalu, było aż trzydziestu. Kamerzysta skupił obiektyw na Moktarze, miejscowym watażce, filmując, jak płąsa pośrodku. Piękny kadr: idealnie przed wrakiem falująca biała diszdasza dostojnie kontrastowała z piętrzącymi się kłębamii czarnego dymu. Moktar skakał na jednej nodze nad zdekapitowanym Amerykaninem, prawą ręką wymachując zakrwawionym bułatem.

Operator uśmiechnął się, usiłując zachować profesjonalizm, pilnował, żeby nie dać się porwać rytmowi i tańcom chwalącym potęgę Allaha, czego świadkiem byli on i jego kamera.

Moktar wraz z resztą zawołał: „Allah Akbar! Bóg jest wielki!”. Rzucił się w euforyczny taniec z zamaskowanymi cudzoziemcami, jego gęsta broda rozchyliła się i ukazała białe zęby w uśmiechu, kiedy spojrzał na spalone i zakrwawione ciało Amerykanina leżące na ulicy.

Ekipa Al-Dżaziry też już krzyczała w ekstazie. Kamerzysta wciąż kręcił to pewną ręką.

Był świetny w swoim fachu. Cel pozostał w środku kadru, kamera nawet nie zadrżała. Do chwili, kiedy głowa Moktara przechyliła się nagle, pękając niczym zmiażdżone winogrono, tryskając na wszystkie strony rozbryzgującymi mięśniami, krwią i odłamkami kości.

Wtedy kamera zadrżała.

\* \* \*

Gentry jednak nie był w stanie się powstrzymać.

Strzelał raz po raz w uzbrojonych mężczyzn w tłumie, równocześnie głośno przeklinając swój brak zdyscyplinowania. Wiedział, że oto właśnie wyrzucał do kosza cały plan i operację. Nie słyszał nawet własnego narzekania. Miał zatyczki w uszach, ale sam odgłos wystrzału chwilowo go ogłuszał. Wypluwał serie pocisków jedna po drugiej, a odrzut z hamulca wylotowego wzbijał wokół niego tumany piachu i kurzu.

Kiedy przerwał ostrzał, aby wymienić ciężki magazynek, spróbował trzeźwo oszacować sytuację. Z punktu widzenia technik wywiadowczych popełnił właśnie najdurniejszą gafę, jaką się dało, praktycznie oznajmiając bojownikom wszem wobec, że tu czai się ich śmiertelny wróg.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że w głębi duszy był z siebie cholernie zadowolony. Poprawił olbrzymi karabin, aby lepiej leżał na ramieniu, które już nieźle bolało od odrzutu, westchnął, spoglądając na wrak, i wrócił do wymierzania sprawiedliwości. Przez potężny celownik optyczny widział, jak poszczególne części ciała lecą do góry w momencie, kiedy kolejny wielki pocisk trafił zamaskowanego bojownika w brzuch.

To była zemsta, nic więcej. Wiedział, że na szerszą skalę jego działania na niewiele się zdały poza tym, że kilku skurwysynów zmieniło stan skupienia. Wciąż strzelając do uciekających bandziorów, zaczął się obawiać o najbliższą przyszłość. Nie było już sensu próbować dostać się na lądowisko. Kolejny śmigłowiec w okolicy byłby zbyt łakomym kąskiem dla rozgniewanych bojowników Al-Kaidy, tych, którzy ocaleli. Nie ma mowy. Trzeba będzie zejść, znaleźć jakiś przepust czy niewielką wadi, pokryć się kurzem i błotem i przeleżeć cały dzień w upale, starając się nie zważać na głód, kłuszące robactwo i pełny pęcherz.

Cóż, w każdym razie przesrane.

Mimo to, uznał, zmieniając trzeci i ostatni magazynek, że jego nędzna decyzja przyniosła jakieś korzyści. W końcu sześciu martwych gnojków to wciąż sześciu martwych gnojków.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Minęły cztery minuty od ostatniej salwy snajpera, kiedy jeden z ocalałych bojowników Al-Kaidy ostrożnie wystawił głowę przez drzwi warsztatu wulkanizatora, w którym się schował. Z każdą sekundą był coraz bardziej pewny, że zostanie ona na jego karku. W końcu trzydziestosześcioletni Jemeńczyk wyszedł na ulicę. Po chwili dołączyli do niego towarzysze broni. Rozejrzał się po pobojowisku. Naliczył siedem ciał. Musiał rachować poprzez oszacowanie liczby dolnych kończyn i podzielenie na podstawie szczątków głów i korpusów. Pięciu z poległych to byli jego bracia z Al-Kaidy, w tym dowódca i jego porucznik. Dwóch pozostałych to lokalni wojownicy.

Chinook wciąż dymił. Podeszedł do wraku, mijając ludzi z rozszerzonymi ze strachu źrenicami, nadal kryjących się za samochodami i koszami na śmieci. Jakiś miejscowy z przerażenia stracił kontrolę nad zwieraczami i leżał teraz na chodniku pokryty własnym kałem, trzęsąc się jak galareta.

– Wstawaj, głupcze! – krzyknął zamaskowany Jemeńczyk. Kopnął mężczyznę w bok i poszedł w stronę śmigłowca. Zobaczył czterech kompanów, stojących za jedną z ciężarówek wraz z ekipą Al-Dżaziry. Operator palił. Ręka z papierosem drżała, jak w końcowych stadiach choroby Parkinsona. Kamera leżała z boku.

– Zapakujcie wszystkich żyjących do wozów. Znajdziemy tego snajpera. – Spojrzał w stronę pól, suchych wzgórz i dróg ciągnących się na południe. W odległości mniej więcej półtora kilometra widać było gęstą chmurę pyłu.

– O! Tam! – Pokazał Jemeńczyk.

– Czyli że... jedziemy za nim? – spytał dźwiękowiec.

– Inszallah, jeśli taka wola Boga.

Jakiś miejscowy chłopak zawołał ich, żeby podeszli i coś zobaczyli. Skrył się w pobliskiej herbaciarni, niecałe piętnaście metrów od wraku. Jemeńczyk, wraz dwójką swoich ludzi, przestąpił ponad zakrwawionym torsem okrytym resztkami czarnej, podartej tuniki. Były to szczątki Jordańczyka, ich przywódcy. Od miejsca,

gdzie upadł, aż do ściany i okna lokalu rozciągała się plama krwi. Wydawać by się mogło, że ktoś przemalował przybytek na szkarłatno.

– Czego chcesz, chłopcze?! – krzyknął gniewnie Jemeńczyk.

Dzieciak miał zadyszkę, z trudem wydobywał z siebie słowa. W końcu udało mu się odpowiedzieć:

– Znalazłem coś.

Trzech bojowników weszło za nim do niewielkiego lokalu, całego w krwi. Zajrzeli za powalony stół i za ladę. Tam, na podłodze, oparty o ścianę, siedział młody amerykański żołnierz. Miał szeroko otwarte oczy i szybko mrugał. W jego ramionach leżał drugi niewierny. Był czarnoskóry. Albo nieprzytomny, albo już martwy. Nie wyglądali na uzbrojonych.

Jemeńczyk uśmiechnął się i poklepał chłopaka w ramię. Wychylił się i krzyknął do kompanów na zewnątrz:

– Podjedźcie tutaj!

Po kwadransie trzy ciężarówki Al-Kaidy rozdzieliły się na skrzyżowaniu. Dziewięciu mężczyzn w dwóch wozach pojechało na południe. Dzwonili do okolicznych watażków po pomoc w przeczesywaniu terenu w poszukiwaniu samotnego snajpera. Jemeńczyk z dwoma innymi bojownikami wieźli rannych amerykańskich więźniów w stronę kryjówki w pobliskiej Hatrze. Tam mieli zamiar porozumieć się z dowództwem i naradzić, jak najlepiej wykorzystać najnowsze łupy.

Jemeńczyk siedział za kółkiem, młody Syryjczyk na miejscu pasażera, natomiast z tyłu Egipcjanin pilnował żołnierza, który był w stanie katatonicznym, i jego umierającego kolegi.

\* \* \*

Dwudziestoletni Ricky Bayliss zdążył się nieco otrząsnąć po katastrofie. Tępy ból złamanej kości piszczelowej zamienił się w uczucie, jakby ktoś przypalał mu nogę. Chciał obejrzeć ranę, ale widział jedynie rozdarte i przypalone bojówki i but wiszący w dziwny sposób po prawej stronie. Za butem leżał drugi żołnierz. Bayliss nie znał czarnego kolegi, ale z identyfikatora wynikało, że nazywa się Cleveland. Był nieprzytomny. Uznałby go za zmarłego, gdyby nie to, że jego kamizelka kuloodporna poruszała się lekko od ciężkich oddechów. W chwili

podwyższonej adrenaliny i zaostrej intuicji Ricky wyciągnął kolegę z wraku, po czym zaciągnął go do jakiegoś budynku, gdzie wkrótce znalazła go banda wystraszonych irackich dzieciaków.

Pomyślał przez chwilę o kumplach, którzy zginęli w chinooku, i poczuł smutek tłumiony przez niedowierzanie. Żal jednak szybko minął, kiedy spojrzął na bojownika siedzącego z tyłu ciężarówki. Jego zmarli kumple mieli fuksa, on natomiast miał przerąbane. Razem z Clevelandem, jeśli się w ogóle obudzi, zostaną skróceni o głowę – i to na oczach całego świata.

Terrorysta rzucił okiem na Baylissa i położył stopę obutą w trampek na jego ranną nogę. Powoli nacisnął i uśmiechnął się dziko, odsłoniwszy połamane zęby, niczym zwierzęce kły.

Ricky krzyknął.

\* \* \*

Ciężarówka pędziła drogą, wspinając się na wzniesienie tuż za Al Ba'adzem, a następnie szybko zwalniając przed blokadą na skraju miasta postawioną przez lokalnych bojowników. Nisko nad zakurzoną szosą wisiał ciężki łańcuch, rozciągnięty pomiędzy dwoma słupkami. Widać było dwóch milicjantów: jeden, leniwie rozparty na krześle, opierał głowę o ogrodzenie placu zabaw pobliskiej podstawówki, drugi siedział przy końcu łańcucha, tuż obok odpoczywającego kompana. Na plecach miał zawieszoną lufą do dołu kałasznikowa. Trzymał talerz z humusem i podplomykiem, w jego brodzie tkwiły resztki jedzenia. Z drugiej strony blokady stary pasterz kóz przeganiał swe marne stado.

Bojownik Al-Kaidy przeklął słabego ducha walki bojowników tu, w północno-wschodnim Iraku. Czy naprawdę najlepszą załogą jest dwóch opieszłych staruchów na posterunku? Z taką kretyńską obstawą sunnici mogli równie dobrze oddać władzę Kurdom i Jezydom.

Jemeńczyk zwolnił, otworzył okno i krzyknął do stojącego Irakijczyka:

– Otwieraj, głupcze! Na południu grasuje snajper!

Milicjant odłożył przegryzkę. Podszedł do auta i stanął pośrodku drogi. Przyłożył dłoń do ucha, jak gdyby nie słyszał krzyku Jemeńczyka.

– No otwórz, bo jak nie, to...



Jemeńczyk odwrócił się od wojownika zbliżającego się do auta i przyjrzał się temu, który siedział pod ogrodzeniem. Jego głowa opadła na bok i wisiała bezwładnie, po chwili spadł z krzesła na ziemię. Milicjant nie żył, miał złamany kark.

Bojownik siedzący z tyłu ciężarówki też to zauważył. Błyskawicznie się podniósł. Czuł zagrożenie, ale był zdezorientowany sytuacją. Wraz z nowym przywódcą, kierującym pojazdem, spojrzął na mężczyznę stojącego na środku drogi.

Brodaty milicjant podszedł do auta z podniesioną prawą ręką. Z rękawa jego luźnej szaty wyłonił się czarny pistolet. Po dwóch szybkich strzałach Egipcjanin padł na tył ciężarówki.

\* \* \*

Bayliss leżał na plecach, gapiąc się na pałące południowe słońce. Poczuł, że pojazd zwalnia i się zatrzymuje. Usłyszał krzyk kierowcy, dźwięk strzałów, po czym zobaczył, jak zamaskowany terrorysta pada martwy. Usłyszał kolejną salwę z pistoletu, rozbijane szkło, krótki krzyk po arabsku, po czym wszystko znieruchomiało.

Ricky trząsał się i krzyczał, próbując jak najszybciej zrzucić z siebie zakrwawione ciało, aż w końcu ktoś podniósł trupa terrorysty i rzucił na jezdnię. Brodaty mężczyzna w szarej diszdaszy chwycił Ricky'ego za kamizelkę kuloodporną i podciągnął do pozycji siedzącej. Ostre słońce nie pozwoliło Baylissowi przyjrzeć się twarzy nieznanego.

– Dasz radę iść?

Ricky myślał, że to omamy wywołane bólem i stresem. Brodacz mówił po angielsku z amerykańskim akcentem. Nieznajomy powtórzył głośniejsze:

– Hej! Młody! Słyszysz? Dasz radę chodzić?

– Mam... Mam złamaną nogę, a z tym tu jest bardzo źle – odpowiedział powoli Bayliss.

Nieznajomy przyjrzał się nodze Ricky'ego i wydał diagnozę:

– Pęknięta kość piszczelowa. Będziesz żył. – Następnie położył dłoń na szyi nieprzytomnego i powiedział: – Ale ten nie ma szans.

Młody żołnierz z Missisipi nadal nie widział twarzy nieznajomego, który rozejrzał się dokoła i stwierdził:

– Zostawmy go tu, w ciężarówce. Zrobimy, co się da, by mu pomóc, ale ty będziesz musiał usiąść na miejscu pasażera. Owiń tym twarz.

Brodacz ściągnął kefiję z szyi martwego terrorysty i wręczył chłopakowi.

– Z tą nogą nie dam rady...

– Weź się w garść. Musimy zwiewać. Tylko wezmę sprzęt. No, ruchy! – Wybawca odwrócił się i popędził w ciemną alejkę. Bayliss wrzucił do kabiny hełm, owinał głowę chustą, po czym zsunął się i stanął na zdrowej nodze. Od prawej łydki aż do głowy przeszył go ostry ból. Na ulicy zaczęło się zbierać grono gapiów w różnym wieku. Trzymali się z dala, przyglądając się temu niczym brutalnemu przedstawieniu.

Bayliss doskoczył do drzwi pasażera. Kiedy je otworzył, na ulicę wypadł zamaskowany Arab w czarnej koszuli. Nad jego lewym okiem widniała pojedyncza rana od kuli. Drugi terrorysta leżał na kierownicy. Z jego ust wąskim strumieniem sączyła się krwawa piana. Ledwo Ricky zamknął drzwi, nieznajomy Amerykanin otworzył te po stronie kierowcy i wypchnął ciało na asfalt. Następnie wrzucił na tył brązowy futerał, kałacha i karabinek M4 i wdrapał się za kółko. Ciężarówka ruszyła, przejeżdżając przez opuszczony łańcuch blokady.

Ricky mówił cicho, wciąż próbując zrozumieć, co się dzieje.

– Musimy wrócić, ktoś jeszcze mógł przeżyć.

– Nikt nie przeżył. Poza wami.

– Skąd pan wie?

– Bo wiem.

Ricky zawahał się, po czym spytał:

– Bo jest pan jednym ze snajperów, którzy wystrzelali tych koleś przy wraku?

– Może.

Przez niespełną minutę jechali w milczeniu. Bayliss patrzył na góry, następnie spojrzął na trzęsące się dłonie. Kiedy odwrócił się do kierowcy, ten krzyknął:

– Nie patrz mi w twarz.

Bayliss posłuchał, znów spoglądając na rozciągającą się przed nimi drogę.

– Jest pan Amerykaninem?

- Owszem.
- Służby specjalne?
- Nie.
- No to marynarka. Jest pan SEAL-sem?
- Nie.
- FORECON?
- Nie.
- Czaję. Czyli że CIA czy coś w ten deseń?
- Nie.

Bayliss miał ochotę przyjrzeć się brodaczowi, ale się powstrzymał.

- No to co pan tu robi? – zapytał.
- Ja tu tylko przejazdem.
- Przejazdem? Jaja pan sobie robi?
- Żadnych pytań.

Przejechali kilometr w milczeniu, po czym Ricky spytał:

- To jaki jest plan?
  - Nie ma planu.
  - Nie ma pan planu? To co my robimy? Dokąd jedziemy?
  - Miałem plan, ale nie zakładał zabrania ciebie. Więc nie jojcz, że improwizuję.
- Chłopak przez chwilę milczał, aż w końcu powiedział:
- Tak jest. Plany są przereklamowane.

Po kolejnej minucie Bayliss zerknął na licznik i zobaczył, że mkną po tej fatalnej zwirowej drodze prawie sto kilometrów na godzinę.

- Ma pan przy sobie trochę morfiny? Noga okropnie mnie boli – poskarżył się.
- Przykro mi, młody, ale musisz być trzeźwy i czujny. Zaraz będziesz prowadził.
- Jak to?
- Kiedy tylko dotrzemy pomiędzy wzgórz, zjadę na pobocze. Ja wysiądę, a wy dwaj ruszycie dalej sami.

– A pan? W Tall Afar mamy wysuniętą bazę operacyjną. To tam lecieliśmy, kiedy nas trafili. Możemy tam jechać. – Zdawał sobie sprawę, że panują tam spartańskie

warunki i że jest odizolowana, ale dobrze wyposażona i może odeprzeć atak. To znacznie bezpieczniejsze miejsce niż ciężarówka na otwartej drodze.

– Wy możecie. Ja nie.

– Dlaczego nie?

– Długa historia. Ale żadnych pytań, pamiętasz?

– Kurczę, ale czego się pan boi? Przecież za to dostanie pan medal czy inne gówno.

– Oj, na pewno dostanę inne gówno.

Wkrótce wjechali na pasmo wzniesień w pobliżu gór Sindzar. Nieznajomy zjechał na pobocze i zaparkował w zakurzonym zagajniku palm daktylowych. Wyszedł z ciężarówki, wyciągnął plecak i M4, po czym pomógł żołnierzowi przejść za kierownicę. Bayliss jęknął z bólu.

Nieznajomy Amerykanin sprawdził stan żołnierza leżącego z tyłu.

– Nie żyje – stwierdził beznamiętnie. Pospiesznie ściągnął z Clevelanda kamizelkę IBA i mundur, zostawiając go w brązowych bokserkach i koszulce. Baylissowi nie podobało się takie potraktowanie zwłok kolegi, ale nic nie powiedział. Ten... Ten... Kimkolwiek on był, udało mu się przeżyć w tym bandyckim regionie nie przez sentymenty, ale pragmatyczne podejście do życia.

Nieznajomy rzucił sprzęt koło pnia palmy.

– Będziesz musiał wciskać hamulec i gaz lewą nogą.

– Tak jest!

– Ta twoja baza jest na północ, piętnaście kilometrów stąd. Trzymaj kałacha na kolanach, magazynki pod ręką. Nie wychylaj się, nie zwracaj na siebie uwagi, dopóki dasz radę.

– To znaczy?

– To znaczy nie pędź, nie wyróżniaj się, trzymaj chustę na twarzy.

– Tak jest.

– Ale jeśli nie jesteś w stanie uniknąć kontaktu, strzelaj do wszystkiego, co ci śmierdzi. Rozumiesz? Pamiętaj, młody. Żeby przeżyć następne pół godziny, musisz być naprawdę paskudny.

– Tak jest. A co z panem?

– Ja już jestem paskudny.

Sierżant Ricky Bayliss skrzywił się, kiedy zalała go kolejna fala bólu. Nie patrząc na nieznajomego, powiedział:

– Kimkolwiek jesteś... dzięki.

– Jeśli chcesz mi podziękować, to spierdalaj do bazy i zapomnij, jak wyglądam.

– Rozkaz. – Chłopak pokręcił głową i mruknął pod nosem: – Tylko przejazdem...

Bayliss wyjechał z zagajnika i wrócił na szosę. Spojrzał w lusterko, chcąc po raz ostatni zobaczyć nieznajomego, ale parujące gorące powietrze i wzniecony przez opony kurz zasłaniały widok.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W Londynie przy Bayswater Road stoi pięciopiętrowy biurowiec z widokiem na idylliczną anomalię centrum miasta, jaką stanowią Hyde Park i Ogrody Kensingtonskie. Dużą część ostatniej kondygnacji tego białego budynku zajmują biura Cheltenham Security Services, prywatnej firmy świadczącej usługi ochroniarskie, w tym ochronę osobistą i mienia, jak również w zakresie doradztwa strategicznego. Jej klientami są korporacje brytyjskie i należące do podmiotów z innych krajów Europy Zachodniej, prowadzące interesy za granicą. CSS została wymyślona, sfinansowana i zarządzana przez sześćdziesięcioośmioletniego Anglika, sir Donalda Fitzroya.

Fitzroy spędził środowe przedpołudnie, pracując naprawdę ciężko. Zmuszając się, aby nie myśleć o ciężącym na nim zadaniu, próbował oczyścić umysł, stukając grubymi palcami o elegancko zdobione biurko. Nie miał czasu na spotkanie z mężczyzną, który grzecznie czekał przed biurem, musiał jak najszybciej zająć się pilnym problemem wymagającym jego pełnej koncentracji. Sęk w tym, że nie mógł też nie przyjąć tego gościa. Cóż, obecny kryzys będzie musiał poczekać.

Młody człowiek zadzwonił przed godziną i powiedział sekretarce sir Donalda, że koniecznie musi porozmawiać z panem Fitzroyem w niezwykle pilnej sprawie. Tego typu telefony były w biurze CSS na porządku dziennym. W tym konkretnym przypadku było jednak coś wyjątkowego, co spowodowało, że Fitzroy nie przepędził przejętego młodziana i nie przesunął wizyty na kolejny dzień: gość pracował dla LaurentGroup, ogromnego francuskiego konglomeratu zajmującego się spedycją, logistyką, inżynierią drogową i portową dla spółek przemysłu naftowego, gazowego i mineralnego w całej Europie, Azji, Afryce i Ameryce Południowej. Był on też największym klientem Fitzroya. Choćby z tej przyczyny sir Donald nie mógł odesłać z kwitkiem jego przedstawiciela, nawet gdyby się paliło.

Firma Fitzroya zajmowała się ochroną biur LaurentGroup w Belgii, Holandii i Wielkiej Brytanii. Choć ich kontrakt był, w porównaniu z innymi klientami CSS,

intratny, sir Donald zdawał sobie sprawę, że to tylko kropla w morzu tego, co gigant ów wydaje na ochronę rocznie. W światku ochroniarskim mówiło się, że LaurentGroup zajmuje się ochroną w sposób zdecentralizowany, zazwyczaj zatrudniając miejscowe firmy w osiemdziesięciu kilku krajach, w których ma oddziały. Świadczone usługi mogą być niewinne, na przykład weryfikowanie pracowników sekretariatu w Kuala Lumpur, ale zdarzają się też większego kalibru, jak choćby połamanie nóg krnąbrnemu pracownikowi portowemu w Bombaju czy rozpędzenie spotkania problematycznego związku zawodowego w Gdańsku.

Z pewnością raz na jakiś czas szczy w paryskiej siedzibie firmy potrzebowały bardziej radykalnego rozwiązania swojego problemu. Sir Donald zdawał sobie sprawę, że i od tego mieli ludzi. Większość międzynarodowych korporacji posiada ciemniejsze strony, zwłaszcza te, które prowadzą interesy w rejonach, w których jest więcej zbirów niż policji i więcej ludzi głodnych, potrzebujących pracy niż wykształconych i skorych do przeprowadzania reform. Wiadomo, że większość międzynarodowych korporacji stosuje metody, o których nie wspomina się na zebraniach dyrektorów ani w sprawozdaniach finansowych, ale LaurentGroup słynie z wyjątkowo twardej ręki, jeśli chodzi o aktywa i zasoby w krajach rozwijających się.

I bynajmniej nie szkodziło to giełdzie.

Donald Fitzroy zmusił się do niemyślenia o nagłym problemie, wcisnął interkom i poprosił sekretarkę o wprowadzenie gościa.

Pierwsze, na co zwrócił uwagę sir Donald, to garnitur młodego, przystojnego przybysza. Taki panował zwyczaj w Londynie: poznaj krawca, a będziesz znał człowieka. Ten był od Huntsmana, sir Donald kojarzył, że mają zakład przy Savile Row. To wiele wyjaśniało. Sam ubierał się u Nortona i Synów, ich garnitury były szykowne, acz mniej biurowe. Docenił jednak styl młodego człowieka. Szybko i wprawnie stwierdził, że przybysz to dobrze wykształcony prawnik. Do tego Amerykanin, ale taki, który szanuje zwyczaje panujące w Wielkiej Brytanii.

– Niech zgadnę, panie Lloyd. Proszę mi pozwolić! – zawołał Fitzroy, wstając zza biurka i uśmiechając się uprzejmie. – Studiował pan prawo w tym kraju. Podejrzewam, że w King's College. Być może po studiach w Stanach Zjednoczonych, pozwolę sobie obstawić Yale, choć do tego muszę usłyszeć pana głos.

Młody człowiek też się uśmiechnął, po czym wyciągnął starannie wymanikiowaną dłoń.

– Zgadł pan, King's College, w Stanach jednak skończyłem Princeton.

Wymienili solidny uścisk dłoni, po którym Fitzroy zaprowadził Lloyda do części z kanapą i fotelami z przodu gabinetu.

– Ach, teraz słyszę. Rzeczywiście Princeton.

Fitzroy usiadł w fotelu, od gościa dzielił go stolik kawowy.

– Imponujące! Podejrzewam, że takiego rozpoznawania ludzi nauczył się pan w poprzednim zawodzie – rzekł Lloyd.

Fitzroy podniósł krzaczaste, śnieżnobiałe brwi, nalewając kawy ze srebrnego dzbanka.

– Tak, był o mnie artykuł rok czy dwa lata temu w „The Economist”. Zapewne to tam wyczytał pan kilka drobiazgów na temat mojej pracy w służbie Jej Królewskiej Mości.

Lloyd przytaknął, pijąc kawę.

– Przejrzał mnie pan. Trzydzieści lat w MI-5, większość w Irlandii Północnej podczas konfliktu. A potem przebranzowienie na prywatną ochronę korporacji. Jestem pewien, że ten jakże pochwalny artykuł był świetny dla interesów.

– Zaiste – wycedził Fitzroy z wystudiowanym uśmiechem.

– Muszę też panu wyznać, że chyba pierwszy raz spotykam prawdziwego, mianowanego przez królową rycerza.

Fitzroy zaśmiał się jowialnie.

– Małżonka wciąż uwielbia kpić w gronie przyjaciół. Z lubością podkreśla, że wymyślono go, by odróżnić szlachtę od arystokracji, a jako że na pierwszy rzut oka widać, iż nie należę do żadnej z tych grup, uważa ona, iż tytuł ten wyjątkowo do mnie nie pasuje. – W jego głosie nie słyhać było goryczy, tylko radosną autoironię.

Lloyd zachichotał uprzejmie.

– Zazwyczaj kontaktuje się ze mną niejaki Stanley z londyńskiej placówki. Jaka jest pana rola w LaurentGroup?

Lloyd odstawił filiżankę na spodek.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan to, że z tak małym wyprzedzeniem nalegałem na spotkanie z panem. Oraz to, że od razu przejdę do sprawy.



– Ależ oczywiście, młody człowieku. W przeciwieństwie do wielu innych Anglików, zwłaszcza z mojego pokolenia, podziwiam wnikliwość i zaangażowanie amerykańskich biznesmenów. Ciągłe herbatowanie i ciasteczkowanie niewątpliwie szkodzi brytyjskiej produktywności. Więc niech pan, jak to mówią jankesi, wali śmiało – powiedział Fitzroy, po czym upił łyk kawy.

Młody Amerykanin pochylił się do przodu.

– Moje zniecierpliwienie wynika nie tyle z mojego pochodzenia, ile z niezwykle naglącej natury potrzeb mojej firmy.

– Mam nadzieję, że będę mógł pomóc.

– Och, co do tego nie mam wątpliwości. Przyszedłem porozmawiać o incydencie, który miał miejsce jakieś dwadzieścia godzin temu w miejscowości Al-Hasaka.

Fitzroy przechylił głowę i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Oj, zawstydził mnie pan. Muszę przyznać, że nie wiem, gdzie to jest.

– We wschodniej Syrii.

Wyuczony uśmiech zniknął z twarzy Donalda Fitzroya. Milcząc, powoli odłożył filiżankę na spodek, który następnie odstawił na stolik.

Lloyd ciągnął:

– Raz jeszcze przepraszam, że mówię bez ogródek, ale czas nie tyle nagli, ile go praktycznie nie ma.

– Słucham pana. – Na twarzy Anglika nie było śladu po ciepłym uśmiechu, który przed chwilą ją rozświecał.

– Zeszłego wieczoru około godziny ósmej czasu miejscowego z rąk płatnego zabójcy zginął doktor Isaac Abubaker. Jak panu zapewne wiadomo, był on nigeryjskim ministrem energetyki.

Fitzroy odezwał się zdecydowanie mniej przyjaznym tonem:

– To doprawdy ciekawe... Czy wiadomo, co nigeryjski minister od energii mógł porabiać we wschodniej Syrii? Jak słyszałem, jedyna energia, którą można tam uzyskać, to ferwor dżihadystów, którzy zbierają się, żeby przedostać się do Iraku i dolać oliwy do ognia tamtejszego konfliktu.

Lloyd się uśmiechnął.

– Świętej pamięci doktor był muzułmaninem o dość radykalnych poglądach. Być może przebywał w tym rejonie, aby wspomóc materialnie sprawę. Nie przyszedłem tu bronić jego poczynań, obchodzi mnie tylko ten, kto go zabił. Tak się składa, że jego zabójca przeżył, a następnie uciekł do Iraku.

– To niefortunne.

– Nie dla zabójcy. Był dobry. Więcej niż dobry. Najlepszy. Jest znany jako Gray Man.

Fitzroy założył nogę na nogę i oparł się w fotelu.

– Toż to legenda. Mit.

– Nie mit. Człowiek. Bardzo utalentowany, ale jednak tylko śmiertelnik.

– Po co pan przyszedł? – W głosie Fitzroya nie było śladu dotychczasowej jowialnej szarmanckości.

– Jestem tu, gdyż pan go prowadzi.

– Proszę?

– Kieruje nim pan. Prowadzi pan jego kontrakty, obsługuje jego potrzeby logistyczne, dostarcza odpowiednich danych szpiegowskich, egzekwuje płatności od zleceniodawców, a następnie przelewa należności na jego konta bankowe.

– Gdzież pan usłyszał te brednie?

– Drogi panie, gdyby czas nie naglił, okazałbym panu każdą należną uprzejmość, moglibyśmy pobawić się w słowną szermierkę, aż czyjś bon mot zadałby śmiertelny cios. Niestety, szefostwo naciska, więc musimy się obyć bez zwyczajowych grzeczności. – Upił kolejny łyk kawy, po czym skrzywił się, nie doceniając kwaskowatej goryczy naparu. – Wiem, że zabójcą był ten, którego zwą Gray Manem. Wiem też, że pan zajmuje się jego kontraktami. Może pan dociekać, skąd mam te informacje, ale wtedy ja będę łąał, a to, jak potoczy się nasza znajomość w ciągu najbliższych kilku godzin, zależy od pana szczerości.

– Słucham.

– Jak już mówiłem, Gray Man przedostał się do Iraku. Przegapił jednak ekstrakcję, ponieważ popełnił głupstwo: wdał się w wymianę ognia z Al-Kaidą. Zabił lub zranił co najmniej dziesięciu bojowników. Przy okazji uratował członka Gwardii Narodowej Stanów Zjednoczonych oraz odzyskał ciało innego. A teraz pozostaje w ukryciu.

– A skąd pan wie, że to akurat Gray Man stoi za zabójstwem doktora Abubakera?

– Nie ma nikogo innego, komu by powierzono tę misję, ponieważ nikomu innemu nie mogło się udać.

– A jednak, sam pan przyznał, popełnił głupstwo.

– To kolejny dowód, że mam rację. Gray Man pracował kiedyś w Służbach Specjalnych Stanów Zjednoczonych. Coś poszło nie tak, trafił na celownik CIA, po czym zaczął się ukrywać przed dawnymi pracodawcami. Lecz mimo pogorszenia się jego relacji z Langley pozostał patriotą. Nie mógł przepuścić zestrzelenia amerykańskiego śmigłowca i zabicia jedenastu rodaków bez wymierzenia sprawiedliwości.

– I to pan uważa za dowód?

Lloyd wygładził marynarkę.

– Od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że Gray Man przyjął zlecenie na Abubakera. Kiedy doktorkowi zeszło się z przyczyn nienaturalnych, nie musieliśmy spekulować, żeby poznać tożsamość zabójcy.

– Bardzo mi przykro, drogi panie, ale mam już swoje lata. Musi mi pan dokładniej wyjaśnić: po co właściwie pan tu przyszedł?

– Moja firma jest skłonna potroić liczbę zleceń pod warunkiem, że pomoże nam pan zneutralizować Gray Mana. Nie chcę wchodzić w nieistotne szczegóły, ale prezydent Nigerii poprosił nas o pomoc w schwytaniu zabójcy brata i wymierzeniu sprawiedliwości.

– Dlaczego poprosił o to LaurentGroup?

– Te detale są nieistotne.

– Jeśli chce pan kontynuować naszą rozmowę, to musi pan traktować je jako istotne.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Lloyd zawahał się, po czym powoli pokiwał głową.

– No dobrze... Powody są dwa. Po pierwsze dlatego, że mój pracodawca posiada rozbudowaną siatkę ochrony, więc pan prezydent uważa, że dysponujemy środkami, aby zająć się tą sprawą. Rozumie pan, zdarzyło nam się już wykonać kilka zleceń dla Nigeryjczyków. – Lloyd machnął ręką i dodał: – Cóż, mamy świetną obsługę klienta.

Fitzroy podniósł brwi, po czym je zmarszczył.

– Po drugie, Julius Abubaker uważa, że jest w stanie wywierać na nas nacisk. Czeka na podpisanie pewnego bardzo intratnego kontraktu. Dokument ten leżał już na biurku, czekając na parafkę, kiedy wasz człowiek zabił jego brata. Kadencja pana prezydenta kończy się za tydzień, tyle też dał nam na pomszczenie śmierci doktora.

– Co to za kontrakt?

– Taki, na którego utratę nie możemy sobie pozwolić. Czy zdaje pan sobie sprawę, że Nigeria nie tylko wydobywa olbrzymie ilości ropy, ale także posiada równie wielkie złoża gazu ziemnego? I jest on niewykorzystywany, tylko sobie pyrka w szybach naftowych i wylatuje go do atmosfery trzydzieści miliardów ton rocznie! Istne marnotrawstwo energii i potencjalnych zysków.

– A Laurent Group ma na niego zakusy?

– Skądże! To naturalne źródło energii należące do szlachetnego narodu nigeryjskiego. Ale tylko my posiadamy odpowiednią technologię, aby dostosować szyby, zamontować gazociągi, przetransportować skroplony gaz do portu w Lagos, a następnie do rafinerii w naszych dwukadłubowych tankowcach z idealnie kontrolowaną temperaturą, oraz by przeprowadzić ich rafinację dla tego zacnego narodu. Spędziliśmy cztery lata i wydaliśmy ponad trzysta milionów dolarów na prace badawczo-rozwojowe. Wybudowaliśmy statki, zmodernizowaliśmy

stocznie, żeby móc zbudować ich jeszcze więcej, wynegocjowaliśmy zagospodarowanie terenu pod gazociąg.

– Tyle roboty bez podpisanej umowy na eksport? Wygląda na to, że LaurentGroup powinna zmodernizować swój dział prawny – rzucił złośliwie Fitzroy.

Prawnik się oburzył.

– Mieliliśmy umowę z Abubakerem. Tyle że jego ludzie znaleźli kruczek. Naprawiliśmy tę niefortunną pomyłkę i wystarczyło, by tylko machnął piórem, żeby umowa weszła w życie, i natychmiast moglibyśmy zacząć operację. Tyle że wtedy wasz człowiek zabił jego brata.

– Wciąż nie widzę związku.

– Związek jest taki, że prezydent Abubaker to, za przeproszeniem, okropny kutas.

Fitzroy wyczuł, że przez zdenerwowanie młodego prawnika przebija coś jeszcze.

– Chyba rozumiem. Czyli ten kruczek to wina pańskiego działu. Daliście, za przeproszeniem, dupy, a teraz szefostwo kazało wam to naprawić.

Lloyd zdjął okulary i powoli masował grzbiet nosa.

– To drobniotka pomyłka, która w każdym cywilizowanym kraju nie byłaby warta nawet pięciu minut w sali sądowej.

– Tylko że macie do czynienia z najbardziej skorumpowanym krajem na świecie.

– Trzecim najbardziej skorumpowanym, ale tak – odparł Lloyd. Po kolejnym łyku kawy zmusił się do uśmiechu. – Abubaker grozi, że podpisze kontrakt z naszą konkurencją, firmą, która nawet nie stawiała do przetargu. Dojście do naszego poziomu infrastruktury i ekspertyzy zajmie jej co najmniej dziesięć lat, a w najbliższym czasie Nigeria straci na tym miliardy dolarów.

– I Nigeria, i LaurentGroup.

– Fakt, nie jesteśmy wydziałem usług socjalnych nigeryjskiego rządu. Wiadomo, że kierujemy się przede wszystkim interesem firmy. Chciałem tylko wspomnieć, że równocześnie jesteśmy w stanie pomóc biednym Nigeryjczykom, którzy też mają wiele do stracenia, jeśli nie znajdę i nie zabiję Gray Mana.

– Skoro ci nieszczęśnicy wciąż klepią biedę mimo miliardów na ropę, które i tak są pakowane w Nigerię, to śmiem wątpić, czy kilka gazociągów poprawi jakość ich życia.

Lloyd wzruszył ramionami.

– Chyba zboczyliśmy z tematu.

– Ale co ze zleceniodawcą zabójstwa? Dlaczego prezydent nie szuka jego? Jeśli wasze źródła są wiarygodne, to Gray Man jedynie pociągnął za spust, nic więcej.

Lloyd uśmiechnął się ponuro.

– Doskonale pan wie, że zleceniodawca zginął w katastrofie lotniczej kilka miesięcy temu. Gray Man mógł, w dodatku powinien był cieszyć się, że nieboszczyk zdążył przed śmiercią przesłać mu pieniądze, a potem zapomnieć o zleceniu. Ale wasz zabójca mimo to postanowił wykonać misję. Wydawało mu się chyba, że postępuje szlachetnie.

– No a ja? Skoro uważacie, że maczałem palce w opracowaniu planu zabicia Isaaca Abubakera, to czemu nie chcecie i mnie usunąć z tego świata?

– Wiemy, że zleceniodawca działał przez pośrednika. Ten zaś też miał pośrednika, który miał pośrednika negocjującego z panem. Ale prezydent Julius Abubaker nie ma ani cierpliwości, ani umiejętności skupienia uwagi, aby bawić się w aż tak zawile intrygi. On po prostu chce głowy zabójcy jego brata. To mu wystarczy.

– Mówiąc, że żąda głowy... Przypuszczam, że rozumie pan to metaforycznie.

– Och, chciałbym, żeby tak było. Nie... Niestety pan prezydent wysłał do nas członka własnej świty, którego zadaniem jest poświadczyć, że zadanie zostało wykonane. Posłaniec oznajmił, że kazano mu wsadzić głowę Gray Mana do lodówki i przekazać ją przywódcy pocztą dyplomatyczną. Pieprzone dzikusy! – Ten ostatni komentarz Lloyd rzucił pod nosem.

– A nie możecie go jakoś inaczej przekupić? – spytał Fitzroy. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak realizuje się kontrakty w sektorze publicznym w państwach Trzeciego Świata.

Lloyd zapatrzył się smutno w punkt na ścianie. Jego oczy nagle wydały się znacznie starsze niż on sam.

– Oj, ileśmy mu już dali w łapę... Hajs, dziwki, prochy, pałace, jachty... Ale skurwysyna nie da się zaspokoić. Poruszyliśmy niebo i ziemię dla tego kontraktu.

A on co? Dalej negocjuje z konkurencją. Dostarczenie mu głowy zabójcy jego brata to jedyna rzecz, którą tylko my jesteśmy w stanie zapewnić. On o tym wie, więc na nas naciska.

– Skoro Abubaker to taki despota, to czemu oddaje władzę?

Lloyd machnął ręką, jakby chodziło o coś oczywistego.

– Już jest wręcz obscenicznie bogaty. Zgnębił swój naród, teraz chce się położyć i napawać swoimi czynami.

– I właśnie po to pan tu przyszedł.

– No właśnie. To proste. Raz jeszcze przepraszam za brak kurtuazji, ale jestem pewien, że kontrakty, które jesteśmy w stanie zaproponować pańskiej firmie, z nawiązką wynagrodzą utratę jednego zabójcy, nawet tak utalentowanego.

– Widzi pan, sęk w tym, że ludzie, którzy dla mnie pracują, są... prostolinijni. Lubią lojalność, zaufanie i poczucie humoru. Nie zawsze słusznie lokują te uczucia, ale cóż... to ich motywuje. Rozumie pan chyba, że sprzedanie życia pracownika, i to w dodatku najlepszego, w zamian za kilka tłustych kontraktów nie leży w moim interesie – odpowiedział Fitzroy.

– Zupełnie się z panem nie zgodzę. Ten pana zabójca to towar jak każdy inny. Tak się składa, że tego typu towary i tak mają bardzo krótki okres przydatności do spożycia. Pół roku, rok, góra trzy lata. I tak prędzej czy później zostanie zabity czy w inny sposób unieszkodliwiony. Przestanie generować przychód. Ja natomiast proponuję nieskończone źródło dochodów dla pana firmy.

– Nie poświęcam życia moich pracowników dla interesów.

Lloyd pomyślał chwilę.

– Rozumiem. Pogadam z Paryżem. Może uda mi się przedstawić jeszcze bardziej smakowitą ofertę.

– Nie chodzi mi o smak, drogi panie. Ja po prostu nie jadam tego typu dań.

Lloyd nachylił się w stronę sir Donalda. W jego głosie zabrzmiała złowieszczą nuta.

– Jeśli pan grymasi, to może trzeba będzie pana nakarmić siłą. Pana zabójca musi zginąć. Chciałbym móc wciąż machać marchewką, ale jestem gotowy użyć kija.

– Oj, ostrożnie, młody człowieku! Ta dyskusja przestaje mi się podobać.

Przez kilka sekund mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Lloyd rzekł:

– Wiem, że dziś wysyłacie kolejną ekipę ekstrakcyjną po Gray Mana. Żądam, aby wydał pan waszym ludziom rozkaz zlikwidowania go. Wystarczy jeden telefon i odpowiednia zapłata, a powinno pójść jak po maśle.

– Skąd macie te informacje? – Fitzroy zmrużył oczy.

– Nie mogę zdradzić źródeł.

– To blef. Nic pan nie wie.

Lloyd się uśmiechnął.

– No to podzielę się tym, co mi jeszcze wiadomo, a potem sam pan stwierdzi, czy blefuję. Podejrzewam, że wiem o pańskim ulubieńcu nieco więcej niż pan. Naprawdę nazywa się Courtland Gentry, mówią do niego Court. Ma trzydzieści sześć lat. Amerykanin. Tatuś prowadził punkt szkoleń SWAT koło Tallahassee na Florydzie. To tam dorastał Gentry. Chłopak od małego był szkolony przez najlepszych funkcjonariuszy. Sam już w wieku szesnastu lat prowadził szkolenia dla SWAT z technik walki w przestrzeniach zamkniętych. Kiedy miał osiemnaście lat, wpadł w złe towarzystwo w Miami, przez chwilę dorabiał sobie dla pewnego kolumbijskiego gangu. Aresztowany w Key West za zastrzelenie trzech kubańskich dilerów w Fort Lauderdale. Pewna szycha z CIA, którą przed laty szkolił tatuś Gentry'ego, wyciągnęła młodego z więzienia i wysłała do pracy w tajnej jednostce w dziale operacji tejże agencji. Przez parę lat pracował pod przykrywką na całym świecie, głównie włamania, inwigilacja i tym podobne. Aż do wydarzeń jedenastego września, kiedy przydzielono go do wydziału do zadań specjalnych, gdzie był w grupie zadaniowej do ścigania osób w trybie nadzwyczajnym. Oficjalnie: Oddział Specjalny Golf Sierra, ale nieliczni, którzy wiedzieli o jego istnieniu, czule nazywali ich „bandą zbirów”.

– Bajki pan opowiada.

Lloyd, nie zważając na komentarz Fitzroya, ciągnął:

– To był specjalny oddział taktyczny, stworzony ad hoc, składający się z jak to mówimy w branży, najbardziej efektywnych jednostek. Najlepsi z najlepszych. Bynajmniej nie żaden James Bond. Nie, w tych kręgach kładzie się znacznie większy nacisk na szpadę niż na płaszcz. Przez kilka lat najlepszy oddział CIA od mokrej roboty. Zabijali tych, których nam się nie udawało, usuwali takich, od



których nie dało się naszym zdaniem wyciągnąć więcej użytecznych informacji, likwidowali innych, których śmierć siała przerażenie w sercach i umysłach terrorystów. Ale cztery lata temu coś się popsuło. Niektórzy twierdzą, że poszło o politykę. Inni uważają, że Gentry coś spieprzył i przestał być potrzebny. Są tacy, którzy upierają się, że przeszedł na ciemną stronę mocy. Tak czy inaczej, poszło pismo, że nie należy mu ufać. A potem dyrektywa, żeby go zabić, strzelać bez ostrzeżenia. Szukali go dawni kumple od zadań specjalnych. Nie poddał się bez walki. Najpierw zabił polujących na niego kolegów z Golfa Sierry, a potem przeszedł do podziemia. Słuch o nim zaginął. Spędził trochę czasu w Peru, w Bangladeszu, w Rosji, kto wie, gdzie jeszcze. Po pół roku skończył mu się hajs. Przeszedł do sektora prywatnego, zaczął pracować u was, robiąc to, co potrafi najlepiej. Kulki w łeb i podrzynanie gardeł. Karabiny snajperskie i ostre noże.

Opowieść Lloyda przerwało pukanie. W drzwiach stanęła sekretarka Fitzroya.

– Przepraszam, ale jest do pana telefon – oznajmiła, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Fitzroy powstał. Lloyd też się podniósł.

– Poczekam na zewnątrz – powiedział młody Amerykanin.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

– Odsyłając mnie z kwitkiem, popełnia pan duży błąd. Musi pan kazać swoim ludziom zneutralizować Gray Mana. Jeśli moja oferta nie wydaje się panu satysfakcjonująca, wystarczy, że wykonam kilka telefonów i zobaczymy, co da się uzyskać. Jedyne, czego nie jestem w stanie zrobić, to wrócić do mojego szefostwa, nie załatwiwszy tej sprawy.

– Pański pracodawca błędnie ocenił sytuację. Mnie nie da się przekupić niczym jakiegoś marionetkowego afrykańskiego watażkę. – Fitzroy miał już dość.

W oczach młodego Amerykanina pojawił się złowrogi błysk.

– A więc raz jeszcze przepraszam.

Uścisnęli sobie dłonie, ale ten pozornie przyjacielski gest nie ocieplił ich lodowatych spojrzeń. Idąc w stronę drzwi, Lloyd zboczył na lewo, zatrzymując się pod oprawionym artykułem z „The Economist”. Nagłówek brzmiał: „Były szpieg potentatem bezpieczeństwa korporacyjnego”. Wskazał na niego palcem.

– Świetny artykuł. Mnóstwo ciekawych informacji. – Przyjrzał się wiszącemu obok zdjęciu młodszego Fitzroya z żoną i nastoletnim synem. – Teraz pański syn

ma dwie córki, prawda? Mieszka w Londynie, ma kamienicę w Sussex Gardens, o ile dobrze pamiętam z artykułu w „The Economist”.

– Tej informacji nie było w artykule.

– Czyżby? – zdziwił się Lloyd. – Sam jestem ciekaw w takim razie, gdzie to przeczytałem. Miłego dnia, sir Donaldzie. Będziemy w kontakcie. W ciągu godziny otrzymacie przesyłkę – dodał, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

Fitzroy przez chwilę stał w gabinecie. Sir Donalda niełatwo było przestraszyć. Tym razem jednak poczuł chłodny dreszcz trwogi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Mimo iż słońce miało wzejść dopiero za dwie godziny, już teraz na opuszczonym lotnisku było przeraźliwie gorąco. Ogromny Lockheed L-100, czekający na końcu pasa startowego, miał silnik pracujący na niskich obrotach i wyłączone światła, aby nie dało się go zobaczyć z oddali, ale jego załoga siedziała w gotowości, z drżącymi dłońmi przy przepustnicy. Śmigła wzniecały kurz i ostry piasek, który leciał na umęczone wiatrem twarze i do wyschniętych gardeł pięciu osób stojących na asfaltowym pasie tuż przed opuszczoną rampą samolotu. Wszyscy patrzyli na południe, za niewielki barak terminala i druciane ogrodzenie, prosto w niezmierną ciemność zachodniego Iraku.

Stali dość blisko siebie, ale i tak normalna komunikacja była niemożliwa. Nawet na małych obrotach czterołopatowe silniki Allison wypełniały powietrze dudnieniem, od którego trzęsła się ziemia. Gdyby nie to, że byli wyposażeni w krótkofalówki Harris Falcon i laryngofony, ich słowa rozpierzchłyby się po okolicy dalej, niż sięgały ich noktowizory.

Markham lewą ręką wymacał pistolet maszynowy firmy Heckler und Koch, przewieszony przez klatkę piersiową, a prawą przycisnął guzik połączenia radiowego na kamizelce.

– Spóźnia się – syknął.

Perini chwycił zębami koniec rurki zwisającej mu przez ramię i napił się ciepłej wody z pustego do połowy bukłaka, który miał w plecaku. Większość wypluł na przysypany piaskiem asfalt pod nogami. Jego mossberg zwisał na poluzowanym pasku z prawego ramienia.

– Skoro ten sukinsyn jest niby taki zajebisty, to czemu nie może zdążyć na ewakuację?

– On rzeczywiście jest taki zajebisty. Jeśli Gray Man się spóźnia, to musi mieć ku temu dobry powód – odparł Dulin. Trzymał się pod boki, przez klatkę piersiową miał przewieszony pistolet maszynowy. – Bądźcie czujni. To tylko krótka operacja.

Odbieramy go, niańczymy przez granicę, a potem zapominamy, że go kiedykolwiek widzieliśmy.

– Gray Man – westchnął McVee z namaszczaniem. – To on zabił Miloševicia. Wśliznął się do więzienia ONZ i otruł skurwysyna. – Jego pistolet maszynowy MP5 miał gruby tłumik skierowany prosto w ziemię. Dotknął łokciem kolby.

– Nie, stary. Pokręciłeś. On nie zabił Miloševicia, tylko zabił gościa, który zabił Miloševicia. Było tak: Słobo miał sypać, wydać oficjeli z ONZ, którzy mu pomogli z ludobójstwem w Bośni i Kosowie. Więc ONZ wysłało kogoś, żeby otruć starego. Gray Man po wszystkim zlikwidował tego zabójcę... – Powiedziawszy to, Perini wziął, a następnie wypłuł kolejny łyk ciepłej wody. – Ten Gray Man to podły skurwysyn. Ma wszystko gdzieś, więc się nie boi.

– Co nie zmienia faktu, że się, kurwa, spóźnia – powtórzył Markham.

Dulin zerknął na zegarek.

– Fitzroy powiedział, że być może będziemy musieli albo trochę poczekać, albo się pobić. Teraz każdy hadzi w obrębie pięćdziesięciu kilometrów poluje na jego dupę.

Barnes, dotychczas milczący, odezwał się:

– Słyszałem, że to on stoi za tą robotą w Kijowie. – Chodził najdalej od rampy, patrząc w ciemność przy użyciu noktowizora trzeciej generacji, przymocowanego do karabinu M4.

– Pierdolisz – odparł Dulin. Perini i Markham natychmiast przyznali mu rację.

McVee jednak zgodził się z Barnesem:

– Też słyszałem, że Gray Man odpierdolił tę manianę solo.

– Nie ma mowy. Kijów to nie była akcja na solówę. Co najmniej dwunastu chłopów. – Skrzywił się Markham.

Barnes pokręcił głową w ciemności.

– Ja słyszałem, że solówa. Że to Gray Man.

– Nie wierzę w bajki – odparł Markham.

W słuchawce rozległy się trzaski. Dulin podniósł rękę, uciszając ekipę, i przycisnął przełącznik.

– Powtórz to ostatnie.

Kolejny trzask. Potem następny. W końcu spomiędzy zakłóceń udało się wyłapać słowa: „Trzydzieści sekund... w ruchu... gonią!”. Nie poznawali po głosie, kto mówił, ale była to niewątpliwie sprawa życia i śmierci.

– To on? – spytał Barnes.

Nikt nie miał pewności.

Znów coś zahuczało w komunikatorach, teraz wyraźniej. Spojrzeli na otwartą bramę przed niewielkim lotniskiem. Usłyszeli: „Jadę mocno. Wstrzymać ogień!”.

– Sygnał ci przerywa. Powtórz położenie – odpowiedział przez radio Dulin.

Kolejny trzask, po czym: „...północny zachód!”.

Nagle od północy dobiegł ich chrzęst i odgłos klaksonu. Odwrócili się w stronę, skąd dobiegały dźwięki. Dostrzegli cywilną ciężarówkę z rozbitą lampą. Przebiła się przez ogrodzenie i wpadła z piasku na asfalt. Mknęła szybko, prosto na herculesa.

W krótkofalówkach znów usłyszeli: „Mam towarzystwo!”.

Tuż za dziko mknącym pojazdem zobaczyli światła aut. Jednego, drugiego, kolejnych.

Dulinowi wystarczyła chwila, aby oszacować sytuację.

– Do góry rampa! – zawołał do załogi, przekrzykując jęk silnika.

\* \* \*

Kiedy cała piątka była na pokładzie, a samolot sunął już po pasie startowym, po tylnej rampie wbiegł uzbrojony mężczyzna w brudnym stroju i kamizelce kuloodpornej. McVee chwycił odzianą w rękawiczkę dłoń „przesyłki” i pomógł jej wdrzeć się po stromym wejściu. Markham uderzył w dźwignię hydrauliczną, żeby zamknąć klapę. Dulin wydał ekipie komendę przez interkom, po czym ryknęły cztery silniki turbośmigłowe. Wystartowali.

Rampa się zamknęła. Przybysz padł na kolana pośrodku pustej kabiny. Jego karabinek M4 wisiał na klatce piersiowej, na pasie z amunicją brakowało połowy naboju. Miał na sobie brązową tunikę z nomexu, przedartą w kilku miejscach. Gogle skrywały jego oczy, twarz miał umazaną farbą maskującą i potem. Zdjął hełm i rzucił go. Z namokniętych jak gąbka gęstych, brązowych włosów wydobyła się para. Z brody jak z nieszczelnego kranu ciekł pot.

Dulin podniósł Gray Mana z podłogi i posadził na ławce ustawionej wzdłuż kabiny. Przypiął go pasem i usiadł obok.

– Jesteś ranny? – spytał.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Pomogę ci zdjąć kamizelkę! – Dulin próbował przekrzyczeć ryk silnika.

– Zostanę w tym.

– Jak wolisz. To tylko czterdzieści minut lotu. W Turcji mamy kryjówkę, a jutro wieczorem Fitzroy przekaże ci dalsze instrukcje. Do tego czasu będziemy cię chronić.

– Dzięki wielkie – wydyszał brudny przybysz, tuląc zawieszony na szyi karabin. Nawet gdy mówił, wbijał wzrok w ziemię.

Pozostała czwórka przypięła się do pokrytej czerwoną siatką ławki, ciągnącej się przez kadłub. Wszyscy gapili się na „przesyłkę”, bezsilnie próbując pogodzić przeciętnie wyglądającego agenta z jego osławioną reputacją. Gray Man i Dulin siedzieli przy palecie ze sprzętem, przytwierdzonej parcianymi pasami do pokładu.

– Idę zadzwonić do Fitzroya, dam mu znać, że wystartowaliśmy. Zaraz będę, przyniosę ci wody – rzucił Dulin, po czym wspiął się do przodu kabiny. Idąc, wyciągnął telefon satelitarny.

\* \* \*

W Londynie było kilka minut po trzeciej nad ranem. Na szóstym piętrze białego londyńskiego biurowca przy Bayswater Road mężczyzna w wymiętym garniturze w prążki stukał palcami po biurku. Twarz miał pobladłą. Po tłustej szyi spływał pot, zalewając elegancką koszulę z bawełny egipskiej. Donald Fitzroy próbował się uspokoić, sprawić, by w jego głosie nie dało się wyczuć przerażenia.

Telefon satelitarny znów zapiszczał.

Po raz dwudziesty z kolei spojrział na oprawioną fotografię stojącą na biurku. Przedstawiała czterdziestoletniego syna i jego piękną małżonkę pólleżących na hamaku. Na kolanach rodziców siedziały wnuczki Donalda, bliźniaczki. Wszyscy uśmiechnięci.

Fitzroy spuścił wzrok i spojrzał na plik zdjęć, które trzymał w grubych dłoniach. Każdemu z nich przyjrzał się ze dwadzieścia razy. Przedstawiały tę samą czwórkę, tę samą rodzinę, choć teraz bliźniaczki były już trochę starsze. Typowe ujęcia z ukrycia: cała rodzina na spacerze w parku, bliźniaczki w szkole przy Grosvenor Square, synowa pchająca wózek w supermarkecie. Na podstawie ujęć postaci widniejących na fotografiach Fitzroy wywnioskował, że fotograf chciał pokazać, jak łatwo byłoby mu podejść do nich.

Lloyd nie owijał w bawełnę: mogą dopaść rodzinę Fitzroya w każdej chwili.

Telefon satelitarny zapiszczał po raz trzeci.

Fitzroy odetchnął ciężko, rzucił zdjęcia na podłogę, po czym chwycił uporczywie dzwoniącą słuchawkę.

– Tu Standstill. Jak mnie słyszysz, Fullcourt?

\* \* \*

– Głośno i wyraźnie, Standstill – odpowiedział Dulin. Przycisnął ucho mocniej do słuchawki telefonu satelitarnego, aby uciszyć ryk silnika. – A jak mnie słychać?

– Głośno i wyraźnie. Jaki status?

– Fullcourt do Standstilla. Mamy „przesyłkę”. Nastąpiła ekstrakcja z miejsca docelowego.

– Zrozumiałem. Podaj status „przesyłki”.

– Wygląda chujowo, ale twierdzi, że wszystko w porządku.

– Rozumiem. Poczekaj minutę – powiedział Fitzroy.

Dulin przetarł twarz dłonią w rękawicze i rzucił okiem na tył samolotu, na czwórkę swoich ludzi. Potem spojrzał na Gray Mana, który siedział na brzegu ławki. Nie widać było jego twarzy spod gogli, brody i farby. Dulin wiedział jednak, że jest wyczerpany. Wpatrzony w przestrzeń opierał się plecami o ścianę kadłuba, obie ręce oplatały karabinek M4. Ekipa Dulina siedziała po prawej Gray Mana, wszyscy wyposażeni prawie tak samo, niemalże jak w mundurach.

Fitzroy wrócił na linię pół minuty później.

– Fullcourt, tu Standstill. Zmiana planów. Ty i twoi ludzie zostaniecie oczywiście odpowiednio wynagrodzeni.

Dulin wyprostował się. Zmarszczył brwi.

– Rozumiem, Standstill. Słucham uaktualnienia szczegółów misji.

– Muszę odwołać dostarczenie „przesyłki”.

Dulin przechylił głowę.

– Nie da się, Standstill. Nie damy rady wrócić na lądowisko. Roi się od przeciwników i...

– Nie o to chodzi, Fullcourt. Trzeba... zniszczyć „przesyłkę”.

Chwila ciszy.

– Fullcourt do Standstilla. Możesz powtórzyć?

Ton głosu po drugiej stronie się zmienił. Był mniej automatyczny. Bardziej ludzki.

– Fullcourt... Mamy problem. Zaistniała trudna sytuacja.

– No raczej – odparł Dulin, zmieniając zwyczajowy ton protokołu radiowego.

– Macie go zlikwidować.

Dulin przyłożył rękę do głowy i postukał palcami w skroń.

– Jest pan pewien? To jeden z waszych ludzi.

– Wiem.

– Ja też jestem jednym z waszych ludzi.

– To skomplikowane, młody. Zwykle tak nie załatwiam interesów.

– To nie w porządku.

– Jak już mówiłem, zostaniecie odpowiednio wynagrodzeni za zmianę szczegółów operacji.

Dulin wciąż wpatrywał się w „przesyłkę”.

– Ile? – zapytał.

\* \* \*

Pięć minut później Dulin spoglądał na swoją ekipę, sięgając po przycisk włączający radio na kamizelce. Przekręcił włącznik kilka razy.

– Zachowajcie ciszę. Kiwnijcie głową na znak, że słychać.

Barnes, McVee, Perini i Markham się rozejrzeli. Wypatrzyli Dulina przy przegrodzie i kiwnęli zgodnie. Gray Man wciąż wpatrywał się tępo w kosz ze sprzętem.



– Słuchajcie, Standstill dał rozkaz, żeby zniszczyć „przesyłkę”.

Dzieliło ich około dziesięciu metrów, ale kabina była dobrze oświetlona. Dulin zobaczył zaskoczenie na ich twarzach. Wzruszył ramionami.

– Nie pytajcie. Ja tu tylko sprzątam.

Czwórka siedząca na ławce z „przesyłką” zerknęła w jej stronę. Brodacz był najbliżej rampy, przypięty. Miał karabinek M4. Gapił się w podłogę.

Spojrzeli z powrotem na przywódcę i powoli kiwnęli głowami.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Court Gentry siedział sam, nieopodal zamkniętej rampy samolotu. Wsłuchiwał się w jęki silnika. Próbował złapać oddech, ujarzmić miotające nim emocje. Będąc już na pokładzie L-100-30, myślami wciąż był na ziemi: w ciemności, na piachu.

W całym tym gównie.

Agent siedzący najbliżej niego, po prawej stronie, wstał, pogrzebał coś przy palecie, po czym usiadł na ławce naprzeciw. Gentry leniwie zerknął w bok i zauważył, że dowódca ekipy ratunkowej majstruje coś przy kamizelce. Rzucił okiem na pozostałych i ponownie spojrzął na mężczyznę przy przegrodzie.

Coś było nie tak.

Dowódca stał na baczność z zacięłym wyrazem twarzy, choć nie przyglądał się niczemu konkretnemu. Przez klatkę piersiową miał przewieszony pistolet maszynowy MP5, poprawiał rękawiczkę na prawej dłoni. W dodatku ruszał ustami. Mówił do krótkofalówki, wydawał rozkazy. Gentry spojrzął na swój odbiornik. Miał dostęp do tego samego kanału, co pozostali, ale niczego nie słyszał. Dziwne.

Court zwrócił się w stronę trójki mężczyzn, którzy siedzieli na tej samej co on ławce. Po ich postawie, po minach poznał, że tak samo jak szef nie odprężali się po udanej ewakuacji z miejsca zagrożenia. Ich ruchy i wyraz twarzy sugerowały, że główna akcja jest jeszcze przed nimi. Gentry miał za sobą szesnaście lat w służbach specjalnych, doskonale wiedział, jak wygląda agent po walce, a jak wtedy, kiedy walka ma się dopiero zacząć.

Przezornie rozpiął pas, mocujący go do ławki, i obrócił się, żeby znaleźć się naprzeciwko towarzyszących mu mężczyzn.

Dulin siedział przy przegrodzie, ale już nic nie mówił. Po prostu patrzył na Gentry'ego.

– Co jest?! – wrzasnął Gentry, próbując przekrzyczeć huk silnika.

Dulin podniósł się powoli.

– Cokolwiek macie zamiar zrobić, lepiej najpierw...! – krzyknął Court.

Markham błyskawicznie odwrócił się w stronę Gray Mana, podnosząc broń. Gentry odepchnął się od ściany i skoczył przezabinę, próbując schować się za przytwierdzoną do pokładu paletą ze sprzętem.

Wybuchła walka. To, że Court nie miał zielonego pojęcia, czemu, do kurwy nędzy, jego wybawcy zwrócili się przeciwko niemu, nie grało roli. Nie marnował czasu na próbę rozwikłania tej zagadki.

Court Gentry trudnił się zabijaniem ludzi.

A to byli ludzie.

Nic dodać, nic ująć.

Markham wystrzelił ze swojego sig sauera, ale chybił. Tuż przed zniknięciem za przewożonym sprzętem Gentry zauważył, że Markham i Barnes rozpinają uprząże, którymi byli przypięci do ławki.

McVee stał z lewej, kiedy Gray Man kucnął za paletą, obrócony w stronę drzwi kokpitu, jakieś dziesięć metrów od niego. Dulin był przy przegrodzie koło nich, a pozostała trójka z przodu, po prawej. Court zdawał sobie sprawę, że jeśli zajmie się wrogiem po lewej, to wyeliminuje jedno z pół ostrzału przeciwników, więc przeturlał się przez ramię, po czym wyłonił zza palety z podniesionym karabinkiem i strzelił długą serią w agenta. Twarz mężczyzny uderzyła w ścianę, a heckler und koch wysunął mu się z palców.

McVee runął na ławkę martwy.

Gentry zabił go. A nawet nie wiedział dlaczego.

\* \* \*

W tej samej chwili wszyscy znajdujący się z tyłu herculesa zaczęli strzelać. Cztery lufy wypuściły serię ołowiu w stronę Gentry'ego. Court natychmiast schował się za sprzętem. Za nim ze ściany kadłuba rozległy się gwizdy powietrza wychodzącego przez dziury po pociskach. Załoga znajdująca się w kabinie pilotów nie mogła ich słyszeć, ale bez wątplenia zarejestrowała odgłos wymiany ognia, ponieważ samolot zaczął nagle pikować w celu obniżenia ciśnienia w nadziei na uniknięcie rozerwania maszyny na strzępy.

Manewr ten wytworzył, wydawać by się mogło, stan nieważkości dla Gentry'ego i czwórki jego potencjalnych zabójców. Court uniósł się ze stosunkowo bezpiecznej pozycji za paletą i zrobił kilka salt w tył. W końcu wylądował na suficie, a potem na tyle rampy, która teraz stanowiła najwyższy punkt kabiny.

Dwóch napastników poszybowało, próbując trafić w cel.

Gentry poczuł, jak para dziewięciomilimetrowych pocisków z MP-piątki trafia w blachę pancerną jego kamizelki. Siła uderzenia na moment wytrąciła go z równowagi, ale – będąc do góry nogami – dostrzegł, że jeden z agentów nie zdążył wypiąć się z uprzęży. Wywijał gorączkowo nogami w powietrzu przywiązany do ściany po prawej.

Łatwy cel.

Gentry trafił Periniego jednym strzałem z karabinka M4 w głowę. Jego ciało zwiotczało, kończyny tańczyły od nieważkości wywołanej szybkim nurkowaniem samolotu.

Przez kolejne dziesięć sekund pozostała przy życiu czwórka kręciła się po samolocie niczym skarpetki w suszarce bębnowej. Dulin był najniżej ze wszystkich. Udało mu się chwycić parcianych pasów i przytwierdzić nimi ramię do przedniej przegrody. Następnie usiłował wycelować pistolet maszynowy w Gentry'ego, wirującego niecałe dziesięć metrów nad nim, jednak Markham i Barnes wpadli na Courta, straciwszy kontrolę nad własnymi ciałami. Kiedy cel znalazł się zbyt blisko, aby strzelać, w ruch poszły kolby, buty i pięści.

Zdawało się im, że znajdują się w stanie nieważkości, lecz w rzeczywistości spadali z nieba w kierunku ziemi z maksymalną prędkością.

W całym tym chaosie, pośród wrzasków i zdezorientowania, Court znów zrobił przewrót w tył, przez co wypuścił z dłoni karabin, a pas, na którym był zawieszony, przeleciał mu przez głowę. Stracił broń. Wyciągnął glocka, wycelował, ale wtedy poczuł ukłucie kuli wbijającej mu się w prawe udo. Siła uderzenia wykrzywiła mu nogę, czuł, jakby go ktoś zdzielił młotem. Starał się nie zważać na ranę, stopami wymacał tylną rampę. Wypatrzył Dulina. Dowódca ekipy miał przypięte jedno ramię do pasków przegrody, drugą ręką dzierżył pistolet maszynowy, celując w Gray Mana. Court wystrzelił serię w jego stronę, po czym zobaczył, jak ciało Dulina drży, gdy kule trafiają go w krocze i brzuch.

Gentry zaczął strzelać do Barnes'a i Markhama, jednak zwłoki McVee'ego wleciały w pole ognia, osłaniając ostatnich pozostałych przy życiu agentów.

Kiedy pilot stwierdził, że ma dosyć piasku w przedniej szybie, prędko wyszedł z pikowania. Wszyscy pasażerowie, i żywi, i martwi, runęli na metalową podłogę transportowca i niczym kule do kręgli po torze potoczyli się w stronę przedniej przegrody. Po uderzeniu pistolet Courta wyleciał mu z dłoni, a Gentry odbił się od podłogi. Z każdym podskokiem rana postrzałowa w udzie piekła coraz bardziej.

Samolot wyrównywał. Court czołgał się w stronę siatki na przedniej przegrodzie, kiedy jednak prawie się jej chwycił, pilot herculesa nagle poderwał samolot. Z początku pęd, którego nabrał, pchał Gentry'ego do przodu, ale gdy nachylenie podłoża przekroczyło czterdzieści pięć stopni, stracił ostatki kompensacji bezwładności i ledwo musnął nylonową siatkę koło ciała Dulina. Gray Man poleciał do tyłu – jego pięty poszybowały, potem wywrócił się, poślizgnął, a następnie przetoczył, a w końcu wyrzuciło go w powietrze i przeleciał przez pół kabiny. Ból w udzie został spotęgowany, kiedy wylądował na biodrze, po chwili jednak Markham trafił swoim ciałem w klatkę piersiową Courta. Oszołomiony po nagłym upadku agent odwrócony był plecami do Gentry'ego, który bez większego problemu objął ramionami jego głowę. Wystarczył jeden ruch i rozległ się trzask skręcanego karku. Markham zginął natychmiast.

Martwy agent miał zawieszony na szyi za jedną szlufkę karabin niczym naszyjnik z bronią automatyczną grającą rolę zawieszki. Court próbował ją usunąć, ale uniemożliwiała to taśma zaczepiona o kamizelkę. Pociągnął więc broń pod ramię nieboszczyka, próbując wymierzyć w ostatniego żyjącego członka ekipy, który wspinał się po długiej ławce jak po drabinie, aby dostać się na miejsce loadmastera.

Court pociągnął za spust, ale usłyszał tylko kliknięcie pustego magazynku. Sięgnął do kamizelki Markhama w poszukiwaniu kolejnego, po czym naładował MP5. Kiedy szykował się, żeby strzelić, przeciwnik zniknął za przegrodą. Samolot znów wyrównał i grawitacja wróciła do normy. Court kulił się za paletą od strony tylnej klapy, czekając, aż Barnes pojawi się z powrotem koło drzwi.

Wył wiatr. Nagle Gentry usłyszał głośny trzask i poczuł, że tylna rampa zaczyna się ruszać. Barnesowi udało się ją aktywować. Po sekundzie samolot znów zaczął się stromo wzbijać.

Gdy Court gorączkowo próbował się chwycić pasów łączących palety, Barnes wychynął koło przegrody. Odziany w czerń agent miał na plecach spadochron. Zdaje się, że oszacował, iż samolot dłużej tego nie wytrzyma, a może bał się, że piloci oberwali przypadkowo kule. Trzymając się kurczowo siatki, raz po raz wypuszczał w stronę Gentry'ego serie z trzymanego w jednej ręce M4, podczas gdy z tyłu samolotu otwierała się rampa gotowa wypuścić Gray Mana.

Courtowi udało się wolną ręką sięgnąć i w ostatniej chwili zdjąć broń z szyi Markhama, zanim nieboszczyk przeturlał się i wypadł w ciemność. Samolot wciąż się wspinał, więc wkrótce i ciało McVee'ego minęło Gentry'ego, znikając w odmętach nocy. To, co zostało z Periniego, utknęło przytwierdzone do siedzenia, podobnie jak trup Dulina przymocowany do siatki.

Przy życiu pozostali tylko Gentry i Barnes.

Court dzierżył pistolet automatyczny w prawej dłoni, lewą natomiast kurczowo trzymał się pasów. Czuł, jak przekręca mu się rękawiczka. Wiedział, że dłużej nie wytrzyma. Walił nogami, próbując znaleźć punkt zaczepienia, kiedy samolot wznosił się pod coraz ostrzejszym kątem.

Kilka sekund, a zsunąłby się po rampie.

Miał ostatnią szansę na przeżycie. Podniósł karabin Markhama i wystrzelił sponad palety w stronę Barnes'a, trafiając go w środek kamizelki tak, że głowa napastnika uderzyła z całej siły w przegrodę. Wystarczyło, by tamten stracił przytomność. Samolot leciał teraz prawie pionowo w górę. Ranny puścił się siatki, padł na kolana i zaczął zsuwać się w stronę tylnego otworu.

Ostatnia szansa Gentry'ego na wydostanie się z tego pudła. Nie zamierzał z niej skorzystać. Kiedy mijał go nieprzytomny Barnes, Court puścił pas i się odepchnął. Skoczył na prawo, chwycił omdlałego za szelki spadochronu i razem wypłynęli wprost w nocne niebo.

\* \* \*

Gentry obejmował Barnes'a ramionami, oplótł się też wokół niego skrzyżowanymi nogami. Hercules zniknął gdzieś w przestworzach. Huk silników zastąpiony został przez gwałtowny szum wiatru. Court jęczał i krzyczał, uporczywie trzymając szelki spadochronu. Nie odważył się sięgnąć po linkę otwierającą w obawie, że i tak jej nie znajdzie w ciemności. Miał niemal pewność,

że spadochron wyposażony był w system CYPRES i automatycznie otworzy się na wysokości dwustu dwudziestu pięciu metrów nad ziemią.

Gentry spadał w złowrogą ciemność wraz ze swoim niedoszłym zabójcą.

Kiedy Courtowi udało się jedną dłonią znaleźć większy zacisk na szelce, był w stanie puścić drugą, aby się lepiej chwycić. Gdy to zrobił, usłyszał krótki, pojedynczy pisk, po którym czasza spadochronu się otworzyła.

Trzymał się jedną ręką. Spadochron nie był przystosowany do transportu dwóch osób, zwłaszcza gdy ta druga kopała i gorączkowo próbowała się go uchwycić. Spadali więc zdecydowanie zbyt szybko, kręcąc się niczym jarmarczny wiatraczek.

Po kilku sekundach Gentry zwymiotował od zawrotów głowy. W momencie upadku jego żołądek był już pusty.

Uderzenie w ziemię zostało w dużej mierze złagodzone dzięki temu, że wylądował na Barnesie i spadochronie. Sprawdził stan agenta: spadł twarzą w ziemię z nim na plecach. Nie dało się wyczuć pulsu.

Gentry'emu udało się odzyskać panowanie nad żołądkiem. Chwycił się za udo i przez chwilę trząsał się z bólu. W końcu poczuł się na tyle dobrze, aby usiąść. Pierwsze przebłyski poranka wskazały mu wschód.

Odzyskał orientację w terenie i rozejrzał się dokoła. Leżał na dnie łagodnej doliny. Słyszał szum pobliskiego strumyka. Z oddali dobiegało beczenie kóz. Obok niego spoczywało zmasakrowane ciało martwego agenta, nieco dalej smętnie powiewał spadochron. Court przeszukał nieboszczyka i znalazł apteczkę przypiętą do biodra.

Usiadł na trawie i próbował opatrzyć ranę najlepiej, jak się da po ciemku. Założył, że czeka go długi marsz w stronę granicy, więc wołał przezornie zająć się uszkodzoną nogą. Rana była czysta, naczynia krwionośne nie ucierpiały. Nic, czym trzeba by się przejmować, o ile uda się to opatrzyć i wytrzymać kilka dni bądź tygodni pulsującego bólu. Gentry raz jeszcze zwymiotował żółcią. Jego ciało i umysł musiały wyrzucić z siebie chaos ostatnich pięciu minut.

Potem wstał i powoli ruszył na północ. Ku Turcji.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Fitzroy siedział na kanapie w swoim biurze naprzeciw Lloyda. Słuchał meldunku przez telefon satelitarny, nie spuszczać gniewnego wzroku z młodego prawnika.

– Rozumiem – powiedział do słuchawki. – Dziękuję. – Rozłączył się i ostrożnie odłożył telefon na stolik.

Lloyd rzucił mu wyczekujące, pełne nadziei spojrzenie. Fitzroy spuścił wzrok na dywan.

– Wygląda na to, że nikt nie przeżył.

– Kto nie przeżył? – zapytał Lloyd z wyraźną nutą optymizmu.

– Zginęli wszyscy poza załogą. Doniesiono mi, że w samolocie doszło do przepychanki. Courtland się stawiał, co było do przewidzenia. Pilot znalazł z tyłu dwa ciała moich ludzi, pozostała czwórka zniknęła bez śladu. Cały kadłub umazany krwią, do tego podziurawiony ponad pięćdziesięcioma kulami.

– Mój pracodawca, rzecz jasna, zrekompensuje szkody – rzucił Lloyd jak gdyby nigdy nic. Odchrząknął. – Ale ciała Gentry'ego nie znaleźli? Czy mógł przeżyć?

– Wygląda na to, że nie. Straciliśmy wiele sprzętu, samolot długo leciał z otwartą klapą. Co prawda, wśród brakujących przedmiotów jest spadochron, ale nie mamy podstaw przypuszczać...

Lloyd przerwał Anglikowi.

– Jeśli nasz cel wypadł z otwartego samolotu wraz ze spadochronem, to jak mam przekonać Nigeryjczyków, że już po sprawie?

– Przecież był sam, jeden na pięciu, i to moich najlepszych ludzi, wszyscy wcześniej pracowali w kanadyjskich służbach specjalnych. Nie ma wątpliwości, że wywiązałem się z umowy. Teraz uprzejmie proszę, aby pan wypełnił swoją część. Koniec z groźbami wobec mojej rodziny.

Lloyd lekceważąco machnął dłonią.



– Abubaker żąda dowodów. Chce głowy Gentry'ego.

– Cholera jasna! – zdenerwował się Fitzroy. – Zrobiłem to, co pan kazał! – Anglik był wściekły, ale nie lękał się już o życie rodziny. Tuż przed przyjazdem Lloyda sir Donald zadzwonił do syna i przykazał mu, żeby wziął żonę i córki i czym prędzej ruszył na stację St. Pancras, by zdążyć na drugi tego poranka Eurostar do Francji. W tej chwili powinni już wchodzić do rodzinnej willi w Normandii, na południe od plaży Omaha. Fitzroy był pewien, że tam ludzie Lloyda ich nie znajdą.

– Owszem, zrobił pan to, co kazałem. I nadal będzie pan postępował tak, jak mówię. W biurze czeka na mnie cichy, ale niebezpieczny Nigeryjczyk, któremu nie wystarczy moje słowo honoru. Musi pan uzgodnić z pilotami plan lotu, zebrać zespół na ziemi...

Telefon satelitarny wydał z siebie charakterystyczne, podwójne piknięcie. Sir Donald spojrział na aparat, a następnie zwrócił się do Lloyda.

– To on – zgadł Amerykanin, sądząc po niekłamanyim zdziwieniu Fitzroya.

– To jego sygnał.

– No to niech pan odbierze. I włączy na głośnomówiący.

Fitzroy podszedł do biurka i przycisnął przycisk na konsoli z głośnikiem.

– Cheltenham Security – powiedział.

Głos, który odezwał się po drugiej stronie, zdawał się bardzo odległy. Słowa cedzone były z wielkim wysiłkiem.

– To ma być akcja ratunkowa?

– Dobrze cię słyszeć. Co się stało?

Lloyd szybko wyciągnął z teczki notatnik.

– Właśnie miałem o to zapytać.

– Jesteś ranny?

– Będę żył. Ale bynajmniej nie dzięki tej ekipie, którą po mnie wysłałeś.

Fitzroy spojrział na Lloyda. Młody Amerykanin naskrobał coś w notesie, po czym podniósł go: „NIGERIA”.

– Słuchaj, synu. Pilot doniósł mi o szarpaninie. To nie byli ludzie, z którymi normalnie pracuję, tylko zespół najemników, z którym tylko raz wcześniej miałem do czynienia. Na gwałt szukałem nowej ekipy po tym, jak Polacy się wycofali.

– Przez to, co się stało w Iraku?

– Tak. Po twoim wczorajszym popisie cały sektor został praktycznie odcięty. Polacy nie chcieli znów się tam pchać. Tamci natomiast dali do zrozumienia, że dla forsy zrobią wszystko bez względu na ryzyko. Widać ktoś zdążył im posmarować.

– Ale kto?

– Źródła donoszą, że Julius Abubaker, prezydent Nigerii, wyznaczył cenę za twoją głowę.

– A skąd on wie, że to ja zaciukałem mu braciszka?

– Cóż, masz już dobre notowania. Osiągnąłeś taki poziom, że w przypadku trudnych czy szczególnie ważnych misji wiadomo, że to musiałeś być ty.

– O, kurwa – świsnęło na linii.

– Gdzie jesteś? Wyślę po ciebie nową ekipę – zaproponował Fitzroy.

– Nie ma, kurwa, mowy.

– Słuchaj, Court, mogę ci pomóc. Za kilka dni Abubakerowi kończy się kadencja. Nadal będzie nieprzyzwoicie bogaty, ale jak tylko przestanie być prezydentem, to siła i zasięg znacząco mu się skurczą. Niebezpieczeństwo wkrótce minie. Możemy to razem przeczekać, wyślę ci ochronę.

– Sam to przeczekam. Daj znać, jak dowiesz się czegoś więcej o tych, co mnie ścigają. Nie próbuj mnie znaleźć, bo i tak ci się nie uda.

Połączenie zostało przerwane. Lloyd zaczął klaskać.

– Brawo, utalentowany sir Donaldzie! Cóż za kunszt aktorski! Twój człowiek w ogóle nie ma podejrzeń.

– Bo mi ufa – odparł wściekle Fitzroy. – Przez cztery lata nie miał prawa wątpić, że jestem jego przyjacielem.

Prawnik, nie zważając na gniew sir Donalda, spytał:

– Gdzie się teraz uda?

Fitzroy rozparł się na kanapie i nerwowo gładził łysinę. Nagle podniósł głowę.

– Dubler! Potrzebuje pan głowy na lodzie? No to damy mu jakąś głowę na lodzie! No bo jak, do diabła, Abubaker pozna, że to inny łeb?

Lloyd pokręcił głową.

– Kilka tygodni temu, zanim prezydent kazał nam go zgładzić, poprosił o wszystkie informacje, jakie mieliśmy na temat Gray Mana. Tak się składa, że

byłem w posiadaniu zdjęć, danych dentystycznych, pełnej historii, słowem: wszystkiego. Wysłałem mu to. Myślałem, że skurwiel zgładzi go na własną rękę, jeszcze zanim Gentry zdąży rąbnąć mu brata. Abubaker wie, jak twój człowiek wygląda. Nie jesteśmy w stanie użyć innego ciała ani też, jak pan proponuje, innej głowy.

Fitzroy powoli przechylił głowę.

– A pan skąd, do cholery, miał te dane?

Lloyd przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy odpowiedzieć na to pytanie. Podniósł kłaczek, który przyczepił mu się do kolana. W końcu odparł:

– Zanim przeprowadziłem się do Paryża, żeby pracować dla Laurenta, pracowałem z Gray Manem.

– Jesteś z CIA?

– Byłem. I już nie wrócę. Obawiam się, że na patriotyzmie nie da się zarobić.

– Natomiast da się, polując na patriotów? I grożąc dzieciom?

– Tak się składa, że owszem, i to całkiem przyzwoicie. Cóż, dziwnie ten świat jest urządony. Kiedy pracowałem dla agencji, skopiowałem dane personalne. To miało być kartą przetargową na wypadek, gdyby chcieli mi coś zrobić. To, że na obecnym stanowisku okazały się przydatne, to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Lloyd wstał i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie Fitzroya. – Muszę się dowiedzieć, gdzie jest teraz Gentry. Dokąd się wybiera. Co zazwyczaj robi, kiedy się ukrywa...

– Kiedy się ukrywa, to po prostu znika. Możecie się pożegnać z tym waszym gazem. Minie ładnych parę miesięcy, zanim ktokolwiek usłyszy o Gray Manie.

– To nie do przyjęcia. Musi mi pan coś dać. Coś na Gentry'ego, czego jeszcze nie mam. Kiedy pracował dla nas, był jak maszyna. Żadnych przyjaciół, rodziny, na której by mu zależało. Ani kochanki, ani kochanka w ciągu tych długich nocy po robocie. Jego teczka to prawdziwy lek na bezsenność. Zero nałogów i słabości. Ale teraz jest starszy. Musiał nawiązać jakieś relacje, nabyć skłonności, które wskażą, co robić dalej. Pan musi coś wiedzieć, mieć coś na niego. Cokolwiek, nawet błahostkę... Wszystko da się wykorzystać.

Fitzroy uśmiechnął się pod nosem. Wyczuł, że młodzieniec jest zdesperowany.

– Nic nie mam. Nic a nic. Komunikujemy się wyłącznie niewykrywalnym łączem satelitarnym i mailem. Nawet jeśli ma gdzieś ukryty dom, dziewczynę czy rodzinę,

to ja nic o tym nie wiem. Nawet nie jestem w stanie powiedzieć, gdzie można by ich szukać – odparł.

Prawnik podszedł do okna za biurkiem Fitzroya. Anglik wciąż siedział na sofie i przyglądał się, jak nieproszony gość panoszy się po jego gabinecie, jakby to sir Donald przyszedł z wizytą, a Lloyd był właścicielem Cheltenham Services.

Nagle Amerykanin odwrócił się na pięcie.

– Można mu przecież zlecić robotę! Coś łatwego za wielkie pieniądze. Na pewno nie odmówi szybkiego hajsu. Wyśle go pan na misję, a ja przygotuję zasadzkę.

– Do diaska, czy pan naprawdę myśli, że tak długo wytrzymałby w tym fachu, będąc głupcem? W tej chwili nie obchodzi go mamona. Skupia się na wtopieniu się w otoczenie. Miał pan okazję, żeby się go pozbyć. Wyszło, jak wyszło. Teraz niech pan wraca do biura lizać rany i zostawi mnie i moją rodzinę w spokoju!

Fitzroy dostrzegł nerwowy grymas na twarzy Lloyda. Powoli jednak zastąpił go uśmiech.

– Cóż, skoro pan nie jest mi w stanie pomóc wykorzystać słabości Gentry'ego przeciwko niemu, to będę zmuszony wykorzystać pańską słabość przeciwko panu.

– Wyjął z kieszeni komórkę, po czym z uśmiechem powiedział do słuchawki: – Pojedźcie po Phillipa Fitzroya i jego rodzinę. Są w domku letnim w Normandii. Odstawcie ich do Château Laurent.

Fitzroy skoczył na równe nogi.

– Ty przeklęty onanisto!

– Cóż, nie zaprzeczę... – zakpił Lloyd. – Moi ludzie zawiozą pana syna i jego rodzinę do pewnej posiadłości na normandzkim odludziu, która należy do LaurentGroup. Będą się nimi doskonale zajmować do czasu, kiedy rozwiążemy tę kwestię. Skontaktuje się pan z Gray Manem, poda adres i powie, że Nigeryjczycy uwięzili panu jedyne go potomka, jego oddaną małżonkę, jak również słodziutkie dzieciaczki. Proszę mu powiedzieć, że te dzikusy odgrają się, że jeśli nie wyjawia pan jego położenia, to za trzy dni zgwałcą mamusię i wymordują resztę rodu.

– I co tym niby osiągniemy?

– Znam Gentry'ego. Jest lojalny niczym pieprzony szczeniaczek. Co z tego, że został kilka razy skopany, i tak będzie bronić swego pana do ostatniej kropli krwi.

– Wcale nie.

– A i owszem. Weźmie to na siebie i postanowi zostać bohaterem. Wie, że w takich sprawach policja jest do niczego, więc zrobi wszystko, aby się przedostać do Francji. No bo widzi pan, sir Donusiu, to nieważne, że Court Gentry nie zawsze postępował zupełnie szlachetnie. Umówmy się, jest w końcu płatnym zabójcą. Ale w jego działaniach da się dostrzec pewną prawidłowość. Wszystkie jego misje, zarówno te dla CIA, jak i zlecenia prywatne, dotyczyły jednostek, które jego zdaniem zasłużyły na karę śmierci, nawet wykonaną poza wymiarem sprawiedliwości. Terrorysty, mafijne szczy, dilerzy, wszelkiego rodzaju kanalie. To prawda, Court to zabójca, ale uważa siebie za karzącą rękę sprawiedliwości, wyrównuje rachunki. I to jest jego słabość. I to ona będzie przyczyną jego upadku.

Fitzroy też znał tę stronę Courta Gentry'ego. To, co mówił Lloyd, było logiczne. Mimo to próbował odwieść młodego prawnika od jego planu.

– Proszę nie mieszać w to mojej rodziny. Zrobię wszystko, co pan każe. Już to udowodniłem. Nie musicie brać mojej rodziny na zakładników, żebym powiedział Gentry'emu, że są więzieni.

Lloyd machnął lekceważąco dłonią, odrzucając prośbę sir Donalda.

– Dobrze się nimi zajmiemy. A ja potrzebuję karty przetargowej na wypadek, gdyby pan chciał mi wywinąć numer, chyba się pan ze mną zgodzi?

Fitzroy wstał i powoli, złowieszczo podszedł do Lloyda. Choć był co najmniej trzydzieści lat starszy od Amerykanina, miał bardziej imponującą budowę.

Lloyd zrobił krok do tyłu i zawołał:

– Panie Leary, panie O'Neil! Proszę na moment!

Fitzroy dał tego dnia wolne sekretarce, był w biurze sam. Lloyd natomiast przyszedł z pomagierami. Do gabinetu wkroczyło dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn. Stanęli przy drzwiach. Jeden, nieco przed czterdziestką, był rudy i miał jasną cerę. Jego prosty garnitur wybrzuszał się na poziomie biodra, uwidaczniając zarys kolby pistoletu. Drugi był starszy, bliżej pięćdziesiątki. Szpakowate włosy miał podgolone po wojskowemu, a jego marynarka była na tyle szeroka, że zapewne kryła cały arsenał.

Fitzroy wiedział, że tak właśnie wyglądają zbiry.

Lloyd wyjaśnił:

– Chłopcy z IRA. Pańscy dawni wrogowie. Ale wątpię, żebyśmy im dali wiele do roboty, prawda? W najbliższych dniach spędzimy dużo czasu w swoim

towarzystwie. Nie ma powodu, abyśmy nie mieli być wobec siebie serdeczni.

\* \* \*

Claire Fitzroy latem skończyła osiem lat. Teraz był koniec listopada i wraz z Kate, siostrą bliźniaczką, spodziewały się, że całą mokrą, szarą i chłodną jesień spędzą jak zwykle w Londynie. Że każdego ranka będą musiały wstać wcześnie rano i iść do szkoły przy North Audrey Street. Że trzy razy w tygodniu Claire będzie miała lekcje pianina, a Kate – śpiewu. Że w weekendy będą chodzić z mamusią na zakupy albo bawić się z tatą w domu lub na boisku. Co dwa tygodnie jedna z bliźniaczek mogła zaprosić koleżankę na nocowanie. W końcu jak co roku mroczne londyńskie jesienne niebo zamieni się w jeszcze mroczniejsze, choć suchsze, zimowe, i Claire zacznie z utęsknieniem wyczekiwać świąt Bożego Narodzenia.

Bliźniaczki zawsze spędzały Gwiazdkę w wakacyjnym domu ojca w Bayeux w Normandii, tuż po drugiej stronie kanału. Claire wołała Normandię od Londynu. Chciała, kiedy dorośnie, zamieszkać na francuskiej farmie. Kiedy zatem w czwartek rano pan dyrektor wszedł do sali podczas lekcji tuż po sprawdzeniu obecności i poprosił siostry do swojego gabinetu, były zaskoczone, ale i podekscytowane. Wyczuły, że czeka je przygoda.

– I weźcie, młode damy, swoje książki. Cudownie. Przepraszam za zamieszanie, pani Wheeling, proszę sobie nie przeszkadzać.

W gabinecie dyrektora czekał tatuś. Chwycił każdą z nich za rękę i poszedł z nimi do taksówki. Zwykle tata jeździł jaguarem, a mamusia saabem, więc dziewczynki nie wiedziały, dokąd właściwie miałyby jechać taksówką. Wewnątrz czekała na nie mama. Ona też, zupełnie jak tata, była bardzo poważna i wydawała się wycofana.

– Wyobraźcie sobie, dziewczynki, że jedziemy na małe ferie. Do Normandii Eurostarem. Ależ oczywiście, że wszystko w porządku, nie bądźcie głupiutkie.

W pociągu bliźniaczki ledwo były w stanie usiedzieć na miejscach. Mamusia i tatuś cały czas coś między sobą szeptali, więc Claire i Kate mogły skakać po całym wagonie. Claire usłyszała, że tatuś dzwonił do dziadzia Dona. Mówił cichym, ale rozgniewanym głosem. Dotychczas nigdy nie słyszała, żeby używał takiego tonu w rozmowie z dziadziusem. Nie dołączyła do siostry, która postanowiła

spróbować doskakać do końca wagonu na jednej nodze. Przyglądała się tacie, jego zatroskanej twarzy, jak gniewnie cedzi do komórki słowa, których nie była w stanie dosłyszeć. Wiedziała jednak, że wyrażały gniew. Z trzaskiem zamknął komórkę i powiedział coś mamusi.

Claire tylko raz wcześniej widziała, żeby tata był tak rozwścieczony. To było wtedy, kiedy nakrzyczał na hydraulika, który naprawiał zlew i powiedział coś do mamusi, co sprawiło, że jej twarz stała się czerwona jak truskawka.

Dziewczynce chciało się płakać, ale nie dała tego po sobie poznać.

Cała rodzina wyszła z pociągu w Lille, po czym innym pojechała na zachód do Normandii. Już w południe byli w domku. Kate pomagała mamie w kuchni, myjąc kukurydzą na obiad. Claire natomiast siedziała na łóżku na górze, wyglądając przez okno na dół, na podjazd, na tatę. Chodził tam i z powrotem po żwirze, rozmawiając przez komórkę. Raz na jakiś czas opierał się o płot.

Wściekłość i zakłopotanie tatusia sprawiły, że i Claire miała nogi jak z waty.

Jej siostra była na dole, nieświadoma i beztroska. No cóż, Claire zawsze uważała, że to ona jest dojrzałszą z bliźniaczek.

W końcu tatuś wsunął telefon do kieszeni, zadrżał na chłodnym listopadowym powietrzu, po czym odwrócił się i ruszył w stronę domu. Ledwo przeszedł kilka kroków, kiedy podjechały dwa brązowe samochody. Tata odwrócił się, a z aut zaczęli wylewać się ludzie. Claire naliczyła sześciu rośliwych mężczyzn, wszyscy w skórzanych kurtkach różnego koloru i kroju. Ten stojący najbliżej tatusia uśmiechnął się i wyciągnął ku niemu dłoń. Tata ją uścisnął. Pozostali obeszlili jej ojca, przeszli przez podjazd i ruszyli w stronę domu. Tata spojrzał na nich. Claire zobaczyła jego twarz. Z początku malowało się na niej zdezorientowanie, zastąpione stopniowo przez przerażenie. Mała Claire zerwała się na równe nogi.

Kiedy cała szóstka sięgnęła za pazuchy i wyciągnęła wielkie czarne i srebrne pistolety, z ust ośmioletniej Claire Fitzroy wydobył się krzyk.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kurt Riegel miał pięćdziesiąt dwa lata. Jak sugerowało jego germańskie nazwisko, był wysokim i roslym blondynem. W LaurentGroup pracował już siedemnaście lat, zatrudniono go tuż po zakończeniu przygody z Bundeswehrą. Zaczynał jako zastępca dyrektora do spraw bezpieczeństwa w placówce w Hamburgu, potem pracował w sześciu oddziałach w krajach rozwijających się, z których każdy był bardziej paskudny i niebezpieczny niż poprzedni. Teraz miał ciepłą posadę w siedzibie głównej w Paryżu, jako wiceprezes do spraw zarządzania ryzykiem i bezpieczeństwem. Tytuł był długi i złudnie zawily, zwłaszcza że opis jego obowiązków nie był skomplikowany.

Do Riegla zwracano się, gdy trzeba było wykonać mokrą robotę. Nieoficjalne zlecenia, ciemne sprawki, problemy kadrowe wymagające użycia ciężkiej ręki, gdy trzeba było kogoś podsłuchać, gdzie się wędrczyć, coś wykraść, załatwić ekipę szpiegów przemysłowych czy zaangażować ekspertów do rozprowadzania fałszywych informacji w mediach. Albo zabójców. Pojawienie się ludzi Riegla w biurze oznaczało, że albo pomogą w trudnej dla ciebie sytuacji, albo że sam zostaniesz sprzątnięty.

Stanowisko dowódcy „Departamentu Nieprzyjaznych Środków” oznaczało de facto, że Riegel nie był już w stanie wspiąć się wyżej po korporacyjnej drabinie. W końcu nikt nie chciał, żeby główny załatwiacz brudnych spraw ujawnił się i wziął sprawy w swoje ręce. Rieglowi jednak wcale ten szklany sufit nie przeszkadzał. Wręcz przeciwnie, budując wokół siebie swoistą dynastię do spraw bezpieczeństwa, nie obawiał się o stabilność swojej posady. W ciągu czterech lat dowodzenia zespołem do zadań specjalnych jego ludzie wyeliminowali trzech kandydatów na prezydenta w Afryce, trzech działaczy na rzecz praw człowieka w Azji, jednego kolumbijskiego generała, dwóch dziennikarzy śledczych oraz prawie dwudziestu pracowników LaurentGroup, którzy z jakiegoś powodu nie byli w stanie podporządkować się ideologii firmy. Tylko jeden człowiek w całym



LaurentGroup wiedział o wszystkich przeprowadzanych operacjach. Riegel potrafił zarządzać ludźmi i informacjami, a przełożeni wystarczająco dobrze znali jego strategię, żeby zdawać sobie sprawę z tego, czego nie chcieli wiedzieć.

Kiedy się pojawiały problemy, dzwoniło do Riegla. Problemy zniknęły i Rieglowi po cichu wyrażano wdzięczność.

Dlatego też Kurt Riegel był doprawdy potężnym człowiekiem.

Pokryty tekową boazerią paryski gabinet bardzo mu odpowiadał. Pokój był dokładnie taki, jak sam Riegel: duży, jasny i mocno zbudowany, a równocześnie cichy i dyskretnie wsunięty pomiędzy działy wywiadu konkurencyjnego i informatyczny, w południowym skrzydle siedziby LaurentGroup. Ściany obwieszane były kilkunastoma trofeami myśliwskimi. Na Montmartrze doskonale prosperował pewien zakład wypychający zwierzęta, którego głównym źródłem dochodu były wypady Kurta na afrykańskie safari czy polowania w Kanadzie. Ze ścian spoglądały pustym wzrokiem nosorożce, lwy i łosie.

W gabinecie Riegel uprawiał także gimnastykę, codziennie o piątej po południu. Akurat gdy miał po raz setny zgiąć kolano, zadzwonił telefon (zewnątrzna linia). Wiele rozmów musiałoby poczekać, aż skończy ćwiczyć, teraz jednak dzwoniło na zaszyfrowany numer, gorącą linię – był to telefon, którego oczekiwał cały dzień. Chwycił ręcznik, podszedł do biurka i włączył tryb głośnomówiący.

– Słucham, tu Riegel.

– Dzień dobry, tu Lloyd z prawnego.

Riegel napił się witaminizowanej wody i usiadł na krawędzi biurka.

– W czym mogę pomóc, Lloydzie z prawnego? – Riegel miał potężny głos. Brzmiał jak oficer artylerii, którym niegdyś był.

– Podobno uprzedzono pana, że będę dzwonił.

– Owszem. Uprzedził mnie dyrektor generalny we własnej osobie. Marc Laurent przykazał mi rzucić wszystko i skupić się na pańskim projekcie. Miałem też panu zapewnić kilku osiłków i specjalistę od komunikacji. Mam nadzieję, że mój technik i paramilitarny oddział Białorusinów okazali się pomocni.

– Ach tak, bardzo dziękuję. Technika mam przy sobie. Osilki w tej chwili są we Francji i robią, co do nich należy – odparł Lloyd.

– Cieszy mnie to. Pierwszy raz się zdarzyło, żeby dzwonił do mnie Marc Laurent. Poprosił, żebym się do tej sprawy wyjątkowo przyłożył. Muszę przyznać,

że zaintrygowało mnie to. W jakież tarapaty musieli się chłopcy z prawnego wplątać, żeby do tego doszło?

– Tak, no cóż... Dla dobra firmy sprawę trzeba wyjaśnić jak najszybciej.

– A więc nie traćmy czasu. Cóż jeszcze mogę zapewnić poza tamtym zespołem?

Lloyd zamilkł na chwilę, po czym rzekł:

– Nie chcę pana przerazić, ale bardzo mi zależy na wyeliminowaniu pewnej osoby.

Riegel milczał.

– Słyszysz mnie pan?

– Czekam, aż powie pan coś, co może mnie przerazić.

– A więc miał pan już z czymś takim do czynienia?

– Panie Lloyd, u nas, w departamencie zarządzania ryzykiem, mamy takie powiedzenie: „Każdy problem można załatwić na jeden z dwóch sposobów. Albo można go zignorować, albo zlikwidować”. Nikt do mnie nie dzwoni, jeśli problem da się zignorować.

– Czy słyszał pan o kontrakcie gazowym z Lagos? – zapytał Lloyd.

– Podejrzywałem, że będzie to miało coś wspólnego z nigeryjskim fiaskiem. Chodzą plotki, że jakiś kauzyperda z prawnego zapomniał przeczytać kontrakt i teraz Nigeryjczycy wycofują się z dziesięciomiliardowego zlecenia, w które my już wpakowaliśmy dwadzieścia milionów. Przeczuwałem, że skontaktujecie się ze mną w tej sprawie – odparł Riegel.

– No, cóż... Sprawa jest troszkę bardziej skomplikowana.

– Brzmi prosto. Wystarczy mi adres tego durnego prawnika. Będzie wyglądało jak samobójstwo. Ten zasraniec powinien mieć tyle szacunku do firmy, żeby załatwić sprawę samemu i na zawsze zejść z tego świata, no ale któż by się spodziewał lojalności po prawniku? Bez urazy, Lloydzie z prawnego.

– Nie! Nie! Nie, Riegel. To nie tak. Trzeba usunąć kogoś innego.

Riegel odchrząknął.

– No to słucham.

Lloyd opowiedział wiceprezesowi do spraw zarządzania ryzykiem i bezpieczeństwem o zamachu na Isaaca Abubakera, o tym, że prezydent odmawia podpisania poprawionej umowy, dopóki nie zginie zabójca jego brata.

Kurt parsknął.

– Łazimy do łóżka z dyktatorami, a potem robimy wielkie oczy, kiedy chwytają nas za jaja. – Po angielsku Riegel mówił płynną potoczną amerykańszczyzną. Usiadł za biurkiem, chwycił pióro, wziął notes i położył go na skórzanej podkładce.

– Czyli że trzeba zidentyfikować zamachowca i go zlikwidować? – spytał.

– Już został zidentyfikowany.

– Zostało tylko sprzątnięcie? Po telefonie pana Laurenta spodziewałem się czegoś bardziej skomplikowanego.

– No cóż, ten zabójca bynajmniej nie jest oferumą.

– Największy problem z płatnymi zabójcami to identyfikacja. Jeśli wiem, kto jest kim, to jestem w stanie go znaleźć i zaciukać w ciągu doby.

– To brzmi świetnie.

– No chyba, że mówimy o Gray Manie. On jest deczko trudniejszy.

Lloyd milczał. Długie wahanie Amerykanina sprawiło, że Riegel krzyknął:

– A więc mówimy o Gray Manie, prawda?!

– Czy to problem?

Teraz to Riegel musiał się zastanowić. W końcu powiedział:

– To pewna komplikacja... Ale żaden problem. Owszem, gość ma talent do nierzucania się w oczy, stąd ksywa. Znaleźć go nie będzie łatwo, ale przynajmniej mamy tę przewagę, że nie spodziewa się, że na niego czyhamy.

Lloyd znowu milczał.

– Czyli że się spodziewa?

– Zeszłej nocy zaaranżowałem zamach na jego życie. Nie powiódł się. Przeżył.

– Ilu przy tym zabił?

– Pięciu.

– Idiota.

– Drogi panie, Gray Man to bynajmniej nie idiota, z doświadczenia wiemy...

– To nie on jest idiotą! Pan jest idiotą! Jakiś durny prawnik porywa się na najlepszego zamachowca na tej ziemi! Ta fuszerka musiała zakończyć się porażką! Trzeba było od razu do mnie dzwonić. Teraz będzie się miał na baczności, spodziewając się, że ktokolwiek próbował go zabić wczoraj, na tym nie przestanie.

– Bynajmniej nie jestem idiotą, Riegel! Mam w swoich rękach jego prowadzącego. Udało mi się go przekonać, żeby nam pomógł namierzyć Gentry'ego.

– Jakiego Gentry'ego?

– Courtland Gentry. Tak się nazywa Gray Man.

Riegel wyprostował się za biurkiem. Był tak samo kanciasty i szeroki jak ten mebel.

– A skąd pan zna jego tożsamość?

– Nie mogę powiedzieć.

– Kto jest tym prowadzącym? – Riegelowi nie podobało się, że w ten sposób uzyskiwał bardzo istotne informacje. Od takich spraw miał własną siatkę szpiegów. A teraz jakiś pieprzony amerykański prawnik rzuca nazwiskiem najbardziej poszukiwanego człowieka, jakby to była oczywistość. Niemiec zacisnął pięści ze złości.

– Prowadzący to Don Fitzroy. Brytol, ma biznes tu w Londynie, czasem nawet pracujemy z jego firmą...

Riegel jeszcze mocniej zacisnął pięści.

– Błagam, Lloydzie z prawnego, powiedz, że nie porwałeś sir Donalda Fitzroya!

– A i owszem, porwałem. Trzymam też jego syna, synową i wnuczki w posiadłości LaurentGroup w Normandii.

Riegel westchnął głęboko, po czym schował głowę w dłonie. Po kilku sekundach spojrzął na aparat głośnomówiący.

– Dano mi jasno do zrozumienia, że to pan kieruje tą operacją. Moim zadaniem jest zapewnienie ludzi, ekwipunku, informacji oraz służenie radą.

– Tak jest.

– To może zacznę od służenia radą?

– Doskonale.

– Radzę panu, Lloydzie z prawnego, abyś niezwłocznie przeprosił sir Donalda za ogromne nieporozumienie, wypuścił jego i jego rodzinę, wrócił do domu, wsadził sobie spluwę do ust i pociągnął za spust! Narażenie się Fitzroyowi to niewybaczalny błąd!

– Może pan sobie darować te rady i pozostać przy dostarczaniu mi ludzi. Choć nie wiem, gdzie teraz znajduje się Gray Man, to wiem, dokąd się uda. Fitzroy wyśle go do Normandii. Będzie podróżował łądem ze wschodu na zachód. Nie znam jeszcze, skąd wyruszy, ale z odpowiednim wsparciem będę w stanie wysłać ekipę w dowolne miejsce Europy, żeby upolować go, kiedy zbliży się do celu.

– Dlaczego będzie podróżował do Normandii? Uratować rodzinę Fitzroya?

– Dokładnie tak. Dostanie informację, że zostali porwani przez Nigeryjczyków, którzy nie wypuszczą ich, dopóki Fitzroy nie wyda im jego położenia. Na pewno sam podejmie się rozwiązania problemu.

Riegel zaczął stukać palcami o biurko.

– Zgadza się z pańskim osądem sytuacji. Rzeczywiście jego reputacja jest isticie, jak by to powiedzieć... rycerska. A nie jest na tyle naiwny, żeby ufać umiejętnościom francuskiej policji.

– No właśnie. Dlatego będę od pana potrzebował ekipy do inwigilacji i speców od mokrej roboty. Na razie chłopcy z Mińska pilnują Fitzroyów we Francji, ale zależy mi, aby Gentry został wyeliminowany, jeszcze zanim dotrze do Normandii. Czas gra tu kluczową rolę.

– Mówimy o Gray Manie. To nie wystarczy.

– Co pan zatem proponuje? Poza tym, bym ze sobą skończył.

Riegel spojrział na ścianę gabinetu, na której wisiała olbrzymia głowa dzika. Popatrzył w jego szklane oczy, po czym pokiwał głową – już miał plan.

– Aby to załatwić w tak krótkim czasie, trzeba będzie zaangażować stu obserwatorów.

– Jest pan w stanie załatwić mi stu specjalistów od inwigilacji?

– Nazywamy ich artystami chodnikowymi.

– Jak zwał, tak zwał. Czyli da się?

– Oczywiście. Do tego ze dwanaście ekip myśliwych: zabójców, czujnych i porozstawianych wzdłuż każdej potencjalnej trasy, skoordynowanych z centralą. No i każdy musi mieć dobry powód, żeby to jego zespół znalazł i zlikwidował cel.

Po głosie Lloyda można było poznać, że skala proponowanego przez Riegla rozwiązania zaskoczyła go.

– Aż dwanaście ekip?

– Oczywiście nie mogą to być nasi pracownicy. Zbyt duże ryzyko reperkusji. Ani też nikt lokalny, bo miejscowi chłopcy są zwykle dobrze znani policji i tym samym stanowią zbyt duże ryzyko. Oj, nie. Do tego potrzebujemy zagranicznych agentów z, jak to wy, Amerykanie, lubicie mówić, nieznanymi częściami świata. To muszą być twardzi ludzie. Rozumiesz, co mam na myśli, Lloydzie z prawnego? Twardzi ludzie od trudnej roboty, których wzywa się, gdy nie ma innego wyjścia.

– Ma pan na myśli najemników?

– Absolutnie nie! Gray Man wielokrotnie wymykał się każdej wysłanej za nim ekipie najemników albo ją likwidował. Oj, nie, będą potrzebne profesjonalne jednostki. Państwowi zabójcy.

– Nie rozumiem. Jak to państwowi? Z jakich państw?

– Nasza firma ma oddziały w osiemdziesięciu krajach. Pozostaję w serdecznych stosunkach z szefami agencji bezpieczeństwa narodowego kilkudziesięciu rozwijających się państw. Mają na podorędziu stajnie pełne agentów, którzy pilnują i wrogów, i obywateli swoich państw.

Riegel przerwał na chwilę, aby się namyślić.

– Tak, odezwę się do moich kolegów po fachu w ministerstwach Trzeciego Świata. To tam najlepiej znaleźć twardych ludzi bez skrupułów. Skontaktuję się i za dwanaście godzin ruszą samoloty pełne osiłków z najbardziej parszywych państw. Każdy będzie wypełniony najgorszymi typami z największymi spluwami, każdemu będzie przyświecać ta sama misja: prześcignąć pozostałych w zabiciu Gray Mana.

– Rywalizacja?

– Dokładnie.

– Niesamowite.

– To nie pierwszy raz... To znaczy pierwszy raz na aż tak wielką skalę, ale mieliśmy już okazję wprowadzić do akcji kilka zespołów ścigających się do celu.

– Ale jednego nie rozumiem. Dlaczego rządy tych krajów chciałyby nam pomóc?

– Nie tyle rządy, ile ich agencje wywiadowcze. Wyobraź pan sobie, jakim łupem może być dwadzieścia milionów dolarów dla tajnej policji krajów, takich jak, powiedzmy, Albania. To zapewni bezpieczeństwo i stabilność państwa. Albo dla armii Ugandy? Dla indonezyjskiej służby wywiadu wewnętrznego? Te organizacje operują czasem niezależnie od szefów rządów, zwłaszcza wtedy, kiedy jest to na

rękę samej agencji czy jej przywódcom. Doskonale wiem, które agencje bezpieczeństwa wewnętrznego pozwolą swoim ludziom zabijać dla pieniędzy.

Lloyd dopiero po chwili odpowiedział:

– Ach tak, teraz rozumiem. Bo tym razem nie będą się bały odwetu Amerykanów. Wiedzą, że CIA nie będzie szukała zabójców Gray Mana.

– Lloydzie z prawnego, założę się, że zwycięska drużyna sama zgłosi się do CIA z wyciągniętą łapą. Wszyscy wiedzą, że agencja od lat próbuje dorwać Gray Mana, który ma na sumieniu czwórkę ich ludzi.

– To wiem. Podoba mi się ten plan, Riegel. Ale czy jesteśmy w stanie zachować dyskrecję? Nie generować negatywnych skutków dla firmy?

– Właśnie w tym celu mój dział zajmuje się prowadzeniem kilku spółek fasadowych. Samoloty z obsługą pokładową LaurentGroup przewożące ekipy i broń będą latały pod egidą tych spółek. To będzie nieprzyzwoicie drogie, oczywiście, ale Marc Laurent przekazał mi, że w tym projekcie koszty nie grają roli.

Nie dało się zaprzeczyć, że Riegel był w doskonałej komitywie z zarządem firmy, ale instynkt polityczny Lloyda podpowiedział mu, żeby przypomnieć Niemcowi, kto tu rządzi.

– Nie zapominajmy, że to ja odpowiadam za przebieg tej akcji. Zajmę się koordynacją ekip inwigilacyjnych i strzelców. Pan mi tylko zapewnia ludzi.

– Zgoda. Urządzę nasze zawody, przydzielę wszystkich do odpowiednich miejsc, ale to do was należy kierowanie zespołami. Proszę mnie informować o rozwoju sytuacji, w razie potrzeby zawsze służę radą. Wiedz, Lloyd, że jestem myśliwym. Polowanie na Gray Mana na ulicach Europy to będą najpiękniejsze łowy w mojej karierze. – Urwał, po czym dodał: – Szkoda tylko, cholera, że zadarł pan z Fitzroyem.

– Zostaw go pan mnie.

– Och, taki mam zamiar. Sir Donald i jego rodzina to pański problem.

– To żaden problem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gentry pozwolił sobie na stwierdzenie, że być może los jednak zaczyna mu sprzyjać. Po niecałej godzinie mozolnej wędrówki na północ w stronę granicy z Turcją natrafił na patrol kurdyjskiej policji. Kurdowie w północnym Iraku uwielbiają Amerykanów, a zwłaszcza amerykańskich żołnierzy. Widząc podarty mundur i rany Courta, wzięli go za agenta amerykańskich służb specjalnych. Gentry nie wyprowadzał ich z błędu. Zawieźli go do Mosulu, umyli i zmienili bandażę w klinice wybudowanej za amerykańskie pieniądze. I oto siedem godzin po skoku z samolotu praktycznie bez spadochronu amerykański zabójca znalazł się w wyprasowanych spodniach i lnianej koszuli na pokładzie samolotu linii komercyjnych do Tbilisi.

Faktem jest, że poprawa jego położenia wynikała nie tylko z kilku szczęśliwych zbiegów okoliczności. Jeden z planów awaryjnych Courta zakładał, że będzie musiał wydostać się na własną rękę z Iraku. Na tę okoliczność wszył w nogawki spodni sfalszowany paszport z wizami do Gruzji i Turcji, trochę gotówki i kilka innych niezbędnych dokumentów.

Mimo iż Gentry korzystał raz na jakiś czas z uśmiechów losu, nie uzależnił się od nich. Był zawsze doskonale przygotowany na każdą okoliczność.

Przez gruzińską kontrolę celną przeszedł z kanadyjskim paszportem jako Martin Baldwin, dziennikarz freelancer. Następnie kupił bilet do Pragi. Samolot, w którym spędził pięciogodzinną podróż do Czech, był prawie pusty. Tuż po dwudziestej drugiej czasu lokalnego Court już był na lotnisku Praga-Ruzyně.

Pragę znał jak własną kieszeń. Był tu kiedyś na dłuższym zleceniu, a poza tym często używał jej peryferii jako kryjówki.

Po przejeździe taksówką, a potem metrem szedł już po kocich łbach Starego Miasta, po czym zameldował się w malutkim hoteliku nieopodal Wełtawy. Kiedy po długim, dokładnym prysznicu usiadł, aby zmienić opatrunek na udzie, z jego nowiutkiego plecaka zaczęło dochodzić pikanie telefonu satelitarnego. Sprawdził,



kto dzwoni – to Fitzroy. Wrócił do opatrywania rany postrzałowej. Don może poczekać do rana.

Oczywiście, że Gentry był wściekły, iż ekipa, która miała go wydostać z tarapatów, zwróciła się przeciwko niemu. Jednak nawet przez chwilę nie przyszło mu na myśl, że to sir Donald mógł nasłać na niego swoich ludzi. Złościł się, winił Fitzroya za niedopatrzenie. Nie dopilnował sprawy i Nigeryjczycy zdołali zinfiltrować misję. Prawie im się udało zamienić jego wybawców w oprawców. A że Fitzroy był przeciwny temu, by Court wykonał zlecenie na Abubakera po śmierci zleciodawcy, Gentry podejrzewał, że mógł niechlujnie przygotować akcję ratunkową jako wyraz dezaprobaty.

Fitzroy posiadał zorganizowane struktury pomocy agentom, tak zwaną siatkę, która była w terenie jedynym kołem ratunkowym Gentry'ego. W jej skład wchodził lekarze, którzy opatrywali rany bez zadawania pytań, piloci legalnych samolotów transportowych gotowi przyjąć dodatkowego człowieka na pokład, nie przyglądając się jego bagażowi, oraz drukarze poprawiający na zawołanie chochliki w dokumentach. Lista dostępnych usług była długa i wciąż się poszerzała. Gentry jednak starał się korzystać z siatki najrzadziej, jak to możliwe, znacznie mniej niż pozostali ludzie Fitzroya. Gray Man był, bądź co bądź, agentem szybkim i wydajnym. Ale od czasu do czasu każdy w tym niełatwym fachu musi skorzystać z pomocy, a Court nie był wyjątkiem.

Gentry pracował dla Fitzroya cztery lata. Zaczął kilka miesięcy po tym, jak CIA dała mu do zrozumienia, że już nie potrzebuje usług swojego najbardziej doświadczonego i najzdolniejszego zabójcy. Court pamięta tę noc. Wyraz niezadowolenia został podkreślony bombą umieszczoną w jego samochodzie, ekipą zabójców w jego mieszkaniu i międzynarodowym nakazem aresztowania przygotowanym przez Departament Sprawiedliwości, przekazanym za pomocą Interpolu do wszystkich organów ścigania na całym świecie.

Gentry był wtedy w nagłej potrzebie znalezienia pracy, która opłaciłaby mu ukrywanie się przed amerykańskimi agencjami, więc skontaktował się z sir Donaldem Fitzroyem. Anglik prowadził pozornie całkowicie legalną firmę świadczącą usługi ochrony, ale Gentry miał już do czynienia z ciemniejszym obliczem Cheltenham Security Services podczas pracy w sekcji działań specjalnych CIA. Było to naturalne miejsce dla bezrobotnego zabójcy.

Od tego czasu stał się kimś w rodzaju celebryty w środowisku płatnych morderców. Choć prawie nikt nie wiedział, jak nazywa się naprawdę ani że pracuje dla Fitzroya, Gray Man był legendą wśród zabójców na zlecenie w całym świecie zachodnim.

Jak to bywa w przypadku wszystkich legend, wiele informacji na jego temat zostało wyolbrzymionych, wzbogaconych czy wręcz wyssanych z palca. Jednak jeden z mitycznych szczegółów nie mijał się z prawdą, mianowicie pogłoska, że Gray Man kierował się własnym kodeksem moralnym i przyjmował wyłącznie te zlecenia, których cele jego zdaniem zasłużyły na karę poza wymiarem sprawiedliwości. Zasada ta była nowością w tym środowisku i choć zapewniła mu sławę, sprawiła też, że był wyjątkowo wybredny w kwestii przyjmowanych zadań.

Gentry podejmował najtrudniejsze z misji, sam wchodził pomiędzy łotrów, stawiał czoła legionom wroga, budując przy tym reputację i wielkość konta bankowego niezrównaną w jego dość dyskretnym zawodzie. Przez cztery lata z powodzeniem zakończył dwanaście misji przeciwko terrorystom i zleceniodawcom terrorystów, ludziom zyskującym na handlu żywym towarem, handlarzom narkotykami i bronią oraz bossom rosyjskiej mafii.

Krażyły plotki, jakoby Gray Man zaoszczędził już więcej, niż mu kiedykolwiek będzie potrzebne, stwierdzono więc, że wykonywał zadania z potrzeby dążenia do sprawiedliwości, obrony maluczkich i naprawiania świata za pomocą lufy karabinu.

To akurat był mit, bajka. Jednak w przeciwieństwie do większości bajek jej bohater naprawdę istniał. Jego pobudki były bardziej skomplikowane niż komiksowe, przypisywane mu w kuluarach, ale to prawda, że w głębi duszy uważał się za jednego z „dobrych”. Ponadto nie potrzebował pieniędzy. Nie miał też skłonności samobójczych. Court Gentry stał się Gray Manem, bo wierzył, że po tym świecie chodzą źli ludzie, których należało zlikwidować.

\* \* \*

Lloyd wraz ze zbirami z Irlandii Północnej wsadzili Fitzroya do limuzyny należącej do LaurentGroup i milcząc, ruszyli przez zalane gęstym deszczem miasto. Sir Donald siedział w milczeniu, trzymając ręce między kolanami, a w dłoniach kapelusz, żałośnie spoglądając przez okno na ulewę. Lloyd nie odrywał

komórki od ucha, wykonując telefon za telefonem, wciąż dogadując się z Rieglem, który właśnie angażował ludzi z całego świata, aby ruszyć z wypracowanym napędce planem.

Limuzyna dotarła do brytyjskiej siedziby LaurentGroup tuż po pierwszej w nocy. Biura francuskiej korporacji zajmowały trzy budynki w posiadłości w Fulham. Lloyd, jego zbiry i ich „towar” wjechali przez bramy ośrodka, mijając dwa oddziały uzbrojonych strażników, skierowali się na tył posesji, do jednokondygnacyjnej budowli obok lądowiska helikopterów.

– Sir Donaldzie, w najbliższym czasie to będzie pana dom. Proszę wybaczyć, jeśli standard okaże się za niski. Ale na pewno nie poczuje się pan samotnie. Moi ludzie i ja nie zostawimy pana ani na chwilę, dopóki nie załatwimy wszystkiego pomyślnie i będziemy mogli pana odstawić na Bayswater Road z pocałowaniem w łysinę.

Fitzroy wciąż milczał. Podążał przez deszcz za zbirami do budynku, a następnie długim korytarzem. W niewielkiej kuchni minął dwóch kolejnych mężczyzn w garniturach, poznając, że to ochrona. Przez chwilę na jego twarzy widać było błysk nadziei.

Lloyd jakby czytał w jego myślach.

– Przykro mi, ale to moi ludzie. Para mięśniaków z Edynburga. Ci Szkoci są lojalni wobec mnie, nie pana.

Fitzroy szedł dalej korytarzem.

– Spotkałem tysiące takich typów. Tacy jak oni nie wiedzą, co to lojalność. Są w tym dla pieniędzy, za odpowiednią cenę każdego zdradzą – mruknął.

– No to całe szczęście, że tak dobrze im płacę – odparł Lloyd i otworzył ostatnie drzwi za pomocą karty.

Znajdowali się teraz w obszernej sali konferencyjnej. Pośrodku stał solidny dębowy stół otoczony krzesłami z wysokimi oparciami, a na ścianach wisiało mnóstwo ekranów, monitorów, komputerów oraz wielka ciekłokrystaliczna mapa Europy Zachodniej.

– Może usiądzie pan na honorowym miejscu. Biorąc pod uwagę, że był pan mianowany rycerzem, najmocniej przepraszam, że nie udało nam się załatwić nic okrągłego. Obawiam się, że taki owal to najlepsze, co mamy do zaoferowania. – Amerykanin zaśmiał się z własnego żartu.

Para szkockich goryli zajęła miejsce przy drzwiach, natomiast Irlandczycy stanęli w kącie. Do pokoju wszedł chudy czarnoskóry mężczyzna w brązowym garniturze, po czym usiadł przy stole, stawiając na nim butelkę wody.

– Pan Felix pracuje dla prezydenta Abubakera – przedstawił go Lloyd. – Jego zadaniem jest potwierdzenie, że zabiliśmy Gray Mana.

Nowo przybyły kiwnął zza stołu do Fitzroya.

Lloyd przez chwilę naradzał się z siedzącym przy biurku młodym mężczyzną z włosami spiętymi w kucyk i kolczykiem w nosie. Jego okulary w grubych oprawkach odbijały światło stojących na biurku komputerów. Spojrzał w stronę Lloyda i coś szepnął.

– Wszystko idzie zgodnie z planem. Ten człowiek jest odpowiedzialny za komunikację pomiędzy mną a obserwatorami i tropiącymi. Mówmy na niego Tech – zwrócił się Lloyd do sir Donalda.

Młody człowiek wyciągnął uprzejmie rękę do Fitzroya, jakby nie zdawał sobie sprawy, że przedstawiono go ofierze porwania.

Fitzroy się odwrócił.

W tej chwili Tech przyjął połączenie w słuchawkach. Szepnął coś do Lloyda. Miał brytyjski akcent.

– Doskonale. Natychmiast wyślij tam ludzi. Namierz, gdzie dokładnie się znajduje – ucieszył się Lloyd.

– No, w końcu los się do nas uśmiechnął. Widziano Gentry'ego w Tbilisi, jak wchodził na pokład samolotu do Pragi. Zdążył wylądować, więc nie możemy go śledzić prosto z lotniska, ale nasi ludzie już sprawdzają hotele. Jak dobrze pójdzie, będzie miał ekipę zabójców na śniadanie. – Prawnik uśmiechnął się do Fitzroya.

Godzinę później Lloyd siedział przy stole naprzeciw Fitzroya. Światła były przyćmione. Do tego Tech umieścił podświetlenie za Amerykaninem.

Przytwierdzona do sufitu lampa obróciła się na Lloyda. Na monitorze ukazała się sylwetka młodego prawnika, tak niewyraźna, że musiał pomachać ręką, aby upewnić się, że to naprawdę on. Następnie jeden po drugim budziły się ekrany ciekłokrystaliczne na ścianie. Na dole każdego widniał podpis i czas lokalny. Pierwsze zameldowało się Gaborone w Botswanie. Na monitorze pokazało się czterech mężczyzn siedzących w sali konferencyjnej, podobnej do angielskiej. Tak jak w przypadku Lloyda, ich sylwetki były podświetlone i celowo niewyraźne.

Następnie pojawiła się ekipa z Dżakarty. Chwilę później równocześnie wyświetliło się Caracas, Pretoria i Rijad. W ciągu pięciu kolejnych minut dołączyły Albania, Sri Lanka, Kazachstan i Boliwia. Tech musiał chwilę pogrzebać, żeby naprawić połączenie z Liberią. W końcu zawitała Korea Południowa: na ekranie widać było samotnego Azjatę siedzącego przy biurku.

To były ekipy zabójców z agencji rządowych, które Kurt Riegel namówił na polowanie. Niemiec już konferował z dowódcami każdej z nich i nie chciał rozmawiać z samymi agentami. To przecież miała być robota Lloyda. Riegel podkreślił, że ogranicza się do załatwiania i konsultacji.

Zanim włączyli dźwięk, Lloyd krzyknął przez pokój do Techa:

– Ej, a gdzie się podziała reszta Koreańczyków?!

Tech szybko zerknął do notatek.

– Przysłali tego jednego. Ale to chyba nie szkodzi. W sumie mamy ponad pięćdziesięciu ludzi w dwunastu zespołach.

Zapewnił też prawnika, że jego głos zostanie zmieniony za pomocą sprzętu i oprogramowania tak, że nie będzie możliwości go rozpoznać.

Po ostatnim sprawdzeniu przez technika połączenia z niewidocznymi na ekranach tłumaczami Lloyd odchrząknął. Na ekranie jego sylwetka przyłożyła dłoń do ust, po czym ją opuściła.

– Panowie... Wiem, że zostaliście już wstępnie poinformowani o misji, którą wam prezentujemy. Jest naprawdę bardzo prosta. Trzeba znaleźć pewnego człowieka. Ale to akurat nie jest wasz problem, mam pod ręką setkę artystów chodnikowych, którzy albo są w gotowości, albo już w tej chwili przeczesują teren. Jak go znajdziemy, trzeba go zlikwidować. To będzie wasz cel – powiedział Lloyd. W tej chwili zmienił się obraz na monitorze. Pojawiło się na nim kolorowe zdjęcie Courta Gentry'ego. Był gładko ogolony, miał na sobie marynarkę, a na nosie okulary w drucianych oprawkach. Lloyd znalazł je w podrobionym paszporcie w wykradzionych aktach CIA. – Oto Gray Man, czyli Court Gentry. Fotografia, którą widzicie, ma pięć lat. Niestety nie mam pojęcia, jak mógł od tego czasu się zmienić. Wiem, że mężczyzna na zdjęciu wygląda dość przeciętnie, ale nie dajcie się zwieść. To był najlepszy łowca głów, jaki kiedykolwiek zasilał szeregi CIA.

Ktoś mruknął coś po hiszpańsku. Lloyd zrozumiał tylko jedno słowo: „Milošević”.

– Tak, podejrzewałem, że część z was pewnie już o nim słyszała. Roi się od plotek na temat jego misji. Niektórzy są zdania, że to on załatwił Miloševicia, inni temu zaprzeczają. Są i tacy, którzy twierdzą, że to on stoi za zeszłorocznymi wydarzeniami w Kijowie... Bardziej rozsądni przyznają, że to niemożliwe. Tak czy inaczej, ja sam wiem wystarczająco dużo na temat konkretnych operacji, które wykonał, zarówno pracując dla Stanów Zjednoczonych, jak i prywatnie, i mogę zapewnić, że to najzdolniejszy samotny agent, jakiego kiedykolwiek przyjdzie wam spotkać.

– Wygląda jak pedał... – odezwał się nowy, niezidentyfikowany głos.

Wydedukowawszy jego pochodzenie po akcencie, Lloyd zwrócił się do ekipy z RPA. Przez głośniki rozległ się jego zniekształcony głos:

– „Pedał”, który z łatwością podejdzie do ciebie, wbije ci szpikulec do lodu między żebra, przebijając płuca, a potem będzie się przyglądał, jak umierasz, krztusząc się własną krwią. – W jego głosie słyhać było gniew. – Najpierw go zabij, dopiero potem możesz sobie z niego, kurwa, kpić. Dopóki go nie zgładzisz, lepiej zatrzymaj szczeniackie docinki dla siebie.

Południowoafrykańczyk zamilkł.

Lloyd kontynuował, wciąż wściekle łypiąc na ekipę z Pretorii:

– Gray Man jest doskonale wyszkolony w zakresie snajperstwa długodystansowego, w walce z bliska, broni białej, zna krav magę, czyli sztukę walki izraelskich służb specjalnych. Jest w stanie cię zabić przy użyciu broni długiej, krótkiej lub żadnej. Zlikwidować z odległości kilometra albo milimetra. Otrzymał intensywne szkolenie z wykorzystania materiałów wybuchowych, a nawet trucizn. W CIA krążyła plotka, że pewnego razu w Pakistanie, w Lahore, zabił cel w restauracji za pomocą dmuchawki, niezauważony przez ochronę obiektu. – Lloyd przerwał dla wzmocnienia efektu. – Gentry siedział przy stoliku obok. Jadł obiad. Cel padł, on jadł dalej.

– Kiedy tylko skończymy rozmowę, wejdziecie na pokłady samolotów. Wysyłamy dwanaście ekip dwunastoma samolotami na dwanaście lotnisk wzdłuż trasy, którą jak podejrzewamy, Gentry będzie się przemieszczał w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Osobiście będę koordynował działania, przekazując do odpowiednich zespołów wszystkie informacje taktyczne, które uda nam się zdobyć. Każda ekipa biorąca udział w polowaniu której uda się przeżyć,

otrzyma milion dolarów amerykańskich plus pełny zwrot kosztów. Ekipa, która zabije Gentry'ego, dostanie premię w wysokości dwudziestu milionów dolarów.

– A co zrobią Stany, jak go już zabijemy? – rzucił ktoś tubalnym głosem.

Lloyd spojrział na monitor grupy z Liberii, ale nie miał pewności, czy to z tej ekipy padło pytanie.

– Tę kwestię poruszyliśmy z waszym szefostwem. Rząd amerykański już jakiś czas temu wydał nakaz zlikwidowania Gray Mana. CIA poleciła strzelać bez ostrzeżenia. Ten człowiek nie ma przyjaciół ani bliskiej rodziny. Nikt nie będzie po nim płakał.

Rozległ się azjatycki język, po chwili zaś głos tłumacza:

– A gdzie on teraz przebywa?

– Zeszłej nocy poleciał do Pragi. Nasi agenci przeczesują hotele, ale nie mamy pewności, że nadal się tam znajduje.

– Który zespół jedzie do Pragi?

– Albańczycy. Mają najbliżej.

– Ej, to nie fair! – oburzył się jeden z Południowoafrykańczyków.

Lloyd ściągnął okulary i pomasaował grzbiet nosa.

– Nie chcę urazić kolegów z Albanii, ale wątpię, aby pierwszy napotkany przez niego zespół był go w stanie dobić.

Od strony albańskiej dobiegły odgłosy dezaprobaty, zostały jednak szybko wygłuszone sykami.

– Z pewnością w ciągu dwóch dni zabijemy Gentry'ego. Najprawdopodobniej uda nam się to zrobić przez jego stopniowe wyniszczanie. Bardzo możliwe, że wielu z was zginie – przerwał na chwilę, próbując nieudolnie pokazać, że go to w jakikolwiek sposób obchodzi. – Ponadto wcale nie wiemy, czy to Albańczycy pierwsi się na niego natkną. Równie dobrze może przemieścić się na zachód, zanim dolecicie. Jeśli tak się stanie, namierzemy jego trasę poza Pragę, wsadzimy was z powrotem do samolotu i zawieziemy w nowe miejsce, bliżej ostatecznego celu. Punkt początkowy na wschodzie nie jest wyraźnie korzystniejszy, zapewniam.

Lloyd się wyprostował. Teraz wydawał się chudszy, choć wciąż dobrze zbudowany.

– Na koniec powiem jedno: róbcie wszystko, żeby wypełnić zadanie. Mam gdzieś ewentualne straty cywilne. Jeśli żal ci zgładzonych przy okazji dzieci, staruszków czy szczeniactków, to nie masz co wchodzić do mojego samolotu. Waszym zadaniem jest zabicie Courta Gentry'ego. Jeśli tego dokonacie, to zarobicie grube miliony dla waszych agencji, a przy okazji zyskacie dozgonną wdzięczność CIA. Jeśli wam się nie uda, najpewniej zginiecie z jego ręki. Najlepiej będzie, jak przestaniecie się martwić wszystkim innym. Pytania?

Nie było żadnych.

– No to, panowie... Zaczynamy!

\* \* \*

O czwartej piętnaście rano ochroniarz LaurentGroup, pracujący zazwyczaj w jednej z placówek należącej do spółki w Brnie, pokazał zdjęcie Gentry'ego zaspanemu recepcjoniście w wąskim, trzypiętrowym pensjonacie na praskim Starym Mieście. Staruszek długo wpatrywał się w fotografię, powtarzając, że nie, może, ale nie wie, nie ma pewności, czy na pewno go widział. Zmienił jednak ton, kiedy potężny nieznajomy wręczył mu pięćset koron czeskich. Uprzytomnił sobie wtedy, że ten gładko wygolony człowiek ze zdjęcia to brodac, który właśnie śpi w pokoju na poddaszu.

Brneński agent natychmiast zadzwonił do Lloyda. Pracował dla LaurentGroup, a Lloyd otrzymał wyraźne instrukcje, aby wszyscy bezpośrednio zatrudnieni przez firmę trzymali się jak najdalej od kluczowych miejsc, tak więc Amerykanin kazał mu wracać na Morawy.

– Ekipa już w drodze – wyjaśnił prawnik.

– Jak pan chce, żeby przestał oddychać, to mogę go panu capnąć za sto tysięcy koron.

Lloyd zarechotał w słuchawkę.

– Nie, nie możesz.

– Mówi pan, że nie dam rady?

– Tak. Właśnie to mówię.

– Zastrany *americky kokot!*



– Może i jestem zasranym amerykańskim kutasem, ale właśnie uratowałem twoją beznadziejną czeską dupę. Wracaj do domu. Zapomnij. Dostaniesz premię za dobrze wykonaną robotę.

– Nienawidzę Amerykańców.

Lloyd zaśmiał się i skończył połączenie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gentry obudził się o piątej nad ranem. Rana po kuli w udzie piekła i bolała. To nie była dobrze przespana noc. Obolały powoli usiadł. Pochylił się, aby rozprostować plecy i ściągnął udowe, następnie wstał i porozciągał się na boki. Zamierzał spędzić dzień w ruchu. Jeszcze nie zdecydował, dokąd dokładnie się uda, wiedział jednak, że im szybciej opuści hotel, tym lepiej.

Po wizycie w łazience i poprawieniu opatrunku włożył te same ubrania, które miał na sobie, kiedy przyjechał poprzedniej nocy. Wyjrzał przez okno, aby sprawdzić, czy go nie obserwują. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc wyszedł z hotelu za pięć wpół do szóstej.

Ułożył sobie w głowie listę zadań na ten dzień. Po pierwsze udać się do swojej praskiej skrytki i wydobyć z niej niewielki pistolet. Dalej będzie się poruszać łądem. Loty odbyte w ciągu ostatniej doby były dla niego anomalią. Court nienawidził obywać się bez broni. Podróżowanie liniami komercyjnymi to była ostatnia deska ratunku, z której korzystał góra dwanaście razy w ciągu ostatnich czterech lat. Teraz, idąc bez pistoletu przez ciemne i opuszczone, brukowane praskie uliczki, czuł, jakby był nagi. Jedynym pocieszeniem było to, że w pasku miał schowany nieduży nóż składany firmy Spyderco, który odkupił od kurdyjskiego policjanta. Lepsze to niż nic, ale nie to samo co spluwa.

Po opróżnieniu skrytki musiał wydostać się z miasta: kupić za gotówkę tani motocykl i wyjechać z Pragi. A może by tak przez tydzień jeździć pomiędzy wioskami w Czechach czy na Słowacji? Miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się bezpiecznie przeczekać do końca kadencji prezydenta Nigerii, i liczył na to, że Abubaker rzeczywiście da mu wtedy spokój.

Nikt nie potrafił zniknąć szybciej i skuteczniej niż ten trzydziestosześcioletni Amerykanin.

Idąc w stronę stacji metra, stwierdził, że jest jeszcze jedna rzecz, którą trzeba dopisać na górze listy zadań na ten dzień. Z otwieranej właśnie kawiarenki

zapachniała mu świeżo zaparzona kawa. W tej chwili czuł, że potrzebuje tego naparu równie mocno, jak broni.

Mylił się.

Ciemną uliczkę, przy której mieściła się kawiarnia, spowijała gęsta mgła. Zaczęło padać akurat wtedy, kiedy Court wspinał się po schodkach i wchodził do niewielkiego lokalu. Była dopiero piąta trzydzieści i odniósł wrażenie, że jest pierwszym tego dnia klientem. Znał na tyle czeski, aby przywitać się z panią za ladą. Pokazał parujący dzbanek kawy i ogromną drożdżówkę, a potem przyglądał się, jak blada dziewczyna nalewa aromatycznego czarnego naparu do styropianowego kubka i wkłada jego śniadanie do papierowej torebki.

Kiedy zadzwieczał dzwonek otwieranych drzwi, spojrzął przez ramię i zobaczył, że do kawiarni wchodzi trzech mężczyzn. Zamknęli parasole i strącili świeże krople deszczu z kurtek. Wyglądali na miejscowych, ale Court nie mógł mieć co do tego pewności. Pierwszy z nich zerknął na Gentry'ego, gdy ten odszedł na bok, do stanowiska z mlekiem i cukrem. Court rzucił okiem na umieszczoną za szkłem reklamówkę wieczorków poetyckich i spojrzął leniwie w okno wychodzące na ciemną, deszczową ulicę. Chwilę później już szedł wystawiony na pastwę żywiołu. Nie zważając na zimny poranny deszcz, kierował się w stronę stacji metra Můstek. Wokół nie było nikogo – Court zawdzięczał to temperaturze, deszczowi i wczesnej porze. Nie przeszkadzał mu chłód, doceniał zimny poranek pobudzający mięśnie i umysł. Pojawiły się pojedyncze samochody dostawcze i czujnie zaglądał do kabiny każdej mijanej furgonetki. Znalazł wejście do metra i zaczął schodzić stromymi schodami. Jego wciąż zmęczone oczy powoli przyzwyczajały się do ostrego światła odbijającego się od białych, śliskich kafelków.

Szedł, kierując się znakami, przez kręty korytarz wiodący na perony. Ruchome schody zawiozły go pod zaspane miasto, kolejny zakręt zaprowadził jeszcze głębiej, w jaskrawo oświetlone wnętrza metra. Tuż przed zakrętem minął kosz na śmieci. Wrzucił do niego nietkniętą kawę oraz drożdżówkę. Skręcił w prawo, przeszedł dwa kroki i przystanął. Napiął mięśnie ramion, pleców, nóg, szyi, nawet zuchwy, a następnie sięgnął do spodni po nóż. Wyciągnął go i otworzył. Był to manewr szybki i doskonale przez niego opanowany. Odwrócił się, cofnął o krok, skoczył, by przemierzyć jak największą odległość, po czym wepchnął ośmiocentymetrowe ostrze aż po rękojęść prosto w gardło pierwszego śledzącego go mężczyzny.

Facet był wysoki i barczysty. W mięsistej prawej dłoni dzierżył pistolet automatyczny z nierdzewnej stali. Gentry chwycił mężczyznę za prawy nadgarstek, odchylając lufę pistoletu tak, by kula trafiła napastnika, gdyby jego śmiertelne drgania doprowadziły do wystrzału.

Court nie tracił czasu na spoglądanie w oczy mężczyzny o kwadratowej twarzy. Gdyby to zrobił, zobaczyłby w nich najpierw zaskoczenie i dezorientowanie, które dopiero później zostały zastąpione przez przerażenie i ból. Gray Man pchnął napastnika w róg, wprost w nadchodzącego drugiego zabójcę, który złapał ciało towarzysza akurat w chwili, kiedy wchodził w zakręt i wyciągał broń. Court trzymał prawą dłoń nóż, którego ostrze wciąż tkwiło w gardle zbira. Wpychając go na kolegę, lewą ręką próbował wyciągnąć pistolet z dłoni umierającego, ale nie dał rady. Widział już, jak zza padającego na ziemię drugiego mężczyzny wyłania się trzeci, który właśnie podnosi broń.

Gentry zasłonił się ciałem pierwszego napastnika, przeskoczył nad leżącym drugim i rzucił się w stronę ostatniego.

W wyłożonym kafelkami tunelu rozległ się ogłuszający wystrzał – niski sufit i wąski korytarz spotęgowały odgłos wybuchu. Gentry poczuł, że kula trafiła w plecy zakrwawionego mężczyzny, którego trzymał w ramionach. Drugi wystrzał również trafił trzymanego jak do tańca mężczyznę. Amerykanin w końcu odepchnął go z całej siły. Kiedy zakrwawione ciało leciało na trzeciego napastnika, Gentry wyciągnął nóż z gardła przeciwnika i ostatni raz spróbował uwolnić pistolet z mięsistej dłoni. Udało mu się utrzymać nóż, ale ciało uderzyło nadciągającego mężczyznę, nie wypuściwszy broni.

Gentry znajdował się pomiędzy dwoma zabójcami – obaj byli uzbrojeni i znajdowali się mniej niż trzy metry od niego. Kolejny uzbrojony leżał za Courtem. Teraz z pewnością przekręca się, żeby strzelić. Jeden ze zbirów odrzucał właśnie krwawiącego towarzysza, by znów wymierzyć w Gray Mana. Court obrócił nóż ostrzem do góry i rzucił nim w stojącego strzelca. Narzędzie trafiło idealnie: utkwilo w lewym oczodole napastnika. Trysnęła krew. Mężczyzna upuścił pistolet i oburącz próbował chwycić nóż. Upadł na kolana.

Gentry nie oglądał się za siebie, tylko rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękami, gorączkowo próbując chwycić pistolet. Nim padł na ziemię, w tunelu zabrzmiał kolejny strzał. Nic nie poczuł, stwierdził więc, że gość z tyłu celował mu w plecy, ale chybił.

Court padł na zimne kafelki podłogi, wykonał ślizg do przodu, po czym podniósł pistolet trzeciego strzelca. Mężczyzna z nożem w oku wciąż klęczał. Krzyczał przeraźliwie. Gentry przeturlał się koło niego, po czym obrócił się i wycelował w ostatniego przeciwnika, który pozostał na ringu. Tamten mógł go trafić, ale zawahał się, bo Gentry był zbyt blisko jego kumpla. Gray Man się nie namyślał. Leżąc, wystrzelił spomiędzy rozstawionych nóg do trzeciego napastnika serią za serią, patrząc, jak ten skręca się i pada martwy. Kiedy upewnił się, że jedynym pozostałym przy życiu jest typ z nożem w oku, przyłożył lufę do skroni rannego i bez wahania pociągnął za spust.

Amerykanin stał nad trzema ciałami rozłożonymi w jasnym, białym korytarzu. Ściany były poplamione krwią, wokół trupów zbierały się czerwone kałuże. Dzwoniło mu w uszach, rana w udzie piekła i bolała.

Zdradzili się w kawiarni. Sekundę po tym, jak weszli, już wiedział, że chcą go zabić. Nie miał wątpliwości, że dostrzegł charakterystyczny błysk w oczach pierwszego, kiedy ten na niego zerknął. Został rozpoznany. Gdy zorientował się, jakie stanowią zagrożenie, obserwował ich w szybie na reklamie wieczorku poetyckiego, a następnie w odbiciu w oknie. Na ulicy widział ich w oknach mijanych furgonetek. Na schodach do metra wyczuł, że się zbliżają. Nadrobili drogi w tunelu. Wiedział, że musi ruszyć do akcji w ostatnim korytarzu przed zejściem na peron.

To prawda, że Courtland był szybszy, lepiej wyszkolony i bardziej bezwzględny niż oni. Ale stojąc nad trzema ciałami, doskonale zdawał sobie sprawę, czemu zawdzięcza to, że oni są martwi, a w jego żyłach wciąż płynie krew.

Tym czymś było durne, pierdolone szczęście.

Tak się akurat złożyło, że zanim ustawili się przed jego hotelem, niedoszli zabójcy postanowili napić się kawy. To również czysty przypadek, że akurat kiedy weszli do kawiarni, on już w niej był.

Potem już wszystko poszło jak z płatka.

Court miał po prostu szczęście.

Wiedział, że to dobrze mieć szczęście. Ale zdawał sobie też sprawę, że może ono się skończyć w jednej chwili. Że jest ulotne, zmienne i kapryśne.

Szybko i bez żadnych wyrzutów sumienia przeszukał ciała. Spodziewał się, że lada moment ze wszystkich stron nadejdą pierwsi pasażerowie. Mniej niż pół

minuty po ostatnim strzale Gray Man był już zaopatrzony w pistolet CZ czeskiej produkcji, niewielki plik euro i garść koron. Po kolejnej minucie wyszedł z podziemi odziany w płócienną kurtkę jednego z napastników. Na jego ciemnobrązowych spodniach nie dało się odróżnić plam krwi od pozostałości porannej ulewy. Szedł przez mgłę, zdecydowanie, ale nie spiesząc się, w stronę przystanku autobusowego nieopodal mostu Karola. Jedynie lekkie utykanie wyróżniało go z rosnącego tłumu przechodniów podążających rano do pracy.

\* \* \*

Fitzroyowi zaproponowano, aby odpoczął w osobnym pokoiku z leżanką, ale odmówił – dla zasady. Kiedy drzemał niespokojnie skulony w fotelu w pokoju konferencyjnym, Tech skakał od komputera do komputera, a Lloyd bez przerwy telefonował. Przez całą noc ochroniarze stali po jednej i drugiej stronie drzwi.

Sir Donald obudził się o szóstej trzydzieści. Kiedy pił kawę, usłyszał, jak Tech woła do Lloyda:

– Proszę pana, Albańczycy się nie meldują!

Lloyd siedział po drugiej stronie stołu z filiżanką w dłoni. Wpatrywał się w mapę Pragi. Podniósł wzrok, wzruszył ramionami i parsknął:

– Jak mają się meldować, skoro nie żyją?

Tech wciąż nie tracił nadziei.

– Nie wiemy przecież, czy...

Lloyd nie słuchał.

– Odpadł jeden, zostało jedenastu. Długo nie musieliśmy czekać – powiedział bardziej do siebie niż do kolegi.

Fitzroy uśmiechnął się zza filiżanki. Kiedy Lloyd to zauważył, wstał, obszedł mahoniowy stół, po czym klęknął obok sir Donalda.

– Może się panu wydawać, że jesteśmy przeciwnikami, ale proszę nie zapominać, że przecież chodzi nam o to samo. Proszę nie świętować cichaczem tego, że Gray Manowi się powiodło. Niech pan nie zapomina, że im bliżej on jest celu, tym bardziej stawka rośnie. Im szybciej padnie, tym lepiej dla pana, pana syna, synowej i tych dwóch słodkich wnuczek – powiedział cicho.

Z twarzy sir Donalda zniknął uśmiech.

\* \* \*

Ponad godzinę później zapiszczał telefon satelitarny Fitzroya. Lloyd i jego ludzie natychmiast zamilkli. Sir Donald wcisnął guzik odbioru po trzecim sygnale.

– Court? Próbowałem się do ciebie dodzwonić. Jak się masz?

– Co tu się, do diabła, dzieje?

– Co masz na myśli?

– Przed chwilą trafiłem na kolejną ekipę, która próbowała mnie sprzątnąć.

– Żartujesz?

– Serio?

– Czyli nie żartujesz. Wiesz, kto to był?

– No chyba, kurwa, nie Nigeryjczycy. Trzech białasów. Tak na oko z Europy Środkowej. Nie miałem czasu szukać dokumentów. Zresztą, jeśli nie byli idiotami, to i tak by ich nie mieli przy sobie.

– Abubaker pewnie najął kogoś. Nic dziwnego przy jego majątku. Jesteś ranny?

– Tak, ale to nie przez tych pajaców. Wczoraj rano w samolocie dostałem kulkę w udo.

– Postrzelili cię?

– Drobiazg.

Lloyd szybko sięgnął po notes i zapisał tę informację.

– Synu... Sprawa się trochę skomplikowała.

– Co ty powiesz? Przez niedociągnięcia twojej siatki w ciągu ostatniej doby musiałem ubić ośmiu osiłków. No raczej się skomplikowała!

– Nigeryjczycy wiedzą, że to ja cię prowadzę.

– O, kurwa, Don. Jak to się stało? – odezwał się Gentry po chwili ciszy.

– Cóż, mówiłem, że nastąpiły komplikacje.

– Czyli sam jesteś w takim samym niebezpieczeństwie. To tylko kwestia czasu, aż cię dorwą. – W głosie młodszego mężczyzny słychać było troskę.

– Już mnie dorwali.

Chwila ciszy.

– Co się stało?

– Mają moją rodzinę. Syna i synową, moje wnuczki.

– Bliźniaczki... – szepnął z troską Court.

– Tak. Trzymają ich we Francji. Mówią, że mam cię wydać albo ich wszystkich zabijają. Pół godziny temu dali mi dwie doby na wydanie cię żywego lub martwego. Wysłali za tobą kilka ekip, ale żądają, bym podał im twoje położenie.

– I jak widać, już je podałeś.

– Nie, synu, nie pisałem słowem. To prawda, że w Iraku to nasza wpadka, ale to ich agent wypatrzył cię na pokładzie samolotu do Tbilisi. Ja nic im nie powiedziałem i nie zamierzam.

– Ale tu chodzi o twoją rodzinę.

– Nie zdradzam moich ludzi. Poza tym ty też jesteś rodziną.

Twarz Fitzroya przybrała zde gustowany wyraz. Brzydził się własnych słów. Lloyd jednak patrzył z rosnącym podziwem na Anglika, zachwycony jego zdolnością do równoczesnego schlebiania i zdradzania swojego najlepszego człowieka. Fitzroy z istną wirtuozerią pogrywał na resztkach uczuć, jakie pozostały temu zabójcy.

Lloyd doskonale wiedział, co miało zaraz nastąpić – znał w końcu życiorys i charakterystykę Gentry'ego na pamięć.

– Gdzie ich trzymają?

– W jakimś pałacu w Normandii, na północ od Bayeux.

– Dali ci dwie doby?

– Minus pół godziny. Termin to ósma rano w sobotę. Twierdzą, że mają swoich ludzi we francuskiej policji. Jeśli pisnę choć słowo, to poleje się krew.

– No tak. Gliny nic nie wskórają. Mam większą szansę solo.

– Court, nie wiem, co planujesz, ale teraz jest zbyt niebezpiecznie, abys próbował...

– Don, zaufaj mi. Najlepiej będzie, żebym tam pojechał i sam posprzątał to gównno. Przekaż mi, proszę, wszystko, co wiesz o ich układzie sił, nie dawaj im nic na mnie, a uratuję twoją rodzinę.

– Jak?

– Jakoś.

Tym razem sir Donald milczał. Przetarł grubymi palcami oczy i wycedził:



– Będę ci do zgonu wdzięczny, mój drogi.

– Na razie skupmy się na jednym, szefie... – Połączenie zostało przerwane.

Lloyd tryumfalnie podniósł pięść.

Fitzroy natomiast zwrócił się do prawnika:

– Dostaniesz jego głowę. Ale w zamian musisz wypełnić pozostałe warunki umowy.

– Zapewniam, że nic nie przyniesie mi większej przyjemności niż zostawienie pana i pana rodziny w spokoju.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Court Gentry pracował jako płatny zabójca od czterech lat. Przedtem był członkiem oddziału Golf Sierra, znanego również jako „banda zbirów”, a wcześniej CIA wysyłało go na jednoosobowe misje. Większość dorosłego życia, nie licząc chwilowego towarzystwa innych pracowników agencji, spędził samotnie. Owszem, pod przykrywką nawiązywał konieczne do wykonania misji znajomości, ale były one przelotne i oparte na kłamstwach.

Tak, to było życie w przejmującym zimnie.

W ciągu ostatnich szesnastu lat Court tylko raz nie pracował jako zabójca, szpieg czy pojawiająca się i znikająca postać. Przed dwoma laty na niecałe dwa miesiące Fitzroy powierzył Gray Manowi wyjątkowe stanowisko inne niż te, które miał w CV. Court podjął się roli osobistego ochroniarza wnuczek sir Donalda.

Ojciec dziewczynek był znanym londyńskim przedsiębiorcą budowlanym. Nie poszedł za papą w ciemne odmęty agencji wywiadowczych, został uczciwym biznesmenem, który nigdy nie łamał zasad. Mimo to Phillip Fitzroy naraził się pewnej grupie pakistańskich bandziorów: jego firma stanowczo lobbowała przeciwko propozycji władz lokalnych dotyczących zatrudniania przy budowach na terenie miasta niewykwalifikowanych pracowników. Phillip Fitzroy starał się przekonać decydentów, że w interesie wszystkich londyńczyków leży to, aby tylko przygotowani do zawodu ludzie mogli budować domy czy centra handlowe. Jednak pakistańska mafia, która od lat wykorzystywała nielegalnych imigrantów, stwierdziła, że jeśli więcej z nich będzie miało lepiej płatną pracę, to może uda się jeszcze więcej od nich wydusić.

Zaczęło się od telefonów z sugestiami, żeby Phillip odpuścił, przestał się wtrącać. Nieco później jego żona Elise znalazła w skrzynce na listy atrapę rurobomby. Scotland Yard rozpoczął dochodzenie, gliniarze, drapiąc się po podbródkach, obiecali czujność. Phillip nie zaprzestał walki, pojawiło się więcej

pogrózek, a Scotland Yard postawił przed ich rodzinną kamienicą samochód z samotnym narkoleptykiem.

Pewnego popołudnia, kiedy dziewczynki oglądały telewizję, Elise robiła porządki w plecaku sześciolatniej wówczas Kate. Z zewnętrznej kieszeni wyciągnęła złożoną na pół kartkę. W pierwszej chwili myślała, że to wiadomość od wychowawczynie. Rozłożyła ją. Była napisana odręcznie. Wielkimi literami.

„Gdy tylko zechcemy, możemy je dorwać. Odwal się, Phil”.

Przerażona Elise zadzwoniła do męża, a on – nie mniej rozdygotany – zatelefonował do ojca. Po siedmiu godzinach na ich progu stawili się sir Donald z pewnym Amerykaninem.

Jankes nie był ani specjalnie rośli, ani też specjalnie niski. Był milczący, unikał kontaktu wzrokowego. Elise obstawiała, że jest tuż przed trzydziestką. Phillip twierdził, że bliżej mu do czterdziestki. Miał na sobie džinsy i niewielki plecak, którego nigdy nie zdejmował z ramienia, do tego za duży sweter. Phillip podejrzewał, że ukrywał pod nim coś, co miałoby mu ułatwić zrobienie krzywdy bliźniemu.

Mężczyzna czekał na korytarzu, a sir Donald usiadł z synem i synową w salonie. Wyjaśnił zatroskanym rodzicom, że to Jim, po prostu Jim, i jest absolutnie najlepszy na świecie w tym, co robi.

– Czyli dokładnie co, tato? – zapytał Phillip.

– No cóż... Powiedzmy, że będziecie z nim bezpieczniejsi, niż gdyby na całej ulicy zaparkowali sami gliniarze. I nie przesadzam.

– Nie wygląda przerażająco.

– To dobrze. Ma się nie rzucać w oczy.

– Ale co my, do cholery, mamy z nim zrobić, tato?

– Wystarczy, że kilka razy dziennie dacie mu kanapkę, do tego nieograniczony dostęp do kawy w kuchni, i tyle. Zapomnicie, że tu w ogóle jest.

Elise jednak nie pozwoliła traktować przybysza jak przedmiot. Była dla niego uprzejma i odkryła, że on jest równie uprzejmy i miły. Nigdy na nią nie patrzył – zapewniła o tym męża, gdy zapytał.

– Gapi się tylko przez okno na ulicę, do ogródka, a potem na drzwi do pokoju bliźniaczek. Na mnie nigdy. To coś, co was łączy, Phillip. Podejrzewam, że byliby z was świetni kumple.

Mimo to obecność drugiego mężczyzny w domu musiała wywołać napięcie w małżeństwie Fitzroyów. Natomiast Claire i Kate bardzo polubiły Jima. Przedrzeźniały jego amerykański akcent, ale jemu to nie przeszkadzało. Woził je do szkoły saabem. Towarzyszyła im też mama. Mała Kate zażartowała kiedyś, że jest kiepskim kierowcą. Ku zaskoczeniu matki i córek Jim odpowiedział na to wybuchem śmiechu. Przyznał, że zazwyczaj podróżuje pociągiem lub motocyklem. Po chwili jednak twarz mu spoważniała, a jego wzrok wrócił do lusterka i skupił się na drodze.

Przez prawie dwa miesiące nie odstępował dziewczynek ani na krok. Nawet gdy kładły się spać, dyżurował na leżance przed drzwiami ich pokoju. Jedyny ekscytujący moment, którego doświadczyły w jego towarzystwie w ciągu tych ośmiu tygodni, miał miejsce pewnej soboty, kiedy jechali na targ. Wydarzył się wypadek, w którego wyniku auto zablokowało drogę i powstał korek. Kiedy tylko ustał ruch, Jim wjechał saabem na krawężnik. Rozpiął marynarkę i Elise zobaczyła za paskiem kolbę pistoletu. Prowadził lewą ręką i jechał chodnikiem przez rozbiegający się tłum. Prawą ręką trzymał pistolet w kaburze pod ramieniem. Po dziesięciu sekundach wrócili na drogę. Nie powiedział ani słowa, jakby to była najzwyklejsza w świecie niedzielna przejażdżka po mleko i ciasteczka. Przez resztę drogi mama i bliźniaczki patrzyły na niego w osłupieniu.

Pewnego ranka po prostu zniknął. Na leżance przed pokojem dziewczynek zostawił starannie złożony koc i poduszkę. Gazety podały, że pakistańscy mafiosi, którzy nękali tatusia, zostali aresztowani przez ponurych policjantów ze Scotland Yardu. Już nic im nie groziło. Sir Donald przydzielił jankesowi inną robotę. Phillip i Elise odetchnęli z ulgą, zarówno z powodu zażegnania niebezpieczeństwa, jak i tego, że idiotyczna uchwała nie przeszła. Dziewczynki jednak wybuchły płaczem, kiedy tatuś oznajmił im, że wujek Jim musiał wrócić do Ameryki oraz że najpewniej nie wróci.

\* \* \*

Po rozłączeniu się z Fitzroyem Courtowi zajęło mniej niż godzinę, by nabyć motocykl, hondę CM450, rocznik '86, z całkiem niezłym silnikiem i oponami, które powinny wytrzymać kilka dni intensywnej jazdy.

Kupił go od miejscowego chłopaczka pracującego na stacji benzynowej na południowy wschód od centrum Pragi, w Šeberowie. Żadnych papierów, tylko gotówka, dorzucił kilkaset koron za kask i mapę. Po chwili był już w drodze.

Od zakończenia rozmowy z Donem Court nie wahał się ani chwili. Doskonale wiedział, że czeka go co najmniej jeden dzień jazdy do Normandii. Mógł opracowywać plan po drodze i w trasie skonsultować się z Fitzroyem. Nie było sensu siedzieć na ławce w parku prawie tysiąc kilometrów od celu i dumać.

Po kupieniu motoru zatrzymał się jeszcze przed wynajmowaną przez siebie komórką, jakieś sześć i pół kilometra od centrum. Nie miał przy sobie klucza, więc po prostu się do niej włamał. W razie czego był w stanie wyrecytować z pamięci wszystkie cyfry numeru karty kredytowej, z której co miesiąc opłacał skrytkę, ale i tak w okolicy nikogo nie było. Kryjówkę obstałował trzy lata wcześniej i użył jej tylko raz. Malutkie, ciemne pomieszczenie było zakurzone, zimne i zagrzybione. Znalazł tam skrzynkę z pistoletami, karabinami, amunicją, ciuchami, apteczką i próżniowo pakowanym jedzeniem. Do jednej z toreb wrzucił cezetkę zdobytą w bójce w metrze, po czym wyciągnął niewielkiego walthera P99 compact i dwa dodatkowe magazynki. Broń była czysta i dobrze naoliwiona, ale na wszelki wypadek sprawdził amunicję, zamek i bijnik. Resztę zostawił. Wiedział, że nie da rady jeździć niezauważony po Unii Europejskiej z takim arsenałem na plecach.

Będzie musiał zadowolić się pistoletem.

Otworzył apteczkę, opuścił spodnie, po czym usiadł na zimnej, brudnej posadzce. Popiskiwanie szczura w aluminiowych ścianach podkreślało, że warunki, w których się znajdował, są dalekie od idealnych. Przyjrzał się odniesionej ponad dobę temu ranie z zawodowym zainteresowaniem. Court jeszcze nigdy nie został postrzelony, choć doznał kilkunastu innych obrażeń. Owszem, noga bolała jak diabli, ale pamiętał większy ból po poparzeniach, złamaniach, odłamkach w szyi. Cóż, ryzyko zawodowe.

Polał obficie jodyną rany wlotową i wylotową. Rozdarł opakowania bandaży i kremu antyseptycznego, zmienił opatrunek najlepiej, jak w tych marnych warunkach się dało, po czym włożył rzeczy do niewielkiej torby. W drugiej torbie znalazł ekwipunek na chłodne dni. Przebrał się w grube sztruksy i poplamioną tłuszczem brązową bawełnianą koszulę, zarzucił na plecy płócienną kurtkę. Założył rękawiczki robocze, które od razu rozgrzały zziębnięte palce. Do tego skórzane buty turystyczne. Na głowę czarna czapka, z której dało się zrobić

kominiarkę. Pozapinał wszystkie torby, zostawił je w skrytce, zamknął drzwi, po czym wsiadł na motor.

Po kilku minutach był już na rozdrożu na południu miasta. Kilka godzin jazdy na zachód znajdowała się granica z Niemcami, potem z Francją, w końcu Normandia.

Warkot silnika zagłuszył jego ciężkie westchnienie. Z ust, zakrytych mikrofibrą kominiarki, wydobywała się para. Żeby to było tak proste. Niestety musi po drodze kilka razy zatrzymać się, żeby zdobyć trochę zaopatrzenia. Wiedział, gdzie znaleźć, co trzeba, ale z pewnością wydłuży mu to podróż o pół dnia.

Po pierwsze, potrzebował nowej przykrywki, podrobionych dokumentów. Miał paszport, z którym się dostał do Czech, i w ostateczności mógł próbować legitymować się nim w Europie Środkowej, licząc, że może nie wszystkie posterunki celne zostały w pełni skomputeryzowane i zintegrowane. Wolałby nie, bo jako Martin Baldwin, kanadyjski dziennikarz freelancer już raz przekraczał granicę. Tylko niepoprawny optymista lub kompletny dureń próbowałby pod tym nazwiskiem jeździć po Unii, a Gentry nie był ani optymistą, ani durniem. Ale bardziej niż na samym legitymowaniu się w UE – Bogu dzięki za strefę Schengen – zależało mu na dokumentach na tyle solidnych, żeby móc się jak najszybciej wydostać z Europy, kiedy tylko będzie po wszystkim. Doskonale wiedział, że po tym, co wydarzy się w Normandii, trzeba będzie zniknąć gdzieś bardzo daleko. A najlepszym sposobem na łatwą ucieczkę są nieskazitelne dokumenty.

Court znał kogoś na Węgrzech, kto bardzo szybko załatwiał takie papiery. Z idealnie sfalszowanymi papierami będzie mógł się sprawnie poruszać po UE, a gdyby z jakiegoś powodu po drodze musiał się wylegitymować, zrobi to bez obaw. A potem, po misji, porzuci broń i rzeczy, wskoczy do samolotu do Ameryki Południowej i polecą na którąś z wysp południowego Pacyfiku czy nawet, kurwa, na Antarktykę, jeśli zrobi się tak samo gorąco wokół niego, jak przez ostatnie dwa dni.

Po akcji w Normandii nie będzie miał czasu na bieganie w poszukiwaniu nowych dokumentów, a bez nich nie wyjdzie się z Europy.

Z zachodu wiał zimny listopadowy wiatr. Gentry skręcił na E65, trasę, która miała poprowadzić go do Brna. Wolał na razie nie przejeżdżać przez Austrię, więc postanowił udać się na Węgry przez Słowację, omijając Bratysławę. Stamtąd już

tylko rzut beretem do Budapesztu. Miał przed sobą sześć godzin jazdy, licząc kilka postojów na tankowanie i dwa praktycznie niestrzeżone przejścia graniczne.

Wcisnął gaz i pochylił się, wjeżdżając w zimne powiewy wiatru, a następnie zmusił się, do zastanowienia nad najbliższymi dwiema dobami. To był konieczny, choć ponury temat do rozmyślań, jednak o niebo przyjemniejszy niż to, co wydarzyło się w trakcie minionych czterdziestu ośmiu godzin.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gentry wjechał do stolicy Węgier o trzeciej po południu. Nad miastem wisiały gęste jasnoszare chmury, muskając zielone wzgórza Budy, znajdujące się na zachodnim brzegu dzielącego miasto Dunaju. Court był w Budapeszcie cztery lata wcześniej, na swojej pierwszej misji dla Fitzroya. Prosta prywatna przeciwko serbskiemu zabójcy, który podłożył bombę w lokalnej knajpce, aby zabić pewnego przemysłowca broni, ale przy okazji wysadził Amerykanina. Brat nieboszczyka miał forszę i związki ze światkiem przestępczym, więc bez problemu skontaktował się z sir Donaldem w celu dokonania zemsty. Nic prostszego: Fitzroy wysłał najnowszy nabytek do Budapesztu, gdzie ten znalazł rzeźzonego Serba w barze, napił go palinką, po czym potraktował nożem i cichaczem wrzucił w ciemne wody Dunaju.

Gentry znał też Budapeszt z dawnych czasów, kiedy pracował dla CIA. Przez prawie dekadę trafiał do niego co kilka lat. Śledził tu dyplomatów, przeczesywał dokumenty podejrzanych rosyjskich biznesmenów w posiadłościach w Budzie i w luksusowych hotelach w Peszcie. Kiedyś nawet przegonił stamtąd pewnego tadżyckiego zabójcę czyhającego na lokalnego rezydenta CIA, gdy nie było nikogo innego pod ręką, kto mógłby zająć się tą sprawą.

Podczas zleceń w tym mieście Court wielokrotnie natykał się na pewnego miejscowego oszusta, Lászlą Szabó. Była to niemoralna, chytra szuja, gotowa zrobić wszystko dla każdego, kto zamachał mu przed nosem wystarczająco grubym plikiem pomiętych węgierskich forintów czy innej waluty. Specjalizował się w fałszerstwie, kupował i sprzedawał wszelakie dokumenty, i modyfikował je dla tych, którzy chcieli szybko zmienić tożsamość. Pomógł kilkunastu ściganym za zbrodnie wojenne Serbom wydostać się z Europy Środkowej tuż przed tym, jak miał ich dopaść Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, a potem zarobił krocie, usuwając pozostałości po tej i innych wojnach. W 2004 roku naraził się samemu Gentry'emu, kiedy zgodził się wyrobić dokumenty pewnemu



czeczeńskiemu terrorystyście, który wymknął się Rosjanom z Groznego i trafił do Budapesztu. Court z bandą zbirów dopadli Czeczena na przedmieściach w magazynie należącym do Lászla. Skończyło się wielkim hukiem: w całym zamieszaniu wybuchła wanna chemikaliów fotograficznych fałszerza. Terrorysta zginął, Court i jego ekipa musieli zniknąć, zanim pojawiły się służby, a László zdołał czmychnąć.

Później wysyłano Courta za grubszymi rybami, ale nie zapomniał o Szabó. Starał się nie stracić na niego namiarów na wypadek, gdyby kiedyś potrzebował skorzystać z jego usług. Zazwyczaj do pozyskiwania dokumentów posiłkował się siatką sir Donalda Fitzroya, ale dobrze było mieć znajomego w Budapeszcie, który za odpowiednią cenę zmieni Courta w kogoś innego, przynajmniej na papierze.

Cóż, László Szabó to niepoprawne ścierwo, istna kanalia, co do tego Gentry nie miał cienia wątpliwości, ale wiedział też, że to równocześnie prawdziwy mistrz, artysta fałszerskiego fachu.

O wpół do czwartej Court zdążył już zatankować, kupić gyros i lemoniadę w tureckiej knajpce przy alei Andrásyego i zaparkować motor przecznicę od nory Lászla w Peszcie, około kilometra od modrego brzegu Dunaju. Z nieba leciały lodowate strugi deszczu, ale Gentry nie robił nic, aby się osłonić. Bolały go mięśnie po zbyt długim dniu, deszcz co prawda moczył mu włosy, brodę i ubranie, ale przynajmniej go pobudzał.

Wejście do budynku, w którym urzędował László, było ukryte. Zardzewiały kawał ledwo trzymającego się na zawiasach stopięćdziesięciocentymetrowego żelastwa, przyczepiony do kamienicy na ulicy Eötvös, pokryty był pożółkłymi i podartymi ulotkami i sprawiał wrażenie, jakby nikt tamtędy nie wchodził przynajmniej od drugiej wojny światowej. Kiedy jednak Court skończył jeść rozmokłą od deszczu i sosu tatziki pitę z kawałkami jagnięciny, drzwi jakimś cudem skrzypnęły i się otworzyły. Z budynku wyszło dwóch chudych ciemnoskórych mężczyzn. Court założył, że to pewnie Somalijczycy. Skoro przyszli do Lászla, to musieli przebywać w Europie nielegalnie. Gentry wiedział, jak łatwo w ostatnim czasie Afrykańczycy i mieszkańcy Bliskiego Wschodu mogli legalnie wyemigrować do Europy. Jeśli te mijające go w deszczu rzezimieszki nie załapały się na przyznawaną niemalże z urzędu wizę, to musiały z nich być rzeczywiście szemrane pojeby.

Po krótkiej analizie Gray Man stwierdził, że sam był obecnie bardzo poszukiwanym człowiekiem, więc w sumie to on był znacznie bardziej szemranym pojebem niż tych dwóch typów.

Uderzył w metalowe drzwi lewą dłonią. Prawą trzymał przy pasie w pogotowiu, gdyby musiał sięgnąć po ukrytego pod przemoczoną kurtką walthera. Po minucie i kolejnym pukaniu wciąż nie doczekał się odpowiedzi. W końcu wypatrzył przycisk domofonu w lewym górnym rogu framugi.

– Ej, Szabó, jesteś tam? Potrzebuję twojej pomocy. Mam kasę.

Z domofonu wydobył się cichutki głos:

– Referencje? – Akcent niewątpliwie węgierski, ale doskonała angielszczyzna. Ton: bezbrzeżna nuda, niczym sprzedawca w sklepie z farbami. Court był po prostu jednym z całej masy klientów, którzy chcą otrzymać informacje na temat dostępnego towaru.

– Jestem od Donalda Fitzroya. – Szabó nie pracował dla siatki, ale musiał wiedzieć, o kim mowa.

Po pauzie, która zdążyła zaniepokoić Courta, rozległo się bzyczenie zamka i kliknięcie otwieranych drzwi. Gentry ostrożnie popchnął żelastwo, skulił się, po czym wszedł do ciemnego korytarza i przemierzył jakieś piętnaście metrów w stronę światła. Dochodziło z kolejnych drzwi, które prowadziły do wielkiego warsztatu, łączącego laboratorium, bibliotekę i zakład fotograficzny. Był tam też László. Siedział przy biurku zwrócony twarzą do ściany. Odwrócił się na widok gościa.

Miał długie, sięgające za ramiona siwe włosy. Ubrany był bez polotu: czarne dzinsy i poliestrowa, rozpięta do połowy koszula odsłaniająca chudą klatkę. Miał sześćdziesiąt lat, ale to była sześćdziesiątka bloku wschodniego: z twarzy osiemdziesiątka, z krzepy trzydziestka. Pokłosie życia pełnego wysiłku fizycznego i trudności życiowych. Court pomyślał, że Węgier wygląda jak sędziwy rockman, który nadal uważa się za niezłe ciacho.

Długo wpatrywał się w Courta.

– Znajoma twarz – stwierdził. – Bez brody i deszczówki pewnie bym poznał?

Court wiedział, że Szabó nigdy go nie widział. W dwa tysiące czwartym, kiedy banda zbirów rozwalila mu melinę, miał na sobie kominiarkę, a cała akcja rozgrywała się w ciemności, była szybka i doprawdy oszałamiająca.

– Wątpię – powiedział Gentry, rozglądając się wokół w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń. Po ścianach, niczym bluszcz, pięły się kable. Pełno tu było stolików i półek ze sprzętem, pudłami i książkami. Wzdłuż ściany ciągnęły się zamknięte na klucz szafki na dokumenty, a w rogu było studio fotograficzne z prawdziwego zdarzenia: aparat na statywie wycelowany w stół na postumencie.

– Amerykanin. Na oko trzydzieści pięć lat. Wzrost sto osiemdziesiąt centymetrów, waga z siedemdziesiąt osiem kilogramów. Nie ma pan postawy żołnierza czy gliny, bardzo dobrze.

Court pamiętał co nieco z teczki fałszerza. Sowieci wyszkolili go w metodach dozoru elektronicznego, fałszerstwa i w innych sztukach. Szpiegował swoich dla Ruskich, grając na dwa fronty. Donosił Moskwie na rodaków, ale równocześnie bogatszym Węgom ułatwiał ucieczkę na drugą stronę żelaznej kurtyny. Jego rzadka, niechętna i niezwykle interesowna pomoc rodakom zdołała go uchronić przed nadzianiem się na czyjś nóż po upadku Związku Radzieckiego, ale Gentry czytał gdzieś, że wciąż zdarzało mu się oberwać w odwecie za dawne konszachty z Moskwą.

– Po prostu potrzebuję trochę twojego towaru. I to prędko – powiedział Court.

László wstał i sięgnął po laskę. Oparł się na niej ciężko, po czym ruszył w stronę gościa. Jego sylwetka była zdeformowana i mocno kulał; zupełnie inaczej niż pięć lat temu, kiedy Court widział go ostatnio. Wreszcie, po nieskończonym długim czasie Szabó stanął przed Courtem bardzo, bardzo blisko. Dotknął podbródka Amerykanina i kilka razy obrócił jego głowę, by przyjrzeć się obu profilom.

– Jakiego rodzaju towaru?

– Paszport. Czysty, niepodrabiany. I to teraz. Zapłacę ekstra za fatygę.

László pokiwał głową.

– Co tam u Norrisa?

– Jakiego Norrisa?

– Mam na myśli oczywiście szanownego syna sir Donalda Fitzroya.

– Czyli Phillipa?

– Ach, tak. A czy sir Donald wciąż ma domek letniskowy w Brighton?

– Naprawdę nie wiem.

– Muszę przyznać, że ja też nie. – Szabó wzruszył ramionami.

Court niecierpliwił się.

– Rozumiem potrzebę sprawdzenia mnie, ale mi się śpieszy.

Szabó pokiwał głową, po czym pokuśtykał do niewielkiej ławeczki, jednej z dwunastu w tym pomieszczeniu. Każda stała przed osobnym stolikiem z komputerami, mikroskopami, papierami, aparatami i innym sprzętem.

– Fitzroy ma własną siatkę – powiedział Węgier. – Ma ludzi od dokumentów. Dlaczego miałbyś pan nawiedzić melinę Lászla?

– Bo potrzebuję kogoś naprawdę dobrego. I naprawdę szybkiego. A każdy wie, że ty jesteś najlepszy.

Stary Węgier pokiwał głową.

– Może i podlizujesz się pan, ale i masz rację. László jest najlepszy. – To mówiąc, odprężył się. – Dostaniesz pan śliczne papiereczki. Możesz pan mnie pochwalić Fitzroyowi. Polecić Lászla, rozumiesz pan.

Doświadczenie nauczyło Courta gardzić tymi, którzy zwykli mówić o sobie w trzeciej osobie. Ale wiedział też, kiedy należy wykazać się uprzejmością.

– Jeśli w godzinę będę mógł stąd iść z czystymi papierami, to z radością pana polecę.

Szabó wydawał się zadowolony. Pokiwał głową.

– Ostatnio wszedłem w posiadanie kolekcji paszportów belgijskich. Nowe numery seryjne, nikt nie zgłosił kradzieży. Całkowicie prawidłne.

Court zdecydowanie zaprzeczył.

– Nie ma mowy. Dwie trzecie kradzionych paszportów na rynku pochodzi z Belgii. To z góry podejrzone. Potrzebuję czegoś mniej oczywistego.

– Fiu, fiu, a więc znasz się pan na rzeczy. Szanuję, szanuję... – László wstał, wsparł się na lasce i pokuśtykał do kolejnego biurka. Postukał palcami w nieduży notes pokryty zapiskami ołówkiem. W końcu podniósł wzrok i powiedział: – Tak... Ujdiesz pan jako Nowozelandczyk. Od jakiegoś czasu leżą u mnie paszporty z Nowej Zelandii. Ostatnio większość moich klientów jest z Afryki czy innej Arabii... W każdym razie na Nowozelandczyków się nie nadają. Prawda, młode to one nie są, ale László potrafi odświeżyć numererek seryjny, nie zadrapując hologramku. Nie ma mowy, żeby je wyśledzili.

– No dobra.

Szabó usiadł i wydał z siebie westchnienie. Widać zmęczył go ten ruch.

– To będzie pięć tysięcy eurasków.

Gentry pokiwał głową, wyciągnął forszę z plecaka, pokazał Węgrowi, ale jeszcze ich nie dał.

– A co z wyglądem? Mogę cyknąć fotkę ot tak albo możemy zrobić coś bardziej profesjonalnego.

– Wolałbym się najpierw odświeżyć.

– Proszę bardzo. Mam prysznic, żyletkę, marynarkę i krawacik, będą pasować jak ulał. Pan się przygotowuje, a László pobawi się papierkami.

Court szedł korytarzem. Woń pleśni i ludzkiego smrodu zaprowadziła go prosto do łazienki. Obok kabiny prysznicowej przygotowane było mydło, żyletki i nożyczki, wszystko to, czego potrzebują szpiedzy, nielegalni imigranci i kryminaliści, aby przez chwilę ukryć swoją parszywość i zapozować do zdjęcia, na podstawie którego gliny i celnicy mieli zobaczyć w nich małego lorda Fauntleroya. Gentry pierwszy raz od trzech miesięcy zgolił brodę. Położył walthera na półeczce obok szamponu i żyletek. Kiedy skończył, dokładnie pozbierał resztki brody. Każdy brązowy włos był cennym dowodem DNA, a zatem więcej czasu spędził, sprzątając brodę, niż ją goląc.

Zaczesując mokrą, brązową czuprynę na prawo (wiedział, że przedziałek zniknie, kiedy tylko włosy mu wyschną), przyglądał się swemu odbiciu. Postarzał się, słońce, wiatr i życie pozostawiły ślady na skórze. Zauważył, że schudł od początku misji w Syrii, a pod oczami pojawiły się niewielkie worki.

Kiedyś, gdy miał dwadzieścia sześć lat, wytrzymał cztery dni bez zmrużenia oka. Śledził wrogiego agenta w Moskwie, jechał za celem aż do jego daczy na rosyjskim zadupiu, gdy dwudrzwiowa, gówniana łada Courta rozkraczyła się na śniegu. Gray Man musiał cały czas iść, nie przystając ani na chwilę w obawie przed zamarznięciem.

Teraz, dziesięć lat później, obawiał się, że po ostatnich czterech dobach wyglądał gorzej niż wtedy, kiedy ekipa eksfiltracyjna w końcu wyciągnęła go ze śniegu w stanie hipotermii i wsadziła do helikoptera.

Wyschnąwszy, włożył przemoczone deszczem spodnie. Uważał, żeby nie poruszyć mokrego bandażu na udzie. Zapiął pasek, włożył skarpetki i buty. Wdział

białą, elegancką koszulę przygotowaną przez Węgra. Kołnierzyk był za mały, ale jakoś udało mu się zawiązać tani krawat na szeroki węzeł, który zakrywał rozpięcie przy szyi. Niebieska, wydawałoby się tekturowa marynarka wybrzuszała się na plecach. Nawet nie próbował jej zapiąć. Wsunął splotkę za pas, wrzucił kilka zapasowych magazynków i zestaw narzędzi do kieszeni, po czym wrócił do laboratorium Łászla.

Szabó siedział na wózku inwalidzkim przy stoliku, nachylając się z żyletką nad otwartym paszportem. Podniósł wzrok i dłuższą chwilę przyglądał się klientowi.

– Cóż za metamorfoza.

– Yhy...

– Usiądź pan do zdjęcia, zapraszam. – Na niebieskim tle, spływającym z sufitu, na podwyższeniu stał niewielki plastikowy stołek. Naprzeciwko, na stojaku, umocowany był aparat cyfrowy, podłączony do umieszczonego nieopodal komputera.

Court wszedł na puste drewniane podwyższenie i usiadł na stolku. Poprawił marynarkę i krawat. Szabó siedział na wózku za aparatem.

– Jeszcze musimy wymyślić, jak się pan będziesz nazywał. Jakies dobre nowozelandzkie nazwisko – zamyślił się Szabó.

– To już zależy od pana. Cokolwiek się nada.

Błysk lampy. Gentry wstał.

– Jeszcze kilka, poproszę.

Usiadł z powrotem.

– Wiem, jak się pan możesz nazywać. Ale nie wiem, czy pan się ucieszysz.

– Naprawdę, wszystko mi jedno...

– Efekciarsko. Wystrzałowo. Tajemniczo...

– No nie wiem, czy akurat...

– Co pan powiesz na Grayman?

Gentry gapił się bez wyrazu w aparat. Lampa znów błysła.

O kurwa.

Szabó łypał na niego parszywie.

Gentry wstał.

Nagle poczuł, że coś się pod nim poruszyło. Przeniósł ciężar ciała na stopy, ale pięty zaczęły lecieć w dół. Zanim zareagował, jego ręce poderwało do góry, pożyczona marynarka podjechała mu wyżej, uwierając w szyję, i zobaczył własne kolana. Spadał do tyłu wraz z plastikowym stołkiem. Światło zostało w górze, a on osuwał się w ciemność, lądując na boku na czymś miękkim i mokrym.

Choć miał amortyzację, chwilę zajęło mu złapanie oddechu. W końcu skoczył na równe nogi, wyciągnął zza pasa spluwę i okręcił się z nią, żeby zmierzyć się z ewentualnym niebezpieczeństwem i równocześnie rozeznać w terenie.

Był w wyłożonym cegłami dole, czymś w rodzaju starodawnej cysterny. Spojrzał do góry. Musiał spaść jakieś cztery metry. Zanim zdążył go złapać, stołek, przyczepiony do długiego, cienkiego łańcucha, powędrował do góry. W końcu zniknął w otworze, przez który wpadł. Następnie pułapka została zamknięta pleksiglasową pokrywą, zostawiając go w wilgotnej studni.

Przez plastik dostrzegł głowę Szaba. Węgier uśmiechał się złośliwie.

– No chyba, kurwa, kpisz! – krzyknął mocno zdenerwowany Gentry.

– Zakładam, że jesteś pan uzbrojony. Jak wszystkie bestie. Ale mocno bym się zastanowił, zanim próbowałbym tu strzelać. – Węgier stuknął końcem laski w przezroczystą osłonę. – Pięć centymetrów utwardzonego pleksiglasu. Oberwałbyś pan rykoszetem. – Puknął się w czoło kościstym palcem. – Nie bądź pan głupi.

– Nie mam na to czasu, Szabó!

– Bynajmniej. Wiem, że zostało go panu... troszeczkę. – To mówiąc, László zniknął z pola widzenia.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gentry zerwał z siebie marynarkę i koszulę i rozejrzał się wokół. Podłóże – okrągłe, o przekątnej liczącej mniej więcej dwa metry, chyba stara studzienka. Obła ściana kamiennego cylindra, w którym się znajdował, wydawała się za śliska, zbyt porośnięta pleśnią czy innym grzybem, żeby się po niej wspinać. Materac, na który spadł, cuchnął zgnilizną. I coś tu było nie tak z odprowadzaniem wilgoci. Zajrzał pod matę i odkrył starą żeliwną rurę. Dotknął jej. Ciepłutka. Budapeszteńskie termy to znana atrakcja turystyczna. Tą rurą pewnie płynęła gorąca źródłana woda z jednej lokalizacji do drugiej. Tak, była w niej woda, trochę kapąło i parowało w miejscu, gdzie rura znikła w ścianie. Court rozejrzał się w górę i na boki. To byłoby wyjątkowo podłe miejsce na śmierć.

Po dziesięciu minutach wrócił Szabó. Stał nad Courtem i się uśmiechał.

Gentry zaczął:

– Cokolwiek masz zamiar zrobić...

– Pamiętam cię, bratku. Myślałeś, że mógłbym zapomnieć? Dwa tysiące czwarty. Superspecjalna drużyna A. CIA.

Court wiedział, że Szabó nie widział jego twarzy w dwa tysiące czwartym. Ale i tak odkrzyknął:

– Zgadza się! I moja ekipa dobrze wie, że tu jestem!

– Jakie to żałosne. Wiem, że już dla nich nie pracujesz.

– A gdzieżeś to usłyszał?

Sześćdziesięciolatek zniknął na chwilę. Po minucie położył kartkę na pleksiglasie, dwa metry nad głową więźnia, tak by mógł przeczytać. Gentry zobaczył własną twarz. To była stara fotka zrobiona przez CIA na potrzeby fałszywych papierów. Nad zdjęciem widniał napis: „Ścigany przez Interpol. Do przesłuchania”. Tylko zdjęcie i opis. Żadnego nazwiska.



– Amerykańscy agenci siedzieli mi w aucie przed siedzibą siedem dni w tygodniu jeszcze okrągły rok po tym, jak, że tak powiem, „zrezygnowałeś” z pracy u nich. Naprawdę wierzyli, że zgłosisz się do Łászla o pomoc. Panie Gray Man, ile mi napsuli interesów!

– Szabó... Sprawa jest poważna. Nie oszukujmy się: znam cię. Jestem w stanie zapłacić ci za wyciągnięcie mnie na powierzchnię. Podaj cenę. Zlecę, aby przesłano ci kupę forsy...

– Sir Donald nie da rady kupić ci wolności. Nie chcę jego forsy.

Gentry spojrzał na Węgra.

– Nie chciałbym zranić kaleki – syknął.

– To właśnie przez ciebie jestem kaleką!

– Co ty wygadujesz?

– Wystrzelałeś mi ciemnię. Myślałeś, że zapomnę?

– Do ciebie nie strzelałem.

– Nie, ale strzelaliście w Czeczena. A przy okazji trafiliście w kontener z nadsiarczanem amonu. Przewróciliście proszek do wanny z wodą z aluminium i... bum! Czeczen skapywał z sufitu, a biednego, bezbronnoego Łászla poparzyło, a od wdychania tych trujących oparów ma teraz biedaczyna niedowład dolnej części ciała.

O kurwa, pomyślał Court, po czym wzruszył ramionami.

– No i czyja to ma być wina? Pomagałeś terroryście przedostać się na Zachód. CIA powinna mnie wysłać z powrotem, żeby cię dobić.

– Może i powinna. Ale udało mi się zaprzyjaźnić z miłymi panami z CIA. Najpierw nachodziło mnie FBI, potem zastąpiło je CIA. To od nich wiem, że to ty przewodziłeś grupie, która wysadziła mi magazyn i uszkodziła nogi. Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale ostatnimi czasy tutejsza rezydentura CIA jest z Łászlem w bardzo dobrej komitywie.

– Dlaczego miałbym w to nie uwierzyć? Zawsze współpracowałeś, z kim popadnie.

– Sądzę, że nasze relacje będą jeszcze lepsze, bo zadzwoniłem do nich i oznajmiłem, że mam cię pod kluczem. Właśnie po ciebie lecą.

Twarz Courta drgnęła.

– Powiedz mi, że tego nie zrobiłeś.

– A i owszem. Przehandluję cię CIA w zamian za małe odprężenie w relacjach. Przekazanie im najbardziej poszukiwanego człowieka jeszcze bardziej ułatwi László żywot.

– Kiedy tu będą?

– A tak za jakieś dwie godzinki. Kierownik rezydentury przysłała helikopter kawalerii z Wiednia, żeby cię aresztować. Powiedziałem im, że twoja reputacja jest mocno na wyrost. W końcu stareńki, słabiutki László dał sobie radę całkiem sam. Ale go nie przekonałem. Z jakiegoś powodu postanowili wysłać duży oddział po ciebie. Cóż, będziesz musiał jakoś przeczekać...

– László, słuchaj uważnie, bo...

– Ulala! Patrzcie go, jak się trzęsie. Fiu, fiu! Gray Man drży jak mała...

– Przecież oni nie wysyłają ekipy, żeby mnie aresztować. Wysyłają zespół od brudnej roboty. Jest nakaz, żeby do mnie strzelać bez ostrzeżenia. I nie spodziewaj się, że kiedy przyjdą rozerwać mi dupę, to zostawią przy życiu świadka. Oni inaczej pracują.

László przechylił głowę. Chyba rozważał sprawę.

– Nie zrobią mi krzywdy. CIA mnie potrzebuje.

– Byłeś im potrzebny, dopóki do nich nie zadzwoniłeś, ty durny skurwysynu!

Widać było, że Szabó się zdenerwował.

– Dosyć tego gadania! Jeśli naprawdę myślisz, że przychodzi po ciebie kostucha, to spędź ten czas, błagając Pana Boga, by ci wybaczył liczne grzechy! – krzyknął.

– Ty też!

Po tych słowach pomarszczona i zdezorientowana twarz Węgra zniknęła nad pleksiglasowej klapy.

\* \* \*

O trzeciej po południu czasu angielskiego zadzwonił telefon sir Donalda Fitzroya. Lloyd przycisnął tryb głośnomówiący, choć nie było to połączenie z telefonu satelitarnego Gentry'ego.

– Tu Cheltenham Security.

– Dzień dobry, sir Donaldzie. Dzwonię w niezwykle ważnej sprawie.

– Znam pana?

– Wątpię, żeby nasze drogi się kiedyś zeszły. Ale może pan do mnie mówić per Igor.

Fitzroy tracił cierpliwość do dzwoniącego. Miał wystarczająco dużo kłopotów, żeby nie starać się być miłym w rozmowie z jakimś mówiącym z mocnym akcentem prawnikiem.

– A pan może do mnie mówić, jak chce, ale nie jestem zainteresowany. Jeśli ma pan do mnie prawdziwy interes, to może pan, do cholery, skontaktować się z moją sekretarką i umówić na spotkanie.

– Tak... No cóż, Gray Man zdaje się sądzić, że reprezentuje sobą prawdziwy interes. Prosił, abym do pana zadzwonił. Twierdzi, że suto mnie pan wynagrodzi za jego bezpieczny powrót.

– Masz przy sobie Gray Mana?

– A i owszem.

– Z której ekipy jesteś?

– Jakiej ekipy? Drogi panie, ja sam sobie ekipą...

Fitzroy i Lloyd wymienili spojrzenia. Lloyd wyciszył mikrofon.

– To chyba nie jest nikt z naszych.

Sir Donald włączył z powrotem mikrofon.

– Daj go do słuchawki.

– Obawiam się, że w tej chwili nie jest to możliwe.

Lloyd znów wyłączył mikrofon. Zwrócił się do Techa siedzącego przy arsenale komputerów na ścianie.

– Dzwoni z Budapesztu, konkretnie z Pesztu. Ale ma jakieś oprogramowanie maskujące. Spróbuję to przełamać – powiedział młody człowiek.

Lloyd spojrział na wielką mapę na monitorze.

– Co Court, do kurwy nędzy, robi w Budapeszcie?

Fitzroy nie zważał na rozdrażnionego Amerykanina i kliknął głośnik na środku stołu, znów włączając mikrofon.

– Cóż... Igorze. Mogę być zainteresowany twoimi żądaniami, ale muszę mieć pewność, że mój człowiek rzeczywiście znajduje się pod twoją opieką.

– Jednym z głównych problemów tego świata jest to, że nikt już nie ma do siebie zaufania. Ale dobrze, sir Donaldzie. Proszę poczekać chwilkę. Już nie ruszam się tak szybko, jak kiedyś. – Przez prawie minutę z głośnika dochodziły chrzęsty i sapanie. W końcu jednak usłyszeli: – No dobra, panie Fitzroy. Można gadać.

– Hej, synu, jesteś tam?

Dobiegł ich głos Gentry'ego, ale tak jakby mówił z oddali albo był czymś wygłuszony:

– Zadzwoił do CIA! Za mniej niż półtorej godziny przyjdą mnie zabić, Don! Jestem w głębokiej...

W głośnikach znów szumiało i stukało. W końcu na linię wrócił poprzedni, mówiący z charakterystycznym akcentem, głos:

– Daję panu godzinę. Proszę przesłać mi pięćset tysięcy euro i wypuszczę chłopaczka na czas, żeby uniknął konkurencji. Podaję numer konta. Ma pan coś do pisania?

Po minucie rozmowa się zakończyła. Fitzroy i Lloyd zerknęli na Techa. Młodzieniec z kolczykiem w nosie potrząsnął głową.

– Wiemy tylko tyle, że to Budapeszt, szósta dzielnica. Ale nie dałem rady tego bardziej przybliżyć. Wiecie, ile tam jest telefonów? Mógł dzwonić z każdego.

Lloyd był zirytowany, ale tego nie okazywał.

– Kogo on zna w Budapeszcie? – zapytał swego więźnia.

Fitzroy podrapał się w głowę i wzruszył ramionami.

– Myśl, do cholery! Z kim on mógłby się tam widzieć?

Sir Donald podniósł wzrok.

– Szabó! Nie należy do mojej siatki. To stary fałszerz, dawno temu pracował dla Ruskich.

– Znasz adres?

– Mogę poznać.

– Najbliższa ekipa jest w Wiedniu. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów od nich. Nie ma szans, żeby w godzinę się tam znaleźli. Będzie trzeba zapłacić Szabó, żeby nie dał mu wpaść w łapy CIA.

Fitzroy pokręcił sceptycznie głową.

– Zapomnij. Szabó to zmija. Skoro wezwał CIA, to po to, żeby się im podlizać. Do mnie zadzwonił tylko dlatego, że Gentry powiedział mu, że zapłacę. Łászló Szabó weźmie moją forszę, a potem i tak go wyda CIA. Prędzej wyrucha mnie niż ich.

– Czy CIA najpierw aresztuje Gentry’ego, czy go zabije?

– Nie ma różnicy. Jeśli go zabiją, to zatrą po sobie ślady. Minie ładnych kilka tygodni, zanim ktoś w ogóle znajdzie ciało. Abubaker nie podpisze z wami kontraktu tylko dlatego, że mu powiemy, iż Gentry skonał. A wtedy wymordujecie mi rodzinę tak samo, jak gdyby pozostał przy życiu.

– A więc mamy mniej niż godzinę, żeby nasi chłopcy dotarli do meliny Szabó i załatwili sprawę, zanim zrobi to CIA.

\* \* \*

Gentry’ego bolała szyja od ciągłego gapienia się w pleksiglasowy sufit. Usłyszał obok pokrywy jakiś hałas, więc krzyknął:

– Jak zamierzasz mnie stąd wydostać, zanim agenci CIA nas obu pozabijają?

W dziurze ukazała się pomarszczona twarz Szabó.

– Jak tylko dostanę pieniądze od sir Donalda, wydostanie się stąd jedna osoba: ja.

– Fitzroy cię zabije, jeśli go wykiwasz.

– Oj tam, oj tam. Nadal mam kilku koleżków na wschodzie. I tak czekałem na okazję, żeby stąd spadać. A pół miliona eurasków to miła sumka na nowy początek.

– Słuchaj – nalegał Court. – Rzecz się toczy o większą stawkę, niż zdajesz sobie sprawę. Porwano pewną rodzinę, w tym dwie dziewczynki, ośmioletnie bliźniaczki. Zginą, jeśli nie dotrę na czas do Francji. Przysięgam, że jak mnie wypuścisz, to dostaniesz pieniądze i wszystko, czego tylko zapragniesz...

– Mówisz, że dwie małe dziewczuszki?

– Tak.

– Zginą?

– Nie zginą, jeśli uda mi się...

Łászló zaśmiał się złowrogo.

– Pomyliłeś mnie pan z kimś, kto ma duszę. A moją duszyczkę Ruscy wycięli chirurgicznie jakieś trzydzieści pięć lat temu. Naprawdę mam to gdzieś – powiedział, po czym zniknął z pola widzenia Gentry’ego.

\* \* \*

Lloyd zadzwonił do Riegla. Zastał go w paryskim, pokrytym tekową boazerią gabinecie. Niemiec odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Ma pan ludzi w Budapeszcie? – zapytał Amerykanin.

– Ja mam ludzi wszędzie.

– Najlepszych?

– Nie, tylko kilku artystów chodnikowych. Mógłbym załatwić kilku niższej klasy strzelców, ale po co? Czy w ciągu ostatnich dwunastu godzin nie dostarczyłem wam wystarczająco wysoko wykwalifikowanych zabójców? Przecież Gray Man nie mógł ich wszystkich wykończyć tak szybko! – odpowiedział, kpiąc z młodego prawnika.

– Wysłaliśmy wszystkie zespoły na zachód. A Gentry pojechał na południe, na Węgry. Wygląda na to, że chciał sobie załatwić paszport, żeby uciec z Europy po akcji w Normandii.

– Roztropnie. Zdecydowanie zbyt optymistycznie, ale roztropnie.

– No cóż, wcale na dobre mu to nie wyszło. Fałszerz w Budapeszcie go wykiwał. Zamknął. Właśnie dzwonił do sir Donalda, żądając okupu.

– Niech zgadnę... To László Szabó?

– Skąd pan wie?

– Powiedzmy, że nie da się wymienić jednym ciągiem „Budapesztu” i „wykiwania” bez napomknięcia o „Szabó”.

– Da się wysłać kogoś do jego siedziby w Peszcie?

– Oczywiście. László jest sam czy ma jakąś ochronę?

– Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Szabó równocześnie wydał Courta CIA. Ich ekipa właśnie tam jedzie. Prawdopodobnie będą tam za jakąś godzinę.

Riegel westchnął. W jego głosie słychać było rezygnację.

– Jeśli wpadnie w ręce CIA, to można się pożegnać z kontraktem z Lagos. Jeśli oni go dorwą, to nie będzie jak udowodnić Abubakerowi, że nie żyje.

– Dlatego do tego nie dopuścimy, prawda?

– A więc mam wysłać ekipę na strzelankę z amerykańskim wywiadem? Oszalał pan?

– CIA pomyśli, że to ludzie Gentry'ego albo pomagierzy porywacza. Jeśli ci goście nadają się do czegokolwiek, to nie pobędą tam na tyle długo, żeby się tłumaczyć.

Riegel się zamyślił, a kiedy w końcu przemówił, Lloyd odniósł wrażenie, że formułował plan w chwili, kiedy słowa wychodziły z jego ust.

– Ekipa z Indonezji właśnie leci nad Europą. Mają lądować we Frankfurcie, ale powinni teraz być gdzieś w tamtych okolicach. Może uda nam się w godzinę zmienić trasę, wylądować i dowieźć ich do miasta. Tak ledwo, ledwo, ale to nasza jedyna szansa.

– A są dobrzy?

– Tak. Kopassus, grupa czwarta. Najlepsi strzelcy Dżakarty. A teraz ruszam do pracy.

\* \* \*

Kapitan Bernard Kilzer odczytał dane z radiowysokościomierza. To był nowiutki, wynajęty model Wolfsburga; nie do końca go znał, zwykle latał innym. Teraz kierował się na północny zachód, na wysokości ponad jedenastu kilometrów nad ziemią. Ten bombardier challenger 605 to było prawdziwe cacko, wyposażone w technologię FBW. Ciężka na nim jako na pilocie olbrzymia odpowiedzialność i miał dużo obowiązków, ale akurat w tej chwili, siedem godzin od początku dziewięciogodzinnego kursu z Nowego Delhi do Frankfurtu, on i drugi pilot mieli niewiele do roboty poza niezaśnięciem, pilnowaniem systemów pokładowych i przyglądaniem się popołudniowemu niebu.

Obaj piloci byli w powietrzu od szesnastu godzin. Zaczęli w Dżakarcie o drugiej czasie miejscowego. Lecieli na zachód, zatankowali w Nowym Delhi, a potem natychmiast wrócili w przestworza.

Kapitan Kilzer i drugi pilot, pierwszy oficer Lee, latali z szefami LaurentGroup po całej Azji Południowo-Wschodniej. Przewozili też pracujących dla firmy naukowców, kluczowy personel IT, kogokolwiek, kto musiał się znaleźć w jednej z piętnastu siedzib firmy od południa Japonii po wschodnie wybrzeże Indii. Poza

obsługiwaniem ściśle firmowych lotów Kilzer i Lee wozili też szefostwo wraz z małżonkami na wakacje na tropikalne wyspy albo na wykwintne imprezy w Brunei, wyprawiane przez sułtana. Kiedyś nawet zdarzyło im się transportować ważnych klientów firmy wraz z filipińskimi prostytutkami na prywatną wyspę zamieszkaną prawie wyłącznie przez francuskich kucharzy i szwedzkich masażystów na tydzień leniwej rozpusty.

Kilzer miał już na pokładzie wszelkiego rodzaju pracowników LaurentGroup, ale nigdy dotąd takich typów jak teraz. Za nim w kabinie siedziało sześciu Indonezyjczyków. Wyglądali na młodych żołnierzy, ale ubrani byli po cywilnemu. Dok bagażowy challengeera pełen był zielonych płóciennych plecaków. Przez większość czasu pasażerowie milczeli. Kiedy przechodził z kokpitu do toalety, Kilzer zerkał do ośmioipółmetrowej kabiny i widział ciemność upstrzoną tylko pojedynczymi błyskami latarek LED-owych. Część mężczyzn ślęczała nad mapami, inni spali. Wydawali się zdyscyplinowaną bandą zmierzającą na jakąś ważną misję. Kilzer nie miał pojęcia, dlaczego akurat jemu kazali z nimi lecieć.

Łysy trzydziestoosmioletni niemiecki pilot sięgnął po pudełko z jedzeniem, kiedy błysnęło światelko na konsoli wielofunkcyjnej.

– Połączenie z ziemi do ciebie, z siedziby głównej, na bezpiecznej linii – powiedział drugi pilot.

– Tak jest. – Kilzer przerwał posiłek i kliknął przycisk na środkowej konsoli, żeby połączenie miał tylko on.

– Tu November Delta Three Zero Whiskey, odbiór.

– Tu Riegel. Słyszysz mnie?

Kilzer wiedział, że Riegel to wiceprezes od bezpieczeństwa firmy. Niemiec miał reputację twardego skurwysyna. Nagle pilot pojął naturę misji, na którą lecieli napakowani młodzieńcy w jego kabinie.

– Głośno i wyraźnie, proszę pana. W czym mogę pomóc?

– Jak daleko jesteście od Budapesztu?

– Proszę poczekać. – Kilzer zwrócił się do drugiego pilota, Azjaty: – To Riegel. Chce wiedzieć, jak daleko mamy do Budapesztu.

Pierwszy oficer Lee sprawdził lokalizację w systemie nawigacji. Wpisał coś na keypadzie po lewej, po czym odpowiedział:



– Sto siedem kilometrów, południe, południowy wschód i dwanaście kilometrów ponad.

Kilzer przekazał.

– Nastąpiła pewna zmiana planów. Musicie jak najszybciej wylądować – odpowiedział Riegel.

Kapitan poczuł strużkę potu spływającą mu po karku. Nie uśmiechało mu się odmawianie szefowi ochrony.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale to niemożliwe. Nie mamy w planie lotu na Węgry. Narazimy się na poważne problemy z kontrolą celną i bezpieczeństwa.

– Nie mów mi, co jest możliwe, a co nie. Masz wylądować tym samolotem, dać Indonezyjczykom ich sprzęt, a potem stamtąd spierdalać.

– Ale jak mamy się dostać na ziemię? Jeśli wylądujemy bez autoryzacji, to trafimy do więzienia, a jeśli... – próbował negocjować kapitan.

– Powiedz, że to nagły wypadek. Na pewno znajdziesz powód, żeby wylądować, gdzie tylko chcesz. Jeśli cię wezmą na spytki, to cię wykupię. Post factum damy radę dogadać się z Węgrami. O to się nie martw. Zadbaj tylko, żeby Indonezyjczycy jak najszybciej wydostali się z samolotu.

– Na Ferihegy jest ścisła kontrola, otoczą samolot, a my...

– No to tam nie ląduj. Znajdź jakieś małe lotnisko w pobliżu, wyląduj i wypuść panów. Zrozumiano?

Kapitan gorączkowo przeglądał strony na wyświetlaczu wielofunkcyjnym. Przeczesał wszystkie tabelki z wykazem lotnisk lokalnych.

– Tököl jest czterdzieści minut autem od centrum stolicy. Ma wystarczająco długi pas.

– To za daleko! Indonezyjczycy muszą się tam znaleźć w mniej niż godzinę!

Kilzer wciąż szukał.

– Jest jeszcze Budaörs, dwadzieścia minut od centrum, ale pas jest nieutwardzony. No i za krótki.

– Jak to za krótki?

– Samolot z takim załadunkiem potrzebuje tysiąca metrów utwardzonego lotniska przy idealnych warunkach. Pas na Budaörs ma dokładnie tysiąc metrów,

ale obecnie jest straszna ulewa plus, jak wspomniałem, nie jest utwardzany. To będzie lądowanie w kałuży błota!

– No to ugrzęźnicie, zanim skończy się wam pas. Wylądujcie tam!

– Żąda pan od nas rozbicia się! To będzie bardzo niebezpieczne!

– W prawdziwym niebezpieczeństwie to się znajdziesz, jeśli nie wylądujesz na Budaörs. Zrozumiano?

Kilzer zazgrzytał zębami.

– Przyślę po nich autobus z kierowcą – powiedział Riegel.

– Proszę pana! Muszę podkreślić raz jeszcze, że nie obędzie się bez incydentu międzynarodowego.

– Tym to ja się zajmę.

– Tak jest.

Kilzer się rozłączył. Sfrustrowany mocno zacisnął ręce na kolumnie sterowej.

– Co się dzieje? – zapytał drugi pilot.

– Cóż, Lee... Wygląda na to, że właśnie pomagamy Indonezji napaść na Węgry.

Pierwszy oficer pobladł.

– Ale dupek z tego Riegla.

– *Ja* – odparł Kilzer. Następnie przycisnął kilka przycisków na środkowej konsoli, wyłączył autopilota i powoli popchnął sterownicę.

Zaczął mówić do mikrofonu:

– *Mayday, mayday, mayday!* Tu November Delta Three Zero Whiskey...

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przez następną godzinę László Szabó co piętnaście minut sprawdzał na komputerze stan szwajcarskiego konta, którego numer podał Fitzroyowi. W przerwach pomiędzy logowaniami pakował walizkę, wypełniając ją niezbędnymi do podróży przedmiotami, i zamówił luksusową limuzynę, aby o szesnastej trzydzieści czekała przed jego kamienicą i zawiozła go na lotnisko. Zakupił też bilet w pierwszej klasie do Moskwy, a następnie zadzwonił do mieszkającego tam kumpla, by załatwił mu odbiór z lotniska.

Mimo że był zajęty, wciąż raz po raz kuśtykał i patrzył przez pleksiglas na swoją zdobycz. Gray Man siedział bez koszuli w zimnej dziurze, oparty plecami o śliską ścianę, i gapił się przed siebie.

László nic sobie nie robił z tego, że zostawia młodego człowieka na pewną śmierć, ani z tego, że bierze pół miliona euro od sir Donalda i nie zamierza wywiązać się z umowy. Nie przejmował się też ani trochę idiotyczną próbą przekonania go przez więźnia, że jeśli jego naprędce sklecony plan się powiedzie, mogą zginąć jakieś dwie niewinne dziewczynki. Co prawda, nie urodził się socjopata, ale było to coś, czego się nauczył. Kierował się zasadami siania nieporządku z taką samą pieczołowitością i przywiązaniem do szczegółów, jak przy podrabianiu dokumentów.

Nie kłamał, mówiąc, że to Rosjanie pozbawili go duszy. Bardzo długo wiódł życie kapusia. Pomagał miejscowej opozycji antykomunistycznej uciec z kraju, a następnie na nich donosił, zdradzając trasy, którymi udawali się na zachód. Przez tyle lat pracował dla wszystkich możliwych stron rozlicznych rozgrywek, że nie odróżniał już dobra i zła, interesowało go wyłącznie to, co przyniesie mu największą korzyść, i jak negocjować, jeśli pojawią się przeszkody.

Dokładnie po godzinie od przekazania numeru sprawdził konto. Pieniądze nie zostały jeszcze przelane. Zadzwonił więc do Fitzroya, który twierdził, że jego bank się opóźnia. Poprosił go, żeby poczekał parę minut, że pieniądze już są w drodze.

László wyczuł, że coś tu śmierdzi, i zaczął się odgrażać, że własnoręcznie wpakuje Gray Manowi kilka kulek w czachę, jeśli nie otrzyma natychmiast kasy. Następnie zmienił taktykę i zaczął tłumaczyć Anglikowi, że CIA wyciągnie od jego najlepszego zabójcy najdrobniejsze szczegóły, czym naprawdę zajmuje się Cheltenham Security Services. Odgrażał się też, że w kilka dni od przekazania znajdującego się w jego dole jegomością Amerykanom sam Fitzroy znajdzie się na dnie.

W końcu László dał się przekonać Anglikowi, że powinien dać mu jeszcze kwadrans, spojrzął na więźnia w dziurze, a następnie zadzwonił do czekającego na dole kierowcy, aby nie odjeżdżał i nie wyłączał silnika.

Szabó przez sześćdziesiąt lat balansował na krawędzi. Wiedział, że jeśli CIA go tu zastanie, to na pewno zginie. Ale wiedział też, że to jedyna szansa, aby mógł zacząć swoje nowe, dostatnie życie w Rosji.

\* \* \*

Kapitan Bernard Kilzer powoli zwrócił głowę w stronę pierwszego oficera Lee. Fala potu z czoła zalała mu oczy. Lee spojrzął na kapitana, mrużąc powieki, aby i jemu krople potu nie utrudniały widzenia.

Obaj byli bladzi jak ściana.

Bombardier challenger wciąż tkwił w błocie. Przez przednią szybę widzieli tylko trawę i zarys ogrodzenia za gęstą ścianą deszczu. Wykorzystali każdy centymetr dostępnego pasa startowego plus osiemdziesiąt metrów podmokłego pola.

Kilzerowi pękała głowa, był wściekły. Ten przekłety Riegel wpakował ich w sytuację, która gdyby spóźnili się o trzy sekundy, byłaby nie do pozazdroszczenia. I mimo że nie skończyli w kuli ognia, w którym to przypadku przynajmniej wdowa po nim dostałaby duże odszkodowanie, pilot zdawał sobie sprawę, że mogą się spodziewać bliskiego spotkania z węgierskim wymiarem sprawiedliwości.

Ale jednak udało im się przeżyć. Po części dlatego, że ich samolot został wyposażony w antypoślizgowe hamulce karbonowe oraz tak zwany gravel kit, czyli modyfikację osłony przedniego podwozia i silników, żeby przy lądowaniu nie zostały zniszczone przez żwir i kamyczki. Piloci jednak zdawali sobie sprawę, że wynajęty challenger nie wyleci z Węgier o własnych siłach. Podwozie i silniki

musiały być nieźle pokiereszowane, nie mówiąc o tym, że trzeba będzie użyć porządnego sprzętu holującego, by wyłowić ten wart dwadzieścia milionów dolarów samolot z kałuży błota.

W awaryjnej wiadomości do wieży kontrolnej lotniska Budaörs zełgał, że wyczuł dym w kokpicie. Gdyby miał trochę więcej czasu, zapewne wraz drugim pilotem wpadliby na trudniejszą do obalenia mistyfikację. Ale od czasu, kiedy rozmawiał z Rieglem, minęło zaledwie trzydzieści pięć minut, w ciągu których skupiał się na tym, żeby wyjść cało z tego manewru. W jednej chwili musiał przejść od lotu z prędkością czterystu węzłów, dwanaście kilometrów nad ziemią, do stania w ulewie tuż za zbyt krótkim, nieutwardzonym pasem na nieznanym lotnisku.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że poszło mu wspaniale. Nawet przez chwilę, w momencie wywołanego adrenaliną optymizmu tuż po samym lądowaniu, pomyślał, że może uda mu się wyłgać od więzienia, gdyby tylko przez kilka minut utrzymał dobrą passę. Jednak to, co widział przez szybę, ostudziło jego zapał i sprowadziło pozostałe w obłokach myśli na ziemię. Zobaczył, jak tuż przed nim przez ogrodzenie przebił się czarny van. Widział, jak szóstka Indonezyjczyków wyskakuje z samolotu, wyciąga pakunki z ładowni, po czym prędko ładuje się do samochodu. Kiedy piloci milcząco przyglądali się z kokpitu rozwojowi akcji, widzieli, jak van odjeżdża tam, skąd przybył, przez trawę i śliskie błoto i zataczając się na kałużach, mknie prosto w ulewę.

Kilzer zdawał sobie sprawę, że te dramatyczne przygody musiały zostać zauważone przez wieżę kontrolną. I że on i Lee zapłacą za to aresztem, dopóki ten dupek Riegel ich nie wykupi.

Nakładając czapkę i wychodząc z samolotu przy akompaniamencie ulewy i nadciągających syren, Kilzer uświadomił sobie, że tego dnia szanowny pan Riegel będzie musiał się zapewne zająć sprzątnieniem znacznie większego bałaganu, więc powinni z Lee przygotować się na to, że przez jakiś czas zostaną zapomniani.

\* \* \*

Pieniądze pojawiły się na koncie, kiedy Szabó właśnie po raz trzeci gorączkowo wydzwaniał do Fitzroya. CIA mogła się tu stawić w ciągu dziesięciu minut. Ale przynajmniej teraz, kiedy miał już forszę, wreszcie mógł zwiewać. Odłożył słuchawkę w chwili, kiedy Anglik odebrał. Następnie po raz ostatni zajrzał do Gray

Mana, pożegnał się i życzył szczęścia, dokończył pakowanie, po czym wykuśtykał ze studio-laboratorio-warsztatu przez korytarz tak szybko, jak tylko pozwalało na to jego częściowo sparaliżowane ciało.

Kiedy był już prawie na zewnątrz, usłyszał, że dzwoni telefon. Myśląc, że to szef lokalnej stacji CIA z informacjami, kiedy przybędzie ekipa, postanowił odebrać. Przecież nie dzwoniliby, gdyby byli blisko.

Ściągnął telefon z widełek. W słuchawce rozległ się głos Fitzroya:

– Wypełniłem moją stronę umowy. Teraz ty wypełnij swoją.

– Jestem pod wrażeniem, sir Donaldzie. Moje połączenia są szyfrowane, skąd wiedział pan...

– Mam swoje sposoby, László. No to teraz uwolnij Gray Mana, zanim ja po niego przyjadę!

Pot, który już spływał po plecach Węgra, stał się lodowaty. A więc Fitzroy domyślił się, że to on, wiedział, jak się nazywa. Szabó zrozumiał, że do końca życia będzie musiał się ukrywać przed mackami tego cwane go Angola.

– W tej chwili wypuszczam młodego!

– A czy ty przypadkiem znów nie działasz na dwa fronty? Pogrywasz sobie i ze mną, i z CIA?

– Słowo honoru!

– No dobra, László. Baw się dobrze pieniędzmi – zakończył Fitzroy.

Szabó rozważał, czy nie wspiać się jeszcze raz na podwyższenie i po raz ostatni rzucić okiem do dołu, ale zrezygnował. Pospiesznie pokuśtykał z walizką korytarzem do wyjścia z kamienicy. Doszedł do małych żeliwnych drzwi, ale kiedy sięgnął do klamki, otwały się z hukiem. Oślepiły go mocne snopy światła, choć na zewnątrz było ciemno i deszczowo. Przerażony skoczył do tyłu, potknął się o chorą nogę i padł na plecy. Mrużąc oczy, dostrzegł ekipę ubranych na czarno zakapturzonych mężczyzn: sześciu strzelców z krótkolufowymi karabinami przy oczach. Z każdej giwery świeciła potężna lampka. Najbliżej stojący z nich przyklęknął na nakolanniku i podniósł Węgra za kołnierz.

– Wybierasz się dokądś? – powiedział cicho po angielsku. Czyli CIA.

Szabó ledwo był w stanie dostrzec oczy agenta ukryte za goglami.

– A gdzie tam... Czekałem na was. Ja tylko niosę walizkę do samochodu. Jak skończycie, to wyjeżdżam na chwilę z miasta, żeby odetchnąć.

– Jasne. Gdzie on jest?

Szabó został postawiony na ziemi. Żaden z mężczyzn w wąskim korytarzu nie opuszczał broni.

– W pokoju na końcu korytarza. Wystarczy wejść na podwyższenie i spojrzeć w dół. Jest w trzyipółmetrowym dole, w starej cysternie, przykrytej grubym kawałem...

– Zaprowadź nas. – Ton głosu wskazywał, że nie było pola do negocjacji.

Szabó obrócił się i pokuśtykał, prowadząc Amerykanów w głąb korytarza.

\* \* \*

W słabo oświetlonym pomieszczeniu dowódca oddziału sił specjalnych ustawił swoich ludzi wzdłuż ścian i powoli podszedł do podwyższenia. Łászló zapewniał go, że nie powinien się bać, wspominając przy tym nazwisko szefa rezydentury aż trzy razy po to, by funkcjonariusze wiedzieli, że jest „jednym z nich”. W końcu ciężko uzbrojony i opancerzony agent stanął ostrożnie na podwyższeniu i spojrzął przez pleksiglas.

– Chyba ma spluwę, ale raczej jej nie użyje z tą przykrywą. Musiałby być nie lada tancerczką, żeby w tak małej przestrzeni uniknąć rykoszetu. Wasz szefunio obiecał Łászló, że się nim zaopiekujecie. Może powinienem do niego zadzwonić, żeby wam powiedział, jak to się wam Łászló przysłużył. Lojalny Łászló, właśnie tak na mnie mówi! – zawołał Węgier, próbując zaskarbić sobie ich łaskę.

Dowódca się nachylił nad otworem. Ściągnął kolano z pleksiglasu i powoli odwrócił się do Węgra.

– Co to ma, kurwa, być?

Szabó nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Ale że co? To jest właśnie Gray Man. Patrzcie, jaki ładny prezencik dla moich przyjaciół z CIA...

– Zabiłeś go? – zapytał Amerykanin, wstając i obracając się w stronę Węgra.

– Oczywiście, że nie. Czemu o to pytasz? – Mistrz fałszerstwa pospiesznie pokuśtykał o lasce w stronę dziury, aby zobaczyć, co może być nie tak.

\* \* \*

Wbrew temu, co przypuszczał Szabó, Court nie spędził ostatnich siedemdziesięciu minut, tępo wpatrując się w oślizgłą ścianę. Gdy tylko Węgier zostawił go w spokoju, zdjął z szyi rzemykowy naszyjnik, ściągnął cienką skórzaną powłokę i wyjął piłkę do metalu, którą zaatakował wystającą spod materaca rurę. Naciał ją w dwóch miejscach tak, że wystarczyło jeszcze kilka skrobnięć, by rura pękła i w kilka minut wypełniła zbiornik gorącą wodą.

Kiedy już z tym skończył, wyjął pistolet, usunął naboje z komory i wyciągnął z kieszeni zapasowe magazynki. Używając wodoodpornych buciorów jako zbiorników i szczypczyków z multitoola, udało mu się otworzyć każdy nabój i przesypać składający się w większości z saletry azotowej proch do buta. Gdy zebrał go z trzydziestu naboїв (zostawił sobie jeden), rozkręcił magazynek, usunął sprężynę, przymocował z powrotem płytkę oporową i wypełnił magazynek do pełna prochem z buta. Następnie umieścił na górze podajnik, mocniej ubijając środek wybuchowy w metalowym magazynku. Za pomocą sprężyny stabilnie przymocował donośnik.

Co jakiś czas zaglądał do niego László. Stary łamaga robił przy tym tyle hałasu, że Gray Man zawsze wiedział, kiedy trzeba schować to, co robi, pod zgniły materac, żeby nie zostać przyłapanym.

Następnie ściągnął skarpetkę, napełnił ją pustymi nabojami, jako że proch nie był w stanie się zapalić bez spłonki, którą posiadał każdy nabój. Upchnął wypełniony prochem magazynek w tejsze skarpecie i związał wszystko mocno sznurówką. Trzymał to cacko w pięści. Ta wielka ciężka skarpetka posiadała moc porównywalną do siły granatu ręcznego.

Gentry gorączkowo rozdarł materiał pokrywający materac, tworząc kilkanaście długich pasów, które następnie związał w trzymetrowy. Wsadził do walthera ostatni pocisk, zostawiając puste gniazdo magazynka, po czym przywiązał pistolet kolejnymi pasami zdartymi z materaca tam, gdzie ujście trzypółcalowej lufy stykało się ze skarpetą wypełnioną spłónkami i materiałem wybuchowym. Długi pas przywiązał do spustu.

W końcu ściągnął spodnie. Związał nogawki mocno przy kostkach, a potem w kroczu, utworzył dwie wypełnione powietrzem komory. Niezbyt długo zachowają wodoodporność, ale wystarczająco na potrzeby Courta. Ostatnią



sznurówką przywiązał granat do spodni. Cały czas siedział przykryty spodniami tak, by László nie zauważył, że je zdjął.

W końcu wyrwał trochę namokłej pianki z materaca, żeby w chwili prawdy mieć zatyczki.

Był zadowolony z tego, co mu się udało zrobić. Pozostało czekać.

Wkrótce Szabó wychylił się i pożegnał, po czym zniknął. Gray Man wiedział, co dalej. Gorączkowo przeciął rurę. W minutę ciepła jak do relaksującej kąpieli woda sięgała mu kolan. Court stał w samej bieliźnie i trzymał nad głową granat z przyczepioną sfluwą oraz napełnione powietrzem spodnie. Czekał, aż podniesie się poziom wody.

Trzy minuty później, machając nogami, udało mu się unieść wraz z materacem. Po sześciu minutach cysterna była prawie pełna. Starał się walczyć z nadciągającą paniką. Zdawał sobie sprawę, że nie ma całkowitej pewności, czy to zadziała, a tym bardziej, czy uda mu się wysadzić pokrywę pułapki.

Kiedy zostało marne osiem centymetrów do pleksiglasowego sufitu, Court zmusił się do szybkiego i głębokiego oddychania w tej ciasnej przestrzeni. Przyczepił unoszącą się bombę do jednego z zawiasów i pchnął pod nią materac, po czym nabrał tyle powietrza w płuca, ile się dało, i zanurzył się pod wodę, jedną ręką trzymając materiałowy pas przyczepiony do spustu, a drugą chwytając się rury, aby utrzymać się przy dnie. Chcąc się upewnić, że wszystko gra, zauważył, że bomba odpłynęła od zawiasu.

Szybko, z kończącą się rezerwą powietrza, wystrzelił do góry. Z trudem udało mu się przepchnąć materac, poprawić bombę i znowu zanurkować. Rana postrzałowa w prawej nodze bolała coraz bardziej z każdym napięciem mięśni. Panika, zmęczenie i niedobory tlenu zdawały się rywalizować, które pierwsze go wykończy.

W końcu znów chwycił się rury. Wszystko było na swoim miejscu. Nim pociągnął za materiałową linkę, zobaczył, że nad dziurą nachyla się jakaś ciemna postać, która po chwili odwraca się, jakby mówiła coś komuś w pomieszczeniu.

\* \* \*

– Ale jak on ma żyć? Ta dziura jest pełna wo... – powiedział dowódca oddziału.

Rozległ się przygłuszony wystrzał, po którym ubrany na czarno agent wyleciał w powietrze. Pleksiglas pod jego stopami pękł i w każdym kierunku trysnęła biała woda. Odłamki twardego tworzywa wdarły się w sufit. Agent padł z lewej strony postumentu, wzburzając falę ciepłej wody.

Pozostali rzucili się na ziemię. Szabó przewrócił się na plecy na środek pomieszczenia.

Dowódca żył. Z trudem podniósł się na kolana i oparł broń o podwyższenie.

– Jezus Maria! Wszyscy wstawać! – krzyknął, próbując zagłuszyć pisk w uszach.

W tej samej chwili z korytarza wypadło sześciu niskich facetów ubranych po cywilnemu. Rozpoczęła się strzelanina.

László Szabó zginął pierwszy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pomimo chałupniczych zatyczek w uszach Courta wciąż piszczalo po wybuchu. Odbił się stopami od dna i wystrzelił ku powierzchni. Nie miał pojęcia, kogo zastanie na górze. CIA? A może László postanowił ostatni raz rzucić na niego okiem? Nie miało to znaczenia: potrzebował powietrza.

Po drodze nabrał pędu, więc udało mu się odepchnąć pleksiglasową klapę. Wyłamał oba zawiasy, rozbijając ją na kawałki. Wziął głęboki wdech i sturlał się z podwyższenia na podłogę. Zalała go fala ciepłej wody. Znalazł się obok ściany, w kącie na tyłach pomieszczenia. Słyszał odgłosy strzelaniny i krzyki, ale zza platformy nic nie widział. Podniósł się na kolana, a potem przykucnięty rzucił się na korytarz, uderzając bosymi stopami po linoleum. Nie tracił czasu na oglądanie się za siebie. Cokolwiek tam się działo, nie miał ochoty trafić w środek akcji bez broni. Nie wiedział też, kto jest kim.

Tuż przed sobą dostrzegł wejście prowadzące przez pustą, podziurawioną od kul z pistoletów maszynowych framugę do kolejnego korytarza. Nie zważając na deszcz drzazg i pocisków, ruszył przez ciemny hol prosto do łazienki, w której półtorej godziny wcześniej się golił. Skulił się, sięgnął po pozostawiony tam plecak i zarzucił go na ramię.

Miał na sobie wyłącznie bokserki i bandaż na udzie. Pobiegnął do mieszczącej się na końcu korytarza sypialni. Nad niskim, wąskim łóżkiem widniało okno z cieniutką drucianą moskitierą. Metalową szafeczką nocną rozbił szybę, po czym podniósł materac i pchnął go przez okno, aby przykryć nim ewentualne kawałki szkła. Następnie wyskoczył wprost na niewielki dziedziniec, lądując na materacu. Drzwi do budynku Lászla były zamknięte, więc Court przebiegł na przeciwległy róg podwórka. Po kratkach okna na parterze udało mu się wspiąć na balkon mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie po kilku kopnięciach piętą rozbił w końcu szybę.

Z dołu i z tyłu dochodziły go donośne odgłosy strzelaniny. Wszedł przez rozbite okno do mieszkania, starając się ominąć szkło. Mimo to, stając na dywanie, rozciął sobie obie stopy. Jęknął z bólu i padł na kolana, które też skaleczył.

Przez niewielką sypialnię przeszedł krabim krokiem, jakby grał w chińską piłkę. W końcu wstał, pokuśtykał do łazienki i przejrzał szafkę w poszukiwaniu apteczki. Po kilku sekundach usiadł na sedesie i opatrzył świeżo odniesione obrażenia. Z prawą stopą nie było najgorzej, lekkie draśnięcie, wystarczyło trochę wody utlenionej i papieru toaletowego. Lewa pięta natomiast przedstawiała się znacznie gorzej. Stosunkowo głębokie nacięcie. Szybko przemył ranę i obwiązał ręcznikiem, aby zatamować krwawienie. Przydałoby się to zszyć, ale Court wiedział, że o tym nie ma co marzyć.

Podobnie jak w przypadku stóp, lewe kolano prezentowało się nieźle, natomiast prawe było mocno pokiereszowane. Krzywiąc się, wyciągnął z niego spory kawałek szkła; niefortunny odłamek zahaczył o uszkodzoną skórę. Na podłogę połała się krew.

– Kurwa mać! – zaklął, czyszcząc i opatrując draśnięcie na tyle, na ile był w stanie.

Po chwili zorientował się, że odgłosy strzelaniny z przeciwległego końca podwórka ucichły. Usłyszał natomiast dźwięk syren oraz dochodzący z mieszkania obok płacz dziecka, obudzonego kanonadą.

Wydawało mu się, że mieszkanie było puste. Kiedy jednak wszedł do salonu – wciąż w mokrych bokserkach, lecz teraz obwiązany ręcznikami, bandażami i papierem toaletowym – spostrzegł, że na kanapie siedzi staruszka. Spojrzała na niego bez strachu, jasnymi, przeszywająco niebieskimi oczami. Wystawił rękę, żeby ją uspokoić, ale zaraz ją opuścił.

– Nic pani nie zrobię – powiedział, choć wątpił, żeby go rozumiała.

Wykonał gest przedstawiający podciąganie spodni, a kobieta powoli wskazała pokój po drugiej stronie korytarza. Tam znalazł męskie ubrania. Czy należały do jej zmarłego małżonka? Nie, raczej do syna, który teraz był w pracy. Znalazł niebieski kombinezon, który przywdział, a do tego wziął ciężkie, podbite metalem bucior. Były za duże, więc założył dwie pary grubych, białych skarpetek.

Gentry podziękował kobiecie uśmiechem i ukłonem. Ona powoli pokiwała głową. Wyciągnął z plecaka plik euro i położył je na stole. Kobieta powiedziała coś,

czego nie zrozumiał. Skłonił się raz jeszcze, po czym wyszedł na klatkę schodową.

Był ranny, nieuzbrojony, bez środków transportu i dokumentów, po które przyjechał do Budapesztu. Wyszedł w ulewę. Spojrzał na zegarek: piąta po południu. Osiem i pół godziny, odkąd wyruszył w tę podróż. Wydawało mu się, że był bardzo daleko od punktu startowego.

\* \* \*

W londyńskiej siedzibie LaurentGroup Lloyd i Fitzroy czekali na wieści o losach Indonezyjczyków. Przyszły po czwartej po południu, ale nie od nich. Zadzwoił telefon sir Donalda.

– Cheltenham.

– To ja – odezwał się Gentry.

Fitzroy potrzebował kilku sekund, żeby się uspokoić. W końcu wykrztusił:

– Chwała Bogu! Udało ci się pozbyć Szabó?

– Tak, ale ledwo.

– Co się stało?

– Nie jestem pewien. Wygląda na to, że zjawiała się ekipa z CIA, a Szabó wynajął sobie chyba jakichś goryli czy coś, w każdym razie zrobiło się gorąco i głośno.

Lloyd i Fitzroy wymienili spojrzenia.

– Ach... Ach, tak. Rozumiem. A ty jak się miewasz?

– Jeszcze żyję.

– Gdzie jesteś?

– Wciąż w Budapeszcie.

Lloyd i Fitzroy popatrzyli na Techa. Jego głowa wystawała znad komputera: namierzał wieżę, przez którą łączył się Gray Man. Kiwnął głową na znak, że Court mówi prawdę.

– I co teraz? – spytał Fitzroy. To pytanie było skierowane zarówno do Amerykanina, który siedział w tym samym co on pokoju, jak i do jego rodaka na drugim końcu linii.

– Jadę na zachód. Plan bez zmian. Masz dla mnie jakieś informacje?

– Hm... Tak. A więc faceci, na których natknąłeś się rano w Pradze, to byli Albańczycy. Najemnicy zatrudnieni przez nigeryjskie tajne służby.

– Pewnie zdążyli już wynająć kolejną ekipę. Masz jakieś podejrzenia, czego mogą się spodziewać?

– Trudno powiedzieć, synu. Pracuję nad tym.

– A wiesz coś o grupie trzymającej twoją rodzinę?

– Z tego, co wiem, to czterech czy pięciu typków z nigeryjskiej tajnej policji. Żadne z nich asy, ale moja rodzina jest przerażona.

– Zbliżając się, będę potrzebować dokładniejszych namiarów.

– Ma się rozumieć. Dotrzesz tam jutro rano?

– Nie. Muszę zrobić jeszcze jeden przystanek.

– Mam nadzieję, że nie tak niebezpieczny, jak ten ostatni. Bardzo będziesz zbaczał z drogi?

– Nie. Ten mam po drodze.

Fitzroy zawahał się, po czym powiedział:

– Dobra. Czegoś jeszcze ode mnie potrzebujesz?

– „Czegoś jeszcze”? A co mi do tej pory dałeś? Słuchaj, jesteś moim prowadzącym. No to mnie w końcu, kurczę, prowadź. Muszę wiedzieć, czy jest ryzyko, że na trasie natknę się na więcej zbirów. Chcę wiedzieć, skąd ci pieprzeni Nigeryjczycy wiedzą, jak się nazywam. Skąd wiedzą o tobie. W tej całej sprawie jest coś nieźle popieprzonego. Muszę mieć to jak najlepiej rozkminione, zanim dotrę do Normandii.

– Rozumiem. Pracuję nad tym.

– Miałeś jeszcze jakiś kontakt z porywaczami?

– Sporadyczny. Myślą, że cię szukam po całym świecie. Wydzwaniam teraz do całej siatki, żeby wyglądało, że coś robię.

– No to rób tak dalej. Będę się trzymał z dala od siatki. Zadzwoń, kiedy się czegoś dowiesz – powiedział Gentry, po czym się rozłączył.

W ciągu dwóch kolejnych minut Fitzroy i Lloyd usłyszeli nieco więcej na temat tego, co wydarzyło się w Budapeszcie. Zadzwoił Riegel i we trzech udało im się poskładać skrawki informacji w całość. Nikt z szóstki Indonezyjczyków nie przeżył. CIA natomiast spaliła budynek, żeby zatrzeć ślady. Nie wiedzieli, czy i ile

strat poniosła agencja. Szabó zginął, a Gentry użył kolejnego z dziewięciu kocich żyć i uciekł.

– No to gdzie teraz jest? – spytał Riegel.

– Jedzie na zachód z Budapesztu.

– Pociągiem, autem, motocyklem?

– Tego nie wiemy. Zadzwoił z jakiejś komórki, pewnie rąbniętej komuś, po rozmowie się jej pozbył.

– Macie coś jeszcze do zaraportowania? – spytał Niemiec.

Słyszając to, Lloyd krzyknął gniewnie do słuchawki:

– To wy, Riegel, mi raportujecie! No i co nam przyszło z waszych super-duper indonezyjskich komandosów? Twierdziłeś, że Gentry sobie z nimi nie poradzi.

– To nie Gentry ich załatwił, tylko oddział paramilitarny CIA. Słuchaj, Lloyd, wiedzieliśmy, że Gray Man jest wytrzymały. Od początku plan był taki, by kilka pierwszych ekip wytrąciło go z równowagi. Zmusiło, żeby był bardziej reaktywny niż proaktywny. Dzięki temu nie będzie przygotowany na następną grupę.

– Zostało nam jeszcze dziesięć ekip w pogotowiu. Chcę, żeby tej nocy Gentry zginął – odparł Lloyd.

– No to jednak coś nas łączy – powiedział Riegel, po czym odłożył słuchawkę.

Na twarzy Lloyd'a pojawił się grymas.

– Co jest? – zwrócił się do Anglika.

Fitzroy wciąż krzywił się z rozpaczy.

– No co jest?

– Chyba coś mi zdradził. Mimo woli, ale domyśliłem się czegoś.

Lloyd wstał, wygładzając tym samym kilka fałdek prążkowanego garnituru.

– A więc? Czego się domyśliłeś?

– Chyba wiem, dokąd teraz jedzie.

Twarz młodego prawnika rozbłysła w uśmiechu.

– Doskonale. – Sięgnął po komórkę. – No to dokąd?

– Tylko jest jeden szkopuł. To miejsce... tylko trzech gości wiedziało o jego istnieniu. Jeden z nich nie żyje, drugi to Gray Man, a trzeci to ja. Powiem ci, gdzie

to jest, ale jeśli twoi ludzie go tam nie dobiją, to będzie wiedział, że to ja go wydałem. Więc jeśli tym razem się nie uda, to po sprawie.

– Ja się tym będę martwił. No to dokąd jedzie?

– Do Gryzonii.

– A to gdzie, kurwa, jest?



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Song Park Kim przez większość lotu siedział nieruchomo, jakby medytował. Kiedy tylko wylądował na lotnisku de Gaulle'a, otworzył oczy i rozejrzał się czujnie i przytomnie. Był jedynym pasażerem na pokładzie odrzutowca Falcon 50. Drobne, zwinne dłonie trzymał na kolanach. Oczy zasłonił stylowymi okularami przeciwsłonecznymi. Jego doskonale skrojony prążkowany garnitur idealnie pasował do otoczenia. Kabina ekskluzywnego samolotu została zaprojektowana z myślą o podróżach biznesowych, a on wyglądał na przeciętnego – no, może poza stosunkowo młodym wiekiem – azjatyckiego biznesmena.

Falcon kołował po pasie, później przejechał przez drogę kołowania i minął długi szereg zaparkowanych firmowych odrzutowców. W końcu wjechał do otwartego hangaru, pośrodku którego czekała już limuzyna, wciąż mokra od lekkiej wieczornej mżawki. Obok auta stał kierowca.

Kiedy tylko samolot się zatrzymał i turbiny zwolniły, pierwszy oficer wszedł do siedmioosobowej kabiny, niosąc nylonową torbę sportową. Usiadł przed pasażerem i położył ją na mahoniowym stoliku pomiędzy nimi.

Kim milczał.

– Polecono mi wręczyć to panu po wylądowaniu. Odprawa i wszelkie sprawy celne zostały już załatwione. Samochód czeka.

Krótkowłosego Koreańczyk elegancko, prawie niezauważalnie kiwnął głową.

– W imieniu całej załogi życzę miłego pobytu w Paryżu – powiedział pilot. Wstał i wrócił do kabiny, zamykając drzwi.

Song Park Kim rozpiął torbę. Wyciągnął z niej MP7A1, pistolet maszynowy Heckler und Koch. Nie zwrócił uwagi na teleskopową kolbę, tylko wyjął broń, trzymając ją jak zwykły pistolet, i spojrział przez prosty system optyczny. Dwa długie, cienkie magazynki, każdy po dwadzieścia nabojów grzybkujących 4,6 na 30 milimetrów, były spięte nylonowym paskiem.

Song Park włożył broń z powrotem do torby, następnie wyciągnął telefon komórkowy i zestaw słuchawkowy. Założył słuchawkę z boku głowy i włączył. Uruchomił aparat i wsunął go do kieszeni marynarki. Do drugiej trafił przenośny odbiornik GPS. Kolejne magazynki, tłumik oraz ubranie na zmianę pozostały nietknięte w torbie.

Wyjął z niej składany nóż z czarną rączką i czarnym ostrzem, który również znalazł się w kieszeni.

Po dwóch minutach Kim już siedział w limuzynie. Kierowca nie odwrócił wzroku, nawet kiedy usłyszał:

– Do centrum, proszę.

Limuzyna wytoczyła się z hangaru.

Kim przyleciał z Korei Południowej. Był specjalistą od mokrej roboty pracującym dla Narodowej Służby Wywiadu.

Pięć morderstw w Korei Północnej, większość bez żadnego wsparcia, zapewniło mu legendarną wręcz sławę i reputację w oddziale. Do tego siedem misji w Chinach przeciwko tym, którzy łamali sankcje wobec Korei Północnej, dwie w Rosji: głównymi bohaterami byli zbyt gadatliwi i poruszający tematy nuklearne delikwenci. Poza tym usunął kilku rodaków, którzy powinni byli zmienić nastawienie wobec złowrogich sąsiadów z Północy. To wszystko sprawiło, że trzydziestodwulatek był naturalnym wyborem, kiedy poproszono jego przywódców o zaproponowanie zabójcy i wysłanie go do Paryża, aby upolował kolegę po fachu w zamian za twardą gotówkę.

Kim nie miał w zwyczaju dzielić się swoimi opiniami o otrzymanych zadaniach. Zawsze pracował sam, więc i tak nie miał z kim o tym rozmawiać. Gdyby jednak ktoś go zapytał o zdanie, odpowiedziałby, że cała ta misja wydaje mu się parszywa. Dwadzieścia milionów dolarów za głowę Gray Mana, byłego agenta CIA, który, co usłyszał w kularach Kim, bynajmniej nie zasłużył na to, jak go dawne szefostwo potraktowało. Do tego cała ta forsa miała pochodzić od jakiejś szemranej europejskiej firmy. To było zupełnie coś innego niż misje w interesie narodowym, którymi dotychczas zajmował się Koreańczyk.

Ale Kim wiedział, że jest tylko instrumentem polityki wewnętrznej i zewnętrznej Korei Południowej. Poza tym nikt go o opinię nie pytał. Ci, z których zdaniem należało się liczyć, zadecydowali, że ma przylecieć do Paryża, rozgościć

się i czekać na telefon z informacją, gdzie znajduje się Gray Man, a potem umieścić kilka kul w jego ciele.

\* \* \*

Gryzonia to kanton na wschodzie Szwajcarii, otoczony z trzech stron przez Austrię. Nazywa się go krainą stu pięćdziesięciu dolin. Jedna z nich, prowadząca ze wschodu na zachód, to Dolna Engandyna. To tam, na ostrej granicy wzniesienia górującego nad doliną leży maleńka wioska Guarda, oddalona zaledwie o kilka kilometrów i od Austrii, i od Włoch. Prowadzi do niej urwista i kręta droga, łącząca malutką stację kolejową z malowniczymi domami powyżej. Piechurów próbujących dotrzeć nią do wioski czeka żmudna, czterdziestominutowa wspinaczka.

W miejscowości właściwie nie ma samochodów. Zwierząt gospodarczych jest znacznie więcej niż ludzi. Pomiędzy białymi budynkami, w otoczeniu koryt dla bydła i ogródków, wiodą wąskie brukowane ścieżki. Wioska kończy się znienacka, dalej ciągnie się tylko stromy stok, polana przechodząca w gęsty sosnowy las, który zostaje zastąpiony stromymi skałami, wiszącymi nad wioską i łypiącymi wprost na dno doliny, wyglądając wszystkich mijających i wspinających się przybyszy. Mieszkańcy rozumieją język niemiecki, ale rozmawiają po retoromańsku, w języku, którym włada zaledwie jeden procent Szwajcarów i właściwie nikt inny.

O czwartej nad ranem śnieg lekko przyprószył drogę z dna doliny do Guardy. Oстрыm, krętym podejściem, lekko kulejąc, wspinał się samotny mężczyzna ubrany w grube dżinsy, ciężką kurtkę i czarną wełnianą czapkę. Niósł niewielki plecak.

Dziesięć godzin wcześniej, po rozmowie z Donem Fitzroyem przez różową komórkę wyciągniętą z otwartej torebki zataczającej się po chodniku pijanej studentki, Gentry znalazł w Budapeszcie sklep z odzieżą turystyczną. Tam zaopatrzył się w nową garderobę od stóp do głów, to znaczy od skórzanych traperów po czarną czapkę. W godzinę po opuszczeniu mieszkania Szaba znalazł się już na dworcu autobusowym Népliget, gdzie wsiadł do autokaru mającego go zawieźć do Hegyeshalom, niewielkiej wioski przy granicy z Austrią.

Wyszedł z autobusu osiemset metrów od granicy, przemaszerował na północ przez pola, po czym skręcił w lewo. Nie było widać księżyca. Miał w plecaku porządną latarkę, ale jej nie wyciągał, tylko potykając się, brnął na zachód. Udało

mu się przejść półtora kilometra na poranionych stopach, czuł pieczenie i to, jak skarpetki powoli nasiąkają ciepłą krwią, zalewającą jego wyziębłe palce.

Wreszcie około ósmej wieczorem przeszedł przez pole nowoczesnych wiatraków elektrycznych i znalazł się w austriackiej miejscowości przygranicznej Nickelsdorf.

Kolejny kraj za nim. Na razie miał dość Węgier.

Zanim dotarł do szosy, czekało go półtora kilometra wędrówki, a właściwie kuśtykania z raną postrzałową uda i pokaleczonymi stopami i kolanami. Przez kilka minut szedł na zachód z wyciągniętym do góry kciukiem. Najpierw zatrzymał się tir, ale jechał on w inną stronę, podobnie drugi i trzeci zatrzymany kierowca. Dopiero kwadrans po dziewiątej wieczorem zabrał go pewien szwajcarski biznesmen, który podróżował do Zurychu. Court przedstawił się jako Jim. Szwajcar chciał poćwiczyć angielski, Gentry nie miał nic przeciwko temu. Przejeżdżając przez Austrię, rozmawiali o życiu i swoich rodzinach.

Oczywiście historia autostopowicza miała się nijak do rzeczywistości, ale potrafił ją sprzedać. Szwajcarowi powiedział, że pochodzi z Wirginii. Zwierzył mu się z burzliwego i bolesnego rozwodu. Wyznał, że całe życie marzył, żeby w końcu pojeździć po Europie. Wyjaśnił, jak to napadnięto go w Budapeszcie, przez co stracił dobytek, ale całe szczęście wciąż miał przy sobie portfel z gotówką i paszport, a do tego kumpla we wschodniej Szwajcarii, który zgodził się przyjąć go na tydzień aż do lotu powrotnego do Stanów.

Jadąc tak i gadając przez noc, Court cały czas czujnie zerkał w lusterko, upewniając się, czy nikt ich nie śledzi. Pomiedzy wymyślaniem fałszywych historyjek o miejscach, w których nigdy nie był, i ludziach, których nigdy nie spotkał, nie zapominał o wykonywanym zadaniu. Próbował równocześnie ułożyć sobie w głowie to, co może go jeszcze czekać w ciągu najbliższych trzydziestu godzin.

To była noc z piątku na sobotę, więc ruch na autostradzie A1 był duży, ale audi szwajcarskiego biznesmena było zgrabne i szybkie. Ominęli Salzburg od północy. Court zaproponował, że może poprowadzić, biznesmen więc spał przez kilka godzin.

Audi skręciło w Engadiner – Bundesstrasse i o trzeciej nad ranem przekroczyło północno-wschodnią granicę Szwajcarii. Choć nie jest ona członkiem Unii

Europejskiej, to pomiędzy nią a Austrią nie ma kontroli granicznej. Szwajcar zatrzymał się na parkingu pod barem otwartym całą dobę i uparł się, że Jim musi spróbować szwajcarskiego piwa i powiedzieć szczerze, co o nim myśli. Court uczynił to, zachwycając się głębią, barwą i konsystencją, dorzucił kilka pochwał zasłyszanych niegdyś w pewnym monachijskim Biergarten, choć komplementy te dotyczyły pierwotnie piw niemieckich. Biznesmen był oczarowany Jimem i postanowił podwieźć go prosto do celu, zamiast jak wcześniej ustalili, zostawić, gdy ich drogi miały się rozejść.

Pojechali drogą 180 na południe, a potem numer 27 na zachód, przez dolinę. Noc była chmurna i mglista. Nic nie było widać poza tym, co oświetlały światła audi. W końcu, w gminie Lavin, Gentry wypatrzył pewien alpejski domek nieopodal głównej drogi i oznajmił, że tu właśnie mieszka jego kumpel. Tak naprawdę po opuszczeniu ciepłego auta została mu jeszcze trzykilometrowa wędrówka przez śnieg, ale uznał, że nie ma sensu narażać dobroczyńcy na nieprzyjemności, gdyby u celu ktoś na niego czekał.

– Dzięki wielkie za podwózkę. *Auf Wiedersehen* – pożegnał się Court, po czym jeszcze po wyjściu uściśnął przez okno dłoń Szwajcarowi. Stał, machając, przy drodze, aż auto zniknęło z pola widzenia.

Gray Man odwrócił się w drugą stronę i rozpoczął wędrówkę na zachód. Śnieg leciutko prószył. Starał się maszerować dziarsko, ale był wyczerpany. Adrenalina, która wraz z samodyscypliną pomagała mu przez ostatnie dwadzieścia godzin działać niemal bez przerwy, już się wyczerpała. Jedyne, co zostało, to dyscyplina. Potrzebował odpoczynku. Miał nadzieję, że uda mu się go zaznać choć przez kilka godzin na stromym zboczu w Guardzie.

Dziesięć minut po czwartej zaczęło mocniej padać. Court zdążył się już wspiąć do wioski. Nie napotkał na drodze żywej duszy, choć dostrzegł kilka świateł w oknach małego hoteliku. Okoliczne domy były ciemne, pasterzom, kowalom i oberżystom dane było jeszcze pospać. Court szedł dalej przez wieś. Mijał starodawne kamienne koryta do pojenia owiec, przepędzanych przez zamknięte dla ruchu samochodowego uliczki, maciupeńkie ogródki otoczone małymi płotami przed niewielkimi domkami, aż wyszedł z wioski i znalazł ścieżkę wiodącą do góry. Niedawny opad śniegu przykrył to, co wcześniej nasypało, i prawie cały pagórek był już biały. Choć noc była bezksiężycowa, Gentry widział

gdzieniegdzie ciemne połacie, puste plamy wciąż czekające na przykrycie przez biały puch.

Wspiąwszy się przez pokryte śniegiem łąki jakieś trzysta metrów nad wioskę, włączył małą latarkę.

Z tyłu otaczały go pastwiska, ale wchodził teraz do sosnowego lasu. Śnieg spadający z drzew i ciemność sprawiały, że nie był w stanie dostrzec ścieżki. Światło trochę pomogło. Przeszedł jeszcze ze sto dwadzieścia kroków i odnalazł w lesie cel wędrówki – maleńką chatkę.

Kryjówka stała niecałe trzydzieści metrów od dróżki, która dalej pięła się do góry przez teren opuszczonego gospodarstwa. Nikt nie miał powodu, żeby tamtędy przechodzić, a gdyby nawet zabłądził, to wątpliwe, by na tyle wnikliwie spoglądał w głąb lasu, by zauważyć prostą drewnianą konstrukcję. Drzwi zostały zamknięte na wielką, zardzewiałą, niezbyt zachęcającą kłódkę. Trzy okna jednopokojowej chatynki zabito od środka deskami. Domek był z każdej strony otoczony rozłożystymi sosnami.

Gentry obszedł chatkę, przedzierając się przez zarośla. Z tyłu znajdowała się szopa, również zamknięta na kłódkę. Upewnił się, że nikt przy niej nie majstrował. W dalszej części obchodu zrobił inspekcję ścian, drewnianych belek podtrzymujących dach, w końcu wejścia. Ściągnął rękawiczki, powoli przejechał palcem po framudze. Znalazł. W prawym górnym rogu umieścił przed laty wykałaczkę. Gdyby drzwi zostały otwarte, spadłaby, ostrzegając tym samym Gray Mana, że chatkę odwiedzili nieproszeni goście.

Upewniwszy się, że było bezpiecznie, obrócił się plecami do drzwi, wyliczył trzydzieści kroków przez sośninę, odgarniając kłujące gałęzie, potem skręcił w prawo, przeszedł cztery metry i uklęknął.

Klucz schowany był w metalowej puszcze po kawie, zakopanej zaledwie jakieś piętnaście centymetrów pod warstwą igliwia i zmrożonej ziemi. Wykopał ją, używając płaskiego kamienia. Wyciągnąwszy klucz, wrócił do chatki i otworzył kłódkę.

Powietrze we wnętrzu było suche, zatęchłe i tak samo zimne, jak na zewnątrz. W rogu stał nieduży piecyk na węgiel, ale Gentry z niego nie skorzystał. Zapalił natomiast przenośną lampkę na stojącym pośrodku pomieszczenia stoliku do gry w karty. Jej przyćmiony blask to było jedyne ciepło, na które mógł liczyć. Na

wiszącej na ścianie półce znalazł zapasy wojskowych racji żywniowych. Chwycił pierwszą z brzegu, kiedy tylko wyszedł z łazienki zaopatrzonej w chemiczną toaletę turystyczną. Spalaszował krakersy i ciasteczka, siedząc samotnie przy stoliku karcianym.

Po dziewięćdziesięciu sekundach był już po posiłku. Wstał, wypchnął kozę z rogu i podniósł leżące pod nią luźne deski podłogi. Trzymając latarkę w ustach, zszedł po drewnianej drabinie, która ukazała się po usunięciu desek, prosto do piwnicy ze ścianami z ubitej ziemi. Pomieszczenie miało niecały metr kwadratowy powierzchni i nieco ponad metr osiemdziesiąt wysokości. Odwróciwszy się, stanął naprzeciw sięgającego mu klatki piersiowej stosu trzech czarnych pojemników, każdy wielkości sporej skrzynki na narzędzia. Zajmowały prawie połowę piwnicy. Po prawej majaczył metalowy stolik roboczy. Miejsca było tylko tyle, żeby zejść i wejść po drabinie i nieco poprzestawiać skrzynki. Court podniósł górny kontener, rzucił go na stół i otworzył zatrzask.

Tego ranka, kiedy Court obiecał Fitzroyowi, że uratuje jego rodzinę, postanowił, że zatrzyma się po drodze właśnie tutaj. W tym lesie kryła się bowiem jego najlepsza dziupla. W całej Europie miał jeszcze sześć kryjówek, ale nic nie umywało się do Guardy.

Bo Guarda to było to.

Prawdziwy arsenał.

Pierwsza skrzynka zawierała czarny szwajcarski pistolet maszynowy Brügger-Thomet MP9. Wyciągnął go z piankowego posłania, po czym załadował do środka pełny magazynek, przyczepił pasek do kolby i uniósł nad głowę, przerzucając przez klapę do pokoju powyżej. W kolejnej skrzynce mieścił się nylonowo-bawełniany przybornik pełen załadowanych magazynków, można go było przymocować i do uda, i do pasa. To też wrzucił na górę, do pokoju.

Przez kolejne pięć minut otwierał następne skrzynki i pudełka. Wielką sportową torbę wypełnił wszelkiego rodzaju podręczną bronią i materiałami wybuchowymi. Do mniejszej włożył czarny strój taktyczny, kominiarkę, okulary balistyczne, mały odbiornik, za pomocą którego można odbierać sygnał pobliskich krótkofalówek, oraz lornetkę.

W końcu tuż przed piątą nad ranem wypchnął z piwnicy dwie załadowane torby i wszedł po drabinie. Klapę zostawił otwartą. Napił się z na wpół zmrożonej

butelki wody, łyknął kilka pastylek na bolące udo, drugi raz skorzystał z chemicznego klozetu, po czym ściągnął z półki śpiwór. Rozwinął go na podłodze, a następnie otworzył zatrask drzwi frontowych, poprawił zabezpieczenia chaty i wsunął się do śpiwora. Budzik w zegarku nastawił na siódmą trzydzieści. Dwie i pół godziny snu będzie musiało wystarczyć na kolejny zmudny dzień.

\* \* \*

Przyszli po niego tuż po piątej. Minivan zatrzymał się u stóp wzgórza. Pasażerom wydawało się, jakby przez całą dwuipółgodzinną podróż z Zurychu kierowca ledwo panował nad autem na śliskich ulicach i szosach. Nic dziwnego – nie miał doświadczenia w prowadzeniu pojazdu w takich warunkach pogodowych. Drogi pokryte były czarnym lodem, a chwilami widoczność spadała niemal do zera. W dodatku wywodząca się z Afryki Północnej ekipa dostała wyraźne rozkazy, żeby dotrzeć do migającego na odbiorniku GPS-a punktu najszybciej, jak się da. Tech co dziesięć minut wydzwaniał do nich z telefonu satelitarne, dopytując o stan operacji i ich położenie.

Było ich pięciu. Libijscy oficerowie Służb Bezpieczeństwa Dżamahirijji, najwyborniejszy oddział najlepszych ludzi Kadafiego. Wszyscy komandosi, każdy znał pistolet maszynowy Škorpion Sa vz. 61 jak własne pięć palców. Ich dowódca miał czterdzieści jeden lat, twarz srogą i brodatą, podobnie jak reszta ekipy ubrany był w cywilny strój sportowy. Siedział obok kierowcy i bez przerwy bezlitośnie pouczał go, choć wszyscy wiedzieli, że nieszczęśnik był bardziej przyzwyczajony do jeżdżenia uzbrojonym dżipem po diunach niż do nawigowania minivanem na oblodzonych górskich serpentynach.

Mimo to całkiem szybko udało im się dotrzeć do Guardy. Zatrzymali się na parkingu w dolinie za stacją kolejową. Kierowca prędko otworzył klapę silnika, wyciągnął wirnik aparatu zapłonowego i wrzucił go do torby, tym samym sprawiając, że samochód stał się nieużyteczny do ich powrotu. Znaleźli niewielką drogę prowadzącą do góry w stronę wioski i zaczęli wspinaczkę.

Każdy komandos niósł w torbie škorpiona ze złożoną kolbą, a do tego w kaburze pod ramieniem mniejszy pistolet. Niektórzy mieli też granaty i sprzęt do włamań. Wszyscy włożyli wełniane czapki, grube bawełniane spodnie i identyczne czarne



parki drogiej marki, kojarzonej zazwyczaj ze sportowcami zawodowymi. Do toreb zapakowali też noktowizory, ale na razie te pozostały schowane.

Pięciu Libijczyków wspinało się po ciemku stromą, wijącą się drogą do wioski. Poruszali się szybko. Każdy, kto napotkałby tę piątkę, po ich nieodróżnialnym wyglądzie, surowym wyrazie twarzy i parującym oddechu, od razu by rozpoznał, że maszerują, by dokonać czegoś niecnego. Ale była piąta trzydzieści rano i do tego panowała zawieja śnieżna, więc nikt nie zauważył przejścia libijskiego oddziału po kocich łbach szwajcarskiego przysiółka.

Komandosi mieli przypięte do paska małe radioodbiorniki i słuchawki w uszach. Na zachodnim skraju wioski dowódca rzucił komendę i natychmiast się rozdzielili. Szli osobno na wschód, każdy inną uliczką czy ścieżką. Gdyby ktoś przypadkiem wyjrzał przez okno, zobaczyłby tylko jednego piechura. Jeśli zrobi się jakieś zamieszanie i mieszkańcy zaczną mówić o obcych przybyszach, najpewniej stwierdzą, że widzieli jedną, tę samą, samotnie idącą osobę.

Na skraju osady oddział znów zwarł szyki, niczym komórki jednej istoty, łączącej się ponownie w szalce Petriego. Przywódca spojrzął na odbiornik GPS, po czym skręcił w lewo w nieutwardzoną drogę prowadzącą przez półkę skalną, a następnie do góry i do lasu, który widoczny był dopiero po założeniu noktowizorów.

– Jeszcze czterysta metrów! – rzucił dowóca.

Śnieżycą się wzmogła. Dotychczas delikatnie opadające, pojedyncze płatki zamieniały się w coraz gęstsze białe chmury. Libijczycy widzieli już wcześniej śnieg, na przykład podczas treningów w Libanie czy podczas innych misji w Europie, ale ich organizmy nie przywykły do takiego zimna.

Dwie doby wcześniej ta sama ekipa siedziała w apartamencie w Trypolisie, pracując z oddziałem monitorowania elektronicznego. Usiłowali zlokalizować źródło transmisji krótkofalowej dochodzącej ze stolicy, w której krytykowano pułkownika Kadafiego.

W tamtym zatłoczonym pokoju temperatura sięgała prawie czterdziestu stopni Celsjusza, tak więc listopadowy chłód doliny we wschodniej Szwajcarii mógł być dla nich szokiem.

Prawie przegapili chatynkę. Gdyby nie namiary GPS, uzyskane od Techa, spędziliby kilka godzin, przeszukując las. Na tym etapie karabiny już były

wyciągnięte, a torby zawieszane na plecach. Składane kolby zostały rozłożone i każdy agent trzymał broń w gotowości: opartą o ramię, z celownikami nieznacznie poniżej linii okularów ich noktowizorów. Ustawili się ostrożnie na pozycjach wokół chatki. Zgłaszali się po kolei, zaczynając od dowódcy:

– Jedyńka na pozycji, dziesięć metrów od wejścia. Żadnych ruchów w środku. Okna zabite deskami.

– Dwójka jest z Jedyńką.

– Trójka od zachodu. Jedno okno. Zabite.

– Czwórka od wschodu. Jedno okno. Zabite.

– Piątka z tyłu. Brak okien, ale obok budynku głównego widzę szopę zamkniętą na kłódkę. Poza tym pusto.

– Piątka, czekaj z tyłu. Znajdź osłonę i bądź w gotowości. Trójka i Czwórka, chodźcie do przodu. Wchodzimy razem – odezwał się dowódca.

– Tak jest!

\* \* \*

Gentry spał, nie śniąc, w śpiworze tuż przy dziurze w podłodze prowadzącej do piwnicy. Leki uśmierzyły nieco ból uda i dały wytchnienie potrzebne, aby się odprężyć. Jego sen był głęboki, regenerujący.

I krótki.

\* \* \*

Dowódca odpiął z pasa granat odłamkowy. Wyciągnął zawleczkę i powoli podszedł do drzwi, trzymając dłoń na bezpieczniku. Dwójka stał z przodu i właśnie przygotowywał manewr wtargnięcia, kiedy spostrzegł, że drzwi nie są domknięte. Odwrócił się do szefa i pokazał szparę.

Czterdziestojednolatek kiwnął głową, po czym zwrócił się do stojącego z tyłu Dwójki:

– Otwarte. Przygotujcie się.

Dwójka szybko pchnął drzwi i kucnął tak, aby inni mogli mierzyć do celu w środku. Wnętrze spowijała ciemność, której nie mogły pokonać nawet noktowizory.

Jedynka rzucił granat tuż nad podłogą. Dwójka, Trójka i Czwórka przeszli na róg chatki, aby nie ucierpieli w wybuchu. Granat zniknął w ciemności, ale odgłos uderzenia o twardą powierzchnię usłyszeli nieco za szybko. Dowódca miał właśnie odwrócić się od drzwi, kiedy nagle przez soczewki noktowizora zobaczył, jak pocisk wylatuje z chatki i pada na śnieg przed drzwiami.

Libijczycy mieli szczęście – cała czwórka na czas dostrzegła wypadający z wnętrza granat. Rzucili się na pokrytą śniegiem ziemię i schronili za domkiem. Wybuch strącił gogle z oczu trzech mężczyzn skierowanych w stronę pocisku. Czwarty oberwał w łokieć odłamkiem i padł. Wracając do równowagi, dowódca zerwał niepotrzebne już gogle z oczu, po czym wrócił na próg i wszedł, strzelając na oślep. Dwójka i Trójka podążyli za nim, ale po dwóch sekundach krzyki dowódcy sprawiły, że reszta stanęła jak wryta.

– Pułapka!

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zanim wyczerpany Gentry wsunął się do śpiwora, zdążył jeszcze ustawić przegrodę zrobioną z zardzewiałej kraty jakieś sześćdziesiąt centymetrów od wejścia. Dwumetrowe ustrojstwo ważyło ponad dziewięćdziesiąt kilogramów i mocowało się je w dziewięćdziesięciocentymetrowej szynie w podłodze. Z każdej strony wisiało skrzydełko przytwierdzone do drzwi. Stanowiło barykadę, będącą w stanie spowolnić wpadający do środka zespół, zmuszając go do przystąpienia w najniebezpieczniejszym miejscu, czyli w drzwiach. Pułapkę tę odziedziczył Court wraz z kryjówką, ale nigdy nie wierzył w jej skuteczność, jako że z łatwością dałoby się ją wysadzić środkami wybuchowymi czy zburzyć taranem, a nawet kilkoma porządnymi kopniakami. Kiedy jednak skoczył na równe nogi, słysząc wybuch odbitego granatu, od razu zdał sobie sprawę, że ta zardzewiała barykada właśnie ocaliła jego zaspaną dupę.

Gorączkowo kopnął przygotowane torby z ekwipunkiem z powrotem do piwnicy. Chwycił pistolet maszynowy MP9 i jedną ręką wystrzelił przez drzwi cały magazynek, po czym wsunął się przez dziurę. Będąc w piwnicy, szybko wystawił rękę i zasunął belki.

\* \* \*

Trójka kucnął nad czerwonym od krwi śniegiem na lewo od wejścia do chatki. Odłamek granatu trafił go w łokieć i przeszedł przez mięśnie i kość. Był jednak bardzo zdyscyplinowanym żołnierzem; nie wydawał zbędnych odgłosów i szybko wpakował garść śniegu w ranę, krzywiąc się tylko od nagłego zimna na skórze. Jeszcze nie czuł bólu, choć wiedział, że wkrótce nadejdzie.

Jedynka na razie nie zważał na rannego, tylko rozkazał Dwójce wrzucić do wnętrza cały arsenał materiałów wybuchowych. Po kilku sekundach u stóp barykady pojawił się blok semteksu wielkości dużego pudełka chusteczek higienicznych. Pozostałych trzech Libijczyków z przodu chatki zebrało się do

ucieczki, Dwójka i Czwórka chwycili pod ramię Trójkę, aby skryć się i usunąć go ze strefy wybuchu.

Przez chwilę w lesie panowała głucha cisza. Słysząc było jedynie delikatny szelest igliwia poruszanego płatkami śniegu ześlizgującego się z gałęzi oraz dyszenie ekipy snajperów z Trypolis, dochodzące zza powalonego dębu. Nagle ciemność nocy i łagodne odgłosy przyrody zastąpiły biała poświata i rozdzierająca uszy eksplozja, przy której wcześniejszy wybuch granatu zdawał się wystrzałem korka od szampana. Drzwi do chatki wypadły z zawiasów, a deski z nich i pobliskie sosny runęły powalone jakieś trzydzieści metrów dalej.

Wraz z płatkami śniegu na ziemię padały teraz płonące fragmenty ściany. Jedyńka, Dwójka i Czwórka weszli do zrujnowanego pomieszczenia. Każdy wystrzelił kilka razy, gdy wślizgiwał się przez zrujnowaną ścianę frontową. Jedyńka poszedł na prawo, Dwójka na lewo, a Czwórka na wprost przez niewielką konstrukcję. Korzystając ze światła rzucanego przez płonące tkaniny i papier, przekroczyli metalowe ogrodzenie, obeszlą zniszczony regał i stolik, minęli pudła, przyrządy kuchenne i inne, nierozpoznawalne już fragmenty sprzętów.

Upewniwszy się, że zarówno w głównym pomieszczeniu, jak i w małej łazience nie było nikogo, zaczęli przekopywać się przez płonące resztki na ziemi w poszukiwaniu zwłok. Piątka zameldował przez radio, że z tyłu jest spokojnie. Trzech Libijczyków zaczęło się niepokoić. To była mała chatka – od razu było widać, że nie ma tu ciała.

Jedyńka spoglądał na sufit, ale nie było tam ani antresoli, ani strychu. Powoli spojrzął pod nogi.

– Tu gdzieś musi być kłapa. Znajdźcie ją.

To Dwójka ją odkrył tuż przy przewróconej kozie, gdy kopnął kilka węgli. Ogień już wygasał, więc dowódca włączył znaną na ziemi, cudem ocalałą z wybuchu lampkę przenośną. Położył ją na ziemi tuż obok wejścia do piwnicy.

– Ostrożnie, znowu mógł zastawić na nas pułapkę. O ile przez tę górę nie prowadzi tunel, jest tu uwięziony.

Dwójka i Czwórka kiwnęli głowami. Byli już spokojniejsi. Gray Man nie zniknął, tylko chował się, jak szczur, pod nimi.

Piątka stał z tyłu chatki, za gęstą sosną, jakieś sześć metrów od zamkniętej na kłódkę szopy na narzędzia. Widział, że wysoka na ponad metr pięćdziesiąt

konstrukcja była oddzielona od chatki. Wszedł do środka akurat wtedy, gdy reszta zabierała się do podniesienia kłapy za pomocą długiego metalowego pręta. Mieli wrzucić do piwnicy granaty, później strzelić kilka razy do środka, a następnie zejść po drabinie i obciąć poszukiwanemu głowę.

Piątka był niepokieszony, że omija go cała zabawa. Zaklął na głos w stronę otaczającego śniegu. Škorpion trzymał gotowego do strzału.

Nagle z wnętrza chatki usłyszał coś jak stękanie silnika. Ale odgłos nie pochodził z wnętrza domu, tylko z szopy. Rozległ się huk, kłódka wypadła, a drzwi otwarły się na oścież. Piątka właśnie podnosił pistolet maszynowy do oczu, kiedy zaburczał silnik i z szopy wyłoniło się coś wielkiego.

Młody Libijczyk pierwszy raz widział skuter śnieżny.

Pojazd wyglądający niczym pocisk wylądował tuż koło niego, a chłopak rzucił się w zaspę, przeturlał i wpadł boleśnie na pieńek w obawie przed przejechaniem. Udało mu się jeszcze dostrzec na pokładzie sylwetkę pochyloną do przodu, w kominiarce i z wielkim pakunkiem na plecach. Widziana przez noktowizor postać była rozmazana i ulatniała się z pola widzenia.

Komandos chciał sięgnąć po pistolet maszynowy, ale okazało się, że zgubił go w śniegu. Kiedy zdążył go w końcu dorwać i podnieść, czarna postać znikła za niewielkim pagórkim, przedzierając się przez śnieg, zarośla i młode drzewa, miażdżąc wszystko, co znalazło się pod płozami jej rydwana.

– Piątka! Do raportu! – W słuchawce dobiegł go głos Jedyński.

– Jest tu! Tu, z tyłu! Kieruje się do góry!

– Strzelaj!

Piątka ruszył za uciekającym.

– Pomocy! On jedzie na motorze, który ma płozy!

\* \* \*

Gray Man zdawał sobie sprawę, że będzie musiał zawrócić skuter i przejechać obok polującej na niego ekipy. Pamiętał, że las nagle się kończył przed stromą kamienną ścianą. Może i dałby radę przez chwilę ukrywać się w lesie, ale wiedział, że o tej porze i po tylu wybuchach cała Guarda już musi być na nogach. Na pewno ktoś zawiadomił posterunek w pobliskim Chur. Dotarcie tu zajęłoby władzom

sporo czasu, sprowadzenie ciężkiej kawalerii z Davos potrwałoby prawie godzinę, a Court nie miał najmniejszego zamiaru czekać kilka minut, a co dopiero godzin, w ukryciu.

– Cholera jasna! – krzyknął na mrozie. Musiał zostawić jedną z przygotowanych toreb ze sprzętem w piwnicy, bo nie zmieściła się do mierzącego metr, stromego tunelu prowadzącego z piwnicy do szopy ze skuterem śnieżnym. Wyciągnął więc ze skrytki obrzyn, strzelbę dwunastkę ze spiłowaną lufą, do przestrzelenia od środka kłódki. Teraz ta potężna giwera leżała przed nim, oparta o kierownicę skutera.

Był wściekły, gdyż doskonale wiedział, że poza nim tylko jedna osoba wiedziała o istnieniu tej kryjówki. Donald Fitzroy, niech go świnia powącha! To on zaproponował mu korzystanie z tej doskonale wyposażonej dziupli niedługo po tym, jak Court zaczął dla niego pracować. Anglik przyznał wówczas, że dostępność tej miejscówki wynikała z tego, że ten, który ją wzniósł i użytkował, został znaleziony w kawałkach w płytkim grobie gdzieś na przedmieściach Władystoku.

Gentry jednak nie brał tego za zły omen, więc chętnie przyjął podarunek Fitzroya. Podobało mu się centralne położenie chatki, a zarazem ustronność wioski i doliny, jak również to, że każdy nadciągający pojazd był z niej słyszalny z odległości setek metrów, jeśli był na kółkach, czy nawet kilometrów w przypadku śmigłowca.

Tak, to było dobre schronienie. I nadal mogłoby mu służyć, był tego pewien, gdyby Don Fitzroy nie wyjawiał jej położenia tym, którzy chcieli go zabić.

Czterdzieści sekund po tym, jak skuter ruszył pod górę z dala od zabójców, skończył się śnieg. Gentry skreślił ostro, aby nie wpaść na wyrastającą przed nim trzymetrową granitową skałę. Za pomocą stóp i przepustnicy zawrócił maszynę, obracając ją w stronę lasu, chatki i w końcu leżącej poniżej wioski. Courta ochraniał skraj pagórka. Nie widział znajdujących się poniżej zbirów ze spluwami i bombami, ale i oni nie mogli dostrzec jego. Z pewnością jednak właśnie się zbliżali oblodzoną, nieutwardzoną drogą. Nie miał pojęcia, ilu: równie dobrze mogło być ich dwóch, pięciu, piętnastu czy pięćdziesięciu. Udało mu się dojrzeć tylko tego jednego z tyłu chatki, nie był jednak pewien, czy przypadkiem nie minął innych w lesie, a poza tym wiedział, że większość z nich czyhała przy wejściu.

Court przez chwilę zastanawiał się, co dalej. Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że znajduje się w pułapce. Pewnie dałby radę kilku, ale mieli przewagę. Gdyby udało im się ustawić wzdłuż zmrożonej łąki i równocześnie nacierać na niego nieprzerwaną linią, nie byłby w stanie panować nad sytuacją ze wszystkich stron i prędzej czy później zostałby trafiony.

Teoretycznie pozostawanie na wzniesieniu powinno dawać mu uprzywilejowaną pozycję, jednak doskonale wiedział, że to miejsce jest do dupy. Zaraz po prawej miał kolejne zejście po stromym stoku. Była to ścieżka dla owiec, schodząca niemalże w linii prostej przez las, aż do leżącej w dolinie łąki. Zdecydowanie zbyt stroma i wąska, aby dało się nią zjechać skuterem. To byłoby samobójstwo.

Teraz Court słyszał już dochodzące z dołu głosy. Dzikie, podniecone polowaniem krzyki.

Byli coraz bliżej, a on zapędził się w kozi róg.

\* \* \*

– Nie ma dokąd uciec! – wrzasnął dowódca. Nie chciało mu się szamotać z radiem. Odgłos wybuchu i strzelanina na dłuższy czas uszkodziły im słuch, krzyczał więc do podążającej za nim po śliskiej dróżce Trójki. Piątkę zostawili przy chatce. Owinął rany bandażem, był przytomny, choć nie dał rady uczestniczyć w walce.

Czterech Libijczyków, którzy zbliżali się już do końca pagórka, szybko wyrzuciło magazynki z pistoletów i sprawdziło, czy zostało im wystarczająco dużo amunicji. Profesjonalnym ruchem poprawili ładowniki. Oczy ukryte były za noktowizorami. Uparcie padający śnieg sprawiał, że otaczająca ich przyroda zdawała się poruszać. Zbliżając się do celu, zwolnili i nie czekając na rozkazy, rozstawili się na drodze.

Nagle znów usłyszeli chrzęst silnika. Odgłos był coraz wyższy i głośniejszy. Przed, a zarazem ponad sobą dostrzegli pojedyncze światło skutera śnieżnego, przez noktowizory wyglądało ono niczym zielona zjawą, która sunęła w ich stronę.

– Ognia! – krzyknął Jedynek. Cała czwórka przyklęła i zaczęła strzelać w zbliżający się pojazd.

Z czterech ryczących pistoletów wyleciało naraz dwadzieścia pocisków rozrywających dum-dum. Amunicja smugowa wystrzeliwała w niebo niczym



światliki z napędem raketowym.

Trzydzieści metrów od nich pojazd wzbił się. Przeleciał dwadzieścia pięć metrów, po czym runął, odbił się i zatrzymał na boku. Z wciąż zapalonym światłem maszyna zsunęła się w dół stoku, mijając Libijczyków i zatrzymując się jakieś dwadzieścia metrów pod nimi.

Silnik zgaśł.

Ze skutera wydobywały się gorące opary, ich blask oślepił żołnierzy.

Po przeładowaniu pistoletu Jedyńka pierwszy podbiegł do wraku pojazdu. Poślizgnął się na lodzie i padł na kolana. Wstał, ale wyprzedził go Dwójka. Wystarczył rzut oka, aby potwierdziły się ich obawy:

– Nie ma go tu!

\* \* \*

W pewnej chwili zdawało się Courtowi, że zjeżdża z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wrażenie spotęgowane było tym, że szorował właśnie tyłkiem po ziemi, obrywając w twarz kawałkami śniegu, lodu, darni i ostrych patyków.

Nieważne, z jaką prędkością naprawdę zjeżdżał – wiedział, że porusza się zdecydowanie za szybko.

Nie chciał rozstawać się z drugą torbą pełną broni i sprzętu, ale nie miał wyjścia. Porzucił wszystko na lodzie. Umocował obrzyn do kierownicy skutera tak, żeby trzymał w miarę prosty kurs, po czym użył drutu do obwiązania otwartej przepustnicy. Zobaczył, że pojazd przeskakuje przez występ i spada na drogę. Pognał co sił przez śnieg, wzdłuż półki skalnej aż do granitowej ściany, gdzie zaczynała się ścieżka dla owiec, prowadząca pod kątem prawie dwudziestu stopni przez las i łąkę aż do małej wioski, wciąż ciemnej, gdyż do czasu, kiedy pierwsze promienie świtu miały zabłysnąć ponad górami, pozostała jeszcze godzina.

Gentry wziął rozpęd i skoczył do przodu, po czym wylądował na śniegu i sunął na pustej torbie, która posłużyła mu teraz za sanki. Zwłaszcza na początku było stromo. Prawie od razu stracił panowanie nad improwizowanymi sankami, dopiero trochę niżej, na zdecydowanie zbyt krótkim wyplaszczeniu, udało mu się odzyskać kontrolę.

Ze zbocza po lewej dochodziły go odgłosy strzelaniny, widział też błyski, jednak nie odwracał głowy, wytrwale spoglądając na stopy i to, co rozciągało się przed nimi.

Przez pierwsze dziewięćdziesiąt metrów był zadowolony z podjętego działania. Udało mu się wyslizgnąć ze strefy ognia. Jego plan nie był zły. Sęk w tym, że źle go realizował. Kiedy wjechał do lasu, okazało się, że szlak poprzecinany jest wystającymi korzeniami drzew, a on zjeżdżał zdecydowanie za szybko, by się zatrzymać.

Oblodzony korzeń zadziałał jak skocznia, Gentry wystrzelił w górę, a jego ciało obróciło się o dziewięćdziesiąt stopni w powietrzu. Wylądował na boku, do tego prostopadle do poprzedniego kierunku zjazdu, co skończyło się na kilkudziesięciu, jeśli nie kilkusetkach, fikołkach. Leciał, ze stopami w powietrzu, obracając się o kolejne dziewięćdziesiąt stopni. W końcu wylądował bez zgubionych po drodze torbosanek wprost na łące tuż nad Guardą, z rękami wyciągniętymi do przodu niczym Superman. Oczywiście nie miał najmniejszej kontroli nad upadkiem.

Cały zjazd tak naprawdę trwał niewiele ponad czterdzieści pięć sekund. Dla Gentry'ego to była cała wieczność.

Po skończonym locie leżał na plecach w śniegu. Po chwili udało mu się opanować zawroty głowy, sprawdził, czy nie jest połamany, po czym, chwając się, wstał. Starał się zorientować, co go właściwie boli. Rana postrzałowa w prawym udzie dokuczała mu znacznie bardziej niż zwykle; musiała się otworzyć. Dwa dni gojenia na nic. Kolana go piekły, pewnie też krwawiły. Kostki bolały, ale wydawały się sprawne. Kiedy wziął głęboki oddech zimnego, górskiego powietrza, poczuł klucie po prawej stronie klatki piersiowej. Stwierdził, że pewnie złamał któreś z żeber. To będzie bolało, ale poza tym nie najgorzej. Lewym ramieniem musiał uderzyć się o coś czy raczej o każde cholerstwo na tym przeklętym stoku. Okolice czulego miejsca w łokciu były spuchnięte i zeszywniałe.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Gray Man i tak wiedział, że ma niebywałe szczęście, iż w ogóle jeszcze coś czuje. Zjeżdżanie, turlanie i koziołkowanie w dół stromego stoku po ciemku mogło się skończyć znacznie gorzej, nawet gdyby nie gonił go tłum gości z bronią maszynową.

Zaczął sprawdzać, co ma przy sobie. To znowu sprawiło, że podupał na duchu. Stracił wszystko. Zostały mu tylko małe walther przytwierdzone do kostki, portfel w szczelnie zamkniętej tylnej kieszeni i składany nóż w przedniej. Poza

tym resztę – telefon satelitarny, apteczkę, zapasową amunicję, broń, granaty, lornetkę – stracił.

Dotarcie na sam dół doliny, aż do końca drogi i torów pod samotną stacyjką, zajęło mu kolejne dwadzieścia minut. Padający śnieg zamienił się w deszcz ze śniegiem, a on trząsał się z zimna, kurczowo trzymając gołe ręce w kieszeniach.

Zauważył minivana, jedyne auto na malutkim parkingu, i doszedł do wniosku, że to bryka ścigającej go ekipy. Wybił okno od strony kierowcy, wsunął się do środka, po czym dwoma kopnięciami złamał kolumnę kierownicy. W kilka sekund wyrwał cewkę zapłonową, w mniej niż minutę udało mu się uruchomić zapłon. Ale mimo to auto nie chciało ruszyć. Gorączkowo szukał włącznika awaryjnego. Na próżno. Wysiadł z samochodu, trzasnął drzwiami, po czym przekłuł nożem każdą oponę. Zdawał sobie sprawę, że daje tym samym sygnał swoim niedoszłym zabójcom, że udało mu się tu dotrzeć i rusza w dalszą drogę, uznał jednak, że ekipa i tak będzie musiała się teraz prędko ewakuować z Guardy, choćby dlatego, że za kilka minut pewnie zjawi się tu policja. Nie widział więc sensu w tym, żeby sugerować, iż wciąż jest gdzieś na górze.

Tak czy inaczej, stwierdził, będą tu najpóźniej za dziesięć do dwudziestu minut, w zależności od tego, jak bardzo zależy im na niezostaniu zauważonymi przez miejscowych i jak bardzo obawiają się natknąć na pierwsze nadciągające auta policyjne.

Court rozbił niewielką szybę w drzwiach budynku stacji, przełożył rękę i nacisnął klamkę. Najpierw sprawdził rozkład wiszący na ścianie wszystkich pociągów w tym kraju. Następnie ściągnął z wieszaka porzucony ciężki, brązowy płaszcz. Nałożył go. Ciut przyciasny w ramionach, ale był w stanie utrzymać go przy życiu. O ścianę oparta była damka na bardzo cienkich kołach. Court wziął ją, zamknął za sobą drzwi, po czym skrzywił się z bólu, wsiadając na rower.

Było już po szóstej. Najbliższy pociąg przejeżdżający przez tę dolinę będzie tu dopiero o siódmej, więc musiał się dostać do większej miejscowości, aby złapać pierwszy tego poranka ekspres do Zurychu.

Mknął na zachód rowerem szosą wiodącą przez Engandyne. Za nim widać już było pomarańczową poświatę świtu. Z każdym pchnięciem pedałów coraz bardziej bolał go krzyż, prawe udo i lewe kolano. Od zimna szczypała go twarz. Pochylił się, by chronić twarz przed padającym śniegiem, śmiertelnie zmęczony i zrezygnowany. Na szukanie dokumentów i broni zmarnował cały dzień, a znalazł

tylko świeże rany. Ale i tak niewielu było w stanie stawić czoła przeciwnościom losu tak śmiało jak ten wynędzniały i zakrwawiony człowiek, mknący szwajcarską doliną w przykusym płaszczu na zardzewiałej damce. Nie miał ani planu, ani sprzętu, ani pomocy, a teraz jeszcze był pewien, że nie miał żadnych przyjaciół. Fitzroy go okłamał, wystawił na śmierć. Court zdawał sobie sprawę, że ma pełne prawo zniknąć i zostawić Dona na pastwę tej nieznanej siły, która go opanowała i sprawiła, że zdradził swojego najlepszego najemnika.

Postanowił jednak kierować się na zachód, choćby na razie. Chciał rozgryźć, co się właściwie dzieje, a znał tylko jedną osobę, która mogłaby mu w tym pomóc.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tuż przed szóstą rano czasu londyńskiego sir Donald Fitzroy wyjrzał z lewego okna helikoptera Sikorsky w dół na zieloną łąkę. Śmigłowiec leciał zaledwie kilkaset metrów ponad trawą, lecz wkrótce ląd urwał się i pojawiły białe grzywy morskich fal. Znajdowali się nad klifami Dover, czyli tam, gdzie kończą się Wyspy Brytyjskie, a zaczyna kanał La Manche – dla sir Donalda „kanał angielski”. On, Lloyd, pan Felix, czyli wysłannik prezydenta Abubakera, wraz z Techem i czterema osiłkami LaurentGroup lecieli na południe, ku Normandii. Sześćdziesięcioośmioletni Anglik nie miał pojęcia dlaczego. Godzinę wcześniej Lloyd wyjaśnił mu, że to „dodatkowa przynęta”, po czym dodał:

– A na wypadek, gdyby co mało prawdopodobne, Libijczycy spaprali akcję w Szwajcarii, a potem Court zmienił zdanie i machnął ręką na całą waszą rodzinę, mam w zanadrzu dodatkowe cacko, którym da się go przyciągnąć.

Zanim Fitzroy mógł dopytać, co to takiego, Lloyd zaczął wydawać rozkazy przez telefon. Kazał zatankować śmigłowiec na lot nad kanałem i przygotować start z Battersea.

Sir Donald często podróżował na kontynent. Czasem samolotem z lotniska Gatwick czy Heathrow, niekiedy szybkim pociągiem Eurostar pod kanałem. Najbardziej jednak uwielbiał przemierzać tę trasę lądem, a następnie morzem. Jechał koleją na południe przez Chatham do Dover, tam wchodził na prom do Calais albo Ostendy czy Zeebrugge. Tak się podróżowało dawniej, za jego młodości. Ani prędkość i wygoda linii lotniczych, ani nowoczesna wydajność tunelu pod Morzem Północnym nie mogły się równać z uczuciem dumy i miłości, które czuł, kiedy wracał do Anglii promem i spośród fal morskich wyłaniały się majestatyczne białe klify Dover.

Czyż może być piękniejszy widok dla Anglika?

Ponad klifami krążyły białe mewy, witając podróżnych przybywających zza kanału podobnie jak przed siedemdziesięcioma laty, kiedy wylatywały na

spotkanie powracających samolotów RAF-u ze skrzydłami podziurawionymi przez kule, wypełnionych młodymi chłopcami, którzy zabijali i ginęli w imieniu króla na wojnie z faszyzmem.

Teraz, spoglądając melancholijnie przez okno śmigłowca, sir Donald widział, jak w oddali znika białe piękno oświetlane blaskiem księżyca w przedświcie. Zdawał sobie sprawę, że być może ostatni raz podziwia ten widok.

– Dzwonił Riegel. Libijczycy zawiedli. – W słuchawkach, przytrząskujących nieliczne białe kosmyki włosów sir Donalda, rozległ się głos Lloyd.

Fitzroy rozejrzał się po kabinie i dostrzegł, że Lloyd siedzi po drugiej stronie, plecami do niego. Ich spojrzenia spotkały się w czerwonej poświacie lampek pokładowych. Anglik zauważył, że garnitur prawnika zmiał się przez ostatnią dobę, a krawat wisiał niechlujnie pod rozpiętym kołnierzykiem.

– Ile ofiar? – zapytał Fitzroy.

– O dziwo, zero. Jeden ranny. Mówią, że Gray Man to duch.

– Cóż, coś w tym jest – odparł do mikrofonu Anglik.

– Niestety nie. Duchy już są martwe – westchnął smutno Lloyd. – Wysłałam Libijczyków do Bayeux. Będą wspierać naszych ludzi, jeśli Gentry'emu uda się tam dostać.

Fitzroy potrząsnął głową.

– Nie ma co na to liczyć. Tylko ja wiedziałem o szwajcarskiej kryjówce. Domyśli się, że zabójcy dostali namiary ode mnie. Odkrywszy, że cały czas go okłamywałem, nie będzie się już tak palić do ratowania mojej rodziny.

Lloyd się uśmiechnął.

– Przygotowałem się na tę ewentualność.

– Czyś ty zmysły postradał? Już nie przyjdzie mi z pomocą. Nie rozumiesz?

– Zmiana planu. – Lloyd odwrócił się i zaczął naradzać z Techem.

Helikopter mknął w przestworzach ponad kanałem. Światło księżyca odbijało się w wodzie, sprawiając wrażenie, jakby lecieli nad tacą wysypaną diamentami. O siódmej rano sikorski przelatywał nad plażą Omaha, miejscem najkrwawszego z desantów w Normandii. Zginęło tu prawie trzy tysiące młodych amerykańskich żołnierzy: w wodzie, na piasku, na klifach. Lloyd jednak nawet nie wyjrzał przez okno. Konferował z Techem przez radio. Sir Donald słuchał, ale się nie odzywał.

Lloyd z zapałem przyszłego dyktatora wykrzykiwał rozkazy i zarządzał ruchami artystów chodnikowych, jakby byli pionkami szachowymi porozstawianymi na planszy. Przykazał Techowi wysłać wszystkie ekipy znajdujące się na wschód od Guardy na zachód: do Zurychu, Lucerny, Berna i Bazylei. W miarę jak skracała się odległość między Gentrym a jego celem, dziesięć pozostałych w grze ekip miało mniejszy teren do sprawdzenia.

– Przesuńmy Wenezuelczyków z Frankfurtu do Zurychu. Na wypadek, gdyby jakimś cudem postanowił kierować się na południe, niech ekipa z RPA jedzie do Berna. Kto jest w Monachium? No to Gentry już ominął Botswanańczyków. Niech wracają do Paryża, mogą wspomóc Lankijczyków. Kazachowie są w Lyonie, prawda? To trochę zbyt na południe, ale mogą tam zostać do czasu, kiedy dostaniemy nowe wieści. Tylko niech się trzymają w pobliżu autostrady na północ. Wyślij kolejnych obserwatorów do Zurychu i jeszcze raz sprawdź znane kontakty Gentry'ego. Kogo jeszcze mamy w Paryżu? Co z tego, że gwiazda, jeden człowiek to za mało. Gentry spędził tam dużo czasu, ma znajomości. Chcę, żeby w Paryżu oprócz Koreańczyka były jeszcze trzy ekipy. Na razie się nie zameldował? Nie martw się. Wysyłaj mu nowe info. To samotny strzelec, nie będzie mu smutno.

\* \* \*

Claire siedziała zmartwiona na skraju łóżka. Była siódma trzydzieści. Poranek miał rozbłysnąć dopiero za pół godziny.

Przespała tę noc, ale tylko dlatego, że mama przed snem kazała jej wypić trochę paskudnego zielonego syropu na kaszel. Obudziła się, kiedy jeszcze było ciemno. Z początku nie mogła się zorientować, gdzie właściwie jest. Stopniowo przypominały jej się okropne wydarzenia dnia poprzedniego, których zwieńczeniem była krótka przejażdżka z rodzinnej willi w Bayeux do ogromnego starego pałacu z olbrzymią bramą, długim podjazdem i otoczonego zielonym trawnikiem. Przypomniała sobie tych wielkich panów w skórzanych kurtkach, którzy mówili dziwnym językiem, i to, że mamusia i tatuś wyglądali na okropnie przestraszonych, choć twierdzili, że wszystko będzie dobrze.

Claire upewniła się, że jej siostra leży obok i śpi. Kate też dostała kilka łyżek tego syropu.

Dziewczynka siedziała na skraju łóżka i wyglądała przez okno. Jedyne, co się ruszało poniżej, to wielki mężczyzna chodzący po wysypanym żwirem parkingu przy pałacu. Przez ramię miał przewieszony ogromny pistolet. Co chwila wyciągał z kurtki kolejne papierosy. Cały czas palił! Raz po raz mówił coś do krótkofalówki. Dziewczynka wiedziała, co to za urządzenie. Pamiętała tego Amerykanina Jima, który mieszkał u nich, kiedy była mała. Też miał takie radio. Pokazywał jej i siostrze, że jak się naciśnie guzik, to można do tego mówić jak do telefonu. Bliźniaczki mówiły, a mama odpowiadała z drugiego końca ogrodu! Ale poza tym, że też mieli krótkofalówki, ci panowie w ogóle nie przypominali Amerykanina Jima. Choć nie pamiętała wszystkiego z czasów jego pobytu w ich domu, tego jednak, że był miły i przyjacielski, nie zapomniała. A ci panowie mieli złe i smutne twarze.

Poprzedniej nocy, zanim mamusia kazała im wypić paskudny syrop, Kate postanowiła wybrać się na zwiad po budynku. Claire dołączyła do siostry, ale w przeciwieństwie do tej głuptaski dla niej to nie była zabawa. Gniewni panowie ignorowali bliźniaczki, kiedy szwendały się po wielkiej kuchni. Kate uderzała w garnki i patelnie łyżką, uradowana echem, które roznosiło się po ogromnym pałacu. Potem spacerowały po niekończącym się parkiecie korytarza, ale w końcu cofnęły się, bo zrobiło się ciemno i strasznie. Znalazły piwnicę pełną zakurzonych butelek wina i ogromną bibliotekę z wielkimi, oprawionymi w skórę książkami. Natknęły się też na pokój, na którego ścianach wisiały głowy ogromnych, przerażających zwierząt, futrzanych, z rogami i olbrzymimi zębiskami. Przez korytarz przemknął rudy kotek, pobiegły więc za nim. Tak trafiły do piwnicy, gdzie kicia popchnęła noskiem okienko nad szafką i wybiegła na tyły ogrodu. Dziewczynki odkryły też dziwną, krętą klatkę schodową i długo wspinały się, aż dotarły na szczyt wieży. Tam włączyły światło i zobaczyły siedzącego w fotelu przy stoliku mężczyznę, patrzącego w ciemność przez otwarte okno. Miał przy sobie krótkofalówkę, a przed sobą wielki pistolet. Zbeształ je w jakimś dziwnym języku. Kate zaśmiała się tylko i zbiegła po schodach. Claire ruszyła za siostrą, ale serce waliło jej z przerażenia. Mężczyzna warknął coś przez radio i wkrótce zjawili się więcej panów, którzy złapali dziewczynki i zaciągnęli do pokoju rodziców. Jeden z nich po angielsku powiedział tatusiowi, żeby położył je spać. Tatuś na niego krzyknął, żeby nie dotykał jego córek, po czym wybiegł na balkon. W tym czasie mamusia zaprowadziła je do łazienki i dała im syropu.



To był okropny dzień i noc. Po przebudzeniu Claire zorientowała się, że nie był to, niestety, zły sen. Przeczuwała, że czeka ją równie paskudny dzień.

Kiedy siedziała zmartwiona w półmroku, nagle usłyszała jakiś dziwny odgłos dobiegający z oddali; wkrótce stał się głośniejszy, zbliżał się do pałacu. Nad jej domem w Londynie często latały helikoptery, więc szybko rozpoznała, że to charakterystyczny łomot śmigła.

Stała i przytknęła twarz do szyby. Helikopter nadlatywał zza lasu po prawej stronie od wielkiej fontanny, stojącej w ogrodzie rozciągającym się za rezydencją. Czarne śmigła kręciły się nad białą maszyną. Zbliżył się do najdalszej części parkingu, po czym obrócił się i wylądował. Otworzyły się boczne drzwi i wyszło z niego czterech mężczyzn w garniturach.

Podmuch powietrza z łopat helikoptera rozwiął marynarkę jednego z nich. Nawet z odległości sześćdziesięciu metrów Claire zobaczyła, że przy białej koszuli ma kaburę z pistoletem.

Jeszcze więcej uzbrojonych mężczyzn!

Śmigła wciąż się kręciły, a z helikoptera wyszła kolejna czwórka. Pierwszy z mężczyzn był czarny, ubrany w brązowy garnitur. Następny ciągnął za sobą dwie walizy. Miał długi kucyk i pobiegł do pałacu. Po nim wyszedł chudy pan z teczką. Miał na sobie czarny garnitur i kurtkę przeciwdeszczową. Jego błyszczące czarne włosy były krótkie. Nawet stąd widać było, że to ktoś ważny. Poznała po tym, jak się rozglądał, kroczył i gestykulował. Ostatni, który opuścił pokład, był większy, starszy. Prawie całkiem łysy z wyjątkiem poruszanych wiatrem białych kosmyków koło uszu. Claire przycisnęła mocniej buzię do szyby i zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć.

Nagle krzyknęła, wyrywając ze snu Kate, której jakimś cudem nie zdołał obudzić ryk nadlatującego i lądującego helikoptera.

– Dziadziuś!

\* \* \*

Fitzroyowi pozwolono porozmawiać z synem i synową w kuchni znajdującej się na parterze pałacu. Phillip i Elise byli przybici, zagubieni i zbyt przerażeni, żeby się gniewać. Następnie przeprowadzono go na drugie piętro, do dużego pomieszczenia, które przypominało salę konferencyjną w londyńskiej siedzibie

LaurentGroup. Wskazano mu potężny fotel w stylu Ludwika XV, Lloyd natomiast spoczął na fikuśnym, czarnym, współczesnym. Tech już tam był, rozstawiając sprzęt na kilku długich, złączonych stołach, przyniesionych z innych pomieszczeń i poustawianych zgodnie z jego zaleceniami. Właśnie wciskał włączniki na laptopach i nadajnikach radiowych, tym samym uruchamiając nowe centrum operacji.

W sali było troje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki, drugie na główny korytarz. Trzecie natomiast, co Fitzroy zauważył, gdy jeden z białoruskich strażników wymaszerował przez nie, żeby naradzić się na osobności z Lloydem, wychodziły na niewielką, krętą klatkę schodową, która z pewnością prowadziła zarówno do wznoszącej się ponad nimi wieży, jak i w dół, na niższe piętra.

Kiedy przybysze z Londynu rozstawiali się w pałacu, leżący na stole telefon sir Donalda, połączony kablem z zestawem głośnomówiącym, zawibrował. Gdy Lloyd przycisnął guzik, odbierając tym samym połączenie, Tech krzyknął, że jeszcze nie jest w stanie śledzić, skąd pochodzi.

– Tu Cheltenham Security – powiedział sir Donald. Jego głos był zmęczony, zachrypnięty.

– To ja – odpowiedział Gray Man.

– Jak się masz, chłopcze?

Gentry długo milczał. W końcu usłyszeli:

– Powiedziałeś im o Guardzie.

Fitzroy nie zaprzeczył, tylko cicho, niepewnie odpowiedział:

– Tak, to prawda. Naprawdę mi przykro.

– Będzie ci bardziej przykro, jak twoja rodzina zginie. Żegnam. Powodzenia, Don.

Lloyd stał pośrodku pokoju. Słyszając to, szybko podszedł do stołu, nachylił się nad telefonem i przemówił:

– Czołem, Courtland!

Milczenie na drugim końcu trwało tak długo, że Lloyd podniósł komórkę i sprawdził połączenie.

– A to, do cholery, kto?

– Cóż, Court. Nie chcę, żebyś nadto winił starego rycerza. Obawiam się, że postawiłem go w dość niedogodnym położeniu.

– Kim jesteś?

– Nie poznajesz mojego głosu?

– Nie.

– Przed laty pracowaliśmy razem. Tu Lloyd.

Cisza.

– W Langley. No wiesz, za starych dobrych czasów – dodał Lloyd.

– Lloyd?

– Nie inaczej. Co tam u ciebie, Court?

– Nie pamiętam żadnego Lloyda.

– Nie żartuj, Gentry. To nie było aż tak dawno temu. Pracowałem dla Hanleya. Pomagałem prowadzić operacje zarówno twoje, jak i innych przy najtrudniejszych misjach w czasach ekipy zbirów.

– Hanleya pamiętam. Ciebie nie.

Fitzroy spostrzegł, że Lloyd był wyraźnie obrażony.

– No cóż, takie dryblasy i zbiry jak wy nigdy nie imponują inteligencją emocjonalną. – To mówiąc, zerknął na sir Donalda. Czyżby czuł się upokorzony? Następnie machnął lekceważąco dłonią. – Zresztą, nieważne. To, co jest natomiast istotne, to to, że choć może nie masz największej ochoty odwiedzić nas w Normandii, by ocalić swego nieustraszonego dowódcę, to być może znajdzie się kolejny powód, żebyś przynajmniej na razie nie zmieniał planów podróży. Zapewniam, że wciąż posiadam coś, co chciałbyś mi zabrać.

– Słuchaj, naprawdę nie ma niczego, co by sprawiło, żebym w pełni świadomie wszedł w pułapkę. Żegnaj, Floyd.

– Lloyd, nie Floyd. Podwójne el, nie ef! A poza tym radzę ci posłuchać, co mam do zaproponowania.

– Czy to ty mnie zdekonspirowałeś cztery lata temu? – spytał Gentry. Przez telefon jego głos zdawał się wyważony i beznamienny, Fitzroy jednak wiedział, że za takim pytaniem musi kryć się dużo napięcia i niepokoju.

– Nie, to nie ja. W tamtym czasie nie zgadzałem się z decyzją agencji. Wciąż twierdziłem, że jesteś w stanie nam się przydać.

– No to kto to zrobił? Hanley?

– To nie jest rozmowa na teraz. Ale możemy o tym pogadać, kiedy tu wpadniesz.

– No jasne, już lecę. Żegnam.

– W tej chwili nie powinieneś się zamartwiać tym, kto cię zdekonspirował w dwa tysiące szóstym, a raczej tym, kto zdekonspiruje cię jutro, jeśli nie złożysz nam wizyty.

Gentry parsknął przez telefon:

– Nie da się być dwa razy zdekonspirowanym.

– Ależ oczywiście, że się da. Kiedy pożegnałem się z agencją, zaopatrzyłem się w niewielką polisę ubezpieczeniową. Widziałem, co stało się z tobą i kilkoma innymi. Znam barbarzyństwo polityków, którzy zarządzają tą firmą. Wiem, do czego są zdolni, gdy dotychczas udana operacja wypada z łask tych, którzy muszą spowiadać się przed Kongresem. Powiedziałem sobie tak: „Lloyd, brachu, jesteś zbyt mądry, żeby skończyć jak ten frajer Court Gentry i ci inni”. Tak więc zrobiłem, co musiałem, żeby zapewnić sobie przetrwanie.

– Czyli że wykradłeś jakieś tajemnice.

– No cóż, przetrwałem.

– Zdradziłeś.

– Jak zwał, tak zwał. Skopiowałem dokumenty operacji, źródła i metody, dane personalne.

– Dane personalne?

– Ależ tak. Mam je tu z sobą.

– Gówno prawda.

– Chwileczkę. – Fitzroy patrzył, jak Lloyd kartkuje coś w złotej teczce leżącej na stole. Nieopodal leżał stos podobnych plików. – A więc tak: Gentry Courtland A. Urodzony osiemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku w Jacksonville na Florydzie. Rodzice: Jim i Lyla Gentry. Rodzeństwo: jeden brat, zmarły. Do podstawówki chodził...

– Wystarczy.

– Mam więcej. Mam wszystko. To, co robiłeś dla departamentu specjalnego, dokumenty dotyczące programu szkolenia i rozwoju agentów samodzielnych,

kronikę przygód z czasów Golfa Sierry. Listę znanych kontaktów. Zdjęcia, odciski, dane dentystyczne i tak dalej.

– Czego chcesz?

– Żebyś mnie odwiedził w Normandii.

– Dlaczego?

– Porozmawiamy o tym, kiedy tu się stawisz.

Nastąpiła pauza, podczas której Fitzroy usłyszał odgłosy kłótni z niższego piętra. Elise krzyczała na Phillipa. Sir Donald wiedział, że mają problemy małżeńskie, zdawał sobie sprawę, że obecna sytuacja to ostatnie, czego im potrzeba.

W końcu jednak Gentry przemówił:

– Rób to, co masz robić, Lloyd. Udostępnij moje dokumenty. Mam to w dupie. Koniec z tym.

– No dobra, wyślę wieści o tobie w świat. W ciągu tygodnia będzie cię ścigał każdy gangster, któremu się naraziłeś, każda wroga agencja wywiadowcza, z którą walczyłeś, każdy niezadowolony zabójca, któremu zabrałeś robotę. Sprawię, że ostatnie dwie doby wydadzą ci się, w porównaniu z tym, co cię czeka, odpoczynkiem w spa, i to z masażem.

– Jakoś sobie poradzę.

– A Fitzroy zginie. A wraz z nim jego rodzina. Z tym też sobie poradzisz?

Court się zawahał.

– Nie trzeba było mnie wyruchiwać.

– No dobra, Court. Czaję, twardej z ciebie facet. Jest jeszcze jeden szkopuł, o którym zapomniałem napomknąć. Czmychając z agencji, zwędziłem nie tylko twoje dokumenty. Jeśli nie przyjedziesz do Normandii, roześlę wszystkie nazwiska, fotografie i listę znanych kontaktów wszystkich agentów departamentu misji specjalnych, nieważne, czy są aktywni, uśpieni, na emeryturze, czy w inny sposób niedysponowani. Każdy zabójca agencji będzie w twojej sytuacji: zdekonspirowany, ścigany, opuszczony, wszystkie nazwiska będzie się odtąd dało wygooglować.

Znów minęła długa chwila, zanim odezwał się Gentry:

– Co to, kurwa, ma być? Po jakie licho miałbyś robić to wszystko? Czy tylko po to, żeby mnie dopaść?

– Ale z ciebie arogancki dupek! Tu wcale nie chodzi tylko o ciebie! Jesteś naprawdę małą płoteczką w całej tej sprawie. Ale chcę, żebyś tu się zjawił. Masz tu być, bo jak nie, to pozbawię Stany Zjednoczone wszystkich najlepszych agentów. Upewnię się, że każdy z zadań specjalnych i każdy, kto z nim współpracował, skończy w sidłach!

Court Gentry nic nie mówił. Fitzroy przechylił głowę, choć wciąż słyszał dochodzący przez słuchawkę odgłos przejeżdżającego pociągu.

W końcu Lloyd przerwał ciszę:

– Oczywiście, wrzucenie do netu danych twoich i twoich koleżków zajmie kilka dni. Mam tego cholernie dużo. Będę musiał zacząć od czegoś innego. Jeśli nie zjawisz się u nas jutro z samego rana, na pierwszy ogień pójdzie czekająca piętro niżej familia Fitzroyów. Tak sobie myślę, że zacznę od maluszków. Jak to się u nas w korpo mówi: najpierw pozbywa się tych z najkrótszym stażem. Wiesz, co mam na myśli? Zabiję wnusie, potem rodziców, a zwieńczeniem poranka będzie zgładzenie dziadziusia Dona.

– Jeśli włos spadnie z głowy Claire czy Kate, to znajdę cię i sprawię tyle bólu, że będziesz się modlił o szybką śmierć – przerwał milczenie Gentry.

Lloyd aż zaklasnął z radości.

– O! To to! Miód na moje uszy. W końcu jakieś emocje! I to silne! Cóż, w takim razie mam nadzieję, że zjawisz się tu jutro w sam raz na śniadanko, bo po porannej jajecznicy przyjdzie pora na skręcenie karczków tych ślicznych bliźniaczek!

Do tej pory Fitzroy siedział cicho, przygnębiony, niczym zapomniany pies w kącie. Teraz jednak wyskoczył z fotela wprost na Amerykanina i chwycił go za gardło. Świeżo podpięte do głośników i komputerów kable owinęły się wokół nich i spadły ze stołu. Kręcący się fotel prawnika przewrócił się z hukiem, kiedy mężczyźni padli na podłogę. Sir Donald zdarł z twarzy Lloyda okulary w drucianych oprawkach i wpakował pięść za pięścią w napięte policzki przeciwnika.

Po dziesięciu sekundach do pomieszczenia wpadło dwóch Irlandczyków i odciągnęło ciężkiego Anglika od młodego prawnika. Kiedy ich w końcu

rozdzielono, rzucono Fitzroya z powrotem na fotel. Dwaj Szkoci podbiegli i trzymali go za ramiona. Krzyki i wycie rozniosło się echem po drugim piętrze, kiedy zjawił się jeden z Białorusinów z łańcuchem znalezionym w garażu przy szklarni. Przywiązali nim mocno Fitzroya do fotela. Nadal się stawiał, nawet gdy miał łańcuch wokół ramion i nóg, mocno przyczepiony do zabytkowego fotela. Czuł też zimne stalowe kółka wokół szyi i kolejną pętlę na czole. Wszystko to zabezpieczono wielką kłódką.

Lloyd przez cały ten czas leżał na podłodze. W końcu wstał, ciężko dysząc, i poprawił najpierw włosy, potem krawat. Znalazł na dywanie okulary, podniósł je i powyginał, aż osiągnęły mniej więcej pierwotny kształt. Miał lekko podrapaną twarz i brodę, a także poobijane ramiona, ale poza tym nic mu nie było. W końcu usiadł z powrotem w fotelu i podjechał do biurka przy telefonie.

– Wybacz, Court. Mieliśmy drobny problem natury technicznej. Ale teraz już wszystko w porządku. Jesteś tam jeszcze?

Gentry jednak już się rozłączył.

Lloyd łypnął spode łba na Fitzroya. Ten spojrzał na Lloyda głównie dlatego, że łańcuch, którym był związany, uniemożliwiał mu wykonanie jakiegokolwiek ruchu.

– Módl się, Don, żeby nie zawrócił, bo inaczej ciebie i całą twoją rodzinę czeka powolna i cholernie nieprzyjemna śmierć! Masz mnie za jakiegoś przeintelektualizowanego miękiszona? CIA też tak myślała. Ja tyrałem nad biurokracją, a cała chwała sphywała na osiłków. Ale pieprzyć ich! I ciebie! Potrafię grać tak samo brudno, jak najlepsi z nich. Jestem w stanie zrobić wszystko, co trzeba, żeby doprowadzić tę sprawę do końca. Abubaker podpisze kontrakt i jutro w samo południe będziemy już zaczynać naszą gazową działalność w Nigerii. Może przeżyjesz, a może umrzesz. Mam to w dupie. Decyzja należy do ciebie. Jeśli jeszcze raz spróbujesz mi się postawić, to przekonasz się, czy dostaniesz trzecią szansę.

– Court nie zawróci. Przyjdzie tu. I zabije cię.

– Nie uda mu się tu dotrzeć. A nawet jeśli, to Gray Man, który tu przybędzie, będzie zupełnie innym facetem niż ten, którego znasz: rannym, wymęczonym, niewyspanym i bezbronnym.

– Bezbronnym?

– Tak. Te typki są nikim bez sprzętu.

Sir Donald zarechotał ze złością.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Najcenniejszy „sprzęt” Court cały czas nosi między uszami. Jedyna broń, której naprawdę potrzebuje, to jego umysł. Wszystko inne: splawy, noże, bomby... To tylko akcesoria.

– Bzdura. Wierzysz w bajki o agentach. A to po prostu uszlachetniony zbir.

– To nie bajka, a wszystko, co robi, bynajmniej nie jest szlachetne. To po prostu zawodowiec, człowiek pracujący. Jest tak samo zimny, brutalny i wydajny, jak porządny rzeźnik. Przekonasz się o tym, kiedy mu wejdziesz w drogę.

– Och, mam wielką nadzieję wejść mu w drogę.

Po siłowaniu się z pięcioma dryblasami szeroka twarz Fitzroya zaczerwieniła się i zlała potem. Był niczym dzika bestia, przykuty łańcuchem do fotela. Grube metalowe sploty otaczały jedną trzecią jego głowy. Mimo to się uśmiechał.

– Miałem już do czynienia z takimi jak ty. Cykorami w gębie silnymi, ale tylko póki stoją bezpiecznie oparci o ścianę. Kutaskami, którym dano troszeczkę zakosztować władzy. Zdażyłem już napatrzeć się na takich dupków, jak wznoszą się i prędko upadają. Będziesz mieć chwilę chwały, ale ona minie. Wcale się ciebie nie boję.

Lloyd nachylił się nad Fitzroyem. Jego twarz drgała spazmami wściekłości.

– Czyżby? To może zejść, powiem „ene due rabe” i wrócę tu z warkoczykami? A może...

– Ty pieprzony, przykurczony kutasku! Boisz się człowieka skutego łańcuchem, więc postanowiłeś grozić dziecku? Im bardziej usiłujesz mi pokazać, jaki to jesteś groźny, tym bardziej potwierdzasz moje pierwsze wrażenie o tobie. Od początku wydałeś mi się słabowitym dandyskiem. Żalonym, parszywym chujkiem. Nie dajesz sobie rady ze staruszką przywiązaną do krzesła, więc szukasz jeszcze słabszej ofiary. Pieprzona, tchórzliwa szumowina.

Lloyd zmrużył wściekle oczy i ciężko dyszał w twarz sir Donalda. W końcu podniósł się powoli i się uśmiechnął. Odgarnął z czoła kosmyk i wygładził włosy na poranionej głowie.

– Jeszcze pokażę, co jestem w stanie ci zrobić. W cztery oczy – wycedził, po czym wyciągnął rękę do jednego z mińskich ochroniarzy przy drzwiach. – No, niech ktoś mi poda, do kurwy nędzy, nóż!



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Song Park Kim obudził się o świcie w apartamencie w ekskluzywnym hotelu Plaza Athénée. Otaczał go przepych, ale on wcale nie spał na eleganckim łożu, nie pił alkoholi z minibaru ani nie zamawiał nic z hotelowej restauracji. Spał na podłodze schowka, rozłożywszy wokół siebie zabezpieczającą pajęczynę linek i drucików.

Z pokoju wyszedł o szóstej rano i rozpoczął wędrówkę po ulicach Paryża. Zapamiętywał, które drogi prowadzą mostami z lewego na prawy brzeg Sekwany, przyglądał się twarzom mieszkańców oraz wypatrywał miejsc, w których ruch samochodowy czy pieszy w naturalny sposób się zagęszczał.

Otrzymał listę nazwisk i adresów, kontaktów Gray Mana w Paryżu; zapisał je już w odbiorniku GPS. Byli na niej między innymi: dawny kolega z CIA, prowadzący obecnie firmę zajmującą się badaniem rynku z siedzibą w jednym z wieżowców w La Defense w zachodniej części miasta, tłumacz z Afganistanu, z którego usług wydział zadań specjalnych korzystał w Kabulu w dwa tysiące pierwszym, mający teraz modną knajpkę z bliskowschodnim żarciem na lewym brzegu Sekwany, na bulwarze Saint-Germain, kontakt w siatce Fitzroya, przy okazji pracujący jako urzędnik w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, z biurem przy Place de la Concorde, oraz znany z wybitnych umiejętności pilot, latający z ekipą Gentry'ego po Europie, a teraz, już na emeryturze, osiadły w Dzielnicy Łacińskiej.

Korzystając z komunikacji publicznej, Koreańczyk zbadał każde z tych miejsc pod kątem dostępności budynków, odległości od parkingów oraz rozkładu i tras komunikacji publicznej w ich okolicy. Wiedział, że po mieście mieli się kręcić obserwatorzy zatrudnieni przez ludzi, którzy zaangażowali jego rząd w tej sprawie. Rzeczywiście, natknął się na nich w każdej wymienionej lokalizacji: byli to mężczyźni i kobiety, których doskonale wyszkolony agent nie mógł nie zauważyć. Nie ulegało wątpliwości, że Gray Man się na nich pozna. Kim wiedział, że będzie musiał uzupełnić ich działalność własnymi zdolnościami śledczymi.

Patrolował centrum miasta, wciąż pilnie śledząc mapę. Był gotów w mgnieniu oka ruszyć do każdego ze znanych miejsc, gdyby cel został zauważony. W głębi duszy wątpił jednak, aby przeciwnik miał tym razem skorzystać z któregokolwiek ze swoich starych kontaktów. Kim doskonale wiedział, że Gray Man wolałby ominąć Paryż szerokim łukiem. Było tu zdecydowanie zbyt gęsto od ludzi, za dużo policji, kamer i starych znajomków, którzy musieli być pod nadzorem. Zdawał sobie sprawę, że jeśli z jakiegoś powodu Amerykanin będzie zmuszony się tu pojawić, zrobi wszystko, żeby korzystać tylko z takich źródeł, z którymi nie da się go powiązać.

Kim to wiedział, bo i on był samotnym strzelcem. Pracował w pojedynkę. Też był już kiedyś w podobny sposób ścigany i zmuszony unikać za wszelką cenę tych, którzy byliby mu w stanie pomóc.

Ale Koreańczyk doskonale zdawał sobie sprawę, że takie odosobnienie, wyczerpanie, a do tego odniesione po drodze rany, dalsze komplikacje i w końcu wynikająca z tego wszystkiego desperacja popychają do popełnienia błędów. Że jeśli cel jakimś cudem dotrze do Paryża zmuszony, aby coś tu załatwić, będzie to oznaczać desperację. Znajdzie się w potrzasku. Osaczony niczym dzika, wystraszona bestia. Trudno przewidzieć, jak się zachowa, jakie będą jego reakcje. To był prawdopodobnie najbardziej niebezpieczny człowiek na świecie. Dorzucenie do tego przerażenia i gorączkowego wyścigu z czasem może doprowadzić do potknięć z jego strony, co czyniło go jeszcze groźniejszym dla otoczenia. Kim wiedział, że jeśli dostanie telefon, iż Gray Man jednak tu się zjawił, to będzie zapowiedź, że na ulicach Miasta Świąteł na pewno poleje się krew.

\* \* \*

Gentry mknął kradzioną damką w śnieżny poranek. Zatrzymał się przy stacji kolejowej w miejscowości Ardez. Kręciło się tu trochę miejscowych, czekających na pierwszy tego dnia pociąg do Zurychu albo w stronę granicy z Włochami czy Austrią. Amerykanin pożyczył od chłopaka stojącego na peronie komórkę. Obiecał nastolatкови równowartość czterdziestu dolarów za pięciominutową rozmowę z Fitzroyem. Musiał mu powiedzieć, iż wie, że go wydał. Odszedł jakieś dwadzieścia metrów, gdzie miał trochę prywatności, stojąc w śniegu. Minął go pociąg do Interlaken. Rozłączył się, kiedy u rozmówcy rozpętała się awantura. Wymazał numer z pamięci telefonu i oddał go dzieciakowi wraz z gotówką. Po

kilku minutach wsiadał do pociągu do Zurychu. Była sobota, siedział więc w wagonie sam przez większość prawie dwugodzinnej – bez kwadransa – jazdy doliną. Jaskrawoczerwony pociąg mijał na swojej drodze kolejne stacje i wioski.

Gentry rozgrzał się w pociągu. Korzystając z tego, że wagon był pusty, zdjął spodnie i obejrzał odniesione obrażenia. Opuszkami palców dotknął obolałych kolan i okolic rany na udzie. Bał się, że złapał jakąś infekcję. Na pewno kąpiel w rezerwuarze Szabó nie pomogła. Ale poza tym nie było z nim aż tak źle. W końcu przeszedł kawał drogi na pokaleczonych stopach, a ledwo go kłuły, tak jak złamane żebro.

Wiedział, że musi jechać do Normandii, choć czuł, że jego szanse na przetrwanie zmniejszyły się, im bliżej był zastawionej na niego pułapki. Owszem, to wstrętne ze strony Fitzroya, że go oszukał, ale Court musiał przyznać, że został postawiony przez Lloyda w nader trudnej sytuacji. Zastanawiał się, do czego sam by się posunął, kogo by zdradził, jeśli bliźniaczki byłyby jego rodziną, gdyby ich życiu zagrażał jakiś skurwysyn z bandą uzbrojonych goryli, pozbawiony skrupułów do tego stopnia, że zdolny był zabić niewinne dzieci.

Samo myślenie o Lloydzie sprawiło, że zagotowało się w nim. Naprawdę nie pamiętał go, ale wiedział, że w CIA roilo się od takich biurw, zadufanych dupków, którzy pracowali na zapleczu misji, bezpiecznie w biurze, podczas gdy Gray Man i jego koledzy wysyłani byli na linię ognia. Court nie mógł sobie przypomnieć konkretnych twarzy, ale raz na jakiś czas szefowie przedstawiali mu jakichś typków z Langley w garniakach. Lloyd musiał być jednym z nich, to znaczy zanim wykradł ściśle tajne dokumenty personalne wydziału specjalnego i porzucił agencję na rzecz pracy w sektorze prywatnym.

Co za kutas.

Usilnie próbował przypomnieć sobie Lloyda, znaleźć coś w zakamarkach pamięci, co byłoby pomocne w obecnej sytuacji, ale miarowy stukot pociągu sprawił, że zaczął przysypiać. Przy tyłu draśnięciach, siniakach, naciągniętych mięśniach i świeżych ranach niełatwo było się odprężyć, ale w końcu poczuł się zbyt zmęczony, by czuć ból. Zasnął kilka minut przed Zurychem. Ze snu wyrwało go dopiero wrażenie, że pociąg zwalnia, oraz nagrana wiadomość informująca o zbliżaniu się do następnej stacji. Wstał, ruszył do wyjścia, cały czas przeklinając swój brak zdyscyplinowania. Jak mógł odpłynąć, gdy pościg był tak blisko?

Na Zürich Hauptbahnhof kupił bilet do Genewy. To oznaczało kolejne dwie godziny w pociągu, więc skierował się do stoiska z kiełbaskami, gdzie zaopatrzył się w dwa okazałe smażone bratwursty i kawę. Dziwaczne połączenie smaków, ale miał nadzieję, że dawka kofeiny i obfita porcja białka utrzyma go w stanie czuwania.

Do odjazdu pociągu zostało dwadzieścia minut. Zjechał więc po schodach ruchomych do wielkiego centrum handlowego mieszczącego się dwa poziomy pod dworcem, znalazł toaletę i zajął kabinę. Rozsiadł się tam, nie ściągając spodni, opierając się plecami o zimną ścianę. Wyjął pistolet i trzymał go w gotowości na kolanie. Dworce kolejowe to doskonałe miejsca dla śledzących go wrogów. Nie podobał mu się niedostatek dróg ucieczki z kabiny w toalecie, ale wiedział, że rozsądniej jest ukryć się w kiblu, niż stać przez kwadrans na peronie, prosząc się o to, by ktoś go zidentyfikował. Gdyby zbiry Lloyda go tu znalazły, wystarczyło wystrzelić kilka magazynków w drzwi kabiny i wtedy może uda się uciec.

To nie był dobry plan. Ale cóż, Court przyznał przed samym sobą, że podjęcie się tej misji było czynem nieskazanym mądrością i rozważą. Teraz chodziło już tylko o to, by przedrzeć się przez sterty czekającego na niego gówna w nadziei, że dożyje do ósmej rano w sobotę.

Mając mniej niż minutę do odjazdu, Gentry w końcu trafił na peron przy torze siedemnastym i bezszelestnie wsunął się do pociągu do Genewy akurat w momencie odjazdu.

\* \* \*

O dziewiątej czterdzieści rano zadzwonił telefon Riegla. Tę sobotę zmuszony był spędzić w biurze, zdążył już niechętnie odwołać weekendowe polowanie na kuropatwy w Szkocji.

– Tu Riegel.

– Dzień dobry. Mówi Krüger – rozległ się głos szefa ochrony szwajcarskiej filii LaurentGroup w Zurychu. – Mam wieści na temat naszego celu. Przykazano mi kontaktować się z panem Lloydem, ale uznałem, że lepiej poinformować pana bezpośrednio.

– W porządku. Przekażę wieści. Co to za nowe informacje?

– Mam go, proszę pana. Właśnie wsiadł do pociągu relacji Zurych–Genewa, planowy odjazd o dziewiątej czterdzieści. Bilet drugiej klasy, bez rezerwacji.

– Do Genewy? Czemu, do licha, jedzie na południe? Powinien kierować się na zachód.

– Może postanowił czmychnąć? To znaczy, poddał się?

– Może. A może nie. To nie po drodze, ale ma tam kontakty.

– Jestem w stanie wysłać obserwatorów z Genewy, aby odebrali go z dworca.

– Nie. Jeśli rzeczywiście tam zmierza, to przygotowujemy mu inną ekipę powitalną. Ale to równie dobrze może być jakaś zmyłka. A nuż wyskoczy po drodze? A potem spróbuje dostać się do Francji innym pociągiem? Przygotuj ludzi na każdej stacji pomiędzy Zurychem a Genewą. I trzeba się upewnić, że nie ulotni się przed odjazdem pociągu.

– Jestem na pokładzie. Poniańczę go przez ten czas i dam znać, kiedy się będziemy zbliżać.

– *Alles klar.* Dobra robota!

Riegel zadzwonił do Techa do zamku w Normandii.

– Spraw, żeby Wenezuelczycy jadący na południe wskoczyli do pociągu odjeżdżającego o dziewiątej czterdzieści z Zurychu do Genewy. Gray Man jest na pokładzie, ale może spróbować wysiąść gdzieś po drodze. Muszą być gotowi raz dwa go zlikwidować.

– Tak jest.

Riegel przyjrzał się wielkiej mapie Szwajcarii rozłożonej na biurku.

– Niech ekipa z RPA pojedzie z Bazylei do Genewy. Jeśli uda mu się wyjść ze stacji żywym, będą musieli iść za nim i ukatrupić go na ulicy. Na dworcu będzie za dużo kamer i glin.

\* \* \*

Court nie wytrzymał nawet kwadransa. Znalazł miejsce przy oknie na piętrze, z tyłu ostatniego wagonu drugiej klasy. Zdjął płaszcz i przykrył się nim. Pod nim wyciągnął spluwę i trzymał ją na kolanie, mocno ściskając chwyt.

I wtedy zasnął.

– *...weis.*

Budził się powoli. Głowę miał opartą o szybę. Choć na razie słabo widział przekrwionymi oczami, oglądał uderzające w szyby śnieżynki. Miał ochotę wystawić język i polizać puchaty płatek. Cały krajobraz pokrywała biel, tylko chwilami widać było szarobrązowe skały, zbyt strome, by śnieg mógł się na nich utrzymać. Niebo zakrywały chmury. Zza wzgórza wyłoniła się jakaś wioska. Piękny zimowy poranek.

– *Ausweis!* – rozległ się głos po prawej stronie, dość blisko.

Court ocknął się i popatrzył w jego kierunku. Po tonie rozpoznał, że to rozkaz, nie prośba. Nad nim stało czterech umundurowanych szwajcarskich policjantów, ubranych w spodnie i kurtki w dwóch odcieniach szarości. Czyli *Municipaux*, policja miejska. Przynajmniej nie wysoce wyszkolona federalna. U pasa dzierżyli wielkie beretty 92. Zobaczył wyciągniętą dłoń najstarszego gliny.

– *Ausweis, bitte!*

Court rozumiał na tyle niemiecki, żeby wiedzieć, że siwy sierżant prosił o pokazanie dowodu tożsamości, nie biletu.

Niedobrze.

Gentry pod płaszczem przesunął splotkę, ukrywając ją pomiędzy obitym skajem siedzeniem a ścianą, po czym się wyprostował. Nie miał oczywiście żadnych dokumentów, tylko bilet. Kiedy tylko był pewien, że Walther zniknął z pola widzenia, przeszukał kieszenie płaszcza w poszukiwaniu biletu i pokazał go władzy.

Policjant nawet na niego nie spojrzał, tylko przeszedł na angielski:

– Proszę o dowód.

– Zgubiłem paszport. Właśnie jadę do konsulatu do Genewy po nowy.

Cała czwórka musiała rozumieć angielski, bo wszyscy spojrzeli na niego tak, jakby wiedzieli, że im wciska kit.

– Jest pan Amerykaninem? – spytał starszy policjant.

– Nie, Kanadyjczykiem. – Court wiedział, że ma kłopoty. Owszem, pozbył się splotki, ale wciąż miał skórzaną kaburę przyczepioną do kostki.

Policjanci wyglądali na służbistów. Nie ma mowy, żeby go zostawili w spokoju. Wystarczy, że znajdą puste ustrojstwo na nodze, a zaraz przeszukają siedzenie i znajdą pistolet.

– Gdzie jest pana bagaż?

– Tak jak mówiłem, skradziony. – Nie było sensu być miłym. I tak wiedział, że prędzej czy później będzie musiał skopać im tyłki. Nie żeby jakoś bardzo chciał poharatać bogu ducha winnych policjantów, ale innego wyjścia nie widział. Będzie czterech na jednego, ale z zaskoczenia, szybko i agresywnie, uzyska przewagę na tak niewielkiej przestrzeni.

Robił już takie rzeczy.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i do wagonu weszło jeszcze trzech funkcjonariuszy. Stali przy wyjściu, z dala od reszty.

Kurwa mać. Siedmiu na jednego. Cóż, byli przygotowani na wszystko. Gentry nie łudził się, że uda mu się obezwładnić czterech, a następnie przejść przez wagon i załatwić tych trzech bez skończenia jak sitko.

– Proszę wstać – polecił siwy policjant.

– Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem?

– Proszę wstać, a wyjaśnię.

– Ja tylko jadę do...

– Nie będę więcej prosić.

Court spuścił ramiona, wstał i zrobił krok w alejce. Podszedł do niego młody gliniarz; w jednej chwili ręce Gentry'ego były już w kajdankach na plecach. Pozostali pasażerowie przyglądali się temu z nieukrywanym zainteresowaniem. Niektórzy powyciągali telefony, Court starał się ukryć twarz.

Młody policjant przeszukał go i niemal od razu znalazł składany nóż w kieszeni i kaburę na nodze. Przeszukano fotel. Pistolet został podniesiony wysoko w powietrze niczym trofeum tak, żeby cały wagon widział.

– Jestem agentem federalnym Stanów Zjednoczonych – powiedział Court głównie dlatego, że nic innego mu nie zostało. Nie oczekiwał, że po prostu oddadzą mu spluwę i poklepią po plecach, ale liczył na to, że może odprężą się na tyle, iż zdoła uciec.

– Bez identyfikacji? – spytał dowodzący.

– Zgubiona.

– Tak pan twierdzi. Czy był pan dziś rano w Guardzie? – zapytał jeden z gliniarzy.

Gray Man otoczony obiektywami komórek i zafascynowanymi gapiami milczał. Jeden z nowo przybyłych policjantów mruknął coś do krótkofalówki.

Wkrótce pociąg zaczął zwalniać.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

O jedenastej trzydzieści osiem przed południem Riegel odebrał telefon.

– Proszę pana, tu znowu Krüger. Gentry właśnie został wyprowadzony z pociągu w małej wiosce, dokładnie w Marnand. To nie był planowy przystanek.

– Wyprowadzony? Przez kogo?

– Municipaux. Jest w kajdankach i siedzi na peronie otoczony przez policję. Usłyszałem, jak jeden z nich dzwonił, żeby podesłali im transport z Lozanny. To zajmie nie więcej niż pół godziny.

– Ty też wysiadłeś z pociągu?

– Nie, nie pozwolili go opuścić innym pasażerom. Dojadę do Lozanny i pójde prosto na komisariat, będę tam na niego czekać.

Riegel wpatrywał się w otwartą na komputerze mapę. Po skończonej rozmowie ze Szwajcarem zadzwonił do Lloyda:

– Przekaż ekipie z Wenezueli, że Gentry jest w Marnand, jakieś trzydzieści kilometrów na północ od Lozanny. Dostał się w ręce policji.

– Jak to? Nie mogą go zamknąć! Potrzebujemy go! – wykrzyknął Amerykanin.

Riegel spojrzał znad biurka na dwanaście pięknych głów, trofea dawnych łowów.

– Wiem. Daj Wenezuelczykom wolną rękę. Mogą strzelać do wszystkiego i wszystkich, którzy staną im na drodze – odpowiedział.

– No i to rozumiem! To dobra ekipa?

– Chłopcy z Generalnej Agencji Wywiadowczej, czyli tajnej policji Cháveza. Najlepsze, co Caracas ma do zaoferowania.

– Cóż, już wkrótce się o tym przekonamy, prawda?

Gentry dygotał, siedząc na drewnianej ławce na jedynym peronie niewielkiego dworca. Lewą rękę miał przypiętą kajdankami do metalowego podłokietnika. Delikatnie prószło. Był otoczony przez pięciu policjantów, reszta została w pociągu.

Po porannej akcji w Guardzie ktoś musiał im podać jego rysopis. To pewnie kradziona damka zostawiona pod stacją w Ardez sprawiła, że policja przepytła panienkę z okienka biletowego. A ona musiała zapamiętać cudzoziemca, który jechał pierwszym porannym do Zurychu. A że jest to główny węzeł komunikacyjny w tym malutkim kraju, wystarczyło dać znać innym glinom, żeby w poszukiwaniu samotnego trzydziestoparoletniego szatyna sprawdzali każdy pociąg, autobus i samolot podążający w stronę Zurychu.

Znak na peronie podpowiedział mu, że znajduje się w Marnand. Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie leży ta miejscowość, ale czuł w kościach, że spał chyba kilka godzin, a zatem musiał być już w miarę blisko Genewy. Trzeba się jakoś uwolnić od tych glin i wrócić na trasę. W myślach słyszał złowrogie tykanie zegara.

Starszy policjant usiadł obok niego. Miał włosy koloru ośnieżonego górskiego szczytu, pachniał świeżą wodą po goleniu.

– Czekamy na auto z Lozanny. Zawiozą pana na komisariat. Detektywi przepytają pana o bójkę w Guardzie i pistolet w pociągu.

– Tak jest. – Teraz Gentry postanowił być miły. Strategię miał zmienną niczym letni wiatr, głównie dlatego, że naprawdę nie wiedział, co robić. Bycie miłym nie zdejmie kajdanek, ale a nuż pomoże ich przechytrzyć, sprawić, że wyluzują na tyle, by udało mu się znaleźć jakąś okazję do ucieczki. No cóż, sęk w tym, że jeżdżenie po Szwajcarii ze spluwą w portkach jest w tym kraju karalne i spotyka się z taką reakcją, jak w Stanach masowe morderstwo.

– Mogę do toalety?

– Nie. Wytrzymaj lub szczaj w gacie.

Młodszy gliniarze zaśmiali się.

Court westchnął. No cóż, warto było spróbować.

Na lewo od niego, za peronem, widać się w górę dwupasmówka. Była mokra, czysta i czarna niczym długie cukierki z lukrecji, przedzielając białe wzgórze na pół. Powyżej, jakieś pięćdziesiąt metrów od skraju stacji, czyli około dziewięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie siedzieli Court i jego straż, stała

ciemnozielona furgonetka; wtem z rury wydechowej wydobyły się spaliny, rozplywając się za pojazdem.

Court spojrział w prawo, wciąż próbując znaleźć coś, co może wykorzystać, zanim na miejscu zjawi się więcej glin. Zobaczył wioskę. Pomiędzy bardziej współczesnymi budynkami wyrastały urocze domki niczym z piernika. Z kominów wydobywały się kłęby dymu z palonego drewna, rozplywając się na szarym niebie.

Nagle z wioski wyjechała druga zielona furgonetka, identyczna z tą po lewej, i wjechała na stację benzynową, jakieś trzydzieści metrów od Courta. Zatrzymała się na parkingu, z dala od dystrybutorów.

Gray Man w mgnieniu oka zorientował się, że został otoczony.

– Panie sierzancie! – zawołał do tego, który tu dowodził.

Funkcjonariusz rozmawiał akurat z podwładnymi, ale podszedł do siedzącego na ławce Courta.

– Panie sierzancie, proszę słuchać uważnie. Mamy problem. Z obu stron stoją zielone furgonetki. W środku albo w pobliżu są goście wysłani tu, by mnie zabić. Nie będą mieć oporów przed zabiciem pana i pana ludzi, żeby tylko mnie dorwać.

Policjant rozejrzał się na prawo i lewo, popatrzył na oba pojazdy, a potem na Gentry'ego.

– Co pan pieprzy?

– To są doskonale wyszkoleni zabójcy. Musi pan nas przeprowadzić do budynku stacji. I to szybko!

Policjant powoli odpiął od paska krótkofalówkę i przyłożył ją do ust. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z Gentry'ego. Po niemiecku poinstruował swoich ludzi, by podeszli.

Wtedy przeszedł na angielski.

– Dwa pojazdy. Jeden na północ, drugi na południe. On twierdzi, że są w nich ludzie, który którzy chcą go odbić.

– Nie odbić! Zabić!

Cała piątka spojrzała na furgonetki. Wciąż stały bez ruchu.

– To jakiś podstęp – powiedział młody blondyn, przekręcając bezpiecznik skrzydełkowy na pistolecie.

– Kim jesteś? – spytał inny.

Court nie odpowiedział na to pytanie, tylko powtórzył:

– Musimy wejść do środka. Szybko.

Starszy policjant zwrócił się do swoich ludzi:

– Pilnujcie go. Zbadam to – po czym obrócił się i poszedł wzdłuż peronu w stronę furgonetki zaparkowanej przy stacji benzynowej.

– Panie sierżancie! Naprawdę lepiej tego nie robić! – Court zawołał, ale został zignorowany przez siwego policjanta w grubej kurtce.

Gliniarz zszedł po schodkach z peronu i dotarł na teren niewielkiej stacji benzynowej. Furgonetka miała przyciemnione szyby i włączony silnik; z rury wydechowej wydobywała się smuga spalin, rozchodząc się w świeżym górskim powietrzu.

Kiedy sierżant zbliżał się do auta, Gentry zwrócił się do pozostałej czwórki:

– On zginie. Bez paniki, będziemy musieli współpracować. Nie próbujcie uciekać, bo was zastrzelą. Jeśli wolicie przeżyć, to róbcie, co wam mówię.

– A zamknij się pan – przerwał mu jeden z policjantów. Cała czwórka przyglądała się sierżantowi, który właśnie zbliżał się do okna kierowcy. Zapukał krótkofalówką w przyciemnioną szybę.

– Pamiętajcie o drugim aucie! – Court powiedział błagalnie do stojącego obok mężczyzny w mundurze.

– Zamknij się – powtórzył policjant. Gentry dostrzegł jednak, że w glinach rośnie niepokój. Patrzyli to na jedną, to na drugą furgonetkę.

Sierżant mocniej zapukał w szybę, po czym nachylił się i próbował dojrzeć coś przez zaciemnione okna. Musiał coś zobaczyć, jakiś ruch czy inne zagrożenie, bo czym prędzej zrobił krok do tyłu i sięgnął po pistolet.

Szyba od strony kierowcy rozprysła się od strzałów. Gliniarz cofał się szybko. Otworzyły się drzwi. Zza kółka na chodnik wyskoczył mężczyzna w czarnym kombinezonie i kominiarce. Trzymał krótkolufowy pistolet maszynowy. Wystrzelił jeszcze trzy razy w drgające ciało sierżanta, który padł martwy na plecy.

Czwórka pozostałych policjantów wyciągnęła broń drżącymi z paniki rękami. Strzał z prawie trzydziestu metrów nie należał do najłatwiejszych, ale próbowali wycelować w napastnika, równocześnie krzycząc i starając się znaleźć osłonę.

– Jest jeszcze druga! Druga pieprzona furgonetka! – krzyknął Court, padając na beton. Leżał na zimnym peronie obok ławki z lewą ręką przypiętą kajdankami do podłokietnika. Policjanci odwrócili się i zobaczyli, że z drugiego pojazdu wyszło czterech zamaskowanych mężczyzn. Wszyscy uzbrojeni podobnie jak facet ze stacji benzynowej, do którego dołączyło trzech koleżków. Cała ósemka zbliżała się pewnym, choć niezbyt szybkim krokiem, jakby wcale im się nie spieszyło.

– Odepnijcie mnie! Musimy się dostać do środka! – krzyczał Court, ale policjanci tylko się skulili. Chowali się za drewnianym wózkiem albo leżeli bez osłony i oddawali kolejne niecelne strzały w złowrogo kroczących przez biały śnieg czarno odzianych bandziorów.

Młody łysy policjant krzyczał coś do radia przymocowanego do pagonów jego kurtki. Kuczał za wózkiem na bagaż, jakieś cztery i pół metra od Gentry'ego. To była marna kryjówka, dająca słabą osłonę przed napastnikami zbliżającymi się od północy i w ogóle niechroniąca go przed mężczyznami nadchodzącymi od strony stacji benzynowej.

Court patrzył, jak z betonowej posadzki peronu odpryskują wyrwane przez kule drobinki. Mężczyźni zbliżali się do młodego gliniarza, który spoglądał w drugą stronę i krzyczał przez radio, nie zdając sobie sprawy z nadciągającego zagrożenia. W końcu seria pocisków przebiła mu nogi i plecy. Padł, obracając się na bok, i dogorywał, drżąc na ziemi. Wkrótce i drgawki pośmiertne ustały.

– Niech ktoś mi da broń! – krzyknął Gentry.

Pozostała przy życiu trójka nie zważała na jego prośby. Wciąż strzelali niecelnie i powoli przeładowywali magazynki drżącymi rękami.

Court kręcił się na zimnym betonie. Oparł się butami o metalowe nogi ławki i kopnął z całej siły. Gorączkowo próbował odłamać wielki żeliwny pręt, do którego był przykuty, od reszty drewnianej ławki. Kiedy kopał i ciągnął, metalowa obręcz kajdanek wbiła mu się boleśnie w lewy nadgarstek. Wkrótce udało mu się nabrać odpowiedniego rytmu, wybijając miarową melodię: kopnięcie, trzaśnięcie starych desek, po czym rozdzierający ból nadgarstka i dłoni.

Salwa z broni automatycznej roztrzaskała znajdujące się nad nim okno. Wokół, na ławkę i peron, spadł deszcz szkła z rozbitej szyby. Z kolejnym kopnięciem spojrział w prawo. Drugi policjant oberwał w ramię i biodro. Upuścił broń i wił się na betonie w agonii.

Żeby wyłamać metalowy pręt, Court musiał wykonać serię kopnięć obiema stopami w drewnianą ławkę. Przy ostatnim kopnięciu cofnął mocno lewą dłoń. Ból nadgarstka był prawie nie do wytrzymania, ale ławka się złamała. Gentry obrócił się na kolana, klęknął nad ciężkim elementem z metalu i podniósł go. Sęk w tym, że wciąż był do niego przyczepiony bolącym i spuchniętym nadgarstkiem. Dźwignął żelastwo i wsadził je pod lewą pachę. Następnie przebiegł przez linię dochodzącego z obu stron ognia do wijącego się w mękach pośrodku peronu policjanta. Niecałe cztery metry od niego rzucił do przodu żelastwo i padł wraz z nim obok rannego. Odgłos upadającego kawałka metalu był prawie tak głośny jak otaczające ich strzały. Metalowa obroża coraz mocniej wrzynała się w puchnący nadgarstek.

Kłęcząc nad szwajcarskim policjantem, sięgnął do jego pasa. Glina krzyknął do wybawcy:

– Moje biodro! Jestem ciężko ranny w...

– Przykro mi – powiedział Court, odpinając kluczyk do kajdanek z łańcucha. Był umazany krwią młodego funkcjonariusza. Schylając się pod serią pocisków, która przeleciała obok jego prawego ucha, Amerykanin pchał przed siebie żeliwne oparcie ławki w stronę krawędzi peronu, czołgając się za ozdobnym podłokietnikiem.

Ranny policjant próbował nieudolnie chwycić nogę oddalającego się Amerykanina, w żalonym geście mającym na celu albo błaganie o pomoc, albo próbującym zatrzymać więźnia, jakby to jeszcze miało jakieś znaczenie. Gentry kopnął dłoń policjanta, podniósł z ziemi jego berettę i wciąż pełził do przodu. Deszcz nabojów gonił go aż na skraj peronu, niemal trafiając w chwili, kiedy spadał z żeliwną kotwicą. Runął ponad metr na ziemię i skrył się za betonem. Był na haju adrenalinowym. Niemal wpadł w panikę, kiedy zgubił kluczyk od kajdanek w śniegu, ale szybko udało mu się go zlokalizować. Podniósł się na kolana i opanował drżenie zziębniętych palców, kiedy otwierał kajdanki i uwalniał lewy nadgarstek.

Z pięciu policjantów, którzy wyciągnęli go z pociągu, tylko dwóch wciąż walczyło. Obaj chowali się za marną barykadą na peronie.

Court nie chciał się znaleźć na celowniku nikogo, kto mógł zobaczyć, jak spada z peronu, więc przeczołgał się kilka metrów, zanim wystawił głowę. Krzyknął na gliny, żeby podbiegli do niego. Jeden zawołał, że skończyła mu się amunicja. Drugi

miał ranną prawą dłoń, więc strzelał zza kamiennej donicy lewą. Widać było, że jest praworęczny.

Ruch od strony stacji przyciągnął wzrok Gray Mana. Nieliczni przebywający na dworcu cywile zdążyli uciec lub się schować. Zobaczywszy dwóch biegnących w stronę peronu mężczyzn, Court wiedział, że część napastników go zauważyła i teraz próbują flankować.

Drzwi na peron otwały się z hukiem i nad policjantem z ranną ręką stanęło dwóch zamaskowanych mężczyzn.

Court trzymał berettę w prawej ręce, lewa była na razie nieużyteczna. Podniósł pistolet i z dwunastu metrów strzelił obu napastnikom w twarz. Siła pędu ich ciał i kul sprawiła, że wpadli na siebie, po czym razem osunęli się przez drzwi na zimny peron.

Po drugim strzale pożyczona beretta 92 zablokowała się i otwarła. Pusta.

– Hej, rzućcie mi broń!

Court trzeci raz zawołał o broń. Tym razem jednak dwóch ocalałych policjantów widziało, jak potrafi strzelać. Młody funkcjonariusz z zakrwawioną ręką szybko popchnął jedną z giwer martwych napastników. Court złapał ją i się schował.

To był HK MP5, jeden z najbardziej znanych pistoletów maszynowych na świecie. W rękach Gray Mana leżał jak ulał. Amerykanin sprawdził magazynek – pełny, trzydzieści dziewięćmilimetrowych kulek. Krzyknął do rannego chłopaka, żeby rzucił drugi leżący na ziemi pistolet swojemu koledze. Po udanym podaniu Court zawołał:

– Ustaw na półautomat! Strzelaj po serii w każdą stronę, aż będzie pusty! Rozumiesz?

– Oui! – odkrzyknął funkcjonariusz.

– No to już!

Court biegł pochylony wzdłuż skraju peronu na północ. Zbliżył się do czwórki, która wyszła z pojazdu zaparkowanego na wzgórzu. W oddali zobaczył nadjeżdżający pociąg. Usłyszał syreny od strony wioski. Próbował na to nie zważać, czolgając się wzdłuż torów po śniegu. Teraz uwaga wszystkich, poza znanymi mu glinami, będzie się koncentrować tuż za rogiem, na betonowym peronie.

Nadgarstek pulsował bólem, a do tego piekły go kolana – te rany to jeszcze pamiątka po ucieczce z budapeszteńskiego mieszkania Lászla Szabó. O dziwo, nieustannie odczuwany od czwartku ból w udzie najmniej mu teraz doskwierał.

Trzy metry od rogu betonowego peronu był w stanie ich usłyszeć. Czy oni mówili po hiszpańsku? Serio? Czy już każdy naród na tej chujowej Ziemi próbował go zabić? Czaili się przy schodkach na peron. Gentry, choć dzwoniło mu w uszach, rozpoznał charakterystyczny odgłos zmienianego magazynka w MP5.

Kiedy wstał, natknął się również na ledwo spionizowaną dwójkę napastników. Jedną ręką wystrzelił automatyczną serię z odległości mniej niż trzech metrów. Obaj padli, a Court na wszelki wypadek strzelił jeszcze kilka razy w każde z drżących ciał. Rzucił pustą splotkę i wyrwał kolejną martwemu strzelcowi, po czym wrócił na peron.

Nawet nie przeszło mu przez myśl, żeby uciekać przed hiszpańskojęzycznymi zabójcami czy szwajcarską policją, choć nadarzyła się ku temu okazja. Trwała walka, Court już w niej uczestniczył, czmychnięcie na tym etapie wydawało mu się nieprzyzwoite. W końcu pozostała przy życiu para funkcjonariuszy, którzy bez niego nie mieli szans na przetrwanie. Odgłos syren był coraz głośniejszy, w kilku ocalałych na dworcu szybach odbijały się światła migających kogutów. Court Gentry wrócił wspomóc policjantów, trzymał prawą ręką pistolet przed sobą, wciąż wypatrując nowych celów.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Claire Fitzroy siedziała na łóżku i spoglądała przez okno na trawnik i gęsty las w oddali. Odkąd poprzedniego popołudnia przyjechali do pałacu, niebo przez większość czasu było ponure i szare, jednak w ciągu poranka chmury rozeszły się i się przejaśniło.

Obok niej stał niemal nietknięty obiad. Jej siostra była na dole w kuchni z mamusią, tatusiem i tymi panami w skórzanych kurtkach, którzy nie odstępowali rodziców na krok, ale jej pozwolono wstać od stołu. Powiedziała, że boli ją brzuch, i zapytała, czy może wrócić na górę do sypialni.

Brzuszek naprawdę ją bolał. To przez zmartwienie, które nie odstępowało jej od ponad doby. Zaczęło się od nagłego zabrania ze szkoły i zdenerwowanych min mamusi i tatusia, kłótni taty z dziadkiem, a potem jeszcze przyjechali ci panowie z bronią i zawieźli ich wielkimi czarnymi autami na wieś, do pałacu.

Nagle coś przykuło jej uwagę. Nachyliła się bliżej okna i zmrużyła oczy. Wtem wstała, podekscytowana. W oddali dostrzegła wznoszące się wieże jakiegoś kościoła. Przecież ona go znała! To katedra Notre Dame w Bayeux! Wiedziała, że w miasteczku jest posterunek policji, przy kole młyńskim, które pokazywał im kiedyś tata. Pamiętała, jak w poprzednie wakacje uśmiechali się tam do niej policjanci w eleganckich mundurach. Owca

Gdyby tylko udało jej się stąd wydostać, może przebiegłaby przez wielki trawnik, przez sad jabłoni, a stamtąd przez las do Bayeux. Tam już znalazłaby posterunek i opowiedziała, co tu się dzieje. Policjanci mogliby zmusić tych panów w skórzanych kurtkach mówiących paskudnym obcym językiem do uwolnienia jej rodziny.

Ale by się mamusia i tatuś cieszyli!

To było daleko, ale wiedziała, że da radę. Była najszybszą skrzydłową w szkolnej drużynie piłkarskiej! Mogłaby wymknąć się przez to okienko w piwnicy, przez które poprzedniego wieczoru prześlizgnął się rudy kotek.

Rezulutna ośmiolatka zapięła płaszczyk, założyła rękawiczki i uchyliła drzwi sypialni. Kiedy tylko wyszła na długi i ciemny korytarz, usłyszała jakieś głosy od strony klatki schodowej, ale dochodzące z wyższego piętra. Pobiegnęła do schodów. Schodziła ostrożnie, krok po kroku, byle tylko nie narobić hałasu.

Nagle dobiegł ją z góry przeraźliwy krzyk. Znieruchomiała, po czym spojrzała w tamtym kierunku. Kolejny krzyk. Dochodził z drugiego piętra. Znów zaczęła schodzić, próbując zlokalizować, skąd pochodzi odgłos. Po chwili rozległ się niski, gardłowy dźwięk.

To dziadzius Donald. Wydawało się jej, że szlochał.

Pospiesznie dotarła na parter, mijając ostrożnie kuchnię i jadalnię, bo rodzice jeszcze tam byli i jedli. Gdyby ją zauważyli, tata byłby zły i kazałby jej wracać do pokoju.

Korytarz przed nią skręcał w prawo. Była coraz bliżej kamiennych schodków prowadzących do piwnicy z winem. Claire poruszała się szybko, ale pilnowała, żeby nie narobić zdradliwego hałasu.

Skręciła i prawie wpadła na ogromnego strażnika. Skamieniała. Mężczyzna miał na sobie brązowy golf. Był odwrócony do niej tyłem, ale widziała, że przez klatkę piersiową przewiesił broń. U pasa miał mniejszy pistolet i radio. Patrolował korytarz, oddalał się od niej, jego ruchy były idealnie bezszelestne. Mała Claire nie odważyła się ani wycofać, ani obrócić i uciec. Stała tak milcząco na środku korytarza za dryblasem. Strażnik poruszał się powoli, oddalając się od niej najpierw o metr, potem o dwa, w końcu o pięć.

Nagle otworzył drzwi z lewej strony. Z wczorajszej wieczornej wyprawy rozpoznawczej z siostrą pamiętała, że za nimi mieściła się niewielka łazienka. Zatrzasnął je za sobą. Z tyłu usłyszała rozmowę innych panów. Pospiesznie pobiegła, mijając łazienkę, prosto na kamienne schodki do piwnicy. Po minucie już wdrapywała się po półkach. Przecisnęła się przez okno i znalazła na trawniku. Podniosła się, schyliła i rozejrzała na lewo i prawo. W oddali dojrzała jakiegoś pana prowadzącego na smyczy wielkiego psa. Podobnie jak napotkany na korytarzu, był odwrócony plecami do niej i kierował się przed siebie. Claire ominęła wzrokiem białą marmurową fontannę i sad, zatrzymując spojrzenie na linii horyzontu. Tam dostrzegła wreszcie wieże katedry w Bayeux. Raz jeszcze rozejrzała się, po czym ruszyła. Podniosła się i pognęła sprintem tak szybko, jak tylko pozwalały jej małe

nózki. Było zimno, aż wydobywała się para z ust. Minęła fontannę, po czym pędziła szybciej niż kiedykolwiek.

Kilka tygodni temu strzeliła gola w meczu przeciwko drużynie podstawówki Walnut Tree Walk. Była na lewym skrzydle, kiedy nagle pojawiła się piłka po słabym wybiciu. Claire udało się przekopać ją w stronę światła bramki, w równym pędzie przedryblować blisko i kopnąć nisko, strzelając swojego pierwszego gola sezonu. Tatusz był taki dumny i szczęśliwy! W drodze do domu zabrał córeczki w nagrodę na pizzę. Do dziś wspominał to czule.

Claire przebiegła przez zielony, pięknie przystrzyżony trawnik tak, jakby gnała za piłką do bramki. Musiała tylko ignorować piekąco zimne powietrze w płucach i kłucie w nogach. Wystarczyło dotrzeć do sadu, tam już zły pan jej nie złapie. Żeby tylko dostać się do wież, a stamtąd na posterunek policji, powiedzieć komuś, co wyprawia się w pałacu. Po prostu musiała uratować rodzinę.

Znajdowała się zaledwie kilka metrów od sadu, już czuła zapach słodkich jabłek, kiedy z tyłu ogromnego trawnika rozległ się rozdzierający powietrze strzał, odbijający się echem od ściany drzew, do której biegła. Dziewczynka potknęła się i upadła w krzaki na skraju sadu.

\* \* \*

– A co to, kurwa, ma być? – krzyknął zaskoczony Lloyd, choć wiedział już, że właśnie usłyszał strzał. Wystawił głowę z centrum dowodzenia. Stojący na końcu korytarza na drugim piętrze strażnik był równie zaskoczony.

Lloyd minął go i zbiegł po schodach. Był bez marynarki, miał rozwiązany krawat, rozpięty kołnierzyk koszuli i podwinięte rękawy. Pachy, twarz i włosy były złane potem. Jego koszula była poplamiona mieszaniną potu i krwi w miejscu, w którym otarła się o świeżą ranę.

U wylotu schodów na pierwszym piętrze prawie wpadł na idącego po niego Białorusina.

– Co się dzieje? Kto strzela? – zapytał Lloyd.

– Szybko! Proszę, niech pan idzie szybko!

Lloyd podążył za nim na parter. Z części mieszkalnej, z kuchni, dochodziły piski. To był głos Elise Fitzroy. Ekipa z Mińska wrzeszczała coś w odpowiedzi. Pojawił się pan Felix, zapytał, co się stało, po czym został grzecznie poproszony o powrót do

biblioteki i zamknięcie za sobą drzwi. Lloyd zaczął wchodzić do kuchni, ale prowadzący strażnik odwrócił się i wziął go za ramię. Mówił coś, ale jego angielski był strasznie słaby. Lloyd strącił z ramienia jego dłoń, mimo to poszedł za nim tylnym wyjściem.

Z początku Amerykanin widział tylko białą fontannę, zielony trawnik, sad w oddali i przejrzyste błękitne niebo. Kierując się za strażnikiem, obszedł fontannę i znalazł trzech Białorusinów i psa stojących nad leżącą w trawie postacią.

– Gentry? – Lloyd nie wierzył własnym oczom. Jak to możliwe, żeby tak szybko...

Mężczyzna z psem zrobił krok w bok, odsłaniając Lloydowi ciało leżące twarzą do trawnika.

Lloyd zacisnął szczękę.

– O kurwa! Tylko tego mi dziś brakowało!

W tej właśnie chwili od strony sadu, jakieś sto czterdzieści metrów od nich, wyłonił się kolejny strażnik. W prawej ręce trzymał smycz, a na niej wielkiego czarnego psa myśliwskiego, przez klatkę piersiową miał przewieszoną strzelbę, a lewą dłonią mocno ścisnął nadgarstek małej brązowowłosej dziewczynki. To była jedna z bliźniaczek. Lloyd nie miał czasu nauczyć się ich imion, a tym bardziej odróżnić jednej od drugiej.

Amerykanin wyrwał radio z paska Białorusina, który go tu zaprowadził. Wcisnął przycisk transmisji.

– Ej, ty tam! Wprowadź ją od frontu. Nie potrzebujemy jeszcze rozhisteryzowanego bachora.

– Tak jest – odpowiedział przez krótkofalówkę mężczyzna. Pociągnął dziewczynkę, prowadząc ją wzdłuż sadu z dala od ciała jej ojca, leżącego na brzuchu w gęstej trawie. Z tyłu głowy widniał niewielki otwór. Jego twarz była zmasakrowana.

\* \* \*

Gentry skręcił na autostradę, kierując się na południe, w stronę Lozanny, a następnie na zachód wokół Jeziora Genewskiego. Zielona furgonetka miała kilka dziewięciomilimetrowych dziur, ale wskazówki ciśnienia oleju i poziomu benzyny

pozostawały stabilne. Za nim, na stacji kolejowej co najmniej czterech facetów z Ameryki Południowej leżało martwych w śniegu.

Reszta była właśnie skuwana przez ośmiu policjantów z przybyłej przed chwilą czterema radiowozami ekipy. Courtowi udało się przebiec przez tory, akurat kiedy wjechał potężny pociąg międzymiastowy. Następnie pognał na wzgórze i wszedł do zielonej furgonetki. Kluczyki na szczęście znalazł w stacyjce, silnik wciąż był włączony.

A teraz gnał przed siebie. Kwadrans wcześniej był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Szwajcarii. Choć ten zaszczytny tytuł przeszedł teraz na Latynosów, którzy urządzili strzelaninę na dworcu kolejowym, Court wiedział, że wciąż zajmował drugie miejsce i lokalna policja wkrótce puści w eter wiadomość, że poszukuje człowieka jadącego zieloną, podziurawioną kulami furgonetką.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nikt nie uprzedził Białorusinów w Château Laurent o nadlatującym śmigłowcu. Kiedy więc znad lasu od południa pojawił się Sikorsky S76, który usiadł z impetem na lądowisku obok żwirowego parkingu, rozpętało się istne pandemonium.

Lloyd wiedział o zbliżającym się helikopterze z Paryża. Prawnik siedział w centrum dowodzenia i słuchał odgłosów śmigła odbijających się od szyb ze szkła kryształowego. Wysłał Techa na przerwę, po czym wypchnął siedzącego w fotelu sir Donalda, skutego łańcuchem, do pobliskiej łazienki.

Teraz Lloyd był sam. Gapił się na kamienną ścianę. Po trzech minutach otwarły się za nim drzwi. Prawnik się nie poruszył.

– Lloyd? Lloyd?

Amerikanin obrócił się powoli w fotelu biurowym w stronę gościa przybyłego do Château Laurent. Riegel to duży facet, prawie dwa metry wzrostu. Miał zaczesane do tyłu, gdzieś tam poprzetykane siwizną blond włosy oraz krzaczaste jasne brwi. Ubrany był w grube spodnie koloru khaki, sportową zamszową marynarkę i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Mniej więcej dwadzieścia lat starszy od Lloyda, nie pozwolił, by jego ciało sflaczało. Miał potężny głos i apodyktyczne spojrzenie, które podpowiadały prawnikowi, że czeka go trudne i męczące popołudnie.

Lloyd nie wstał na widok przybysza.

– Witamy w Château Laurent, *Herr* Riegel.

– Nie przeszło wam przez myśl, żeby uprzedzić ochronę, że przyjadę? Przed chwilą trzech Białorusinów wyznało mi, że prawie podziurawili mi śmigłowiec! – krzyknął wzburzony Niemiec.

– Oj, to by była wielka strata.

Riegel wyglądał, jakby chciał to ciągnąć, ale odpuścił.

– Gdzie jest przedstawiciel Abubakera?

– Pan Felix jest na dole. Umieściliśmy go w pokoju przy bibliotece. Obiecałem, że zadzwonię, gdy będziemy mieć jakieś wieści.

– Słyszał pan, że Gentry znowu się wymknął śmierci?

– Owszem.

– Ale mamy Genewę pod kontrolą. Jeśli tam się zjawi, to po nim.

– Wiem o tym.

– Owszem, nie padł nam jeszcze od jednego strzału na ulicy, ale pokonujemy go prostą zasadą „na zmęczonego”. Zaraz skończą mu się broń, amunicja, drogi ucieczki, czas i wreszcie krew.

– Mam nadzieję, że to prawda. Bo mnie kończą się tu zakładnicy.

Riegel usiadł na fotelu Techa.

– Jak już wspominałem przez telefon *en route*, dostałem rozkaz od Marca Laurenta, żeby przybyć tu i służyć... konsultacjami. Nie krzyw się pan. Jest mi to równie niemiłe jak panu. Ten pierdolony bajzel, któryś mi tu pan zgotował i jeszcze zdołał pogorszyć, bynajmniej nie będzie pomocny w dalszym przebiegu mojej kariery, nieważne, jak to się skończy. Ja tu tylko sprzątam, moim zadaniem jest przypilnowanie, żeby ta i tak fatalna sytuacja się nie pogorszyła. Kiedy Laurent dowiedział się, że ochroniarz zastrzelił zakładnika... Cóż, po prostu zadzwonił, i powiedział: „Kurt, jedź tam. Zrób, co do ciebie należy”.

W głosie Lloyda czuć było nutę sarkazmu:

– *Monsieur* Laurent nie ma się już o co bać. Wątpię, aby się to miało powtórzyć. Nie mamy już tatusiów do wystrzelania.

– Gdzie są teraz Fitzroyowie?

– Pod kluczem na pierwszym piętrze.

– Wiedzą o zabójstwie?

– Dzieci nie, żona tak.

– Jak się trzyma?

– Jeden z moich ludzi od ścisłej ochrony wstrzyknął jej wystarczająco dużo środka uspokajającego, żeby jeszcze przez chwilę była otępiała.

Riegel w odpowiedzi pokiwał tylko głową.

– Gdzie sir Donald?

Lloyd pokazał na drzwi po drugiej stronie pomieszczenia.

– Tam.

– Jak doszło do incydentu?

Lloyd wzruszył ramionami. Mogłoby się wydawać, że cała operacja go niewiele obchodziła.

– Jedno z tych małych zasrańców postanowiło zwiać. Wypatrzył ją snajper na dachu i dał znać przez radio. Ja akurat byłem wtedy zajęty, miałem wyłączony odbiornik. Kiedy strażnicy za nią pobiegli, Philowi odpierdoliło, chyba myślał, że coś jej zrobią. Przepchnął się przez dwóch uzbrojonych Ruskich w korytarzu, po czym wybiegł od tyłu za córką.

– I?

– I wtedy snajper go usunął.

Lloyd wyjrzał przez okno na trawnik.

– Biedny sukinsyn tylko próbował chronić rodzinę. Złapałby córkę, przyprowadził. Nie uciekłby bez pozostałych. Żaden ojciec nie zostawiłby żony i dzieci.

– Cóż, wątpię, żeby nasz snajper był rodzinny.

– Sir Donald wie?

– Tak. Powiedziałem mu.

– I jak to przyjął?

– Zero emocji.

– No dobra. Pogadam z nim. Spróbuję wyjaśnić, że to nieszczęśliwy wypadek.

– Powodzenia.

– Słuchaj, Lloyd. Zrób pan sobie przerwę. Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

Lloyd wstał. Riegel spostrzegł krew na jego koszuli, ale nie zareagował.

– To ja tu wciąż dowodzę – podkreślił Lloyd.

Riegel potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Mnie to pasuje. Naprawdę nie chcę brać więcej odpowiedzialności za to fiasko, niż muszę. Ja tu jestem od konsultacji. Od podzielenia się kilkoma pomocnymi sugestiami. Takimi, że może fajnie by było na przyszłość nie tracić z oczu ósmioletnich dziewczynek. I żeby nie strzelać do zakładników, którzy nie stanowią zagrożenia ani nie mają jak uciec, oraz żeby uprzedzać ochronę, że ma przylecieć helikopter ze swoimi. Wiesz pan, takie sugestyjki.



Lloyd wstał, po czym bez słowa ruszył w stronę schodów do kuchni.

Riegel podszedł do drzwi, za którymi, wedle słów Lloyda, znajdował się Fitzroy. Zdziwił się, że prowadziły do obszernej, wyłożonej kafelkami łazienki. Na fotelu pośrodku oświetlonej świecami komnaty siedział Fitzroy. Spojrzał na Riegla wilgotnymi przekrwionymi oczami. Głowę, ręce i kostki miał przytwierdzone do fotela za pomocą grubego łańcucha. Jego zniszczona koszula leżała na podłodze, ubrany był w przepocony, zakrwawiony podkoszulek i podarte tweedowe spodnie poplamione krwią. Miał poobijaną twarz i widoczne ślady po cięciach nożem.

– *Scheisse* – westchnął Riegel. Wyszedł z pomieszczenia, wystawił głowę na korytarz i zawołał do dwóch stojących przy schodach Szkotów: – Natychmiast rozwiążcie więźnia! Ma zostać umyty, nogi zabandażowane. I znajdźcie mu jakieś świeże ubranie! Cholera, no, ruchy, ruchy!

Po kwadransie Riegel siedział na stołku przy skraju łoża z baldachimem, w eleganckiej sypialni mieszkalnej części pałacu na drugim piętrze. Sir Donald leżał na łóżku i łypał na niego. Anglik został uwolniony z oków, wymyty i ubrany w czystą odzież. Na lewej skroni, w miejscu, gdzie niecelne uderzenie przecięło skórę, miał mokry bandaż. Nikt jednak nie zajął się siniakami na brodzie i w okolicach oczu.

Z początku obaj milczeli, choć Fitzroy zdążył już ruchem głowy odmówić kawy. Spoglądał złowrogo.

W końcu Riegelowi udało się zacząć:

– Szanowny panie, nazywam się Riegel. Po pierwsze, muszę szczerze przeprosić za to, jak pana potraktowano. Nie miałem pojęcia, że Lloyd zamierzał... No cóż, żadnych wymówek. Biorę za to pełną odpowiedzialność. Naprawię to, obiecuję.

Fitzroy wciąż milczał, choć z jego spojrzenia można było wywnioskować, że nie należy się spodziewać żadnej wdzięczności za przeprosiny i obietnicę.

– Wkrótce dostanie pan posiłek i wodę. A może miałby pan ochotę na coś mocniejszego? Może kieliszek brandy? O ile się nie mylę, Anglicy lubią się napić po południu.

Więzień wciąż milczał.

– Ponadto proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje z powodu śmierci syna. Wiem, że nic, co powiem czy zrobię...

– No to niech się pan, do diaska, nie fatyguje – parsknął Don. Jego głos był szorstki niczym papier ścierny czy żwir.

– Rozumiem. Ja tylko chcę, żeby pan wiedział... Nikt nie planował, aby tak się to potoczyło. Ale dobra, żadnych wymówek. Powinienem od początku być na miejscu. Ruszyłem tu, jak tylko dowiedziałem się o wypadku. Pana syn zachował się tak, jak zachowałby się każdy ojciec. Nie powinien zostać zastrzelony – powiedział Niemiec, po czym powtórzył: – Postąpił tak, jak postąpiłby każdy ojciec w tych okolicznościach.

Fitzroy zdawał się rozmyślać o tym, co usłyszał, choć nie odpowiedział.

– Od tej chwili to ja będę sprawował opiekę nad pana rodziną. Pan Lloyd podejmie się koordynowania działań mających na celu znalezienie i unieszkodliwienie Gray Mana. Będę też czuwał nad działaniami obronnymi tu, na miejscu, na wypadek gdyby, co mało prawdopodobne, pan Gentry zdołał uciec przed rozesłanymi jego tropem łowcami.

– On już niedługo się tu zjawi, frycu jeden.

Riegel uśmiechnął się i wyprostował na stołku.

– Owszem, udało mu się unieszkodliwić lub doprowadzić do unieszkodliwienia Albańczyków, Indonezyjczyków i Wenezuelczyków, a i jeden z Libijczyków został przypadkowo ranny w trakcie ucieczki Gentry'ego. Czyli wyeliminował trzy wysłane za nim ekipy zabójców i zmniejszył skuteczność czwartej. Ale pamiętajmy, że od nas dzieli go jeszcze dziewięć ekip. Czyli mniej więcej czterdziestu mężczyzn. Do tego setka wypatrujących go artystów chodnikowych. Ponadto mamy czternastoosobowy kordon rozstawiony wokół pałacu oraz technika monitorującego telefony i komputery wszystkich znanych kontaktów Gentry'ego wzdłuż prawdopodobnej trasy. I chodzą słuchy, że jest ranny. Z pewnością jest też wyczerpany. Kończą mu się i siły, i środki.

– Dotrze tu – powiedział Fitzroy, jak gdyby to była oczywistość.

Niemiec uśmiechnął się uprzejmie.

– Zobaczmy – odparł, po czym jego oczy przybrały mroczniejszy wyraz. – Wiem, sir Donaldzie, że długo pan siedzi w tym fachu i zna go pan na wylot. Z pewnością doskonale pan rozumie swoje położenie. Twierdząc, że ujdzie pan z życiem, kiedy rozwiążemy problem z Gray Manem, urągałbym pańskiej inteligencji. Wie pan tak samo jak ja, że nie możemy tak po prostu po wszystkim

otworzyć bram pałacu i pozwolić panu wyjść. Nie chcę wprowadzać nadmiernego dramatyizmu, ale cóż... Jak to mówią w filmach, pan po prostu za dużo wie. No właśnie. Niezależnie od tego, jak potoczy się sprawa Gentry'ego i kontraktu z Lagos, nie wyjdzie pan stąd żywy. Widzę po pana oczach, że zdawał pan sobie z tego sprawę. – Niemiec przełknął ślinę i ciągnął: – Ale tak pomiędzy dwoma kolegami po fachu, obiecuję panu jedno: pańskim wnuczkom i synowej nie spadnie włos z głowy. Wystarczająco dużo już przeszły. Są mi potrzebne wyłącznie do czasu przybycia pana Gentry'ego. Potem będą wolne. O ile Gray Man nie skontaktuje się z nikim innym, nie sprowadzi nam do pałacyku policji czy wojska, nic nie zagraża pana synowej i wnuczkom niezależnie od tego, czy prezydent Abubaker podpisze umowę, czy nie. Obiecuję również, że nie będzie pan musiał znosić poniżenia ze strony pana Lloyd'a.

Fitzroy spojrział w oczy Riegla.

– Chcę, aby z ciałem mojego syna obchodzono się z szacunkiem.

– Naturalnie. Dopilnuję, ażeby sprowadzono najlepszą trumnę. Ciało Phillipa zostanie przetransportowane do Anglii helikopterem i dostarczone do miejsca wskazanego przez wdowę po nim, jak tylko wróci do domu.

Fitzroy powoli pokiwał głową.

– Dobrze. Proszę jeszcze, niech pan dopilnuje, aby dziewczynki były daleko od linii ognia, kiedy Gray Man się tu dziś zjawi. Jeśli tak się stanie, nie będę utrudniać dalszego przebiegu waszej misji.

„Kiedy Gray Man się tu dziś zjawi”. Riegel walczył ze sobą, żeby nie uśmiechnąć się na dźwięk tych słów. Udało się.

– Ma pan moje słowo honoru – powiedział, po czym dodał, nie mogąc powstrzymać się od odrobiny sarkazmu: – Czy jest jeszcze coś, co mogę dla pana zrobić przed wielką bitwą u wrót pałacu?

– Jeśli to możliwe, to bardzo chciałbym porozmawiać z Claire. Dziewuszka ma tendencję do zamartwiania się. Nie chcę myśleć, co się teraz musi dziać w jej głowie. Dlatego chciałbym prosić o możliwość rozmowy z wnusią na osobności.

– A, Claire to jedna z bliźniaczek. Oczywiście, jestem pewien, że to da się załatwić.

– Byłoby wspaniale. Dziękuję panu.

\* \* \*

Dziesięć minut później Riegel stał naprzeciwko Lloyd'a w kuchni. Obaj pili kawę. Żaden nie tknął kanapek wyłożonych na półmisku stojącym na ogromnej wyspie kuchennej.

– Dlaczego torturowałeś Fitzroya?

– Nie traktował obecnej sytuacji wystarczająco poważnie.

– Ty jesteś obłąkany, Lloyd. Podejrzewam, że niepoczytalność stwierdzono nawet formalnie, pewnie jeszcze w dzieciństwie, i jakimś cudem udało ci się ten szczegół ukryć przed CIA i Laurentem.

– Gadaj, co chcesz, Riegel.

– Zostaw Fitzroya w spokoju.

– Słuchaj, Kurt. Masz większe problemy niż ja. Trzeba wysłać kogoś do Szwajcarii, żeby posprzątał ten bajzel, który zostawił po sobie Gentry.

– To znaczy?

– Tech właśnie dostał cynk od obserwatora z Lozanny. Podobno Szwajcarzy wzięli żywcem dwóch Wenezuelczyków. Musimy się upewnić, że nie puszczą pary z ust.

– Więc chcesz ich zabić?

– A jak inaczej mamy się upewnić, że nic nie pisną?

Riegel wzruszył ramionami.

– Bez LaurentGroup w Wenezueli ropa przestanie płynąć. Bez naszej firmy ta ropa, którą trzymają na eksport, nie zostanie przewieziona przez ocean do rafinerii. Chávez potrzebuje nas tak, jak my potrzebujemy jego. Kilku strzelców, którym ani nie udało się doprowadzić misji do końca, ani zginąć w akcji, bynajmniej nie popsuje nam przyjaznych stosunków z tym psychopata. Zadzwoń do dyrektora Generalnej Agencji Wywiadowczej w Caracas, zapewnij go, że choć ich ludzie zawiedli, to jeśli dopilnuje, żeby pojmanci agenci trzymali język za zębami, dostaną nagrodę pocieszenia. Tak więc kiedy Szwajcarzy grzecznie wpuszczą pracowników ambasady wenezuelskiej na spotkanie z więźniami, pojmanci z pewnością otrzymają szczegółowe informacje na temat tego, co spotka ich rodziny, jeśli nie przyjmą całego ciężaru sprawy na siebie. Wystarczy słówko policji o tym, że pewna międzynarodowa korporacja zatrudniła zespoły zabójców

z wielu krajów rozwijających się do upolowania pewnego podróżującego po Europie jegomościa, i... cóż, żony, dzieci, rodzice i sąsiedzi naszych zabójców zostaną wtrąceni do wenezuelskiego odpowiednika gułagu.

Lloyd był pod wrażeniem.

– To dlatego nie chciałeś korzystać z najemników?

– Najemnicy nie odpowiadają przed nikim innym, tylko przed sobą. Wolę korzystać z usług tych, którzy podlegają komuś, kim też mogę manipulować.

Lloyd pokiwał głową.

– Czyli zostaje nam znalezienie Gentry'ego.

– Mamy swoich ludzi w każdym wąskim gardle w Genewie, w każdym miejscu pobytu każdego znanego kontaktu, w każdym szpitalu. Tech monitoruje telefony i radia policyjne. W centrum czuwa w pełnej gotowości ekipa z RPA. Jeśli któryś obserwator go dostrzeże, będą tam w kwadrans.

\* \* \*

Fitzroy nic nie zjadł, wypił jedynie dwa kieliszki brandy i trochę wody z butelki. Lloyd nieco go pokieroszował, ale bynajmniej nie złamał. Kilka cięć w udo, uderzeń otwartą dłonią po głowie. Nic, tylko histeryczne działania desperata.

W latach siedemdziesiątych, kiedy był młodym agentem wywiadu w Irlandii Północnej, został porwany z postoju taksówek przez zakapturzonych bandziorów z PIRA. Wzięli go do opuszczonego magazynu, gdzie przez półtorej godziny bili rurami. Kiedy jednostka do szybkiego reagowania SAS została spuszczonej z helikoptera, w strzelaninie zabiła trzech z pięciu terrorystów, a na dwóch pozostałych dokonała egzekucji pod ścianą, dwudziestosześcioletni szpieg miał już sześć złamanych kości i nieodwracalne uszkodzenie lewego oka.

W porównaniu z tamtymi przeżyciami to, co urządził mu Lloyd, to było małe piwo. Amerykanin miał zapał, ale brakowało mu talentu do zadawania bólu. Do tego nie kierował się poczuciem wielkiej sprawy czy wiarą w jakąkolwiek ideologię. Motywacją tej marnej człowieczyny było w jednej trzeciej jego osobiste szaleństwo, a w dwóch trzecich wzburzenie żalosnością sytuacji, w której się znalazł. Fitzroy przyznał, że w całym tym przedsięwzięciu chyba tylko Court Gentry był w gorszym położeniu niż młody Lloyd. Anglik podejrzewał, że jeśli

o ósmej rano Julius Abubaker nie podpisze tego przeklętego kontraktu, Laurent każe Rieglowi zabić amerykańskiego prawnika.

Sir Donald, choć pobity, bynajmniej nie podupadł na duchu. Miał nawet plan. Postanowił wykorzystać swój spryt, wypracowane techniki, jak również długoletnie doświadczenie w manipulowaniu innymi do osiągnięcia tego, czego nie będzie w stanie dokonać w pojedynkę. Mimo iż znajdował się obecnie przykuty, choć już tylko w przerośni, do łóżka, planował okrutną zemstę na tych, którzy ważyli się narazić jemu, jego rodzinie i jego najlepszemu płatnemu zabójcy.

Drzwi do sypialni otwały się powoli. Fitzroy wypił ostatni łyk brandy, po czym szybko odstawił kieliszek na szafkę nocną. Claire weszła do pokoju niepewnie, ostrożnie. Kiedy jednak dostrzegła dziadka, natychmiast do niego pobiegła. Rzuciła mu się na szyję, ściskając serdecznie.

– Czołem, szkrabie. Jak się czujesz?

– W porządku, dziadziu. Ale jesteś pokiereszowany!

– To nic, kochanie. Potknąłem się na schodach, nie ma co się martwić. Jak się miewa twoja siostra?

– Dobrze. Jej tu się podoba.

– A tobie nie?

– Nie. Boję się.

– Czego?

– Tych wszystkich panów. Są dla nas bardzo niemili. Niemili dla mamusi i tatusia.

– A ty jesteś grzeczna?

– Oczywiście, dziadziu.

– No to bardzo dobrze – powiedział Fitzroy, patrząc przez okno. Potem zwrócił się do wnuczki: – Claire, szkrabie... Mam ochotę się trochę zabawić. Co ty na to?

– Zabawić?

– Właśnie tak. Jest taki jeden z tych panów, którzy nas... ochraniają... Przyleciał ze mną rano helikopterem. Słyszałem, jak koledzy wołają do niego Leary. Irlandczyk. Wiesz, o którego mi chodzi?

– Ten rudy?

– Właśnie ten. Mam bardzo bystrą wnuczkę.

– Tak, kojarzę go, dziadziu. Siedzi na krześle pod schodami.

– Czyżby? No dobrze, Claire. Zauważyłem, że pan Leary miał komórkę przypiętą do kieszeni wielkiej niebieskiej kurtki. Podejrzewam, że w domu jej nie nosi. Pewnie jest w jakiejś szafie, może leży gdzieś na podłodze albo na dole na kanapie. Tak sobie myślałem, żebyśmy się pobawili z panem Rudzielcem. Czy mogłabyś poskradać się jak mała kotka i wyciągnąć komórkę z jego kurtki? Myślisz, że dałabyś radę?

– Ta kurtka wisi na wieszaku. Widziałam komórkę. Może uda mi się ją wziąć, kiedy pójdzie do kuchni po herbatę.

– Brawo! Dzielna dziewczynka. Bardzo proszę, zrób to dla dziadzia Donalda. A jak już ją będziesz mieć w swoich łapkach, to schowaj ją do kieszeni czy do sweterka i powiedz ochroniarzom, że chcesz się ze mną widzieć.

– A jeśli mnie nie wpuszczą?

– Wtedy im powiedz, że jesteś Kate. Potrafisz udawać Kate? Powiedz, że skoro twojej siostrze pozwolili, to tobie też muszą, żeby było sprawiedliwie.

– Ale dziadku... Przecież ja w ogóle nie wyglądam jak Kate!

– Zaufaj mi, szkrabie. Dla tych panów jesteście identyczne. Tylko zmień ubranko, powiedz, że jesteś swoją siostrą i że ty też chcesz porozmawiać z kochanym dziaduniem.

– Dobrze. Spróbuję wykraść telefon i ci go przynieść cichaczem.

– To nie kradzież, kochanie. To zabawa.

– To kradzież. To nie zabawa. Nie jestem dzidziusiem. Wiem, co tu się dzieje.

– Oczywiście, że wiesz. Tak też podejrzewałem. Ale proszę, nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

– A gdzie jest tatuś?

Fitzroy zamyślił się tylko na chwilę, nie dał nic po sobie poznać. W końcu od prawie pół wieku okłamywał swoich agentów. Oszukiwanie rodziny przychodziło mu z wielką łatwością.

– Jest w Londynie, słonko. Ty też niedługo będziesz w domku. A teraz zmykaj już i uważaj na siebie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Court zaparkował furgonetkę pod Gare de Coravin, głównym dworcem kolejowym w Genewie, mieszczącym się w północnej, obskurnej części miasta. Parkowanie pod stacjami to prosty i skuteczny chwyt szpiegowskiego fachu. Kiedy jego pojazd zostanie znaleziony – a Court nie wątpił, że stanie się tak raczej prędzej niż później – zmusi to tropiących do rozważenia możliwości, że po prostu wskoczył do pierwszego lepszego pociągu, tym samym marnując ich czas i zasoby na wybadanie, gdzie mógł się udać. To nie było wiele, ale przynajmniej pozwalało uniknąć zdradzenia prawdziwego celu wizyty w tym mieście.

Było zimno, ale jasno. Przez szerokie ulice przelatywały jeszcze ostatnie późnojesienne liście. Z dworca Gentry udał się na południe, przeszedł przez most nad kanałem w stronę ogromnego Jeziora Genewskiego, minął uliczne dziwki i sex-shopy dzielnicy czerwonych latarni, a następnie tabuny bankierów i dyplomatów w średnim wieku zmierzających do miejsca rozpusty. Po pięciu minutach marszu szerokie, współczesne ulice ustąpiły miejsca węższym, brukowanym uliczkom, a szykowne butikami zamieniły się w średniowieczne kamienne mury. Ku niebu wzbijały się stare, malownicze budynki starówki, górujące nad nowoczesną częścią Genewy.

Gentry obejrzał mapę turystyczną wiszącą w holu jednego z hoteli, gdzie udało mu się ukryć podrapany i spuchnięty lewy nadgarstek przed wzrokiem stojącej obok japońskiej pary, po czym wrócił na chłodną ulicę. Po chwili znalazł się na placu przed katedrą Świętego Piotra. Tam zastał sporą grupę weekendowych turystów, kierujących głowy, wzrok i obiektywy aparatów fotograficznych w stronę imponującej fasady kilkusetletniej świątyni. Court minął grupy zwiedzających, po czym skręcił w boczną ulicę prowadzącą wzdłuż południowej ściany kościoła. Po lewej ciągnął się biały mur wysokości stu osiemdziesięciu centymetrów, z wielką żeliwną bramą pośrodku. Mijając ją, zerknął pomiędzy pręty. Zobaczył białą kamienicę z niewielkim ogródkiem od frontu. Po obu



stronach wąskiej ścieżki, prowadzącej do wejścia, rosły dwa wielkie kasztanowce; widać było, że próbują wydostać się z cienia potężnej katedry ku światłu. Court szedł po kocich łbach pasażem odchodzącym od jednokierunkowej uliczki, a potem ścieżką do tunelu, który doprowadził go na tył budynku.

Mur wysoki na dwie kondygnacje otaczał białą kamienicę. Sąsiadowały z nim bardziej współczesne budowle: z jednej strony budynek mieszkalny z salonem kosmetycznym, z drugiej żłobek. Kilkoro turystów szło w stronę wąskiej, pełnej sklepów ulicy, która ciągnęła się w dół wzgórza.

Obserwatorkę dostrzegł od razu. Była to atrakcyjna kobieta z długim blond warkoczem. Siedziała przy stoliku na niewielkim placu zabaw przy ulicy. Dzieliło ich jakieś dwadzieścia metrów, ale jej oczy wpatrzone były w biały budynek po jego prawej. Gentry wrócił na ścieżkę i wszedł w ciemny tunel, po czym ruszył wąską alejką wzdłuż jasnej ściany muru. Wbudowano tam żeliwną poręcz, mającą ułatwić wspinaczkę stromym przejściem. Court stanął na niej i podciągając się zdrową prawą ręką, dostał się na mur. Następnie przełożył obie nogi i skoczył tak, żeby to lewa noga pierwsza dotknęła ziemi.

I tak po tej jednorękiej wspinaczce i skoku bolało jak diabli.

Znalazł się na niewielkim podwórku. Przez szybę dostrzegł system alarmowy. Potrafił unieszkodliwiać różnego rodzaju instalacje ochronne, ta jednak wydała mu się zbyt wyrafinowana. Potrzebowałby planów, narzędzi i czasu.

Przeszedł więc schylony pod oknem. Wyprostował się dopiero przy bocznym wejściu. Wyciągnął berettę szwajcarskiego policjanta, którą zwędził z peronu tuż przed ulotnieniem się. Trzymał ją w gotowości przy boku, po czym nacisnął klamkę.

Otwarte.

Wszedł do przedpokoju prowadzącego do dobrze wyposażonej kuchni. Światła były zgaszone. Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziły dźwięki włączonego telewizora, który odbijał się w lustrze w holu po drugiej stronie kuchni. Court przemieszczał się po domu, a blask ekranu oświetlał mu drogę.

Na szafce kuchennej leżał potężny colt 1911, kaliber 0,45 cala.

Pistolet Amerykanina.

Gentry ostrożnie przeszedł przez kuchnię. Po drodze wziął spluwę i wsunął ją za pasek z tyłu spodni. Ruch ten przyplącił ostrym bólem lewego nadgarstka

promieniującym aż do łokcia. Po chwili był już w holu, gdzie odważył się wyprostować, po czym wszedł do obszernego salonu.

Nad wielkim kominkiem, w którym trzaskały płonące drwa, wisiał telewizor plazmowy.

Tyłem do Courta, na skórzanej kanapie, siedział mężczyzna ze wzrokiem utkwionym w ekran telewizora. Audycja była po francusku, ale Gentry wiedział, czego dotyczy. W końcu mniej niż dwie godziny wcześniej stał na tym peronie. Rozmawiał z młodym funkcjonariuszem, który leżał teraz martwy, twarzą na przyprószonym śniegiem betonie. Jego ciało przykrywano żółtą folią.

Court schował pistolet. Byli sami.

– Cześć, Maurice.

Mężczyzna wstał i odwrócił się w jego stronę. Był blady i pomarszczony. Miał co najmniej siedemdziesiąt lat i nie wyglądał na kogoś w pełni zdrowia. Nie zdawał się zdziwiony nagłym pojawieniem się Gentry'ego w jego mieszkaniu. Stał prosto na chudych nogach.

– Cześć, Court – odpowiedział z amerykańskim akcentem.

– Nie szukaj – uprzedził go Gentry. – Mam twoją spluwę.

Maurice uśmiechnął się.

– Nie, masz jedną z moich spluw. – Wyciągnął spod koszuli niewielki rewolwer, po czym wymierzył w klatkę piersiową Courta. – Tej nie masz.

– Nie podejrzewałem cię o paranoję. Dawniej nie byłeś aż tak ostrożny.

– Tak czy siak powinienes się najpierw upewnić, czy nie mam broni, dopiero potem schować pistolet.

– Jak widać.

Staruszek wahał się przez chwilę. Rewolwer nie zadrżał.

– Kurczę, młody. Przecież lepiej cię uczyłem.

– To prawda, przepraszam, psze pana – odparł Gentry zawstydzony.

– Wyglądasz jak pół dupy z za krzaka.

– Cóż, miałem kilka gorszych dni...

– Widziałem cię po kilku gorszych dniach. Aż tak źle to nigdy nie było.

Court wzruszył ramionami.

– Nie jestem już dzieciakiem.

Mężczyzna wpatrywał się w intruza.

– Dzieciakiem to ty nigdy nie byłeś.

Maurice obrócił rewolwer w rękę, po czym rzucił go w stronę Courta. Ten złapał go i obejrzał dokładnie.

– Policyjny rewolwer specjalny, kaliber trzydzieści osiem. Retro. Ten drugi to model tysiąc dziewięćset jedenaście. To, że sam jesteś stary, nie znaczy, że twoja broń też musi być antykiem.

– A pocałujże mnie w dupę. Chcesz piwa?

Gentry rzucił rewolwer na skórzaną kanapę.

– Niczego bardziej nie pragnę.

Dwie minuty później Court siedział w kuchni, trzymając wielką paczkę mrożonych borówek amerykańskich na nadgarstku. Piekło go od zimna, ale opuchlizna się zmniejszała. Przynajmniej wciąż był w stanie ruszać palcami.

Jego gospodarz nazywał się Maurice. Po prostu Maurice. Court nie miał pojęcia, jakie staruszek naprawdę miał imię czy nazwisko, ale był pewien, że nie Maurice. Stary wyga z CIA, główny instruktor Gentry'ego w Programie Szkolenia i Rozwoju Agentów Samodzielnych Sekcji Działań Specjalnych, agencji w Harvey Point w Karolinie Północnej. Court znał tylko szczegóły jego biografii. Wiedział, że życia uczył się w Wietnamie, zabijając w ramach programu Feniks, a kolejne dwadzieścia lat zimnej wojny spędził, szpiegując w Moskwie i Berlinie. Po demobilizacji przez wiele lat pracował jako instruktor CIA. To właśnie wtedy do jego aluminiowego baraku szkoleniowego z widokiem na Atlantyk wszedł dwudziestolatek z wyrokiem za morderstwo. Gentry był wtedy równie bezczelny i małomówny co dziki, ale przy tym inteligentny, zdyscyplinowany i pełen zapału. Maurice trenował go przez dwa lata, po czym oznajmił przełożonym, że młody Courtland to najlepszy agent, którego dane mu było stworzyć.

To było czternaście lat temu. Od tamtego czasu ich ścieżki rzadko się krzyżowały. Po jedenastym września Maurice'a skuszono, aby wrócił do gry, tak jak wielu wysoko postawionych agentów na emeryturze, którzy mieli jeszcze puls. Ze względu na podeszły wiek i kłopoty ze zdrowiem wysłano go do Genewy, do pracy przy finansach tajnych służb. Znajomość szwajcarskiej bankowości i bankierów zdobyta przez czterdzieści lat używania kont firm-przykrywek CIA

przy wszelakich operacjach sprawiła, że był doskonałym agentem nadzorującym finansowanie siatek szpiegowskich na całym świecie.

To była prosta robota – i w porównaniu do tego, czym się zajmował za młodu, bardzo czysta – ale bynajmniej nie wolna od ryzyka czy kontrowersji. Niedługo po wyrzuceniu Courta z agencji również Maurice'owi pokazano drzwi i zdegradowano go. Podobno chodziło o defraudację, choć Gentry ani przez chwilę nie wierzył w tę wersję wydarzeń.

Oficjalnie Maurice przebywał już na emeryturze, przynajmniej jeśli chodzi o pracę w CIA. Court nie miał stuprocentowej pewności, czy Maurice go nie wyda, co tłumaczyło początkową nieufność ucznia wobec mistrza.

\* \* \*

Maurice wręczył Gentry'emu butelkę francuskiego piwa. Młodszy mężczyzna położył na kolanach paczkę mrożonych borówek, na niej zaś lewy nadgarstek. Przejmujące zimno powoli uśmierzało ból.

– Poturbowany? – zapytał staruszek.

– Nie bardzo.

– Zawsze był z ciebie twardy skurwysyn.

– Cóż, uczyłem się od najlepszych, żeby nie jęczeć. Na ciebie to nigdy nie działało.

– Ile to już lat się nie widzieliśmy? Sześć? Ostatnio na Cyprze, prawda?

– Tak jest.

– Widziałeś obserwatorkę?

– Tak. Laska z warkoczem.

– Dobra robota. Sama jest niezła, przebrana za turystkę. Tu, na starówce, jest ich pełno. Nie cierpię turystów.

– Przejściowe twarze.

– No właśnie. Dobrze ci radzę, Court, jeśli dożyjesz emerytury, zaszyj się w tak podłym miejscu, żeby żaden turysta się tam nie zapuścił.

– Tak zrobię.

Maurice zakaszłał. Court odchrząknął.

– Cóż, chodzą różne słuchy. Nic konkretnego, na razie pojedyncze punkty w eterze czekające na połączenie. Coś w Pradze, coś w Budapeszcie, dziś rano tu, w Szwajcarii, przy granicy z Austrią. Wiedziałem już, że rozgrywa się jakaś wielka awantura, ale nie zdawałem sobie sprawy, że znam kogokolwiek z zadymiarzy. A dziś koło wpół do dwunastej pojawili mi się przed domem obserwatorzy. Po godzinie stawiała się ona. I to w chwili, kiedy na wszystkich kanałach lokalnych zaczęli nadawać informacje o strzelaninie na północ od Lozanny. Wtedy byłem już pewien, że do mnie jedziesz – powiedział.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Połączyłem kropki. Ścigany, który nie dawał się upolować. Zostawiający za sobą ślad śmierci i zniszczenia. Kiedy trupy zaczęły się pojawiać coraz bliżej, stwierdziłem: „Oho! Nadchodzi Court”.

– No i jestem – potwierdził Gentry głucho, przyglądając się trzymanej w ręce butelce.

– Mam nadzieję, że to nie ty zastrześliłeś tych biednych policjantów.

– Znasz mnie, gliny bym nie zabił.

– Znałem cię. Ale ludzie się zmieniają.

– Cóż, ja się nie zmieniłem. Policja mnie trzymała, kiedy pojawiła się ekipa od mokrej roboty. Starąłem się przekonać funkcjonariuszy, że to nie ja stanowią ich największy problem, ale nie chcieli słuchać.

– Wiele osób chciałoby cię zobaczyć w grobie, Court.

– Cóż, sam nie jesteś pracownikiem miesiąca. CIA i ciebie zdekonspirowała.

– No ale przynajmniej nie ma nakazu, żeby do mnie strzelać bez ostrzeżenia. To ciebie naprawdę wyruchali.

– Ale i tak nieładnie cię wrobili, Maurice. Przecież ty zawsze byłeś jednym z tych uczciwych. Nie powinni byli szargać twojej reputacji.

Maurice nic nie odpowiedział.

– A co porabiasz ostatnimi czasy? – spytał Court.

– Siedzę w finansach. Prywatny sektor. Skończyłem ze szpiegowaniem.

Court rozejrzał się po luksusowym wnętrzu.

– Wygląda, że nieźle sobie radzisz.

– Nie słyszałeś, że w forsie jest kasa?

Court wyczuł, że staruszkowi włączył się mechanizm obronny. Napił się piwa, po czym obrócił nadgarstek, żeby ochłodzić drugą stronę.

– Pamiętasz takiego gościa z Langley? Nazywa się Lloyd.

– A i owszem. Taki pedałek-elegancik. Po prawie w Londynie, bodajże w King's College. Niedługo przedtem, nim mnie wystawiono do wiatru, przeszkodził mi w jednej operacji na Kajmanach, nad którą pracowałem. Niegłupi dzieciak, ale straszny kutas.

– To on teraz jest głównodowodzącym w tym całym zamieszaniu wokół mnie.

– Nie żartuj! Wtedy miał ledwo dwadzieścia osiem lat, to teraz ma ze trzydzieści dwa. Doszły mnie słuchy, że rok temu i on wyjechał z Langley.

– Gdzie się podziali ci dobrzy? – spytał Court retorycznie.

– Cóż, przed jedenastym września byliśmy koszem z kilkoma zepsutymi jabłkami. Po atakach zrobił się z tego sad. Teraz jest tyle zgniłków, że kilka worków napełnisz. To samo gówno co dawniej, tylko na znacznie większą skalę. Co się dziwić?

Przez chwilę obaj mężczyźni sączyli piwo w milczeniu, odprężając się w swoim towarzystwie, jak gdyby każde sobotnie popołudnie spędzali dokładnie tak samo.

Nagle Maurice zaczął dusić się od gwałtownego kaszlu.

– Co z tobą nie tak? – spytał Gentry, kiedy przyjaciel nieco się uspokoił.

Maurice odwrócił wzrok i beznamiętnie odparł:

– Płuca i wątroba. Do wyboru, do koloru.

– Jest bardzo źle?

– Cóż, dobre wieści są takie, że rak płuc mnie pewnie nie zabije, bo umrę na wątrobę. Albo na odwrót: umrę, zachowawszy resztki wątroby, o ile pierwszy zabije mnie rak. Tak to już jest, jeśli przez ponad pół wieku tylko się pali i chleje.

– Przykro mi.

– Nie przejmuj się. Gdybym miał przeżyć życie od nowa, niczego bym nie zmieniał.

Zaśmiał się. Śmiech zmienił się w kolejny atak świszczącego kaszlu.

– Ile ci zostało?

– Cóż, jak to mówił nieodżałowany komik Henny Youngman... Przychodzi facet do lekarza. Lekarz mówi: „Daję panu pół roku życia”. On mu na to: „Nie mam jak

panu zapłacić”. A doktor na to: „To daję panu jeszcze pół roku”. – Śmiech Maurice’a znów stał się świszczący, a następnie zamienił się w atak kaszlu.

– Czyli pół roku?

– Tak orzekł lekarz. Siedem miesięcy temu.

– No to nie płąć – odparł Court, prezentując wisielczy humor, choć nie w smaku było żartować z mentorem na temat nadciągającej śmierci.

– Ale wróćmy do ciebie. W coś ty się, młody, wpakował?

– To ma związek ze zleceniem, które wykonałem w zeszłym tygodniu. Widać kogoś wkurwiłem.

– Ten kolorowy sprzętnięty w Syrii? Ali Baba czy jak mu tam było? To ty, prawda?

– Abubaker – poprawił Court, choć ani nie potwierdził, ani nie zanegował swojego udziału w tej sprawie.

Maurice wzruszył ramionami.

– No cóż, musiał zginąć. Śledziłem twoją działalność, także w sektorze prywatnym – te misje to zawsze jasne punkciki. Nie tylko piękne wykonanie, ale także moralne, sprawiedliwe.

– Powiedz to Lloydowi.

– Chodzą słuchy, że w Kijowie to też twoja sprawka.

– A chodzą.

– A więc?

Nagle zadzwonił telefon Maurice’a. Staruszek sięgnął kościstą ręką do aparatu wiszącego na ścianie i odebrał. Wytrzeszczył szare oczy i spojrzał na gościa.

– To do ciebie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Kurde. – Gentry odebrał: – Słucham?

– Halo, Court? Tu Don.

– Czego chcesz?

– Oni nie wiedzą, że dzwonię. Poprosiłem Claire, żeby świsnęła jednemu z ochroniarzy telefon. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, nieprawdaż?

Gentry zgrzytnął zębami. Maurice podał mu kolejną butelkę zimnego piwa.

– Co ci odpierdoliło, Don? Claire nie jest konikiem zwerbowanym pod stadionem w Belfaście! Nie możesz jej prowadzić, jak swoich agentów! Przecież to małe dziecko! I do tego twoja wnuczka!

– Cóż, tonący brzytwy się chwyta, brachu. Spisała się na medal.

– Nie podoba mi się to.

– To chcesz, żebym ci powiedział, co wiem, czy nie?

– A co ty mi w ogóle możesz dać? Skąd mam mieć pewność, że wciąż nie...

– Zabili Phillipa, Court. Claire zaczęła zmykać. Te skurwysyny zabiły mi syna, kiedy poszedł szukać dziecka.

– Chryste Panie...

– Możemy już tylko mieć nadzieję...

– Przykro mi, Don – powiedział Court. Po chwili zapytał: – Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Lloyd wie, że jesteś w Genewie.

– Cóż, zakładam, że po strzelaninie między Zurychem a Lozanną mógł się domyślić.

– Właśnie. Zastanawiałem się, co ty tam możesz robić. Byłem pewien, że masz zbyt dużo oleju w głowie, żeby skontaktować się z kimś z mojej siatki. Wtedy przypomniałem sobie o tym starym bankierze CIA w Genewie. Kiedyś od operacji



specjalnych, potem szkolenia zabójców. Stwierdziłem, że musiałeś mieć z nim do czynienia w poprzednim życiu. Podzwoniłem do kogo trzeba i zdobyłem numer.

– W jaki sposób jesteś w stanie rozmawiać, żeby oni o tym nie wiedzieli?

– Bo myślą, że się poddałem. Leżę w łóżku z ranami ciętymi i powybijanymi zębami za sprawą tej popierdolonej cioty Lloyda. Próbował mnie przetrzepać, spieprzył sprawę, rzecz jasna. Nawet nie potrafi porządnie torturować człowieka. Teraz uważają mnie praktycznie za warzywo. Potulnego inwalidę z nerwicą frontową, przykutego do łóżka na piętrze. Ale wiedz, Court, że się nie poddałem. Przyznaję, kiedy myślałem, że jedyną szansą na uratowanie mojej rodziny będzie twoja śmierć, owszem, pomagałem im. Teraz już zdaję sobie sprawę, że jedyną nadzieją na przeżycie mojej rodziny jest to, żebyś tu przybył. Muszę ci pomóc, jak tylko mogę, żebyś natarł na to cholerne miejsce z całej siły.

– Tylko błagam, od teraz nie mieszaj w to dziewczynek. Dobrze? To tylko dzieci.

– Słowo honoru.

– Czy Lloyd naprawdę ma te dokumenty?

– Na pewno ma twoje dane personalne z CIA, do tego kilkadziesiąt innych. W wersji papierowej i na CD-ROM-ach. Przywłókł nas tu z Londynu jako przynętę, żeby się upewnić, iż się pojawisz.

– Dlaczego to robi?

Fitzroy opowiedział Courtowi wszystko, co wie o LaurentGroup. O żądaniach Abubakera. O Rieglu, ochronie z Mińska i zastępach artystów chodnikowych. O dwunastu ekipach z tyłuż agencji wywiadowczych z dwunastu krajów. O tym, że wszyscy ścigają się, aby upolować jego, a konkretnie dwadzieścia milionów dolarów.

Kiedy sir Donald relacjonował wszystko na temat operacji przeciw Gentry'emu, Maurice wyciągnął z szafki niebieską apteczkę i przyniósł ją do kuchennego stołu, przy którym siedział Court. Sędziwy finansista, a zarazem były agent tajnych służb oczyścił rany swego młodego protegowanego środkiem odkażającym, po czym ścisnął torebki z zimnym kompresem, żeby wywołać reakcję chemiczną, dzięki czemu w kilka sekund okłady stały się białe i lodowate. Przyłożył je wokół spuchniętego lewego nadgarstka Gentry'ego, następnie przytwierdził wszystko za pomocą bandaża uciskowego, żeby się trzymało i zapobiegało powstawaniu

dalszej opuchlizny. To była solidna, elegancka robota wykonana przez kogoś, kto doskonale wiedział, jak zajmować się rannymi agentami.

– Nie wierzę, żeby zadali sobie tyle trudu z powodu byle kontraktu. Czaję, dziesięć miliardów dolarów to kupa kapuchy, ale skoro Abubaker ma tupet, żeby stawiać takie żądania, to musi chodzić jeszcze o coś innego – stwierdził Court, kiedy Fitzroy skończył wywód.

– Zgadza się. Bo na przykład ta strzelanina ze szwajcarskimi glinami to przecież bardzo ryzykowna akcja dla LaurentGroup, nawet jeśli ją wszczyna za pośrednictwem wenezuelskich agentów.

– Tak, tu musi chodzić o coś więcej niż sam kontrakt. Dasz radę to zbadać, Don? – zapytał Gentry.

– Pogadam z Rieglem. Wydaje się bardziej poczytalny niż Lloyd.

– Dobra. Trzymaj przy sobie tę komórkę. Wyciszoną.

– Jak się z tobą kontaktować, kiedy będziesz w trasie?

Gentry spojrzał na Maurice'a.

– Nie masz przypadkiem na zbyciu telefonu satelitarnego? – zapytał.

Staruszek zaśmiał się, po czym zniknął w długim korytarzu. W pewnym momencie prawie przewrócił się od ataku kaszlu. Po chwili wrócił z telefonem: wysoko zaawansowany model dobrze znany Gentry'emu, Motorola Iridium. Używany przez szpiegów, żołnierzy i wszelkiego rodzaju awanturników. Wyglądał niepozornie: niewiele większy od zwykłej komórki, w przezroczystym plastikowym, wstrząsoodpornym, wodoodpornym i wybuchoodpornym futerale. Court pokiwał głową z aprobatą, chwytając aparat. Z tyłu widniał numer. Gentry przeczytał go Donaldowi, po czym wsunął telefon do kieszeni.

Fitzroy na wszelki wypadek wyrecytował z pamięci numer, zamyślił się, po czym rzekł:

– Court, chłopcze, jeszcze jedno. Kiedy już będzie po wszystkim, gdy zabijesz ostatnią osobę czyhającą na twoje życie, skontaktuję się z tobą i podam ci adres. To będzie miejsce na odludziu, gdzie będziesz mógł się wślizgnąć i wyślizgnąć niezauważony. Znajdziesz małą jednopokojową chatynkę. No i mnie siedzącego na krześle w podkoszulku, z dłońmi na stole. Będę czekał. Sam, nieuzbrojony, do twojej dyspozycji. Po tym, co przeze mnie przeszedłeś, po tym, co dla mnie zrobiłeś, mogę ci się zrewanżować tylko własnym życiem. Bardzo przepraszam za

to, co przeze mnie przeżyłeś w ciągu ostatnich dwóch dób. Byłem zdesperowany. Nie zrobiłem tego dla siebie, tylko dla rodziny. Ocal ich, a ja oddam życie, abys̄ zaznał choć trochę spokoju. – Po chwili ciszy Anglik zapytał: – Court? Jesteś tam jeszcze?

– Przypilnuj, aby dziewczynkom nic się nie stało, Don. To jedno dla mnie zrób. Resztą zajmiemy się po wszystkim – powiedział Gentry, po czym rozłączył się.

\* \* \*

Court oddał słuchawkę Maurice'owi i dokończył drugie piwo. Następnie wytarł szmatką swoje odciski palców z butelki, poszedł do pokoju na tyłach i wyjrzał przez okno zza długich zasłon.

– Czy jak się zmyję, to poradzisz sobie z obserwatorką?

– Ona tu tylko siedzi. Chyba dam radę. Jeszcze nie umarłem.

– Jeszcze przeżyjesz nas wszystkich.

– Cóż, synu. Z twoich ust to marne pocieszenie – rzekł, po czym zmienił ton i z ojcowską troską zapytał: – Powiedz, jak mogę ci pomóc?

– Muszę zrobić... Cóż, mam „coś” do zrobienia w północnej Francji. Powinienem się tam stawić i zająć tą sprawą jutro z samego rana.

– Jesteś zbyt pokiereszowany...

– Trudno. Naprawdę muszę się tym zająć.

– Potrzebujesz forsy?

– Trochę, jeśli masz na zbyciu.

– Jasne, odpalę ci trochę gotówki. Co jeszcze?

– Chętnie przyjmę tę twoją wielką giwerę, jeśli zostało ci nieco amunicji.

Maurice zaśmiał się, po czym zakaszłał. Wydawało się, jakby choroba płuc postępowała z każdą kolejną minutą.

– Jeszcze sobie zrobisz krzywdę tą wielką męską spluwą. Już takich nie robią, to moja pociecha. Lepiej będzie, jeśli dam ci coś odrobinę nowszego.

– Miałem nadzieję, że masz jakąś torbę na szybkie spieprzanie, ekwipunek na ciężkie czasy. Przyjmę cokolwiek, widzisz, że nic nie mam.

– Mój drogi, mam kilka ulic stąd skrytkę NWP, czyli na wielkie pierdolnięcie. Z tego, co mówisz, twoja sytuacja pod to podpada.

– Jestem bardzo wdzięczny.

– Wszystko dla mojego najlepszego ucznia – powiedział Maurice, ponownie znikając w ciemnym korytarzu. Po minucie wrócił z kopertą z euro i kluczem na łańcuszku. Na kopercie napisał adres, po czym wręczył ją protegowanemu. – Myślę, że spodoba ci się to, co tam zastaniesz.

Court schował kopertę i klucz.

– Chcesz jeszcze piwa?

– Chciałbym, ale na mnie już czas.

– Rozumiem. – To mówiąc, Maurice wysypał na rękę Courta kilka tabletek przeciwwzapalnych, ten zaś łyknął je, popijając ostatnim haustem piwa. Następnie poszli razem do tylnego wyjścia.

– Cóż, chciałbym powiedzieć „do zobaczenia”. Jeśli uda mi się przeżyć, to będę musiał na jakiś czas zniknąć. Liczę na to, że nie zapłacisz lekarzowi i uda nam się kiedyś spotkać przy piwie – powiedział Court.

Maurice uśmiechnął się smutno.

– Umieram, Court. Nie owijajmy w bawełnę. Nie będzie już lepiej.

– Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? Kogoś zobaczyć, sprawdzić, zaopiekować się, kiedy cię już zabraknie?

– Nie mam nikogo. Żadnej rodziny, przyjaciół. Miałem tylko agencję.

– Znam to uczucie – westchnął Court. Dobrze się czuł w towarzystwie dawnego mentora między innymi dlatego, że rzadko miał okazję rozmawiać z kimś, kto miał podobne doświadczenie życiowe. Pod wieloma względami jednak to spotkanie było przykre, bo Court dostrzegł w zmęczonych oczach starego cynika coś z siebie. Zdał sobie sprawę, że choć nikt nie chce się starzeć, w tym fachu najlepsze, na co można liczyć, to że się w ogóle przeżyje. Z czego się cieszyć?

– Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić – powiedział starzec z uśmiechem. – Mianowicie, kiedy już wydobędziesz się z tego bagna, pojedź na jakąś tropikalną wyspę. Gdy przeczytasz w gazecie o śmierci starego, skompromitowanego amerykańskiego bankiera w Szwajcarii, pójdz do swojej ulubionej knajpy, znajdź ładną dziewczynę i przepij z nią całą noc. Mówię serio. Skończ z tym bałaganem, a potem z tym trybem życia. Są jeszcze na świecie zakątki, gdzie ludzi gówno

obchodzi, co wcześniej robiłeś. Jedź tam. Znajdź sobie kogoś. Żyj po ludzku. Zrób to dla mnie, młody.

– Postaram się.

– Kiedyś zdasz sobie sprawę... Że to wszystko, co zrobiłeś w życiu, to wszystko, co zrobiłeś dawno temu, to już było i minęło... myślisz, że masz to za sobą, ale to nieprawda. To jest jedynie schowane głęboko na czas, kiedy zostaniesz sam w cichym pokoju. Sam na sam ze wspomnieniami i duchami tych, których zabiłeś.

– Muszę już iść, Maurice.

– Wiem, że nie dam rady cię odwieść od tego, co musisz zrobić. Ale zastanów się nad tym, co mówię. To wszystko, czego uczyłem cię w Harvey Point... Im szybciej o tym zapomnisz, im szybciej posłuchasz dzisiejszych rad, tym szybciej poradzisz sobie z zabijaniem, ze śmiercią. No dobra, młody, koniec kazania.

Uścisnęli sobie dłonie.

Court wrócił do gry. Upchnął gotówkę w kieszeni spodni, telefon satelitarny schował do kurtki, po czym ruszył na tył domu. Wyjrzał najpierw przez żaluzje okna wychodzącego na średniowieczny zaułek. Od razu zorientował się, że coś jest nie tak.

– Co tam? – spytał Maurice, od razu wyczuwając niepokój byłego ucznia.

– Wyjrzałbyś od tyłu sprawdzić, czy dziewczyna nadal tam jest?

Maurice poszedł do pokoju i krzyknął:

– Nie ma jej!

– Ściągnęli ją.

– Kto?

– Zabójcy.

– Żeby nie przeszkadzała, jak robi się głośno?

– Dokładnie.

– Są tu już? – spytał Maurice, wróciwszy do Gentry'ego.

– Jeszcze nie, ale się zbliżają – potwierdził Gray Man. – Już ich, kurwa, czuję.

Gentry zmarszczył brwi.

– Błagam, Maurice, powiedz, że mnie nie wystawieś.

– Przysięgam.

– Wierzę ci. Wybacz, że zapytałem – powiedział po chwili Court.

– A wiesz, kto to może być?

Court i Maurice zabarykadowali drzwi za pomocą szafy i regału.

– A Bóg jeden wie. Przez ostatnie trzy dni ścigali mnie już chyba wszyscy poza morderczymi Marsjanami.

– A więc to pewnie Marsjanie. Słyszałem, że straszne z nich skurwysyny. Uciekniesz przez dach. Mam na strychu przejście wyłożone deskami do kanału wentylacyjnego. Wyciągnij kratkę, wejdź do środka. Prowadzi na dach przedszkola obok, w soboty jest zamknięte. Przez dach dostaniesz się do piwnicy, przez którą możesz przejść do salonu kosmetycznego. Wiem, że przydałby ci się zabieg, ale staraj się powstrzymać. Wymknij się ich głównym wejściem na rue du Purgatoire, a potem w małą uliczkę, rue d'Enfer. Droga powinna być wolna.

– A gliny?

– Najbliższy posterunek jest przy Palais de Justice, ale to nie są chłopcy z pierwszej linii frontu. Lepiej ich nie wzywać, bo może poleć się krew.

Gentry stał bez ruchu i patrzył na Maurice'a.

Staruszek zaśmiał się, walcząc ze świszczącym oddechem.

– Już dawno opracowałem tę drogę ucieczki. Dla siebie, w czasach, kiedy byłem w stanie nią przejść. Kilka miesięcy temu zapłaciłem chłopakowi z sąsiedztwa, by sprawdził, czy się da. Nie ma problemu. No, ruszaj.

– Chodź ze mną.

– Nie dam rady wepchnąć tam swojej nędznej dupiny. Poza tym nie chce mi się uciekać. No, dalej!

– Maurice, lada moment przez te drzwi wejdzie ekipa profesjonalnych zabójców. Wiedzą, że mi pomogłeś. Zrobią wszystko, żeby wydobyć z ciebie informacje.

Staruszek uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Wiesz, Court, ja nigdy nie bałem się śmierci. Ale naprawdę nie chciałbym umrzeć na marne. Gdybym, jak wszyscy moi kumple, oberwał kulkę w Wietnamie, miałoby to znaczenie. Gdyby udało mi się zginąć na misji, to by było szlachetne. No dobra, to by zależało od misji, ale wiesz, o co mi chodzi. Ale co jest wzniosłego

w skonaniu we własnym domu w Genewie, przerzucaniu kanałów w telewizorze i dumaniu, czy się umrze na płuca, czy pierwsza pójdzie wątroba?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A to, że z radością za ciebie umrę, młody. Sam w cztery lata zabiłeś więcej paskudników niż cała agencja przez ten czas. Zaslugujesz na to, żeby ktoś ci pomógł w ciężkiej chwili.

Gentry milczał, nie wiedział, co powiedzieć.

– Tylko tego nie spierdol, młody. Uciekaj stąd. Ja ich trochę zatrzymam. Może nawet złamię komuś nos? Nic nie obiecuję, ale lekko przerzedzę ich szeregi.

– Nigdy ci tego nie zapomnę.

Maurice uśmiechnął się i pokazał palcem sufit.

– Jeśli uda mi się oszukać ochronę i dostać się do nieba, szepnę coś na twoją korzyść Brodatemu. Kto wie, a nuż jeszcze uda mi się uratować ci tyłek w zaświatach?

Uścisnęli się niezręcznie, myśląc już o tym, co ich czeka.

Maurice zagadnął:

– A, jeszcze jedno. Mam nadzieję, że będziesz mnie dobrze wspominał. Że nie zmienisz o mnie zdania, jeśli... jeśli dowiesz się, że zdarzyło mi się popełnić parę błędów.

– Jesteś moim bohaterem, Maurice. Tego nic nie zmieni.

– Dzięki, młody.

Na zewnątrz jakiś pojazd zaparkował z piskiem opon.

– Biegnij!

Gentry kiwnął głową. Ścisnął ramię wychudłego staruszka, po czym bez słowa wspiał się na krokiew. Prędko podciągnął się i wszedł na strych. Złamane żebro i napuchnięty nadgarstek bolały jak diabli. Ledwo zamknął za sobą klapę, kiedy usłyszał trzask przewracanej szafy.

Maurice obrócił się i poszedł do kuchni tak szybko, jak mu na to pozwalały stare nogi i zmęczone płuca. Rozległ się kolejny trzask. Drzwi wypadły z zawiasów. Staruszek chwycił się starej kuchenki gazowej i wyrwał ją ze ściany na kilka centymetrów. Rozpaczliwie wyciągnął stare ciało, ale nie udało mu się dosięgnąć

celu, czyli za kuchenkę. Rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby się wspomóc.

\* \* \*

Ekipa z Afryki Południowej składała się z komandosów z Narodowej Agencji Wywiadowczej. Przywódca sześciuosobowego zespołu stał w ogródku białej kamienicy, opierając strzelbę Benelli na ramieniu. Patrzył, jak jego chłopaki przedostają się przez zabarykadowane drzwi. Budynek miał dwie kondygnacje. Poruszali się po nim dobrze wyćwiczonym szykiem. W środku pierwszego pomieszczenia podzielili się na dwa zespoły. Jeden skierował się do kuchni, gdzie zastał siedzącego przy stole staruszek, trzymającego splecione dłonie na głowie, patrzącego na przeciwległą ścianę. Obraz uległości i pokory. Pierwszy z brzegu komandos zrzucił starca brutalnie na podłogę, po czym przeszukał go w wąskim kąciku śniadaniowym. Za pasem seniora znalazł pistolet, który wrzucił do zlewu.

– To antyk, idioto! – oburzył się starzec.

Dwóch typów brutalnie posadziło go z powrotem na krześle. Następnie wyciągnęli go do salonu, czekając, aż pozostała czwórka wróci po przeszukaniu domu. Kiedy cała ekipa zebrała się i otoczyła więźnia, stary Amerykanin przyjrzał się ich twarzom.

– Ach, panowie z RPA – zauważył, poznawszy po akcencie.

– Gdzie jest Gray Man? – zapytał dowódca.

– No patrzcie, państwo – powiedział Maurice, ignorując pytanie. – Trzech czarnych, trzech białych. Heban i kość słoniowa. A dawniej to wy, białasy, skupieni bylibyście na biciu czarnych kolegów, co nie?

Brak odpowiedzi.

– Wy, biali, pewnie tęsknicie do starych, dobrych czasów, co nie?

– Gdzie jest Gray Man? – powtórzył dowódca.

– Oczywiście dowództwo nadal jest całkiem białe. Bez zmian, prawda? Panowie na plantacji wpuścili niewolników do pięknego domu, ale to oni wciąż wydają rozkazy?

Jeden z czarnych agentów odpiął uzi, by rozbić Maurice'owi żuchwę kolbą.



– Czekaj! – krzyknął dowódca. – On nas tylko próbuje spowolnić, żeby jego kochaś mógł zwiać. Nie z nami takie numery, staruszk. No dobrze... To gdzie ten Gray Man?

Maurice się uśmiechnął.

– Teraz nadchodzi moment, żebym zapytał: „A któż to taki?”.

Dowódca Południowoafrykańczyków zmarszczył brwi. Mówił z mocnym afrykanerskim akcentem.

– Nadszedł moment, w którym mój człowiek przywali ci po mordzie za stawianie się zamiast udzielania odpowiedzi. – To powiedziawszy, kiwnął na czarnego agenta wciąż trzymającego uzi. Ten wpakował kolbę giwery w zuchwę Amerykanina, aż mu głowa odskoczyła.

– No dobra, skurwysynu jeden! Od początku! Gdzie zwał?

Maurice wypluł na podłogę trochę krwi i kawałek wargi.

– Nie pamiętam. Jestem bardzo, ale to bardzo stareńki, pamięć już nie ta, co przed laty. Widzicie, mili panowie, zapomina mi się ostatnio. Starość jest do dupy.

Po kilku sekundach czekania dowódca nachylił się i krzyknął mu w twarz:

– Nie będę więcej pytał! Wiem, że Gray Man tu był. Gdzie jest teraz?

– Najmocniej przepraszam, młody człowieku. Źle się czuję. Czy mógłbym skorzystać z łazienki?

Dowódca najemników spojrział na podwładnego.

– Jeszcze raz przywał zasrańcowi.

Maurice natychmiast powiedział:

– Już go tu nie ma. I na pewno go nie znajdziecie.

Mężczyzna parsknął.

– Oj, znajdę go. Znajdę go i zabiję. Reputacja Gray Mana to nic, tylko bujda na resorach.

Maurice zaśmiał się, po czym zakaszłał.

– Zdajesz sobie sprawę, ilu mówiło to samo, a teraz gniją w najlepsze w sosnowej skrzynce?

– Ja tam nie będę gnić, stary.

Maurice przytaknął.

– Cóż, chyba zmuszony będę przyznać szanownemu panu rację. Bo nie zostanie z ciebie tyle, żeby wypełnić trumnę. Ale nie martw się. Podobno usługi pogrzebowe w Genewie stoją na najwyższym poziomie. Naprawdę przykładają się do szczegółów. Przy odrobinie szczęścia może uda im się ocalić cokolwiek, żeby wypełnić urnę do postawienia na kominku u mamusi.

Mężczyzna przechylił głowę.

– Co ty pieprzysz, zramolały kretynie?

– Ja tylko mówię, że masz przed sobą wyjątkowo marną przyszłość, ale jest i dobra wiadomość.

Dowódca spojrział na swoich ludzi, ale jego słowa skierowane były do Maurice'a:

– No dobra, panie starszy. Co to za dobra wiadomość?

– To, że twa marna przyszłość nie potrwa długo – to powiedziawszy, Maurice uśmiechnął się szeroko, po czym zaczął odmawiać modlitwę, by Bóg wybaczył mu jego grzechy.

W tym momencie z radia dobiegł głos Techa. Cała szóstka przyłożyła ręce do uszu, żeby lepiej słyszeć przez słuchawkę.

– Czterdziestkatrójka melduje, że cel właśnie wyszedł z salonu kosmetycznego po drugiej stronie budynku. Jest pieszo, kieruje się na zachód.

Przywódca pokiwał głową, po czym zwrócił się do Maurice'a:

– Dziś dzień dobrych wiadomości, dziadku! Wygląda na to, że nie będziemy musieli cię torturować, żeby dowiedzieć się, gdzie jest!

Starzec nie przerwał modlitwy. Dowódca z RPA wzruszył ramionami, opuścił lufę ku klatce piersiowej siedzącego i strzelił. Maurice padł martwy.

Kiedy tylko nabój opuścił lufę w deszczu ognia, strzelca rzuciło w tył, do kuchni. Rozległ się trzask łamanego kręgosłupa. Skóra twarzy, szyi i dłoni zajęła się ogniem. Pozostałych spotkał podobny los.

Kilka minut później strażacy stwierdzili, że wybuch nastąpił w wyniku potężnego wycieku gazu, zapewne spomiędzy ściany a kuchenki. Było to doprawdy nieszczęśliwe, ale nierzadkie zdarzenie w tych starych kamienicach, zatem nikt się nie zdziwił. Dopiero po paru godzinach, kiedy ugaszono ogień i woda z pianą opadły, odkrywając ciała, które wreszcie można było zbadać, służby zaczęły się zastanawiać. Siedem znalezionych w mieszkaniu ofiar było przemoczonych i spalonych tak, że nie dało się ich zidentyfikować.

Kolejna rzecz, która wszystkich zdumiała, to niespotykany w spokojnej Genewie arsenał ciężkiej broni.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Pięć minut po wyjściu z salonu kosmetycznego Gray Man skręcił w rue du Marché, szukając adresu zapisanego na kopercie. Zaczęło kropić. Deszcz pogarszał widoczność, trudniej było dostrzec numery mijanych budynków. Kiedy znalazł się na rue du Commerce, usłyszał potężny wybuch.

Tak jak pozostali przechodnie się zatrzymał, jednak w przeciwieństwie do nich się nie obrócił. Po kilku sekundach zrobił krok do przodu. Po chwili przyspieszył i zgarbiony ruszył przed siebie.

Dostrzegł obserwatora, więc skręcił w rue du Rhône, małą uliczkę, w której udało mu się zgubić ogon w tłumie przed McDonaldem.

Po kilku minutach na tyłach parkingu podziemnego pod rue de la Confédération odnalazł niewielki garaż. Było deszczowe sobotnie popołudnie, nikogo w pobliżu. Otrzymany od Maurice'a kluczyk pasował do kłapy garażu. Uniosła się ze skrzypnięciem. Chmura wzburzonego kurzu i smród oleju silnikowego zakręciły mu w nosie. Przez pół minuty szukał na ścianie włącznika światła. W końcu wpadł na coś dużego na środku pomieszczenia, nad czym wisiał sznurek przymocowany do sufitowej żarówki.

Przez chwilę Gentry był oszołomiony światłem gołej świetlówki. Pospieszenie opuścił klapę od garażu, aby się tam zamknąć. Spostrzegł, że wielki przedmiot, na który wpadł po ciemku, to przykryty brezentem pojazd.

Maurice nie wspominał, że chciał mu pożyczyć samochód. Przez chwilę Court zastanawiał się, czy nie wszedł do innego garażu. Odślonił płachtę i rzucił ją na ziemię. Przed nim stał wielki czarny sedan, czterodrzwiowy mercedes klasy S z czarnym skórzanym wnętrzem.

Court stwierdził, że samochód musiał kosztować ze sto tysięcy dolarów.

– Dzięki, Maurice – mruknął.

Gray Man otworzył drzwi od strony kierowcy. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Rzucił okiem na deskę rozdzielczą. Bryka miała na liczniku niespełna sześć i pół tysiąca

kilometrów. Ślicznotka. Ośmiogodzinna podróż do Normandii na pewno minie w niej szybciej i wygodniej, ale bardziej niż wozu potrzebował broni. A w Europie znacznie trudniej zdobyć broń niż dobry środek lokomocji.

Pełen napięcia otworzył bagażnik mercedesa i poszedł do tyłu.

Cztery aluminiowe futerały. Court sięgnął po leżący na górze i otworzył go. Ciężka giwera.

– Maurice, mój bohaterze... – szepnął.

Patrzył właśnie na HK MP5, dobrze naoliwiony i wsadzony do wyłożonego pianką wgłębienia. Do tego w osobnej przegródce cztery magazynki, każdy naładowany trzydziestoma dziewięciomilimetrowymi nabojami. A na deser po obu stronach pistoletu maszynowego po ślicznym granaciku odłamkowym. Naładował pistolet, repetował magazynek, po czym rzucił broń na fotel pasażera wraz z zapasowymi magazynkami. Drugi futerał mieścił dwa odłamkowe i dwa błyskowo-hukowe granaty, dwa tarany oraz zgrabną kostkę semteksu ze zdalnym detonatorem. To na razie zostało w bagażniku. Trzeci pojemnik ze szczerkowanego aluminium zawierał przenośny odbiornik GPS, zestaw dwóch krótkofalówek oraz laptop. Ten sprzęt trafił na tylne siedzenie samochodu. W ostatniej skrzynce Court znalazł dwa pistolety Glock 19 kaliber 9 milimetrów i cztery naładowane magazynki. Znajdowały się tam też pas i dwie ładownice udowe. Jedna do przytwierdzenia glocka na prawym biodrze, druga na magazynki do obu rodzajów pistoletów na lewej nodze. Coś go tknęło i podwinął matę, którą wyłożony był bagażnik mercedesa. Znalazł tam jeszcze karabinek AR-15. Obok zapasowej opony leżał plastikowy pojemnik z trzema naładowanymi magazynkami pełnymi amunicji kaliber 223, w sumie dziewięćdziesiąt serii.

Court spędził kilka minut, uruchamiając telefon satelitarny i zaznajamiając się z odbiornikiem GPS. Od strony kamienicy Maurice'a cały czas dochodziło wycie syren policyjnych, straży pożarnej i ambulansów.

Ta skrytka wyjawiała Gentry'emu dwie rzeczy o dawnym mentorze. Po pierwsze to, że choć już nie pracował dla CIA i nie żył w ukryciu, wciąż musiał się czegoś obawiać. Przynajmniej na tyle, aby przygotować i utrzymywać ten arsenał. Czyżby szykował się na pełną wybuchów ucieczkę z jakiejś nie milej sytuacji? Po drugie, sądząc po wypasionej bryce, a także liczbie i jakości sprzętu, plotki krążące o byłym mentorze musiały jednak być prawdziwe. Czyli najprawdopodobniej Maurice rzeczywiście defraudował pieniądze z powierzonych mu kont CIA.

Staruszek musiał wiedzieć, że Gentry dojdzie do tego wniosku, a mimo to ofiarował arsenał swojemu uczniowi. Ostatnim życzeniem umierającego było, aby Court wykorzystał to, co on zdążył zgromadzić, by uciec i dokończyć misję, a nie żeby oceniał jego działania.

Kiedy Gentry wyjeżdżał z garażu i parkingu podziemnego, patrząc przez mocno przyciemnione szyby na służby dojeżdżające na sygnale do miejsca zbrodni przy rue de l'Evêché, miały nim sprzeczne emocje. Court nigdy nie przywłaszczył sobie nawet niewielkich pieniędzy pracodawcy. Pracując dla gangsterów i dilerów narkotykowych, nie naciągał dziennych wydatków do zwrotu kosztów. Był zabójcą, ale nie złodziejem. Poczuł zawód, odkrywając, że Maurice okradał agencję. Ale w końcu większości tych łupów Gentry zamierzał użyć w słusznej sprawie. Był, co prawda, idealistą, ale posiadał również zmysł praktyczny. To, że Maurice kradł, było złe. Gray Man stwierdził jednak, że nie będzie oceniał byłego nauczyciela zbyt krytycznie. Postanowił odkupić honor staruszka, używając nabytych za kradzione pieniądze nabożów i spluw, aby ocalić trzy niewinne osoby w Normandii i odzyskać dane personalne wszystkich agentów Sekcji Działań Specjalnych CIA.

\* \* \*

Riegel stał za Techem, tuż obok Lloyda po lewej. Młodzieniec z kucykiem i słuchawkami w uszach siedział za biurkiem przed rzędem monitorów.

Dwóch najwyższych rangą w tej operacji poznało po wyrazie twarzy młodego Brytyjczyka, że nie ma on dobrych wieści.

– Lokalne źródła potwierdziły, że cała ekipa z RPA nie żyje. W lokalizacji, gdzie miał znajdować się cel, nastąpiła wielka eksplozja. Wygląda na wyciek gazu. Niewątpliwie wybuch nastąpił w wyniku strzelaniny bądź innego użycia broni palnej. Straż pożarna wciąż próbuje opanować płomienie. Nie ma jeszcze wiadomości o dokładnej liczbie ofiar, wiadomo tylko, że nikt nie ocalał. Jest wiele ciał – powiedział Tech.

– W tym Gentry? – zapytał Lloyd.

Tech pokręcił przecząco głową.

– Widziano go, jak opuszcza budynek kilka minut przed wybuchem.

– Widziano?

– Wypatrzył go obserwator, ale zgubił w tłumie.

– No nie! – wkurzył się Lloyd. – Czy sam będę musiał go zabić?

Riegel wyciągnął telefon z kieszeni i zadzwonił. Po chwili czekania zaordynował:

– Tak, to ja. Potrzebuję helikoptera. Zdobać następujące przedmioty i staw się tu przed zmrokiem. Notuj! Zestaw noktowizorów. Wykrywacze ruchu, czujniki zdalnego sterowania, monitory i stosowne okablowanie. Masz wszystko? Poza tym znajdź Serge'a i Alaina i ich też wsadź do helikoptera. Mają wziąć ze sobą wszystko, co potrzeba, aby otoczyć całe Château Laurent płotem elektronicznym – dodał, po czym się rozłączył.

Lloyd gapił się na niego.

– A to co było?

– Zamówiłem sprzęt do inwigilacji elektronicznej. Plus ludzi do montażu i obsługi.

– Po co?

– Na Gentry'ego. Na dziś wieczór.

– Wiesz, że dzieli go od nas jeszcze prawie pięćset kilometrów i trzydziestu pięciu zabójców? Chyba nie przypuszczasz, że rzeczywiście uda mu się tu dotrzeć?

– Moim zadaniem jest upewnienie się, że zginie. Nieważne, czy skończy w Genewie, gdzieś w Alpach Francuskich, czy tu, na trawniku. Muszę zrobić wszystko, żeby uratować tę operację. Użyję każdego narzędzia, każdej możliwej przewagi technicznej, każdego żywego człowieka i każdej spluwy, którą jestem w stanie ustawić na drodze pomiędzy miejscem, gdzie teraz jest, a celem jego podróży.

Tech obrócił się do stojących za nim mężczyzn. Pierwszy raz na jego twarzy pojawił się ślad jakichkolwiek emocji, a konkretnie strach.

– Ej, nie było mowy o tym, że on rzeczywiście się tu zjawi. Na miłość boską, przecież ja nie jestem od pracy w terenie!

Riegel popatrzył na niego groźnie.

– No to właśnie awansowałeś.

Tech odwrócił się do terminala.

Niemiec zadzwonił do wieży i nakazał białoruskiemu snajperowi stawić się na rozmowę z nim i z Lloydem w ogrodzie. Spotkali się przy fontannie. Mężczyzna miał potężnego dragunowa przewieszzonego przez klatkę piersiową. We trójkę minęli plamy krwi na trawie i ruszyli w stronę sadu, który zaczynał się na końcu trawnika i ciągnął kilkaset metrów aż do wysokiego kamiennego muru otaczającego całą posiadłość. Riegel i snajper głęboko wciągnęli nosem powietrze, po czym przyklęknęli i dotknęli trawy. Uważnie badali całe otoczenie. Lloyd stał, gapiąc się na sad, wyglądał na znudzonego i poirytowanego.

Riegel rozmawiał ze snajperem po rosyjsku.

– Rozumiesz zasady działania?

– Jeśli rusza się w stronę pałacu: zastrzelić.

– No właśnie.

– To proste.

Buty turystyczne Riegla zapadły się w równo przystrzyżonej trawie.

– Była dziś rano mgła?

– Tak. Widoczność niecałe dwieście metrów. Do dziesiątej rano nie widziałem dalej niż te jabłonie.

– To nie powinien być problem. Jeśli w ogóle tu dotrze, to przed wschodem słońca.

Białorusin tylko pokiwał głową, patrząc na sad przez celownik optyczny.

– Nie powinieneś zabijać ojca dziewczynek – rzucił Riegel.

Snajper tylko wzruszył ramionami, wciąż skanując okolicę.

– Gdyby pan był na miejscu, tobym go nie zabił. A tak to nikt nami nie dowodził. No to zdecydowałem się strzelać. Zawsze strzelam, chyba że mam inne rozkazy.

Riegel pokiwał głową. Przez chwilę przyglądał się snajperowi.

– Widziałem ciało. Ranę wlotową. Zła decyzja czy nie... To był przepiękny strzał.

Białorusin spuścił celownik dragunowa z oka, ale wciąż pilnie obserwował sad. Nie widać było po nim jakichkolwiek emocji.

– *Da*. To prawda – przyznał.

Lloyda zmęczyło bycie ignorowanym.

– Słuchaj, Riegel. To strata czasu. Nawet jeśli Gentry'emu uda się tu dostać, a tak się nie stanie, czy naprawdę myślisz, że będzie tak sobie biegł prosto przez



trawnik?

– Jest taka możliwość. Zrobi to, co uzna za najlepsze.

– To porąbane. Przecież sam nie weźmie nas szturmem.

– Ja muszę dopilnować, abyśmy byli gotowi również na tę ewentualność.

– No to może wyłożymy cały ten pierdolony ogród minami? – W głosie Lloyda słyhać było i sarkazm, i drwinę.

Riegel popatrzył na niego przeciągle.

– A wiesz, gdzie mogę zdobyć miny?

W kieszeni Lloyda zadźwięczał telefon.

– Tak?

– Tu Tech. Gentry dzwoni na telefon sir Donalda. Mogę przekazać.

Lloyd włączył tryb głośnomówiący.

– No to dawaj.

– Cześć, Lloyd. – W głosie Gentry'ego słyhać było zmęczenie.

– A więc znów wymknąłeś się z objęć śmierci. Już miałem nadzieję, że dziś wieczór stanę nad twoim sfajczonym truchłem.

– No cóż... Zamiast tego twoje wynajęte zbiry zabiły właśnie siedemdziesięcioletniego bohatera Stanów Zjednoczonych.

– Jasne. Śmiertelnie chory, wywalony z pracy szpieg łapówkarz. Pozwól, że otrę łzy rozpaczy.

– A pierdol się, Lloyd.

– Jesteś w Genewie?

– Przecież wiesz, że jestem.

– Mam ci przefaksować pierdoloną mapę? Północna Francja jest na północy, kurna, Francji, nie na południu jebanej Szwajcarii! Nie wiem, po co odwiedziłeś Maurice'a. Czy po kasę, papiery, broń, poplotkować, nieważne. Na dłuższą metę nic z tego ci nie pomoże. Jedyne, czym powinieneś się martwić, to czas, bo jutro rano, kiedy mała wskazówka pokaże ósmą, a duża dwunastą, otwieramy sezon myśliwski na brytyjskie dziewczuszki.

– Nie schizuj, Lloyd. Będę już wkrótce.

– To po co dzwonicz?

– A siedziałem tak sobie i zamartwiałem się, że już się nadto odprężyłeś i może myślisz, iż zginąłem w wybuchu. Wizja twojego przyjemnego popołudnia naprawdę zaczęła mnie uwierać, więc stwierdziłem, że zadzwonię, pogadamy, a przy okazji poproszę, żebyś dziś w nocy zostawił dla mnie włączone światło.

Lloyd parsknął do telefonu.

– Chciałeś się upewnić, że nie uznałem, iż jest po misji. Żebym nie zszedł i nie wystrzelał rodzinki, skoro już mi nie jest potrzebna.

– To też. Nie wiem, ile jeszcze pomiędzy nami jest ekip, ale nie ma na tej ziemi wystarczająco dużo zbirów, żeby powstrzymać mnie od ściśnięcia dziś wieczorem twojej grdyki.

Do trójki mężczyzn stojących w ogrodzie podbiegł Tech. Był zasapany. Pokazał kartkę, na której nabazgrał pospiesznie: „Tel Sat – nie da się śledzić”.

Lloyd zmarszczył brwi.

– Court, twoja śmierć jest nieunikniona. Bądź tak dobry, oszczędź nam wszystkim czasu i wysiłku i zabij się, wsadź głowę do torby termoizolacyjnej na mrożonki i przyślij ją mnie – powiedział.

– No to umówmy się: ja się zajmę głową, ty przygotuj skrzynkę z lodem. Już wkrótce dam ci możliwość wsadzenia jednego w drugie.

– Brzmi jak plan, stary.

– Jutro rano Julius Abubaker będzie musiał sobie znaleźć inną sukę od układzików, bo jak tobie się nie uda, a wiem, że ci się nie uda, to albo zabiję cię ja, albo ktoś inny.

Twarz Lloyda wykrzywiła się z wściekłości.

– Nie jestem niczyją suką, ty buńczuczny skurwysynu! Wiesz, ilu zarozumiałych agentów od brudnej roboty przeżyłem? Z tobą będzie tak samo. Dobrze ci robi świadomość, że mimo reputacji i groźnej ksywy jesteś po prostu droższym zbirem. Za kilka godzin będziesz martwy, a ja zapomnę o tobie, zanim robaki skończą cię pałaszować.

Nastąpiła cisza.

– Niech zgadnę, Lloyd. Twój tatuś był kimś ważnym.

– Tak się składa, że mój ojciec jest kimś ważnym.

– To wiele wyjaśnia. No to nara! – Gentry się rozłączył.

Riegel ukrył przed Lloydem uśmiech. Tech wciąż dyszał, trzymając ręce na kolanach.

– Brzmi, jakby rzeczywiście myślał, że tu dotrze – wyjąkał. W jego głosie, pomiędzy gorączkowym łapaniem powietrza, słychać było przerażenie.

– Wracaj do pracy. Chcę zobaczyć na niebie helikoptery. Wsadźmy ludzi do pociągów. Ma być martwy, jeszcze zanim dotrze do Paryża! – odburknął Lloyd.

\* \* \*

Godzinę później Riegel stał na murku otaczającym dach pałacu. Wyjrzał przez dekoracyjne blanki na chłodne, choć słoneczne popołudnie. Teren posesji przemierzały trzy dwuosobowe zespoły Białorusinów, uzbrojone w karabiny i krótkofalówki. Po lewej stronie Niemca, na szczycie wieży z doskonałym widokiem na ogród, stali snajper i obserwator. Helikopter przewożący sprzęt termowizyjny dał właśnie znać, że leci z Paryża wraz z całym ekwipunkiem i dwuosobowym zespołem inżynierów, którzy rozstawią wszystko w mniej niż godzinę.

Tech zapakował kolejną ekipę w TGV jadący z Genewy do Paryża. Po Gray Manie nie było śladu. Trzy kolejne zespoły oraz prawie wszyscy dostępni obserwatorzy stali już na pozycjach przy autostradach wzdłuż Alp Francuskich, które Gentry musiał przemierzyć motocyklem czy autem. Do tego trzy ekipy w Paryżu. To było oczywiste miejsce akcji, jako że w stolicy Francji pełno było znanych kontaktów, a poza tym właśnie tam najlepiej zaopatrzyć się w sprzęt czy posiłki.

Niewiele zostało Kurtowi Riegelowi do roboty poza czekaniem.

A jednak wciąż go coś gryzło.

Zaczęło się od lekkiego, nieznośnego klucia z tyłu głowy. Z każdą chwilą, kiedy upewniał się, że odhaczył już wszystko, co było do zrobienia, uczucie, że coś mu umknęło, się nasilało. Miał wrażenie, że coś przeoczył, nie potrafił jednak wskazać, co to mogło być.

W końcu udało mu się rozgryźć przynajmniej źródło tej narastającej irytacji: to miało związek z czymś, co Gray Man powiedział Lloydowi. Jasne, Gentry musiał się domyślić, że wymierzona w niego operacja jest związana z zabójstwem Isaaca Abubakera. Ale o co mu chodziło, kiedy powiedział, że Lloyd to Abubakerowska suka od układów? Skąd wiedział, że Lloyd nie był po prostu zatrudniony przez

Abubakera czy przez CIA? Że to nie była zwykła misja? Że chodzi w niej o coś więcej niż zemstę? O jakiś układ, negocjacje. Riegel dostał od Techa transkrypcje wszystkich dotychczasowych rozmów Gentry'ego z Lloydem kilka godzin wcześniej, jeszcze zanim tu przyleciał. Ani Lloyd, ani Fitzroy nie wspominali słowem o LaurentGroup ani o prawdziwych przyczynach całego przedsięwzięcia. Dlaczego więc Gray Man miałby przypuszczać, że operacja jest związana z jakąś umową pomiędzy stronami, co sugerowało użycie przez niego słowa „układzik”? I dlaczego sądził, że życie Lloyda wisi na włosku i zależy od powodzenia tej operacji?

Rozwagał te kwestie przez dobrą minutę. W końcu dostrzegł tropy, jak gdyby polował na safari. Podczas śledzenia zwierzyny sprawny myśliwy jest w stanie dopatrzeć się różnych wskazówek po jej śladach. Na przykład tego, że wie, iż jest tropiona. Że coś wywęszyła, zauważyła ruch. Kiedy zwierzyna wyczuje zagrożenie, zmienia się jej krok. Tylko wyjątkowo wprawny myśliwy jest w stanie dostrzec subtelne zmiany w jej sposobie poruszania się.

Riegel był właśnie takim myśliwym.

Gentry wyczuł więcej niż lekki zapaszek tego, o co naprawdę tu chodziło. Znał szczegóły, których dowiedzieć mógł się tylko z jednego źródła.

Kurt Riegel obrócił się na pięcie i wszedł do środka. Minał Lloyda, który akurat wychodził z toalety, i kroczył korytarzem z zacięciem i powagą szturmowca.

Lloyd wyczuł jego determinację.

– Co jest? Co jest nie tak?

Riegel milczał. Podążał korytarzem, po czym zszedł szeroką, wyłożoną wykładziną klatką schodową na pierwsze piętro. Szybko i zdecydowanie maszerował dalej, mijając zabytkowe kinkiety i portrety, drzwi do pokoju Elise Fitzroy i do sypialni, w której zamknięto dziewczynki. Lloyd podążał za nim. Riegel minął Leary'ego, jednego ze zbirów z Irlandii Północnej przywiezionego z londyńskiej siedziby LaurentGroup. Następnie otworzył potężne drzwi, których pilnował Irlandczyk. W wielkiej sypialni, leżąc na wznak w białej pościeli, twarzą do drzwi, sir Donald Fitzroy przyglądał się wkraczającej do jego pokoju procesji.

Riegel ciężkim krokiem podszedł do łóżka. Tym razem nie okazywał już takiej uprzejmości, jak przy poprzednim spotkaniu. Jego mina świadczyła o tym, że

zdawał sobie sprawę, iż został wystrychnięty na dudka i jest żądny krwawej rekompensaty.

– Gdzie? – syknął szeptem, co wcale nie pasowało do jego gestów i mimiki.

Lloyd i Leary stali z tyłu, pośrodku pokoju. Spojrzeli po sobie, próbując domyślić się, o co właściwie chodzi.

– O co pytasz? – zapytał Donald.

Riegel wyciągnął pistolet marki Steyr i przycisnął lufę do czoła sir Donalda.

– To ostatnia szansa – wciąż szeptał. – Gdzie to masz?

Po chwili milczenia sir Donald Fitzroy poruszył rękami pod kołdrą. Wkrótce wyjął spod niej telefon komórkowy. Anglik wręczył komórkę wielkiemu Niemcowi. Riegel nawet nie rzucił okiem na aparat, tylko wsunął go do kieszeni.

– Kto? – spytał gniewnym szeptem.

Sir Donald milczał.

– Zidentyfikowanie właściciela zajmie mi kilka sekund. Oszczędzi pan sobie dużo cierpienia, odpowiadając na to pytanie.

Sir Donald spuścił wzrok z Riegla, popatrzył na Lloyda, po czym przeniósł spojrzenie na ochroniarza z Irlandii Północnej.

– Cóż, Padric Leary pracował dla mnie przed laty w Belfaście. Och, Paddy, Paddy... byłeś moim ulubionym kapusiem – powiedział czule, po czym zwrócił się z powrotem do Niemca: – I co z tego? Skurwysyn i tak zażądał niebotycznej sumy za wykonanie kilku marnych telefonów.

Kiedy furia Riegla skierowała się z Anglika na Irlandczyka, Fitzroy zawołał do zaskoczonego zbirów:

– Wybacz, stary druhu! Obawiam się, że nie wywiążę się z obietnicy i jednak nie dostaniesz dziesięciu tysięcy funtów. Na pocieszenie masz świadomość, że do końca życia pozostałeś wiernym sługą Jej Królewskiej Mości.

Leary spojrział na Riegla.

– To pierdolone kłamstwo! Angolom wierzyć nie można! Łże jak pies! Dwa dni temu pierwszy raz go na oczy zobaczyłem! Popierdolony, zramolały dziadyga!

– To twój telefon? – Riegel wyciągnął z kieszeni komórkę i ją pokazał.

Leary gapił się na nią przez kilka sekund, po czym ruszył w stronę Fitzroya.

– Jak, do kurwy nędzy, dorwałeś mój...

W pokoju rozległ się strzał. Leary znieruchomiał, po czym runął twarzą u stóp Riegla. Niemiec odruchowo padł na kolana i podniósł broń w stronę źródła wystrzału.

Pośrodku pokoju stał Lloyd. W jego wyciągniętej dłoni srebrzył się niewielki pistolet automatyczny. Wciąż celował w miejsce, w którym znajdowała się głowa Irlandczyka, zanim padł pchnięty dziewięciomilimetrowym pociskiem dum-dum.

– *Nein!* – rozległ się krzyk.

Lloyd wycelował lufę w zgromadzonych, po czym okręcił pistolet i nim gestykułował.

– Mamy za dużo na głowie, żeby martwić się żmijami w naszym gronie – powiedział.

Riegel wciąż klęczał ze wzrokiem utkwionym w tańczący w ręku Lloyda pistolet.

– Chciałeś traktować Donniego po dżentelmeńsku i patrz, jak on ci się odpłaca. Byłeś zbyt łagodny i wykorzystał to. Przecież on manipuluje ludźmi. I to dłużej niż ja chodzę po tym świecie. To jego zawód! Dowiedz się, do kogo dzwonił i co powiedział. I to teraz, bo inaczej zatelefonuję do Laurenta i powiem, że mi przeszkadzasz w misji! – rzucił prawnik.

Lloyd opuścił broń i obrócił się na pięcie. Wyszedł z pomieszczenia.

Po kilku sekundach klęczenia z podniesioną bronią, wciąż wypatrując potencjalnych celów, Riegel schował broń, spojrział na Fitzroya i powiedział:

– Zawiódł mnie pan.

Głos Fitzroya był niespodziewanie potężny.

– Widzę desperację, Riegel. I w twoich oczach, i w ślepiach Lloyda. Tu nie chodzi tylko o kontrakt o wydobywanie i przewożenie gazu. Abubaker ma coś jeszcze, czym szantażuje LaurentGroup. Jakieś brudy z przeszłości, informacje o praktykach. Coś, co jeśli ujrzy światło dzienne, będzie oznaczało koniec całej organizacji.

Riegel spojrział w lustro wiszące nad potężną szafą. Koniuszkami palców poprawił siwiejącą fryzurę.

– Owszem. Pozwoliliśmy się postawić w isticie nieprzyjemnym położeniu. Jak to mawiał mój ojciec: „Kiedy idziesz spać z psami, nie dziw się, jak obudzą cię pchły”. Cóż, w naszej firmie od wielu lat sypiamy z licznymi i okrutnymi psiskami. Abubaker to jeden z najgorszych, a do tego wie bardzo dużo o tym, co Marc

Laurent jest w stanie zrobić dla władzy i pieniędzy. Od czasów dekolonizacji Afryki surowce na tym kontynencie są świetnym łupem dla każdego, kto jest skłonny tańczyć tango z watażką. Przez lata mieliśmy Abubakera w kieszeni... A teraz on ma nas. Grozi, że wyjawi światu, do czego posunął się Marc Laurent, zdobywając surowce z Afryki. To nie jest nic chwalebного. Naprawdę wolelibyśmy, by ustępujący prezydent trzymał język za zębami.

To powiedziawszy, Riegel ruszył do drzwi. Nie oglądając się za siebie, zawołał do więźnia:

– Zaraz kogoś przyślę po trupa!

– Nie ma się co kłopotać. Kiedy Court tu przyjedzie, trup będzie się ścielić gęsto w całym pałacu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Pięciu żołnierzy z Al Mukhabarat Al A'amah, czyli Generalnego Dyrektoriatu Wywiadowczego Arabii Saudyjskiej, leciało na zachód nad Alpami skradzionym śmigłowcem Eurocopter EC145. Do niedawna należał on do pilota, a zarazem właściciela dobrze prosperującego miejscowego biznesu, który zarabiał na życie, wynosząc snowboardzistów i narciarzy wyczynowych w niedostępne innymi środkami obszary na Mont Blanc i innych szczytach w rejonie.

Teraz właściciel eleganckiego czarnego śmigłowca, były major armii francuskiej, leżał we własnym hangarze zabity jednym strzałem z pistoletu z tłumikiem. Saudyjczycy natomiast uciekli jego helikopterem nad autostradę. Szosa pod nimi to wznosiła się, to opadała, wijąc się i niknąc co jakiś czas w tunelach, przemykając przez soczystą zielen lasów i okrążając jeziora tak niebieskie, że jasne niebo wokół nich zdawało się w porównaniu z nimi nijakie i wyblakłe.

Jedynie saudyjski pilot mówił po angielsku. Kontaktował się sporadycznie z Techem, mając otwarte kanały komunikacji z centrum dowodzenia; połączenie pojawiała się i urywało wraz z mijaniem kolejnych ostrych szczytów. Tech równocześnie łączył się z innymi ekipami w rejonie i przekazywał meldunki obserwatorów porozstawianych na dworcach autobusowych i postojach taksówek. Nie było śladu po Gray Manie od chwili, kiedy udało mu się zgubić ogon po wyjściu z genewskiego domu starego finansisty.

Autostrada A40 była naturalnym wyborem podróżującego z Genewy przez południowo-zachodnią Francję w stronę centrum kraju. Tam, w miejscowości Viriat, można albo zostać na A40 aż do połączenia z A6, albo pojechać na północny wschód, drogą A39 do Dijon. Obiema trasami do Paryża dojeżdża się w mniej więcej pięć godzin. Gdyby się je chciało ominąć, zajęłoby to co najmniej sześć.

Saudyjczycy wiedzieli, gdzie szukać celu. Jeśli jechał tą trasą, musiał być pod nimi, na A40.



Sęk w tym, że nie mieli pojęcia, jakiego pojazdu wypatrywać. Trzydziestu obserwatorów poustawiano na wszystkich wiaduktach, miejscach postojowych oraz na poboczach autostrady przy autach z podniesionymi maskami, symulując drobne awarie.

Inni jechali tymi trasami. Każdy artysta chodnikowy, a w tym wypadku szosowy, obserwował drogę i wpatrywał się we wnętrza mijanych aut w celu wyłapania kogoś, kto pasowałby do podstawowego profilu poszukiwanego. To była operacja na naprawdę wielką skalę i należało dopilnować, żeby policja ich nie zauważyła. Między innymi dlatego Riegel był przeciwny tej akcji. Kiedy stało się jasne, że Gentry nie wsiadł do pociągu ani autobusu, Niemiec chciał, żeby wszyscy obserwatorzy i ekipy zabójców przemieścili się prosto do Paryża. Był przekonany, że Gray Man na pewno zatrzyma się choć na chwilę w tym mieście. Riegel założył, a Lloyd nie negował tego, że najprawdopodobniej stary bankier CIA, którego Court odwiedził w Genewie, zaopatrzył go w sprzęt, broń, pojazd, pomoc medyczną i zapewne gotówkę. Ponadto Riegel uznał, że skoro Gray Man znalazł czas na rozmowę z sir Donaldem Fitzroyem, to zapewne miał też okazję zdobyć od byłego agenta namiary na któregoś ze swoich kolegów. Jeśli udało mu się umówić na odbiór posiłków czy ekwipunku, musiałyby to zrobić z miejsc, które i tak mijał po drodze.

Paryż był ostatnim większym miastem na trasie, do tego pełnym zabójców, fałszerzy dokumentów, podziemnych handlarzy bronią, byłych pilotów CIA i innych typów spod ciemnej gwiazdy, których Gray Man mógłby zatrudnić do ratowania Fitzroyów i odzyskania wykradzionych przez Lloyda tajnych dokumentów personalnych amerykańskiego wywiadu.

Riegel proponował, żeby skoncentrować wszystkie siły na Paryżu, Lloyd jednak uparł się, żeby ustawić ostatnią zasadzkę na północy, przy głównej autostradzie, aby powstrzymać Gentry'ego, zanim zacznie się zbliżać do Château Laurent.

\* \* \*

Gentry jednak nie pojechał ani A40 do A6, ani A40 do A39. Obie trasy były bez wątplenia najbardziej praktycznym wyborem, ale tylko dla podróżnych, na których po drodze nie czyha kilkudziesięciu zabójców.

No właśnie, Court stwierdził, że działania przeciwko niemu były warte nadłożenia około dwóch godzin jazdy, nawet kosztem zmęczenia i bólu. Siedem godzin za kółkiem do Paryża bynajmniej mu się nie uśmiechało, ale nie widział innego wyjścia. Z rozmiarem jego arsenału w bagażniku autobus czy pociąg odpadały. Musiał jechać autem.

Przynajmniej podróżował z klasą. Mercedes S550 był smukły i solidny. Niemal nowe wnętrze wypełniało jego nozdrza zapachem luksusowej skórzanej tapicerki. Silnik o mocy trzystu osiemdziesięciu dwóch koni mechanicznych ledwo mruczał, nawet jadąc z prędkością prawie stu czterdziestu kilometrów na godzinę, a satelitarny system stereo dotrzymywał Courtowi towarzystwa.

Raz na jakiś czas przełączał radio na lokalną stację, starając się wyteńczyć słuch i wykorzystać niewielką znajomość francuskiego w poszukiwaniu informacji o strzelaninach w Budapeszcie, Guardzie czy Lozannie i jakiejś wzmianki o wybuchu kamienicy na Starym Mieście w Genewie.

O piątej po południu Gentry był tak wyczerpany, że bał się, iż zaśnie i się rozbije, więc zjechał do punktu postojowego tuż pod Saint-Dizier. Zatankował i zaopatrzył się w popularny francuski przysmak – gigantyczną bagietkę z szynką i serem. Wypił dwie kole, a po wizycie w toalecie dokupił wielką butelkę wody mineralnej.

Po kwadransie był już w drodze. GPS przytwierdzony do deski rozdzielczej wskazywał, że nie miał co liczyć na dotarcie do Paryża przed dwudziestą pierwszą. Wliczając wszystko, co miał do załatwienia przed wyruszeniem do Normandii, Gentry stwierdził, że powinien dojechać do Château Laurent koło wpół do trzeciej. Pod warunkiem, że nie napotka żadnych problemów w Paryżu.

\* \* \*

– Czas sprowadzić wszystkich do stolicy – stwierdził Riegel. Stanął właśnie za Lloydem i Techem, wróciwszy do centrum dowodzenia po dwóch godzinach pracy z dwójką francuskich inżynierów od bezpieczeństwa nad rozstawieniem płotu elektrycznego wokół pałacu.

Lloyd pokiwał głową i powtórzył słowa Niemca siedzącemu obok technikowi. Następnie zwrócił się do wiceprezesa do spraw zarządzania bezpieczeństwem i ochroną.

– Gdzież on, do diabła, jest?

– Od początku wiedzieliśmy, że mógł obrać inną trasę. Miał sto różnych opcji. Jazda opłotkami opóźnia przyjazd do Paryża, ale w końcu tam dotrze.

– Jeśli w ogóle tam jedzie.

– Zakładamy, że nie będzie atakował w pojedynkę obwarowanej fortecy pełnej ludzi z bronią i zakładników. Zanim tu przyjedzie, musi się aprowizować, a w Paryżu ma najwięcej znanych kontaktów. Jeśli się w ogóle gdzieś zatrzyma, to właśnie tam. Mamy wszystkie znane kontakty na oku. Ponieważ jest ranny, obstawiliśmy ludźmi każdy paryski szpital.

– Nie pójdzie do szpitala.

– Zgadzam się. Pewnie nie. To zbyt ryzykowne.

– To może do jakiegoś lekarza z siatki Fitzroya?

– Być może. Dlatego w całym mieście roi się od artystów chodnikowych, czekają wszędzie, gdzie kogoś zna.

– Chcę, żeby nie wyjechał żywy z Paryża.

– Zdążyłem się już zorientować, Lloyd.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Gentry przekroczył wschodnią granicę Paryża w sobotę wieczór, tuż po dziewiątej. Obezwładniające zmęczenie potęgowało ból, który czuł w stopach, kolanach, udzie, nadgarstku i żebrach, ale mimo to parł do miasta. Znalazł zdecydowanie za drogi postój na parkingu podziemnym przy dworcu Saint-Lazare. Schował wszystkie spluwy na tylne siedzenie, zamknął auto, po czym ruszył na powierzchnię.

W trakcie jazdy miał dużo czasu, żeby opracować plan na Paryż. Za pomocą GPS-u znalazł w okolicy kilka otwartych do późna sklepów. Po paru minutach spaceru przez chłodny i mglisty wieczór wszedł do McDonalda, gdzie przecisnął się przez międzynarodowy tłum młodzieży prosto do łazienki. Spędził tam półtorej minuty: umył zmęczoną twarz, zaczesał do tyłu rozczochrane włosy, poszedł za potrzebą, a następnie wysmarował ubranie małym żelowym odświeżaczem powietrza.

To była marna próba doprowadzenia się do porządku, ale lepsze to niż nic.

Po pięciu minutach wszedł już do sklepu z odzieżą męską przy rue de Rome, akurat w chwili, gdy sprzedawca miał odwrócić tabliczkę na drzwiach na „zamknięte”.

Court wziął z wieszaka pierwszy z brzegu drogi, prążkowany czarny garnitur, do tego białą koszulę, krawat w kolorze przytłumionego błękitu, pasek i buty. Zapłacił, po czym, przerzuciwszy pokrowiec z garniturem przez ramię, przeszedł na drugą stronę ulicy do sklepu sportowego, gdzie wyposażył się od stóp do głów w odzież turystyczną w borych odcieniach brązu.

Gdy zamykały się okoliczne sklepy odzieżowe, był już na ulicy. Naprzeciwko dworca wszedł do drogerii i kupił golarkę elektryczną, żyletkę, nożyczki, krem do golenia i kilka batoników. Wypatrzył na stojaku zerówki w czarnych oprawkach, przymierzył i stwierdził, że się nadadzą. Miał już płacić, gdy zauważył elegancki, czarny parasol z zakrzywioną rączką, zawieszony na półce, który przykuł jego

wzrok. Zrobiwszy nieco zamieszania torbami, zdjął go dyskretnie, a następnie szybko zapłacił znużonemu Azjacie za kasą.

Tuż po dziesiątej Gentry zaniósł łupy na stację. Trzymał się blisko ścian, odwracając głowę od kamer porozstawianych w długiej hali dworca. Nie zważał na liczne Bośniaczki błagające o wspomóżenie groszem, po czym wszedł do pustej toalety nieopodal peronu, z którego właśnie odjechał ostatni pociąg. Włożył zakupy do kabiny i wziął się do roboty.

Pospiesznie rozebrał się do podkoszulka i ściał włosy. Starał się, aby jak najwięcej kosmyków powpadało do muszli, ale na wszelki wypadek rozłożył dookoła reklamówki po zakupach.

Elektryczną golarką zgolił resztki włosów, wziął żyletkę i krem do golenia i dokończył robotę. Dwa razy sprawdzał swoje dzieło w lustrze, ale przez większość czasu krył się w kabinie w obawie, że ktoś wejdzie do łazienki.

Skończywszy zabawę we fryzjera, ostrożnie wsunął siatki ze ścinkami do kosza na śmieci i spuścił resztę kosmyków w toalecie. Miał teraz głowę ogoloną na zero. Raz jeszcze umył ją w umywalce, szybko włożył garnitur, koszulę, krawat i buty. Nałożył okulary, chwycił nobliwie wyglądający parasol, po czym zebrał resztę pakunków.

Osiemnaście minut po wejściu Gentry'ego do łazienki wyszedł z niej zupełnie inny mężczyzna. Miał nie tylko inną fryzurę i strój, zmienił się też jego chód. Stawiał większe kroki, sylwetkę miał bardziej wyprostowaną. Court usilnie starał się nie utykać na prawą nogę. Facet w garniturze zszedł po schodach na parking podziemny, włożył torby do samochodu, wziął jeden z glocków, po czym wyszedł na ulicę niczym zwyczajny, szykowny paryżanin, wracający samotnie z eleganckiej restauracji. Nonszalancko machał parasolem, wędrując z tłumem przechodniów poprzez listopadową mgłę. O dwudziestej trzeciej trzydzieści wsiadł do taksówki na rue Saint-Lazare i łamanym francuskim poprosił kierowcę, by zawiózł go na lewy brzeg Sekwany, do dzielnicy Saint-Germain-des-Prés.

\* \* \*

Song Park Kim wypatrzył Kazachów przy katedrze Notre Dame. Nie miał wątpliwości, że polują na tę samą co on zwierzynę. Nie umknęli jego bystremu i doskonale wyszkolonemu oku. Koreańczyk był pewien, że Gray Man również ich

bez problemu zidentyfikuje. Minął też po drodze troje lub czworo obserwatorów stacjonarnych. Z łatwością zauważył ich w sobotnim, wieczornym tłumie, ale i tak stwierdził, że byli całkiem sprawni w swym fachu.

Kim doskonale znał cel. Jeśli Gray Man w ogóle zamierzał się zatrzymać w Paryżu, powinien już tu być. Koreańczyk ostrzył i tak już bystre zmysły, słuchając każdego prowadzącego donikąd raportu Techa, spacerując od bulwaru do bulwaru, z pozoru nonszalancko, ale trzymając się czujnie trasy, z której łatwo mu będzie przemieścić się do wyznaczonej lokalizacji.

Kim spacerował w zupełnej ciszy pustą ulicą. Na mokrym bruku lśniły światła dochodzące z pubu irlandzkiego, poza tym było ciemno. Koreańczyk traktował noc jako sprzymierzeńca, poruszając się szybko i swobodnie, niczym nocny drapieżnik. Na rogu bulwaru Saint-Michele i rue du Sommerard czmychnął w uliczkę, znalazł wypatrzone podczas dziennego obchodu miasta schody pożarowe, po czym podskoczył i podciągnął się na nie. Oliwkowy plecak wisiał mu na plecach, obciążony przez pistolet maszynowy HK i zapasowe magazynki. Wspiął się po metalowych szynach na piętro, gdzie zaczynały się schody prowadzące na szósty poziom. Bezgłośnie doszedł do końca klatki schodowej. Z kolejnym napięciem silnych mięśni ramion udało mu się wdrapać na dach. Miał stąd widok wprost na wieżę Eiffla, która lśniła ponad półtora kilometra od niego. Po prawej stronie płynęła Sekwana, po lewej rozciągała się Dzielnica Łacińska. Szereg dachów ciągnął się wzdłuż bulwaru Saint-Michel, stykając się i tworząc ścieżkę ponad biegnącymi poniżej ulicami.

To miejsce Kim uznał za zwiastujące ciekawie zapowiadający się wieczór. Jeśli Gentry pojawi się gdziekolwiek na lewym brzegu Sekwany, zabójca szybko i bezszelestnie przebiegnie po tych lub podobnych dachach. Jeśli natomiast ktoś zauważy go po drugiej stronie, Kim przemieści się tam w kilka minut, zsuwając się i biegnąc przez którykolwiek z mostów rozciągających się kilka przecznic na północ w poprzek zimnej, bystrej wody, odbijającej błyski latarni stolicy Francji.

\* \* \*

Court Gentry wysiadł z taksówki pod kafejką internetową przy bulwarze Saint-Germain. Przy barze zamówił godzinę serfowania po sieci i podwójne espresso, zapłacił, po czym grzecznie przecisnął się przez tłum studentów do wolnego

komputera na tyłach lokalu. Na czubku nosa miał okulary, w rękach drżała mu filiżanka na spodku, elegancki parasol wisiał na łokciu.

Otworzył przeglądarkę i wpisał do wyszukiwarki „Posiadłości LaurentGroup we Francji”. Kliknął stronę, która pokazywała nieruchomości należące do potężnej firmy: porty, biurowce, przeróżne placówki gospodarcze oraz witrynę z listą lokalizacji firmowych wyjazdów. Tam znalazł Château Laurent, rodzinną posiadłość używaną przez korporację, leżącą na północny wschód od malutkiej wioski Maisons w Dolnej Normandii. Mając już nazwę i dokładniejsze zamiary posesji, zaczął szukać więcej informacji na jej temat. Trafił na stronę o prywatnych zamkach i pałacach Europy. Obejrzał artystyczne zdjęcia obszernej, siedemnastowiecznej rezydencji. Przyswoił wiele informacji, natomiast te, które wydały się mało istotne, natychmiast wyrzucił z pamięci. Wśród nich była ciekawostka, że prezydent Mitterrand polował kiedyś na tym terenie na króliki, oraz informacja, że w pałacu niektórzy oficerowie Rommla zakwaterowali swe małżonki, kiedy w okolicy knuli, jak ostatecznie ulepszyć Wał Atlantycki.

Zanotował adres długopisem pożyczonym od siedzącego przy sąsiednim monitorze ciemnoskórego chłopaka, a potem wszedł na stronę internetową LaurentGroup. Kilka minut zajęło mu znalezienie adresu wśród wykazu nieruchomości firmy – pałac nie był ujęty jako miejsce wypoczynkowe, tylko jako filia firmy – ale w końcu znalazł numer telefonu. Zapisał go na przedramieniu, wzbudzając rozbawienie chłopaka, od którego pożyczył długopis; nieznajomy zaoferował mu nawet kartkę, ale Gentry uprzejmie odmówił.

Następnie spędził kilka minut, przyglądając się satelitarnej mapie terenu wokół pałacu. Zapoznał się z układem lasu, zorientował w okolicznych strumieniach, przyjrzał się sadowi rozciągającemu się z jednej strony trzystuletniej kamiennej budowli, zbadał usytuowanie wiejskich dróg biegnących nieopodal otaczającego posesję muru.

Raz jeszcze wyświetlił zdjęcia budynku. Najwyższym punktem była wznosząca się ponad pałacem wieża. Court zdawał sobie sprawę, że właśnie tam będzie się czaił snajper. Wiedział już, że budynek od sadu dzielił trawnik długi na jakieś dwieście metrów. Od frontu między murem a pałacem odległość była mniejsza, ale jednocześnie z tamtej strony kamienne ogrodzenie było wyższe i lepiej oświetlone. Podejrzewał, że teren pełen będzie patroli z psami, w wiosce zaś zaroi się od obserwatorów. Kto wie, czy nie postanowili użyć helikoptera.

Nie miał wątpliwości, że Lloyd dysponował środkami, ażeby ochronić rezydencję przed żalosnym, kulejącym najeźdźcą.

Fakt, nie ma fortyfikacji nie do przejścia – mało było miejsc, do których Gentry nie potrafiłby się wkraść. Ale nawet gdyby w tej chwili wyjechał z Paryża, dotarłby do Bayeux najwcześniej o drugiej w nocy. To, że do ósmej miał czas na uratowanie Fitzroyów, było marną pociechą. Wiedział, że jeśli chce liczyć na jakiekolwiek prawdopodobieństwo powodzenia, powinien wykonać ruch w środku nocy, kiedy ochrona będzie zasnana, a co za tym idzie, może mieć opóźniony czas reakcji.

Choć musiały istnieć sposoby wdarcia się do Château Laurent, Court zdawał sobie sprawę, że trudno będzie to zrobić bez wielogodzinnej obserwacji w celu zrewidowania zastosowanych środków zabezpieczających.

A on nie będzie miał na to wielu godzin. Najwyżej kilka przed wschodem słońca. I to tylko wtedy, gdy od razu opuści Paryż, a miał zupełnie inny plan.

\* \* \*

O pierwszej w nocy Gentry siedział w Café le Luxembourg wśród pięknych i młodych bywalców rue Soufflot, sącząc drugie podwójne espresso. Przed nim leżała niewielka, nietknięta kanapka z szynką. Kawa była nieprzyjemnie gorzka, ale wiedział, że potrzebuje kofeiny, by przetrwać następne kilka godzin. Niezbędne jest też porządne nawodnienie organizmu, dlatego wypijał już drugą butelkę wody mineralnej, która w tym przybytku kosztowała aż pięć euro. Udawał, że czyta stare wydanie „Le Monde”. Patrzył to tu, to tam, ale wzrokiem wciąż wracał do budynku po drugiej stronie ulicy, pod numer dwudziesty trzeci.

Tak naprawdę Court chciałby móc już wstać i uciekać z miasta bez załatwiania tego, po co przybył do Paryża. Wiedział, że podejmuje ogromne ryzyko, próbując złożyć wizytę człowiekowi, który mieszkał w kamienicy naprzeciw kawiarni, ale bardzo potrzebował pomocy nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim w zapewnieniu Fitzroyom bezpiecznej ucieczki.

Nazywał się Van Zan i był Holendrem pracującym kiedyś na kontrakcie w transporcie dla CIA, w dodatku fantastycznym pilotem awionetek. Court zamierzał złożyć mu niezapowiedzianą wizytę, pomachać gotówką przed nosem, zapłacić zdecydowanie za mało za niebezpieczny lot do Bayeux, żeby odebrać czteroosobową rodzinę i jego, po czym przelecieć nad kanałem do Wielkiej



Brytanii. Jego znajomość z Van Zanem była powszechnie znana w CIA, tak więc Lloyd z pewnością na samym początku operacji kazał podsłuchiwać jego rozmowy i ustawić obserwatorów pod drzwiami. Court wiedział, że nie może zadzwonić do starego kumpla, ale uznał, że uda mu się przechytryć jednego czy dwóch artystów chodnikowych i wpaść w odwiedziny.

Tak, to był całkiem dobry plan, stwierdził Court, łykając gorzkie espresso i wpatrując się bezmyślnie w gazetę.

Powoli jednak dochodziło do niego, że z cwanego planu nici.

Jasne, był w stanie wymknąć się kilku obserwatorom i odwiedzić Van Zana.

Paru, owszem.

Ale nie szóstce!

Sącząc kawę, zauważył pięć osób, które na sto procent go wypatrywały. Ponadto w tłumie dostrzegł jeszcze jedną postać, niepasującą do otoczenia.

O kurwa, pomyślał Court. Nie tylko wiedział już, że nie ma szans wejść do Holendra i zaproponować mu współpracy, ale także poczuł się otoczony i pod ostrzałem sześciu par sokolich oczu.

Dwoje obserwatorów, młodzi ludzie po drugiej stronie ulicy, pod Quality Burgerem, udawało zakochanych. Oglądali się za każdym przechodzącym białym mężczyzną, po czym wracali wzrokiem w stronę wnęki z bramą prowadzącą do mieszkania Van Zana. Poza tym był jeszcze samotny gość w zaparkowanym samochodzie. Wyglądał na Araba. Stukał palcami w deskę rozdzielczą, jakby słuchał muzyki, uważnie przyglądając się przechodniom. Obserwator numer cztery stał na przystanku autobusowym przed wejściem do Ogrodów Luksemburskich, jak gdyby czekał na autobus, ale ani razu nie spojrzał na numer ani kierunek kursu nadjeżdżającego pojazdu. Piąty ulokował się na balkonie na pierwszym piętrze. Trzymał aparat z obiektywem wielkości bagietki i udawał, że fotografuje ruchliwe skrzyżowanie. Court jednak ani na moment nie kupił tego wybiegu. Mężczyzna robił zdjęcia wyłącznie chodnikowi pod stopami albo wnęce z bramą po drugiej stronie ulicy. Ani razu nie odwrócił się w stronę rozświetlonego Panteonu po lewej stronie ani malowniczych budek z jarzynami czy pięknego żeliwnego ogrodzenia wokół Ogrodów Luksemburskich. Szóstą podejrzaną przez niego osobą była kobieta siedząca samotnie w tej samej kawiarni kilka stolików przed Gentrym. Specjalnie zajął miejsce z tyłu, ale nieopodał okna

zajmującego całą ścianę lokalu. Stamtąd mógł spokojnie widzieć wszystkich w pomieszczeniu, równocześnie osłaniając twarz gazetą i spoglądając na kamienicę Van Zana i na to, co się przed nią dzieje. Kobieta robiła dokładnie to samo, tylko usiadła nieco bardziej z przodu. Była dobra. Osiemdziesiąt procent czasu gapiała się w wielką, pełną mlecznej piany filizankę mokki, nie zdradzała się zbyt częstym wyglądaniem przez okno. Popełniła jednak błędy. Była Francuzką – poznał to po jej stroju i wyrazie twarzy – mimo to przebywała w lokalu sama i wydawało się, że nie zna nikogo w kawiarni. Jako ładna, dwudziestoparoletnia dziewczyna, spędzająca samotnie noc wśród ludzi, lecz nie w gronie przyjaciół, w nieznannej sobie kawiarni, w obcej części miasta, wyróżniała się z tłumu. Tak, stwierdził Court. To musiała być artystka chodnikowa, obserwatorka, której ktoś płacił, by trzymała te wielkie, sarnie oczy szeroko otwarte.

Dojadł kanapkę, dopił kawę i – zrezygnowawszy ze świetnego planu, który zapewniłby mu bezpieczną ucieczkę z uratowanymi Fitzroyami – postanowił czym prędzej wyjechać z miasta, dotrzeć do Bayeux i tam coś wymyślić. Od poprzedniego poranka nie był tak przygnębiony – a wręcz zrozpaczony, nawet bardziej niż wtedy, gdy tkwił na dnie zagrzebionego dołu w laboratorium Łászla – ale wiedział, że siedzenie i uzalanie się nad sobą to ostatnie, co powinien zrobić. Rzucił na stolik kilka banknotów euro, po czym wymknął się w korytarzyk do ubikacji. Po skorzystaniu z toalety, jak gdyby nigdy nic skręcił do kuchni, przeszedł przez pomieszczenie do tylnych drzwi i stamtąd na zewnątrz, prosto na rue Monsieur le Prince.

Nikt w kuchni nawet nie spojrział na mężczyznę w czarnym garniturze.

Gray Man potrafił być niewidoczny.

\* \* \*

Pięć minut później Riegel znów stał na dachu i spoglądał przez blanki na oświetlony światłem księżyca ogród. W powietrzu zapach pobliskiego sadu jabłoniowego mieszał się z zimną ciemnością. Riegel miał nadzieję nieco oczyścić umysł, odpocząć od Lloyd'a, Techa, Białorusinów i nieustannych raportów od obserwatorów z Paryża, którzy na razie nikogo nie zauważyli, i od ekip, które jeszcze nikogo nie zabiły. Nagle w jego kieszeni zadzwieczała komórka. W pierwszej chwili miał ochotę zignorować telefon. To pewnie któryś z szefów

zagranicznych służb wywiadowczych chciał dopytać, dlaczego jego ludzie się nie meldują i jak to możliwe, by wszystkich zlikwidowano podczas akcji dla jakiejś korpo. Riegel wiedział, że sprzątanie i naprawianie napiętych relacji po tej katastrofie zajmie mu kilka miesięcy, jeśli nie lat, i to tylko w najlepszym przypadku, to jest jeśli o ósmej rano kontrakt z Nigerią zostanie podpisany. Riegel wolał nie myśleć, co się wydarzy, jeśli Abubaker go nie podpisze, domyślał się, że pewnie czeka go utrata jeśli nie pracy, to przynajmniej pozycji. Laurent ma zbyt wiele do stracenia, żeby nie wywierać każdego możliwego nacisku w tej sprawie.

Riegel czuł, że jego głowa jest na szafocie tak samo jak głowa Lloyda. No, nie aż tak. Riegel nie wątpił, że jeśli operacja się nie powiedzie, to Laurent prędzej czy później każe usunąć Lloyda. W przeciwieństwie do młodego Amerykanina Rieglowi nie groziło przyplacenie fiaska życiem, ale i jego kariera wisiała na włosku, jeśli ten bezwstydnym skurwysyn Julius Abubaker uprze się i ujawni światu poczynania jego firmy w Afryce.

Znowu rozległ się dzwonek. Riegel westchnął ciężko, wydechając parę z ust w ciemną noc, po czym wyciągnął komórkę z kieszeni.

– Tu Riegel.

– Halo, tu Tech. Jest do pana telefon na stacjonarnym. Mogę przekazać na pana komórkę?

– Stacjonarny? Czyli numer do château?

– Tak jest. Nie chciał się przedstawić. Mówił po angielsku.

– Dziękuję, proszę połączyć. – Usłyszał trzaśnięcie na linii. Riegel zapytał: – Dobry wieczór, kto mówi?

– Ktoś, kogo z jakiegoś powodu nie jest pan w stanie zabić.

Po plecach Kurta Riegla przebiegł zimny dreszcz. Nie wiedział, że Fitzroy wyjawiał Gray Manowi jego nazwisko.

Po chwili ochłonął.

– O, pan Gentry. To zaszczyt z panem rozmawiać. Uważnie śledziłem pańską karierę i uważam pana za wyjątkowo godnego przeciwnika – powiedział.

– Nic pan nie zyska pochlebstwami.

– Czytałem pańską teczkę.

– Ciekawa lektura?

– Niezwykłe.

– No to kończ czytanie, Kurt. Zamierzam wyrwać ją z twoich zimnych, martwych łap.

Kurt Riegel zaśmiał się w głos.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak, chciałem się umówić na wizytę.

– Cóż, muszę przyznać, że polowałem już swego czasu na chyba każdego zwierza, na wszystkie stworzenia małe i duże, w tym kilku ludzi, ale pierwszy raz mam okazję wymieniać się uprzejmościami z trofeum, zanim je upoluję.

– Ja też.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, przzerwana śmiechem Riegla, który poniósł się echem po ogrodzie na tyłach pałacu.

– A więc teraz to ja jestem twoją zwierzyną?

– Wiesz, że się zbliżam.

– Nie uda ci się. A jeśli nawet jakimś cudem zdołasz dotrzeć do Normandii, na pewno nie dostaniesz się do mnie.

– Pożyjemy, zobaczymy.

– Wiemy, że jesteś w Paryżu.

– W Paryżu? Co ty wygadujesz? Stoję za tobą.

– Jesteś całkiem zabawny. To niespodzianka – powiedział Riegel, chichocząc. Mimo to na wszelki wypadek obejrzał się przez ramię na puste przejście wokół dachu. – Mamy na oku twoje wszystkie kontakty i dosłownie kilkudziesięciu obserwatorów.

– Serio? Co ty powiesz.

– Taaa... Pewnie chodzisz od jednego starego kumpla do drugiego. Jesteś dobry, więc rozpoznajesz obserwatorów, ale nie aż tak dobry, żeby stać się niewidzialnym. Zawracasz więc od kolejnych potencjalnych źródeł pomocy. „Dokoła woda, woda, ale do picia ani kropli”<sup>[1]</sup>, jak mówi poeta.

– Pewnie jesteś z siebie dumny, co?

– Kiedy tylko cię zobaczymy, zastrzelimy cię. Mam prawie tyle spluw w Paryżu, co par oczu.

– No to dobrze, że nie jestem w Paryżu.

Riegel milczał. Kiedy w końcu się odezwał, zmienił się jego ton głosu:

– Chcę, abys wiedział, że śmierć Phillipa Fitzroya to nieszczęśliwy wypadek. Nie było mnie wtedy w château. To nie powinno się wydarzyć.

– Nie próbuj mnie oczarować profesjonalizmem. To cię nie ocali, kiedy was odwiedzę. I ty, i Lloyd możecie już się zegnać z życiem.

– Tak twierdzisz. Wiedz, że odzyskałem telefon, który sir Donald zabrał ochroniarzowi. Nie masz już źródła informacji wewnątrz.

Court się nie odezwał.

– Cóż, przyjacielu. Twoja przyszłość nie wygląda różowo.

– Prawda. Może więc zawrócę, poddam się.

Riegel milczał chwilę.

– Oj, wątpię. Owszem, kiedy pojechałeś na południe, do Genewy, wtedy rzeczywiście zastanawiałem się, czy nie odpuściłeś. Ale nie. Jesteś myśliwym tak samo jak ja. Masz to we krwi, prawda? Nie możesz zawrócić. Masz zwierzynę, masz cel, to twoje *raison d'être*. Bez ludzi takich jak ja czy Lloyd, z którymi mógłbyś walczyć, byłoby ci smutno. Nie przeżyjesz poranka. Ruszysz na łowy i zginiesz po drodze. I ty to wiesz, ale i tak wolisz zginąć z rąk bestii, niż zrezygnować z polowania.

– To może uda nam się znaleźć inne rozwiązanie.

Riegel uśmiechnął się.

– Ach tak. Teraz doszliśmy do prawdziwej przyczyny tego telefonu. A więc nie chodzi tylko o pogaduchy. Słucham szanownego pana.

– Straciecie kontrakt. Za siedem godzin wciąż będę żył. Wtedy Abubaker odda waszą dawną umowę konkurencji i użyje przeciw LaurentGroup wszystkiego, co ma. To i tak nieuniknione. Ale jeśli wypuścisz bliźniaczki i ich matkę, zawiesz je w bezpieczne miejsce, to jutro wyręczone cię, zabijając Lloyda, ciebie jednak oszczędzę.

– Oszczędzisz?

– Słowo honoru.

– No proszę. Zawsze wyobrażałem sobie ciebie jako drapieżcę dość dwuwymiarowego. Człowiek ze spluwą, nic więcej. Ale ty chyba rzeczywiście nie

jesteś głupi, prawda? W innych okolicznościach przyrody moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

– Podrywasz mnie?

– Bawisz mnie, Gentry. Ale i tak nic nie sprawi mi większej przyjemności niż patrzenie na twoje martwe ciało, kolejne trofeum do mojej kolekcji.

– Naprawdę powinieneś rozważyć moją propozycję.

– Przecenisz swoje pole do negocjacji. W godzinę będziesz nasz.

Chwila ciszy.

– Chciałbyś. Dobranoc, *Herr Riegel*.

– Jeszcze się nie kładę. Czekam na miłe wieści od kolegów z Paryża. *Bonsoir*, Court.

– *À bientôt*, Kurt. Widzimy się wkrótce.

– A, jeszcze jedno, Gentry. Tak z zawodowej ciekawości... Ta akcja w Kijowie... To nie byłeś ty, prawda?

Połączenie zostało przerwane. Riegel wstrząsnął się, być może od powiewu zimna, które właśnie nadciągnęło od strony wybrzeża, cztery kilometry na północ od pałacu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Obserwator nudził się, ale zdążył już przywyknąć do monotonii. Przez dwanaście godzin warował na tym samym rogu. Dane mu było skosztować espresso w trzech okolicznych kafejkach: pierwsze dwie filiżanki wypił przy stolikach na zewnątrz, najpierw w ostrych promieniach poranka, potem w szarzyźnie i chłodzie popołudnia, ostatnią już w środku, przy stoliku przy oknie, kiedy na zewnątrz wiało chłodem, a z chodników i ulic uchodziło ciepło mijającego dnia. O dwudziestej pierwszej przeniósł się do samochodu, niewielkiego citroëna stojącego przy parkometrze, który dokarmił co godzinę niczym wygłodniałego szczeniaka. Pogoda mu się jednak udała, a nuda nie wpłynęła na jego pracę. Uruchomił silnik, aby się ogrzać, ale nie włączył radia – wiedział, że jego uszy mogą się okazać równie pomocne co oczy w poszukiwaniu zwierzyny. Radio tylko przytłumiłoby jego zmysły, które musiały być maksymalnie wyostrzone, aby mógł wypatrzeć spośród tysięcy przechodniów tego jednego, którego nigdy nie widział.

Nie znał szczegółów całej misji, a jedynie swoją w niej rolę: obserwatora zewnętrznego stacjonarnego. W przeciwieństwie do innych obserwatorów pracujących w tej operacji nie został przydzielony do konkretnej lokalizacji. Jego zadanie polegało na skanowaniu otoczenia. Miał przy sobie fotografię poszukiwanego i cały dzień próbował dopasować dwuwymiarowe zdjęcie w formacie dwanaście na osiemnaście centymetrów do sylwetki żyjącego, oddychającego, ruszającego się celu, który znał sposoby ukrywania się przed obserwatorami i niewątpliwie będzie się poruszać wraz z zaburzającym widoczność tłumem.

Obserwator jednak nie tracił optymizmu – taki urok tej roboty. Wiedział, że jeśli znajdzie go zwątpienie, rozproszy to jego wyczulone zmysły, tak kluczowe dla misji.

Mężczyzna nie był zabójcą, posiadał natomiast umiejętność wyłuskiwania wzrokiem wskazanego celu. Dawno temu był gliną w Nicei. Później przez chwilę dorabiał we francuskim kontrwywiadzie jako artysta chodnikowy, łażąc za

Ruskami czy kimkolwiek innym, stosując taktykę wymiany obserwatorów, czyli sytuując się na dole szpiegowskiej drabiny. Krótko był prywatnym detektywem w Akwitanii, ale teraz przede wszystkim pracował jako paryski człowiek orkiestra dla Riegla. Zawsze kogoś w Europie trzeba było śledzić i zazwyczaj było dla niego miejsce w zespole. Choć starszy niż reszta ekipy, bynajmniej nie dowodził. Kiedy był w formie, wydawał się absolutnie najlepszy, sęk w tym, że zdarzało mu się wypić i na dłuższą metę nie można było na nim polegać. Tego dnia jednak nie tykał wina i całkowicie skupił się na misji.

Obserwator po raz tysięczny zerknął na trzymaną fotografię. Nie obchodziło go, czym zawiniła ta twarz i co ją czeka, gdy zostanie wypatrzona.

Ta twarz to nie człowiek, tylko cel.

Ta twarz nie żyła, nie oddychała, nie myślała, nie czuła ani smutku, ani bólu, ani miłości.

Ta twarz to tylko cel, żaden człowiek.

Zidentyfikowanie celu w terenie wiązało się z premią od Riegla. Nie miało natomiast nic wspólnego z żalem czy wyrzutami sumienia obserwatora.

Tuż po pierwszej trzydziści mężczyzna nasikał do plastikowej butelki, nie wylewając ani kropeczki. Przez myśl mu nie przeszło, że może nie przystoi załatwiać potrzeby fizjologiczne w tłumie niczego nieświadomych pięknych ludzi, mijających go na bulwarze Saint-Germain. Mocno zakręcił nakrętkę i rzucił ciepłą butelkę na ziemię, po czym wyjrzał przez okno akurat wtedy, kiedy w pobłysku latarni pojawił się pewien jegomość. Wydawać by się mogło, że szedł z grupą przechodniów, ale z jakiegoś powodu wyróżniał się.

Po pierwsze, był młodszy od pozostałych. W przeciwieństwie do nich szedł sam, nie w parze, a jego elegancki garnitur nie pasował do mniej oficjalnego ubioru grupy. Kiedy obserwator w Citroënie pierwszy raz zauważył tego mężczyznę, ten znajdował się w odległości około dwudziestu pięciu metrów od niego. W miarę jak się zbliżał, dało się dostrzec wyraźny kształt okularów, ogolonej na łyso głowy, w końcu rysów twarzy.

Obserwator nie poruszył się ani na milimetr, tylko spojrzął na pomietą fotografię, a potem znów na postać wchodzącą w wieczorną mgłę.

Być może. Teraz, już z odległości piętnastu metrów, wydało mu się, że mężczyzna kuleje. Tak, zdecydowanie utykał na prawą nogę. A ten mówiący po



francusku Angol, który cały czas przesyłał przez radio informacje, wspominał, że cel może mieć uszkodzone udo.

Tak. Kiedy obiekt zbliżył się do Citroëna obserwatora na nie więcej niż pięć metrów, Francuz wyczytał z jego twarzy dwie informacje, które ostatecznie utwierdziły go w przekonaniu, że ślęczenie w tym miejscu przez dwanaście godzin się opłacało. Po pierwsze, mężczyzna krzywił się za każdym razem, kiedy jego prawa stopa dotykała ziemi. A po drugie, oczy. Obserwator miał bardzo dużo wprawy i został doskonale wyszkolony. Udało mu się zatem wypatrzeć charakterystyczne zerkanie na boki, drobny ruch oczu młodego człowieka. Choć jego sylwetka sugerowałaby, że oto spaceruje na lewym brzegu Sekwany beztroski jegomość, jego oczy były w nieustającym ruchu. Szukał obserwatorów. Kiedy tylko artysta chodnikowy to zauważył, natychmiast spuścił wzrok i patrzył na ręce, aż mężczyzna go minął. Następnie, z nagłym łomotaniem serca, poczekał kilka sekund i nie odwracając głowy, nie wzruszając ramionami ani nawet nie napinając mięśni szyi, spojrział w lusterko wsteczne. Jedynie jego oczy powędrowały do góry i wypatrzyły mężczyznę w garniturze, idącego na wschód przez bulwar Saint-Germain.

Francuz wrzucił bieg i przycisnął guzik na słuchawkach. Po pisku oznaczającym, że połączenie zostało przekazane, męski głos powiedział:

– Tu Tech, słucham.

Obserwator był przeszkolony i dobry w swoim fachu, ale nie był w stanie ukryć podekscytowania w głosie. Właśnie po to, nawet bardziej niż dla pieniędzy za misje, żył.

– Słuchaj, Tech, tu Sześćdziesiątkatrójka. – Złapał oddech. – Mam go. Idzie na wschód. – Tyle wystarczyło, Tech miał go na GPS-ie.

Takie chwile dodawały mu energii, to dla nich trzymał się z dala od kieliszka na tyle długo, by doczekać końca misji. Wiedział, że wykonał kawał dobrej roboty. Teraz zostało mu wracać do domu i uczcić to flaszką wina. Świątować będzie dokładnie tak samo, jak pracował.

Sam.

\* \* \*

Wszystkie pięć ekip w Paryżu usłyszały wiadomościw tym samym czasie. To był błąd Techa. Niemal na pewno doprowadzi to do nieporozumień między rywalizującymi zespołami, nie da szansy rozłożenia pracy tak, żeby trzymać w odpowiedniej odległości ekipy rezerwowe i zabezpieczyć ewentualne drogi ucieczki. Jednak młody Brytyjczyk nie mógł się powstrzymać: przez pół doby nie mieli żadnych potwierdzonych wieści o celu, samo założenie, że stawi się w Paryżu, było de facto strzałem, tak więc kiedy w końcu dostał informację, że Gentry został zauważony, od razu wysłał każdego uzbrojonego człowieka, z którym miał kontakt, do jego lokalizacji.

Nigdy nie przyznałby się do tego Lloydowi czy Riegelowi, ale odkąd Court zniknął w Genewie, walczył z narastającą falą paniki. Owszem, wielokrotnie prowadził wszelkiego rodzaju misje z mokrą robotą, tajne operacje, nadzorował działania zabójców, nigdy jednak sam nie znajdował się w niebezpieczeństwie. Pierwszy raz zdarzyło mu się, żeby jego przełożeni specjalnie zbudowali scenariusz misji tak, że poszukiwany, w dodatku prawdziwy Überkiller, doskonale znał adres cholernego centrum kontroli i wiedział, jak się do niego dostać. To tak, jakby wysłali piękne zaproszenie ze złotą obramówką i instrukcjami, jak dotrzeć na miejsce. To było bezmyślne. Mężczyzna z kucykiem siedzący przed monitorem musiał przyznać, że z powodu wywieranej na nim presji mógł skupić się na tym, co najistotniejsze.

Teraz w jego interesie było sprawienie, że dopadną Courta, zanim on przybędzie do pałacu. I dlatego podesłał wszystkim namiary na niego, kiedy tylko informacja się potwierdziła.

Nagle zmaterializował się za nim Lloyd, i to właśnie w chwili, kiedy młodzian przyznawał się przed sobą, że popełnił głupstwo. Bliskość przełożonego sprawiła, że podskoczył. Cała ta operacja wywoływała drżenie jego ciała.

– Riegel słyszał przez radio! Czyli go mamy?

– Został wypatrzony na bulwarze Saint-Germain przez jednego z naszych obserwatorów, zawodowca. Prawdę mówiąc, to był fart. Na podstawie listy znanych kontaktów trudno wycząić, dokąd mógł się udać.

– Tym razem go nie zgubimy, prawda?

– Właśnie wysyłam w ten rejon kilka dodatkowych par oczu. Nie za dużo. Gray Man z pewnością wypatrzy każdego, kto nie jest na tip-top.

– Rozumiem. Który zespół za nim wysyłasz?

Tech zawahał się i skrzywił w myślach. Lloyd z pewnością się wścieknie, kiedy dowie się, że wysłał wszystkich naraz. Tymczasem zanim Tech zdążył odpowiedzieć, Lloyd stwierdził:

– A pieprzyć to. To się musi wreszcie skończyć. Wyślij wszystkich naraz za chujem. Mam gdzieś, czy będzie rozpierdówa. Musimy w końcu go tu przywlec.

Tech odpowiedział z prawdziwą ulgą:

– Tak jest!

\* \* \*

Najbliżej znajdowały się ekipy z Botswany i Kazachstanu. Pędziły z dwóch różnych krańców Dzielnicy Łacińskiej, próbując kurczowo powstrzymać kurtki od rozpięcia się w biegu i ukazania ich broni, z oczami utkwionymi w najbliższą przeszkodę i słuchem wytężonym na informacje podawane przez radio. Tech właśnie przekazywał najnowsze zamiary. Chwilowo zniknął z pola widzenia tego, który go wypatrzył, ale lada moment musiał zostać dostrzeżony przez nadciągających ze wszystkich stron artystów chodnikowych, więcej informacji wkrótce.

Ekipa z Botswany składała się z pięciu mężczyzn, każdy z bronią boczną kaliber 32 – stosunkowo drobnym pociskiem, który uzupełniali doskonałą taktyką. Ich specjalnością był trójstrzałowy manewr, tak zwany Mozambique Drill, który polega na wykonaniu dwóch szybkich strzałów w tułów, a następnie trzeciego, wieńczącego, w czoło. Pojęcie i taktyka pochodzi z czasów walk w Mozambiku, kiedy pewien żołnierz z Rodezji zauważył, że jego małokalibrowy pistolet nie wystarczał, aby powalić rosnącego przeciwnika dwoma strzałami w tułów, więc na wszelki wypadek dodał trzeci – w głowę.

Czwórka Kazachów natomiast miała pod zimowymi kurtkami Ingramy, niewielkie pistolety maszynowe z metalowymi składanymi kolbami. Przechodzący policjant zauważył ich i krzyknął, gdy przebiegali sprintem przez ulicę. Uznał, że cudzoziemcy muszą mieć złe zamiary, i pomachał na nich, aby zwolnili.

W każdej ekipie zabójców był facet z cyfrową kamerą połączoną przez Bluetooth z komórkami. Miało to na celu udowodnienie centrum dowodzenia, że właśnie ich zespół uśmiercił cel i to im, a nie innym należy się główna nagroda.

Bo poza wszystkim to wciąż były zawody.

Każdy zespół słyszał przez radio, że inni też zbliżają się z przeciwległych stron do ostatniej znanej lokalizacji celu. Chęć bycia pierwszą ekipą, która dorwie Gray Mana, pchała ich do przodu bardziej niż potrzeba złapania go, zanim znów zniknie.

To było coś więcej niż polowanie – to były wyścigi. A tym zespołom zależało na zawodowej chwale tak bardzo jak na nagrodzie.

– Słuchajcie wszyscy, mówi Tech. Mamy dwóch obserwatorów trzy przecznice na wschód od ostatniej znanej lokalizacji celu. Żaden nie zameldował, że go widział. Mógł więc wejść po drodze do jakiegoś hotelu czy kawiarni, skrócić na południe w Dzielnicę Łacińską albo na północ w stronę Pont Neuf, żeby przejść przez rzekę.

Po otrzymaniu ostatniej wiadomości od Techa oba nadciągające z przeciwległych stron zespoły zwolniły i naradziły się, po czym zaraz znów ruszyły w pogoń. Botswańczycy biegli na wschód w stronę Saint-Germain, Kazachowie na zachód, też na Saint-Germain. Rozdzielili się na dwu- i trzyosobowe grupki, żeby dokładniej penetrować ulicę, każdy podzespół zaglądał w bramy, uliczki, do kawiarni i hoteli po drodze.

\* \* \*

Song Park Kim biegł po dachach kamienic. Minał miejsce, w którym ostatni raz widziano cel polowania. W tej samej chwili usłyszał pisk w słuchawce. Po charakterystycznym rytmie poznał, że ta transmisja jest niedostępna dla innych zabójców i obserwatorów. Była przeznaczona wyłącznie dla niego.

– Tech do Banshee Jeden, słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Dostań się jakoś na ulicę, a ja cię do niego pokieruję. Na pewno zidentyfikuje pozostałe ekipy i obserwatorów. Będzie próbował uciec. Zmuszą go do ucieczki, a on nie spodziewa się samotnego wilka. Doprowadzę cię do miejsca, w którym będziesz go mógł powstrzymać.

– Dobrze.

Kim przełożył nogę przez krawędź dachu kamienicy, na którym stał. Płynnym ruchem postawił stopę na parapecie, po czym wychylił się do rynny i przerzucił

nogi. Rynna była niezbyt dobrze przytwierdzona do ściany, ale potrzebował jej, aby dostać się do schodów pożarowych, którymi zszedł, po czym skoczył i znalazł się na ziemi, pokonawszy sześć kondygnacji w niecałą minutę.

– Banshee Jeden na ulicy. Słucham, Tech, prowadź.

– Dobra, Banshee Jeden. Dwie ekipy są bliżej niż ty. Myślmy, że cel skręcił w rue de Buci, dla bezpieczeństwa trzymając się w tłumie. Przejdź dwie przecznice na północ, wtedy będziesz miał możliwość go odciąć, jeśli oni go nie zobaczą.

– Tak – powiedział Kim, ale bynajmniej nie miał zamiaru skorzystać z tej wskazówki. Koreańczyk miał wrażenie, że jest w stanie czytać Gray Manowi w myślach. Nieraz sam był celem, czuł więc, że potrafi przewidzieć każdy ruch tego, na którego teraz polował. Gdyby to on był ścigany przez kilka zespołów po centrum Paryża w sobotnią noc, z pewnością by się zorientował. Gray Man również. Jeśliby ktoś postawił mu na trasie kilkudziesięciu obserwatorów, Kim od razu by ich zauważył. Gray Man również. Być może nie zdołałby zidentyfikować każdego przeciwnika, ale Tech rzucił na miasto tylu fachowców, że tak doświadczony agent jak Gray Man musiał zauważyć, że czeka go mokra robota, nie oszczędzono kosztów, nie wahano się przed niczym i wyrzucono przez okno powściągliwość oraz wszelkie normalne zasady podejmowania działań z użyciem siły. Że w tłumie też nie był bezpieczny. Że uzbrojeni napastnicy, których z pewnością już dostrzegł, skorzystają z pierwszej okazji, by go zniszczyć, i w końcu że blask latarni i tłum będą mu tylko przeszkadzać, a nie go chronić.

Tak, Kim w tej chwili czuł dokładnie to co Gray Man. Pozwolił się prowadzić nie wskazówkom Techa, lecz właśnie temu połączeniu. To scalenie umysłów pomiędzy koreańskim myśliwym a tropionym Gray Manem prowadziło zabójcę przez mglistą noc na wschód, prosto w ciemną uliczkę nieznacznie oddaloną od dźwięków, świateł i tłumów uczujących i imprezowiczów. Wiedział, że od Sekwany dzieli go zaledwie sto metrów na północ. To znaczyło, że jeśli Gray Man zorientował się, pod jak dokładnym nadzorem się znajduje, będzie musiał iść na południe, żeby się rozplątać. Od północy miał jeden, góra dwa mosty do wyboru, a takich wąskich gardeł powinien za wszelką cenę unikać.

Song Park Kim znalazł najciemniejszy zaułek w okrytej ciemnością uliczce, dwadzieścia pięć metrów na północ odbulwaru Saint-Germain i dwadzieścia metrów na południe od rue de Buci. Gdyby obserwatorzy wypatrzyli w którymś z tych miejsc cel, przemieściłby się tam w kilka sekund. Kim jednak czuł, że

właśnie ten ciemny zakątek będzie miejscem ostatecznej konfrontacji z przeciwnikiem. Zaledwie kilkaset metrów od spowitej mrokiem kryjówki znajdowały się restauracje i kluby pełne gości. Jego rywale czaili się w pobliżu. Nie chciał przyciągnąć uwagi odgłosem strzału, dlatego zostawił MP7 w plecaku. Wyciągnął z przedniej kieszeni nóż, jednym ruchem otworzył składane, czarne matowe ostrze, po czym cofnął się głębiej w mrok, czekając na ofiarę.

\* \* \*

Court Gentry czuł, jak jego czarny garnitur nasiąka sphywającym po plecach potem. Szedł na wschód przez rue de Buci. W prawej ręce trzymał parasol podrygujący z każdym krokiem. Walczył z pokusą, żeby użyć go jako laski, bo piekły go rany na stopach odniesione jeszcze w Budapeszcie.

Zalewający go pot to jednak nie wynik szybkiego marszu, tylko tego, jak wiele par oczu chciało go wypatrzeć na każdym kroku. W odległości około trzydziestu metrów zobaczył tulącą się na ławce parę, niby pogrążoną w rozmowie, ale pilnie przyglądającą się każdemu przechodniowi płci męskiej. Court zauważył w tłumie tysego mężczyznę w podobnym do niego wieku, aby wybadać, czy przyciąga on nadmierną uwagę. To odpowiedziałoby mu, czy już go ktoś zobaczył i zidentyfikował, po czym przekazał informację o jego przebraniu reszcie. Kochankowie rzucili wzrokiem na tysego jegomościa, przyjrżeli mu się, wymienili uwagi, a następnie wrócili do pracy, stwierdziwszy, że to nie ich cel.

Court wiedział już, że został rozpoznany. Minął po drodze przynajmniej dziesięciu obserwatorów i był niemal pewny, że żaden go nie spostrzegł. Musiał kogoś przegapić, jakiegoś nieruchomego agenta w ciemnym oknie lub zaparkowanym samochodzie, w każdym razie gdzieś, gdzie Gentry nie był w stanie go wypatrzeć. I to on musiał obwieścić każdemu obserwatorowi i każdemu łowcy w tym mieście, jak Court teraz wygląda i w którym kierunku zmierza.

Postanowił zaryzykować i pospiesznie obejrzał się przez ramię. Jakies dwadzieścia metrów za nim szybkim krokiem szli trzej ciemnoskórzy mężczyźni, zerkający w mijane witryny sklepów. Po drugiej stronie ulicy było jeszcze dwóch, niewątpliwie członków tej samej ekipy. Sprawdzali północny chodnik, wyglądając go wśród gości w ogródku kawiarni.

Court skręcił w lewo w niewielkie przejście odchodzące od rue de l'Ancienne Comédie i wszedł w mrok. Jakies dwadzieścia metrów dalej dostrzegł przyćmione światło z innej spokojnej uliczki. Z dała od głównych nurtów tej części miasta może być mniej obserwatorów, o ile nie zorientowano się jeszcze, że wie, iż jest śledzony.

Court szedł w ciemności, ze wzrokiem utkwionym w światło na końcu przejścia, badając parasolem drogę na mokrym paryskim bruku. Stuk uderzającego o kocie łby czubka rozchodził się echem po ciemnym, osłoniętym przejściu.

Gentry postanowił złapać taksówkę i wrócić do dworca Saint-Lazare, tam wsiąść do mercedesa i jechać prosto do Bayeux. Ten postój w Paryżu – tak samo jak poprzednie, w Budapeszcie i w Guardzie – okazał się bezużyteczny. Dobrze chociaż, że tym razem udało mu się uciec bez szwanku, to już coś, choć naprawdę potrzebował pomocy...

Wyczuł, że w mroku ktoś się skrada. Zanim błyskawiczny refleks Courta pomógł mu zareagować, dostrzegł zbliżającą się ku niemu dłoń. Wystawił prawe ramię, żeby odeprzeć atak, ale był zbyt powolny.

Przecież on nigdy nie był zbyt powolny.

Court Gentry poczuł nóż wbijający mu się w podbrzusze i to, jak ostrze przecina mu mięśnie tuż na lewą kość biodrową.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

O drugiej nad ranem do pogrążonej w ciemnościach sypialni na pierwszym piętrze wlał się snop światła. Sir Donald leżał, ale nie spał. Przeniesiono całą jego rodzinę do tego pokoju, żeby mógł ich pilnować jeden strażnik. Tuż obok dziadka spała niespokojnie Claire, po drugiej stronie pochrapywała Kate. Elise została tak nafaszerowana lekami uspokajającymi, że trudno było stwierdzić, czy jest przytomna, czy nie. Leżała rozparta w fotelu z podnóżkiem na drugim końcu pokoju.

Donald zobaczył jednego ze Szkotów, McSpaddena. Pomyślał, że dryblas przyszedł potajemnie złożyć mu tyłek. Zastanawiał się, ile jeszcze wytrzyma. McSpadden podszedł do łóżka, nie zwracając najmniejszej uwagi na dziewczynki, po czym szepnął do Fitzroya:

– Mam propozycję. Oto komórka. Rąbnąłem ją z torby jednego Ruska. Reszta jest już na pozycjach bojowych. Jestem sam jeden na piętrze.

– A odpieprz się, człowieku. Próbuję spać – odparł Fitzroy.

– Pośpisz rano, jak będziesz trupem.

– Myślisz, że jestem taki naiwny i zramolały, że nie wyczuję podstępny? Bo czemu, do licha, miałbyś mi, ot tak, dać telefon?

– Dlatego, że... Dlatego, że chcę... Cóż, jakiegoś zabezpieczenia, gdy się to wszystko skończy.

Fitzroy przechylił potężną głowę, po czym wcisnął ją głębiej w poduszkę, żeby lepiej przyjrzeć się stojącej nad nim postaci.

– Czyli czego?

– Ten Gray Man... Słyszałem, że w Kijowie to jego sprawa. Jeśli to prawda i choć połowa tego, co o nim mówią, to prawda, skoro załatwił ekipę w Pradze, Budapeszcie i tych wszystkich w Szwajcarii... Kurczę, bardzo możliwe, że on tu dotrze. Z takim typem to ja nie będę walczyć, dziękuję bardzo. Jeśli on tu się



pojawi, rzucam broń i biorę nogi za pas. A do tego nie chcę, żeby ktoś taki jak Donald Fitzroy nasłał go potem na mnie, rozumiesz pan?

Szkot podał telefon Fitzroyowi.

– Mówisz prawdę? – spytał Anglik.

– Cóż, sir Donaldzie. Jutro rano pewnie będzie po panu. Nie zamierzam zbytnio się wystawiać. Ale jeśli jednak przeżyjesz pan, pamiętaj, że Ewan McSpadden podał pomocną dłoń.

– Będę pamiętał, Ewan.

– Zadzwoń pan do psiska, powiedz mu pan, że jeśli mu się uda... To ja jestem ten koleś w zielonej koszuli i czarnych portkach. Nie będę strzelać, niech się nie martwi.

– Dobry z ciebie człowiek, McSpadden.

Szkot wycofał się w ciemność. Znów pojawiła się strużka światła, która po chwili znikła.

\* \* \*

Nóż wbił się głębiej w brzuch Gentry'ego. Przeszył go ostry ból. Gray Man się zachwiał. Nie wiedział, co się stało. Spojrzał w dół i zobaczył, że jakimś cudem nadgarstek atakującego zahaczył o zagiętą rączkę parasola. Gentry pchnął w dół parasol, po czym starał się go wygiąć do tyłu. Nie miał siły wyciągnąć noża z własnego ciała, ale przynajmniej był w stanie powstrzymać ostrze przed wbiciem się głębiej niż na kilka centymetrów. Było to bolesne, ale i tak lepsze niż to, żeby nóż zanurzył się w nim po rękojeść albo co gorsza, przeciął go niczym filetowaną rybę.

Court wyteńczył się i z całej siły pociągnął prawą ręką parasol, lewą natomiast wyciągnął ku napastnikowi. Niemrawo uderzył go pięścią w pierś. Nie był w stanie mocniej, bo balansowanie prawą ręką i wytrzymywanie bólu w rozciętym podbrzuszu odbierało mu siły. Przeciwnik się odwinął, próbował wykonać cios głową, ale Courtowi udało się usunąć w samą porę. Gentry sięgnął do pasa i z trudem chwycił glocka lewą ręką. Kiedy go wyciągnął, napastnik go kopnął. Stalowo-polimerowa broń padła na bruk, trzasnęła i potoczyła się w ciemność.

Walczyli wręcz. Napastnik odsunął się, kiedy Gentry próbował wydłubać mu oczy, a Gray Man uchylił się przed ciosem otwartej dłoni w jego grdykę, który

z pewnością by go zabił, nie mówiąc już o tym, że stalowe ostrze wciąż wbijało się w jego brzuch.

Napastnik zrezygnował z próby wbicia noża aż do mostka bądź wciśnięcia go głębiej w ciało – parasol zahaczony o jego rękę uniemożliwiał i jedno, i drugie. Zamiast tego ostrze zeszło niżej, zatrzymało się na kości biodrowej i wbiło się w nią. Gentry powstrzymał wrzask. Niemal tracił zmysły od przejmującego bólu, ale wiedział, że nieopodal czai się więcej najemników. Jego nikłe szanse na przetrwanie ataku nożownika spadłyby do zera, gdyby ci, którzy chcieli go zabić, usłyszeli jego krzyk.

Court zmienił strategię działania. Kopnął i natarł klatką piersiową na niższego od siebie napastnika. Teraz zobaczył, że to Azjata. Rzucił nim o ścianę, co sprawiło, że nóż wbił się kilka milimetrów głębiej. Następnie uderzył czołem w skroń przeciwnika; rozległ się głośny trzask. Prawa dłoń Azjaty wciąż tkwiła w uwięzi parasola. Court znowu natarł ciałem, a przeciwnik potknął się i upadł do tyłu, uderzając o ścianę. Amerykanin wciąż był z nim połączony ostrzem noża, więc poleciał za napastnikiem. Tu było nieco jaśniej. Choć ból prawie przyćmiewał mu zmysły, Court zauważył wiszące paski plecaka i to, że mężczyzna próbował coś z niego wyciągnąć.

Chwycił nadgarstek Koreańczyka wolną dłonią i odepchnął go na ceglana ścianę.

– No co tu masz? – Court spytał drżącym od bólu i wyczerpania głosem. – Co masz w plecaku?

W tej części wąskiego, zadaszzonego przejścia było wystarczająco dużo światła, żeby utrzymać kontakt wzrokowy, choć powieki obu mężczyzn drżały od wysiłku. Jeden pchał do przodu, drugi stawiał opór.

– No co masz w plecaku?

Gentry machnął na bok parasolem, przez co Azjata stracił równowagę, po czym wykorzystał okazję, żeby sięgnąć do przyciśniętego do ściany plecaka. Amerykanin musiał w tym celu zacisnąć mięśnie brzucha i zajęczał z bólu. Azjata przekręcił nóż, co spowodowało otwarcie rany. Gentry poczuł, jak krew cieknie mu na krocze i po wewnętrznej stronie ud.

– Aaaa – jęknął. To było cichsze niż krzyk, ale i tak rozniosło się echem po uliczce. Court trzymał już rękę na zamku plecaka.

Kim odepchnął ją skronią, Gentry jednak kolejny raz uderzył go czołem, tym razem ogłuszając przeciwnika. Korzystając z tego, Court pospiesznie otworzył plecak i sięgnął w głąb lewą ręką.

– Co to? – spytał. Po jego twarzy spływały łzy, które z każdym słowem skapywały ze śliną na twarz przeciwnika. – To tego chcesz? O to ci chodzi? He?

Wyciągnął z plecaka niewielki pistolet maszynowy i wyczytał z oczu przeciwnika, że ten się boi. Kimowi udało się chwycić tłumik broni, następnie mocniej pchnął rękojeść noża. Court próbował się cofnąć, by uciec przed ostrzem, ale nie dał rady. Nóż wszedł o milimetr głębiej w jego brzuch.

Gray Man wsunął palec w kabłąk i strzelił z MP7. Kim zrobił dokładnie to, co zrobiłby Gentry na jego miejscu, czyli ustawił przełącznik na tryb półautomatyczny. Lufa wycelowana była w ścianę za Koreańczykiem, więc wkrótce otoczyły ich odłamki betonu i łuski odbijające się od cegieł. Gentry pociągnął szybko za spust. Każdy wystrzał wywoływał odrzut, który wstrząsał Courtem, coraz głębiej wbijając nóż w jego ciało i kości.

Trzy serie, pięć serii, dziesięć serii, dwadzieścia serii. Kim krzyknął z bólu i puścił tłumik, rozpalony prawie do białości od wystrzałów. Zacisnął poparzoną dłoń wokół tej, która trzymała nóż, po czym obiema pięściami z pełną mocą próbował zadać ostatni, błyskawiczny, potężny cios ostrzem prosto w kręgosłup Gray Mana.

Jego poparzone palce zalała krew Amerykanina.

Gentry zamachnął się pistoletem maszynowym i jednym ruchem trzasnął Kima rozpaloną lufą prosto w twarz, łamiąc mu nos.

Obaj mężczyźni padli na bruk. Ich połączenie zostało wreszcie zerwane. Kim leżał na plecach, głową w stronę podziurawionej pociskami ściany. Z nosa płynęła mu krew, a poparzoną dłoń położył na udach. Ciężko dyszał z wyczerpania. Gentry leżał na boku pośrodku uliczki, także z trudem oddychając. Z podbrzusza sterczała czarna rękojeść noża.

Kiedy Court, jęcząc, próbował wyciągnąć ostrze, Azjata, wykończony i ogłuszony przez wstrząśnienie mózgu, podniósł się w końcu na kolana i zaczął czołgać się do niego po zimnym bruku. Gdy dzieliło ich półtora metra, podskoczył, usiłując dorwać nóż, zanim Gray Manowi uda się usunąć go z brzucha. W przyćmionym świetle alejki załśniło zakrwawione ostrze. Court przeciął gardło

atakującego go. Trysnęła krew. Song Park Kim upadł na Gray Mana. Kilka sekund później już nie żył.

Gentry upuścił nóż na bruk i zepchnął z siebie wciąż drżące ciało nieboszczyka, które stoczyło się na plecy. Drżenie ustało. Court jedną ręką rozwiązał krawat i zwinął go w kulkę. Wziął kilka głębszych oddechów, próbując się uspokoić, po czym wcisnął skręconą tkaninę w ranę w podbrzuszu. Krew połała się po białej koszuli aż na chodnik.

– Jezu! – wrzasnął. Jego wykrzywioną od bólu twarz pokrywały łzy, ślina i smarki. Poczul nudności spowodowane przejmującym bólem, ale udało mu się je zdusić, skupiając się na pracy.

Zazwyczaj pilnował, żeby nigdzie nie zostawić swojego DNA, teraz jednak nie zawracał sobie tym głowy. I tak potrzeba by wanny chloru, pięcioosobowej ekipy i dnia roboty, żeby odkazić to miejsce, a Court bynajmniej tym nie dysponował. Kiedy napiął mięśnie brzucha, poczuł, że nacisk zwiniętego krawata rzeczywiście zmniejszył ból – bez tego nie mógłby wstać. W końcu jednak udało mu się podnieść, oprzeć o ścianę budynku i ruszyć. Słyszał zbliżające się głosy. Przechodniów zaniepokoił hałas dochodzący z uliczki. Lada moment, a zjawią się i policjanci, i zabójcy. Wytoczywszy się za róg, wsunął się do pasażu handlowego. Sklepy były już zamknięte, nikt nie przyglądał się wystawom. Zgięty wpół, błądy jak ściana pokuśtykał jak najdalej od plamy krwi.

Szedł na północ, wprost w zimną noc. Krew sączyła się po nogach, zostawiając plamy na bruku.

\* \* \*

Pół minuty później jeden z Botswańczyków przecisnął się przez spanikowany tłum gapiów i znalazł ciało Koreańczyka. W świetle latarki ukazał się przerażający widok, zakrwawiony zaułek wyglądał niczym scena z horroru. Zadzwoił z meldunkiem do Techa.

– Znalazłem trupa. Azjatę. Prawie bezgłowego.

Lloyd i Riegel stali za Techem w chwili, kiedy z głośników rozległ się charakterystyczny akcent Botswańczyka. Do pomieszczenia wszedł pan Felix. Stał z tyłu, z dala od światła, i spoglądał wyczekująco. Tech wcisnął przełącznik na pudełku przed sobą.

– Banshee Jeden, słyszysz mnie? Banshee Jeden, zgłoś się!

Z głośników dobiegły szумы. Lloyd i Riegel spojrzeli na siebie pełni nadziei.

– Szanowny pan nie może teraz podejść do aparatu, nie kłopotcie się zostawianiem wiadomości – rozległ się kpiący głos Afrykańczyka, który zabrał radio martwemu Azjacie.

– Ten Koreańczyk był prawdopodobnie najlepszym człowiekiem w misji. Jego przełożeni się wściekną, że zginął w naszej akcji – powiedział Riegel.

– A niech się wałą – zdenerwował się Lloyd. – Trzeba było nam dać kogoś, kto by to dokończył. Kiedy wysłali tylko jednego, od razu wiedziałem, że im na nas nie zależy.

– Ale ty jesteś głupi, Lloyd. Czy ty wiesz, co Kim zrobił w ciągu swojej kariery?

– A wiem. Zostawił tłustą plamę w paryskiej uliczce. Resztę jego dokonań mam głęboko gdzieś.

W tej samej chwili z głośników popłynął znów głos botswańskiego łowczego:

– Znalazłem ślad krwi, prowadzi na północ. Pójdziemy za nim i znajdziemy gnoja.

– Widzisz – powiedział Riegel. – Banshee Jeden jednak się na coś przydał.

Trzy minuty później odezwał się jeden z obserwatorów:

– Tu Pięćdziesiątkaczwórka do Techa.

– Słucham cię, Pięćdziesiąt Cztery.

– Jestem w oknie na czwartym piętrze koło placu Saint-Michel. Sądzę, że właśnie filmuję przejście celu. Mogę podesłać do weryfikacji.

Połączenie zajęło dziesięć sekund. Kiedy włączył się monitor plazmowy w pokoju dowodzenia, zgromadzonym ukazały się światła nocnego Paryża, podkreślające zarys katedry Notre Dame. Sekwana była pobłyskującą wstążką przecinającą miasto. Obiektów nie wydawał się skierowany na nic szczególnego.

– Gdzie on jest?! – wrzasnął Riegel, rozsierdzony i podekscytowany toczącym się polowaniem, gorączkowo wypatrując zwierzyny. – Pięćdziesiąt Cztery, przybliź na cel!

– *Oui, monsieur* – odpowiedział obserwator. Po chwili obraz przedstawiał Pont Neuf, ciągnący się w stronę katedry. Przez most szła samotna postać w garniturze, która kuląła, potykała się, aż w końcu stanęła pośrodku. Człowiek ten był

niewątpliwie ranny, uciekał, próbując przedostać się z lewego brzegu Sekwany na Île de la Cité, wysepkę pośrodku rzeki, na której stoi katedra Notre Dame.

– Patrzcie na niego! Już po nim! – krzyknął podekscytowany Lloyd. – Kogo mamy w pobliżu?

Tech odpowiedział, jeszcze zanim Lloyd skończył zadawać pytanie:

– Kazachowie będą na miejscu za jakieś pół minuty. O, tu ich widać, wbiegają na most z południa. Botswańczycy są tuż za nimi, a Boliwijczycy znajdują się na północ od rzeki. Lankijczycy wciąż dziesięć minut na zachód.

Obraz na ekranie rozszerzył się. Teraz widzieli już budynki przy quai des Grands Augustins, ulicy ciągnącej się wzdłuż lewego brzegu Sekwany. Po bruku biegło kilku mężczyzn, którzy skręcili na most. Jeden z nich potknął się na mokrej kostce i upadł, reszta jednak pędziła dalej na most.

– To koniec! – oznajmił zwycięsko Riegel. – Powiedz im, żeby dobili go, wzięli ciało do auta i jechali na lądowisko helikopterów. Zaraz przywieziemy trupa, żeby pan Felix mógł się mu przyjrzeć z bliska.

– To będzie bardzo satysfakcjonujące, *Herr* Riegel, dziękuję – odparł Felix, stojąc nieruchomo jak pomnik za trójką rozemocjonowanych mężczyzn śledzących obraz na monitorze.

Obiektyw obserwującego zrobił zbliżenie na Gentry'ego. Ten obrócił się w stronę Kazachów, którzy byli już najwyżej trzydzieści sześć metrów od niego. Ranny Amerykanin wyprostował się, choć niewątpliwie sprawiało mu to dużo bólu. Obejrzał się przez ramię na drugi koniec mostu.

– Nie uda ci się, Court. Już nie uciekniesz. Masz przesrane – odezwał się Lloyd. W jego głosie słychać było wielką radość.

– Kurwa – mruknął Riegel.

– Co jest? – spytał Lloyd.

– *Scheisse* – powtórzył Riegel po niemiecku.

– Co ci jest? Przecież go mamy!

W tej samej chwili Gray Man wszedł na betonową barierkę. Spojrzał na zbliżających się mężczyzn, dwadzieścia osiem metrów od niego.

– Nie! – krzyknął Lloyd, pojmując poirytowanie Riegla. – Nie, nie, nie, nie...

Kurt Riegel wyrwał mikrofon sprzed Techa, z całej siły wcisnął przycisk, po czym krzyknął:

– *Schiest ihn sofort!* – Po chwili zorientował się, że z emocji mówi po niemiecku. Krzyknął więc tym razem po angielsku: – Zastrzelcie go natychmiast!

Było już jednak za późno. Court Gentry skoczył z barierki i spadł dziewięć metrów w wodę, której kryształowa powierzchnia wzbijała się, kiedy ciało znikało w odmetach, po czym znów stała się spokojnym, przejrzystym zwierciadłem.

Lloyd odwrócił się od monitora. Zszokowany założył ręce za głowę. Następnie zwrócił się do milczącego pana Felixa:

– Widział pan to! Widział go pan! On nie żyje!

– Obawiam się, przyjacielu, że człowiek nie ginie od skoku do wody. Mój prezydent potrzebuje wiarygodnych dowodów.

Lloyd odwrócił się do Techa i wrzasnął tak głośno, że było go słychać w całym pałacu:

– Cholera jasna! Niech wskakują do tej pieprzonej wody! Potrzebujemy trupa!

Na monitorze plazmowym widzieli, jak Kazachowie zbierają się na Pont Neuf w miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się ich cel. Wszyscy spoglądali na rzekę. Na moście stało ich pięciu. Dwóch przeskoczyło barierkę i wpadło do zimnej, czarnej wody, a trójka popędziła z powrotem na lewy brzeg.

Riegel wydawał instrukcje Techowi:

– Jest ciężko ranny, a ten skok wcale mu nie pomógł. Sprowadź na miejsce Botswańczyków. I jeszcze Boliwijczyków i Lankijczyków. Wsadź kogoś na łódkę na wypadek, gdyby jego ciało od razu nie wypłynęło. Niech wszyscy przeszukują oba brzegi rzeki. Obserwatorzy mają się przenieść w dół biegu, patrzeć, gdzie go wyrzuci. Potrzebujemy ciała, i to teraz!

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

O drugiej trzydziści zaczęło mżyć. Pięćset metrów na południowy wschód od katedry Notre Dame znajdujący się na lewym brzegu Sekwany Jardin Tino Rossi spowijała ciemność. Piętnaście metrów od wybrukowanego nadbrzeża, pod niskim murkiem ciągnął się porośnięty trawą wał. Na nim, pomiędzy drzewem a murkiem ktoś leżał na plecach z lekko podniesionymi kolanami i rozłożonymi rękami. Każdy, kto by podszedł do ciała, od razu zrozumiałby, że dopiero co wynurzyło się z rzeki. Być może mokry mężczyzna wyciągnął się na słabych rękach w ostatnim przyptywie siły, zdołał wydostać się z wody na miękką trawę. Może nawet na chwilę udało mu się użyć stóp, w końcu jednak ręce i nogi musiały się poddać i legł na zimnej ziemi.

Mężczyzna się nie ruszał ani nie wydawał żadnego odgłosu, dopóki nie rozległo się przytłumione przemoczoną ubraniami elektroniczne pikanie. Nawet wtedy jednak nie poruszył się od razu. W końcu machnął rękami, po czym przekręcił nieznacznie głowę i rozejrzał się wokół. Po kolejnym piknięciu powoli sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął plastikowe etui, po czym jedną ręką otworzył pojemnik i na trawę wypadł telefon satelitarny. Mężczyzna wciąż patrzył w niebo.

Zeskoczywszy z mostu, Gentry z impetem wpadł do wody. Zimno zabrało mu z płuc całe powietrze, które zdołał w nie nabrać. Poleciał głęboko. Kiedy w końcu wydostał się na powierzchnię, prąd poniósł go w dół rzeki, pod Pont Neuf i dalej na zachód. Przez chwilę próbował zaczerpnąć powietrza, łykając przy tym wodę, aż w końcu zobaczył płynącą pod prąd w jego kierunku barkę mieszkalną. Choć Court był słaby, wręcz na skraju utraty przytomności, udało mu się chwycić drabiny, przyczepionej do boku płynącej powoli łodzi. Trzymał się jedną ręką, a głowę chował nisko w spienionej wodzie tuż przy barce, która wiodła go z powrotem pod most, z którego właśnie spadł. Słyszał krzyki mężczyzn nurkujących w poszukiwaniu ciała, widział światła latarek z mostu.



Dziesięć minut później Courtowi już nie groziło szybkie wykrycie. Ostatkiem sił próbował wspiąć się po drabinie na barkę, ale spadł. Jego słabe, poranione nogi, ból wewnątrz podziurawionego brzucha, przemoczone buty i obojętnie zimno nie działały na jego korzyść. Sięgnął, próbując chwycić się barki, ale nie złapał nic poza zimną wodą. Czarna łódź płynęła bez niego w górę rzeki.

Na jego szczęście znalazł się akurat nieopodal brzegu. Udało mu się wydostać na lewe nabrzeże Sekwany. Przez chwilę stał na prostych nogach, ale nie dały rady go utrzymać, więc położył się na mokrą trawę pod drzewem, tuż przy Jardin Tino Rossi. Leżał tam dwadzieścia minut. Oczy miał otwarte, ale niczego nie widział. Delikatne kropelki mżawki trafiały mu prosto w źrenice.

Znów zadzwonił telefon. Podniósł go z trawy. Oczy miał wciąż skierowane na niskie chmury deszczowe rozświetlone przez okoliczne latarnie.

Jego głos był słaby, jakby nie z tego świata.

– Tak?

– Dobry wieczór. Tu Claire Fitzroy. Czy mogłabym porozmawiać z panem Jimem?

Gentry zamrugał, usuwając krople deszczu. W jednej chwili jego oczy wypełniły się łzami. Starał się, jak mógł, żeby zapanować nad głosem, zamaskować ból, wyczerpanie, rozpacz i poczucie totalnej porażki.

– O tej porze powinnaś już spać.

– Wiem, proszę pana. Ale dziadzio Donald pozwolił mi do pana zadzwonić.

– Pamiętasz mnie?

– O tak! Pamiętam, jak nas pan woził do szkoły. I spał pan na małej leżance w korytarzu, choć mamusia mówiła, że tak naprawdę to pan nie śpi, tylko pilnuje, żeby nic nam się nie stało. Pił pan kawę i smakowała panu jajecznicą mamusi.

– Prawda. Z podwójnym serem. – Court miał uszkodzoną kość miednicy i podziurawioną ścianę jamy brzusznej. Przypuszczał, że nóż nie naruszył jelit, co nie zmieniało tego, że ból palący go od środka był nie do opisanego. Stwierdził, że wciąż krwawi. Odkąd przed godziną wpadł do Sekwany, nie robił nic, żeby zatamować krwotok.

Z prawej dobiegło go wycie syren. Był od nich oddzielony kamiennym murkiem i ciemnością.

– Panie Jim, dziadzio Donald mówi, że jedzie pan nas uratować.

Po twarzy Amerykanina popłynęły łzy. Choć żył, to czuł się tak, jakby umierał. Wiedział, że nie da rady dotrzeć do Bayeux. A nawet gdyby jakimś cudem mu się to udało, to po co, skoro tylko by się wykrwawił na progu?

– Gdzie jest dziadek?

– W sypialni. W ogóle nie może chodzić. Twierdzi, że spadł ze schodów, ale to nieprawda. Żli panowie go pobili. Dał mi telefon i powiedział, że bym ukryła się w schowku w łazience i do pana zadzwoniła. – Dziewczynka na chwilę przerwała. – Właśnie dlatego muszę szeptać. Ale pan do nas jedzie, prawda? Proszę powiedzieć, że pan tu jedzie. Bo jak pan nie przyjedzie... Jest pan naszą ostatnią deską ratunku, skoro tatuś pojechał do Londynu. Panie Jimie... Słyszysz pan?

Ach ten Fitzroy, niech go diabli wezmą. Gdyby dzwonił do niego sir Donald, powiedziałaby mu, że wszystko stracone. Ale ten chytry starzec wiedział, że w tej właśnie chwili będzie z nim naprawdę krucho, więc komu miał powierzyć zadanie zachęcenia go do działania, jak nie jednej z bliźniaczek?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Obiecuję pan?

Court leżał w ciemności. Jego lodowaty, przemoczony garnitur przylegał do ciała, w szyję i w tył ogolonej głowy wciskało się zimne błoto. Powoli słabym głosem powiedział:

– Przyjadę niebawem.

– Obiecuję pan? – powtórzyła.

Court zerknął na ranę brzucha. Przycisnął ją z całej siły.

– Obiecuję – powiedział, po czym udało mu się zebrać siły, żeby dodać: – I jak już przyjadę, to bardzo cię proszę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Co, proszę pana?

– Kiedy usłyszysz strasznie dużo hałasu, masz iść do pokoju, wejść pod łóżko i stamtąd nie wychodzić. Możesz to dla mnie zrobić?

– Hałasu? Jakiego hałasu? Chodzi panu o strzelaninę?

– Tak, chodzi mi o strzelaninę.

– Dobrze.

– I czekaj tam, nie wychodź, aż po ciebie przyjdę. I przypilnuj, żeby siostra też się tak schowała, dobrze?

- Dzięki, panie Jim. Wiedziałam, że pan nas uratuje.
- Claire... – powiedział Gentry. W jego głosie słychać było nową siłę. – A teraz szybko podaj telefon dziadkowi. Muszę mu zadać bardzo ważne pytanie.
- Dobrze.
- Aha. I... Claire? Dzięki za telefon. Bardzo miło słyszeć twój głos.

\* \* \*

Szesnaście minut później Gentry chwiejnym krokiem brnął rue du Cardinal Lemoune. Rozpadało się na dobre. W okolicy było pusto. Gray Man miał szczęście, bo szedł, przytrzymując oburącz lewą część podbrzusza, powłócząc wyprostowaną lewą nogą. Co dwadzieścia metrów przystawał, opierał się o ścianę, auto czy latarnię, zwijał się z bólu, a po kilku sekundach ruszał dalej, by po kilku krokach znów szukać oparcia i oddechu od wyczerpania i utraty krwi.

Udało mu się znaleźć adres podany przez Fitzroya. Tak jak go uprzedzono, drzwi były zamknięte, znalazł więc ciemny zaułek kilka bram dalej, po czym usiadł na kartonie niczym żul i oparł głowę na przedprożu. W oddali, gdzieś w odległości półtora kilometra wyły syreny policyjne. Z pewnością i gliny, i zbiry szukały go teraz wzdłuż Sekwany, choć miał nadzieję, że skupiali się nie w górnym, lecz w dolnym biegu rzeki. Liczył też, że jedni i drudzy utrudniali sobie nawzajem zadanie swoją obecnością.

Już prawie odpłynął z pięścią wciśniętą w rozkrwawiony brzuch, kiedy w okolicy bramy wskazanej przez Fitzroya dobiegł jakiś dźwięk. Wychynął z kryjówki i zobaczył, że zamknięte drzwi powoli się otwierają. Spodziewał się, że ktoś, na kogo czekał, przyjedzie autem, ale widać osoba, która pracowała pod danym adresem, mieszkała w tej samej kamienicy.

Na chodniku pojawiła się kobieta, ledwo widoczna w świetle oddalonej o dwadzieścia metrów latarni. Court podniósł się i koślawo ruszył w jej kierunku.

– *Allez!* – szepnęła. – Pospiesz się!

Minął ją chwiejnym krokiem, po czym znalazł się w długim korytarzu.

Oparłszy słabe, chwiejne ciało o ścianę, natychmiast zauważył, że idąc, rozmazywał rękami po niej własną krew. Kobieta prędko przełożyła głowę pod jego ramię i podniosła go. Była wysoka i szczupła, ale silna. Z każdym krokiem opierał się na niej coraz bardziej.

Przeszli przez drzwi do zaciemnionego pomieszczenia. Zanim kobieta, obciążona ciężarem prawie osiemdziesięciokilowego faceta, zdołała włączyć światło, zaszczekał pies bardzo blisko wystraszonego Courta. Potem dołączył drugi i kolejny, aż otoczyło go dziesięć, a może i więcej ujadających psiaków.

Kiedy włączyło się górne światło, natychmiast zrozumiał, że klinika, do której Donald go wysłał, to tak naprawdę przychodnia weterynaryjna. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na dziewczynę u jego boku, a ona z chłopięcym mruknięciem usadowiła go na niewielkim krześle.

– *Parlez vous français?* – zapytała.

Gentry spojrzał w górę i stwierdził, że jest całkiem ładna.

– *Parlez vous anglais?* – spytał.

– Tak, trochę. Jest pan Anglikiem?

– Tak – skłamał, ale nie zamierzał udawać akcentu.

– *Monsieur...* Ja phóbowalam powiedzieć *monsieur* Fitzroyowi. Doktoh jest za miastem, ale już jedzie. On przyjedzie za pahę godzin. Przephaszam, ale nie wiedziałam, że pan jest tak hanny. Nie mogę panu pomóc. Zawołam ambulans. Pan musi do szpitala.

– Nie ma mowy. Jesteś w siatce Fitzroya, musicie mieć przynajmniej leki, krew i bandaże.

– Nie tutaj, przykho mi. Doktoh LePen ma dostęp do przychodni blisko, ale ja nie. Ja tu tylko phacuję przy zwierzętach. Pan musi do szpitala. Na pogotowie. *Mon Dieu*, ale pan zimny. Znajdę koc.

Odwróciła się i wyszła z pokoju, po czym wróciła z grubym wełnianym kocem, cuchnącym kocimi szczynami. Opatuliła go nim.

– Jak się nazywasz? – spytał Court słabym i żalonym głosem.

– Justine.

– Słuchaj, Justine. Jesteś weterynarzem. Ja jestem ssakiem. Poradzimy sobie. Po prostu potrzebuję krwi i...

– Jestem tylko techniczką wetehynahii.

– I tak damy radę. Jakoś damy radę, proszę, pomóż mi.

– Ale ja kąpię zwierzęta. Trzymam psy dla doktoha! Nie dam hady pomóc. Pan doktoh już tu jedzie, ale pan nie może czekać. Cały pan biały. Potrzebuje pan khwi.

Płynów.

– Nie mam czasu czekać. Słuchaj, znam się na chirurgii polowej, powiem ci, co robić. Potrzebujemy trochę krwi, wystarczy kilka jednostek grupy zero Rh plus, trochę antybiotyków i twoich rąk. Kiedy osłabnę i ból będzie zbyt mocny, to nie będę w stanie robić tego, co trzeba.

– Chihuahua polowa? Przecież to nie pole bitwy! To Pahyż!

– Powiedz to temu, co mnie tak załatwił – mruknął Court.

Odepchnął koc i wyciągnął dłoń z rany. Miał na tyle niskie ciśnienie, że krew nie tryskała już z boku, ale i tak wypływała i błyszczała w ostrym świetle sali lecznicy.

Justine się przeraziła

– To wygląda źle.

– Mogło być gorzej. Przeszło przez mięśnie. Owszem, nie wygląda to najlepiej, ale będzie w porządku, jeśli dostanę trochę krwi. Pomoż mi, to sobie pójdę. Fitzroy zapłaci i tobie, i szefowi za fatygę.

– Ale *monsieur*! Pan nie słucha. Ja jestem od psów!

Przymknął oczy. Wydawało się, że zaraz straci przytomność.

– To wyobraź sobie, że mam futro – wycedził.

– Jak pan może żądać? Wykhwawia się pan na śmiech!

– Tylko dlatego, że się nie możemy dogadać. Gdzie ta przychodnia? Chodźmy tam, wezmę, co trzeba. Nie mogę do szpitala. Musimy tak.

Westchnęła, pokiwała głową i związała brązowe włosy w kucyk z tyłu głowy.

– Tylko najpieh w zawinę bandażem, żeby nie thacił pan więcej khwi.

Szczekanie psów powoli cichło.

\* \* \*

Niewielka sala operacyjna w lecznicy weterynaryjnej była paskudna i brudna. Od zamknięcia w piątek nikt w niej nie sprzątał.

– Bahdzo przephaszam, *monsieur*. Gdybym wiedziała, że pan będzie...

– Nie przejmuj się. – Court z trudem wdrapywał się na metalowy stół pośrodku pomieszczenia, ale Justine powstrzymała go, wzięła butelkę z odkażaczem

i przezornie przetarła aluminiowy blat. Jej pacjent opierał się o szafkę z bandażami. Wybiegła, po czym wróciła z poduszką z kanapy w poczekalni.

– Nie, nie jest hobione dla osób. Nogi muszą zwisać, o tak.

– Okej.

Resztką sił rozerwał koszulę. Poleciały guziki, które odbiły się od blatu i potoczyły po kafelkowej posadzce. Justine ściągnęła jego przemoknięte buty i rozcięła spodnie nożycami, zostawiając go w samych bokserkach.

– Ja nie... Ja nie mam dużego doświadczenia przy ludziach.

– Świetnie ci idzie.

Kobieta pokonała onieśmienie i obejrzała Gentry'ego od stóp do głów.

– Co się panu stało?

– Postrzelono mnie w nogę. Kilka dni temu.

– Kahabinem? – Przyjrzała się otwartej, trzydniowej ranie uda, a potem spojrzała na pokrwawione biodro. Pospiesznie założyła gumowe rękawiczki na drobne dłonie.

– *Mon Dieu...*

– A potem pocięły mi się nogi i stopy rozbitym szkłem.

– Widzę.

– A potem złamałem żebro, staczając się z góry w Szwajcarii.

– Z góhy?

– Tak. A potem rozpiardziłem sobie nadgarstek, wydostając się z kajdanek.

Justine nic nie mówiła, ale opadła jej szczeka.

– A brzuch?

– To od noża.

– Gdzie?

– A tu, w Paryżu. Tak z godzinę temu, zdaje się. A potem jeszcze wpadłem do Sekwany.

Pokręciła głową.

– *Monsieur*, nie wiem, jak pan zahabia na życie i wolę nie wiedzieć. Ale chyba powinien pan zmienić bhanżę.

Court zaśmiał się, przez co rana zaboląła go jeszcze bardziej.

– Obawiam się, że posiadane przeze mnie umiejętności wykluczają możliwość podjęcia uczciwej roboty.

– Phzephaszam, ale części słów nie rozumiem.

– Nie przejmuj się, Justine. Damy radę opatrzyć ranę brzucha bandażem, ale jeśli nie dostanę krwi, to zemdleję.

– Phzychodnia jest blisko, ale teraz jest zamknięta.

– No to ją otworzymy – stwierdził Court. – No, chodźmy. Muszę być w drodze za niecałą godzinę.

Justine obwiązała go w pasie opaską uciskową, żeby przymocować gazę przyłożoną do rany.

– W drodze? Pan się w ogóle nie może ruszać! Przez kilka dni! Nie rozumie pan, jak z panem źle?

– To ty nie rozumiesz. Koniecznie muszę gdzieś być! Ty masz mnie tylko opatrzyć, żebym mógł stąd wyjechać!

Kobieta zacisnęła zęby i szeroko otworzyła oczy.

– *Monsieur*, nie jestem lekarzem, ale przysięgam, że najbardziej pan teraz potrzebuje opieki medycznej. W mniej niż godzinę to pan może umrzeć.

– Dam radę. Muszę.

Justine przyklękła, otworzyła niską szafkę i zaczęła wyciągać z niej potrzebne rzeczy.

– To niemożliwe! Jeśli zginie, krew wyleje się z brzucha, jak się pan pohuszy! Potrzebuje pan szycia. Ale nitki pękają przy ruchu.

Court zamyslił się, rozważając jej słowa. Zerknął na zegarek: była trzecia w nocy.

– Ale ja... Ale ja muszę się przedostać do Bayeux, do Normandii.

– Dzisiaj? Zwahiował pan?

– To sprawa życia i śmierci, Justine.

– Pańskiej śmieci, *monsieur*.

Court wyciągnął z kieszeni kopertę z gotówką, którą dostał od Maurice'a. Była przemoczona, ale jakimś cudem i ona, i kluczyki do samochodu przetrwały kąpiel w Sekwanie. Podał ją Justine i spytał:

– Ile tam jest?

Dziewczyna spojrzała na niego.

– Bahdzo duzo.

– Wszystko jest twoje. Tylko pomóż mi dostać się do Bayeux przed ósmą rano.

– Jeśli się nawet uda panu phowadzić auto, to co pan tam zamierza hobić?

– Dam radę prowadzić, ale ty będziesz musiała mnie zaszyć w trakcie jazdy.

Wtedy też przeprowadzimy transfuzję.

Dziewczyna powoli podniosła się i wycodziła słowo po słowie:

– Szwy? W? Aucie?

Court pokiwał głową.

– A pan będzie wtedy kiehował?

– Tak.

Mruknęła coś pod nosem. Po francusku, więc Court nie zrozumiał niczego poza *chiens*, czyli psy. Domyślił się, że właśnie takie chwile utwierdzają ją w przekonaniu, że woli czworonożnych pacjentów.

Obwiązała mu tułów bandażem, po czym pomogła włożyć koszulę. Nie podnosząc oczu, zapytała:

– Co takiego dzieje się w niedzielny pohanek w Bayeux, że nie może pan tego phzegapić?

– Uwierzysz w to, że mam śpiewać do mszy?

Pokręciła głową. Nawet się nie uśmiechnęła.

– Nie.

– No dobra, to ci powiem.

I rzeczywiście jej powiedział. Oczywiście jego historia miała luki, przez które przeleciałby spory odrzutowiec, ale wyjaśnił, co się wydarzyło i co musiał zrobić przed ósmą rano. Opowiedział o porwanych bliźniaczkach i ich ojcu, który zginął, kiedy próbował je chronić. Wspomniał o zagranicznych najemnikach usiłujących go zabić oraz w zamęcie spowodowanym utratą krwi i wyczerpaniem streścił jej rozmowę telefoniczną z Claire i powtórzył, że musi uratować dwie małe dziewczynki.

Justine była przerażona, kiedy opowiedział jej o najemnikach i ciągłym zabijaniu, o śmiertelnym niebezpieczeństwie, w którym znalazły się dwie małe dziewczynki tylko dlatego, że ktoś chciał za wszelką cenę bronić reputacji jakiejś



szemranej korporacji. Owszem, pracowała dla lekarza weterynarii, narzucającego od czasu do czasu dziwne godziny pracy i miewającego do czynienia z niezwykle podejrzanymi dwunożnymi pacjentami, ponadto wystarczająco zdążyła nasłuchać się o Fitzroyu i jego siatce, by nauczyła się nie zadawać pytań, ale nie wyobrażała sobie, że mogli chodzić po tym świecie ludzie tak brutalni i nikczemni jak ci, o których opowiadał ten nieznajomy.

– No to co myślisz? – spytał Court.

– Dlaczego mi zaufałeś?

– Cóż, z desperacji. Trzy kwadranse temu leżałem prawie martwy na nabrzeżu. Od tej chwili stałaś się moją ostatnią deską ratunku. Nawet jeśli mnie zdradzisz, to nie znajdę się już w gorszej sytuacji niż wtedy.

– A policja?

– Lloyd mówi, że jeśli ktokolwiek poza mną zjawi się w pałacu, to zabije wszystkich zakładników. Znam takich jak on. Zrobią dokładnie to, czym grożą. Muszę iść tam sam, ale z twoją pomocą. Zostawię cię w Bayeux. Mój cel jest kilka kilometrów na północ od miasteczka. Wrócisz do Paryża pierwszym porannym pociągiem. Będziesz z dala od niebezpieczeństwa, obiecuję.

– Jak mam cię nazywać? – spytała.

– Jim.

– Okej, Jim. Pod jednym wahunkiem.

– Jakim.

– Pozwól, że dam ci coś przeciwbólowego. Na sam zabieg. W przychodni znajdziemy coś, co zażyjesz, jak tylko podniesiemy ciśnienie. Weźmiemy moje auto. Zawiozę nas pod dworzec Saint-Lazare po twoje. Wtedy ruszymy. Za miastem nie będzie kolków. Ty będziesz phowadził, ja nad tobą pophacuję.

Court pomyślał. Głęboko wierzył, że nie powinien brać żadnych środków, które mogłyby zamroczyć mu umysł i przytępić zmysły, rozproszyć skupienie na wykonywanym zadaniu. Twierdził, że da radę wytrzymać ból. Nie podobał mu się plan Justine, ale z jakiegoś powodu rzeczywiście jej ufał. Kiedy spoglądał na tę uroczą, tyczkowatą dziewczynę stojącą nad nim, całkiem ładną, mimo że włosy w kucyku miała rozczochrane po przerwaniu snu, nie była umalowana, a wysiłek przy utrzymywaniu przy życiu jakiegoś przerażającego nieznajomego sprawiał, że nad wargą błyszczała jej strużka potu, stwierdził, że nie będzie się kłócić.

Justine pomogła mu wstać i we dwójkę przekuśtykali powoli z sali zabiegowej przez korytarz na tyły lecznicy. Z każdym krokiem Gentry związał się z bólu. W pewnym momencie wydawało się, że zemdleje.

Justine oparła go o ścianę na dziedzińcu i zaczęła szamotać się z kluczami.

– Co to ma być, do diabła? – spytał Gentry.

– Moje auto.

– To ma być auto?

– A co z nim nie tak?

– Jest małe.

– Kiedy je kupowałam, nie wiedziałam, że phzyjdzie mi phzewozić pacjentów.

– No dobra. Damy radę. Przynajmniej nas nie zauważą.

Uśmiechnęli się, ale uśmiech szybko zniknął z ich twarzy, kiedy Justine próbowała pomóc mu wsiąść. Court jęknął z bólu, po czym dostał zadyszki. Prawie minutę zajęło jej uruchomienie malutkiego silnika. Court zdążył już zasnąć. Opuściła siedzenie tak, że prawie leżał. Z wysiłkiem udało jej się położyć mu nogi na deskę rozdzielczą, by uchronić go od wstrząsu. Skręcając w rue Monge, zobaczyła, że nad rzeką krążą helikoptery.

Justine zaparkowała auto kilka bram za przychodnią, przy rue des Ecoles. O wpół do trzeciej wciąż nie było w okolicy żywej duszy. Court poruszył się, rozglądał przez chwilę, po czym poprosił o kartkę i coś do pisania. Pogrzebała w torebce i wyjęła z niej kopertę i ołówek.

– Jest jeszcze jeden lek, o który chciałbym cię prosić. Powinien być wśród środków pediatrycznych.

– Któraś z bliźniaczek pothzebuje lekahstwa?

– Nie, to dla mnie – odparł, po czym zapisał coś i oddał kopertę Justine.

Przeczytała.

– Addehall? Co to?

– Pomoże. To bardzo istotne. Znajdź to, proszę.

Wzruszyła ramionami i obiecała, że spróbuje. Nie mówiąc nic więcej, wyszła z miniaturowego uno i podeszła do bagażnika.

Gentry nie był w stanie obrócić się i zobaczyć, co robi. Po kilku sekundach ujrzał, jak Justine podchodzi do szklanych drzwi budynku i rozgląda się na

wszystkie strony. W prawej ręce trzymała potężną łyżkę do opon. Zamachnęła się i rozbiła szybę, po czym wsadziła rękę przez dziurę i omijając ostre kawałki szkła, otworzyła drzwi od środka. Court mógł tylko przyglądać się bezradnie, jak znika w ciemności, podczas gdy zawył alarm.

Mimo ogromnego niebezpieczeństwa znowu zasnął w samochodzie. Obudził się dopiero wtedy, gdy małe dwudrzwiowe auto ruszyło.

Oddalali się od przeciągłego alarmu. W blasku migoczących latarni udało mu się dojrzeć twarz kobiety: malowały się na niej napięcie i determinacja.

– Co zdobyłaś? – spytał.

– Trzy jednostki khwi zeho plus, dwa wohki glukozy, mohfinę, vicodin, sphzet do thansfuzji, shodki odkażające i zestaw do szwów.

– I?

– I lekahstwo, o któhe phosiłeś.

– Dobra robota!

– Phawda – powiedziała, uśmiechając się lekko. – Dobha zabawa.

Na parkingu podziemnym pod dworcem Saint-Lazare Justine i Court wspięli się do potężnego mercedesa. Gentry chwycił za kółko i przez chwilę siedział za nim. Zwiął się z bólu i kręciło mu się w głowie. Byli sami. Justine zaczęła przetaczanie krwi i płynu z elektrolitami. Podwiesiła oba worki przy lampce na suficie, żeby sączyło się swobodnie. Następnie klękła na skórzanym siedzeniu, nachyliła się nad Courtem i obficie polała mu brzuch środkiem odkażającym, który wsiąkał w bandażę i dezynfekował rany.

Justine przykazała Courtowi, żeby leżał i spróbował się odprężyć, po czym wyszła z samochodu. Zniknęła z pola widzenia, a on został sam. Starał się pomyśleć o czekającym go zadaniu. Wiedział, że przez opóźnienie nie uda mu się dotrzeć na miejsce przed szóstą rano. Nie będzie miał ani sekundy na przygotowanie się i ogląd terenu. Nie, w obecnej sytuacji, jeśli chce to zrobić pod osłoną nocy, zostanie mu jedynie tyle czasu, żeby podjechać od frontu i od razu przejść do ataku.

Zdał sobie sprawę, że choć od początku szanse na powodzenie tej misji nie były duże, po otrzymaniu ciosu nożem w brzuch w Paryżu znacząco zmalowały.

Po chwili wróciła Justine, dzierżąc torbę pachnących wypieków i dwa okazałych rozmiarów kubki kawy. Court wyciągnął jej jeden z ręki i wypił

zawartość tak szybko, że aż się poparzył.

– Przestań! – oburzyła się. – Sącz powoli.

Następnie wziął croissanta i rzucił się na niego wygłodniały. Dziewczyna próbowała posmarować go masłem, ale on wziął kawałek i pochłonął go w całości.

– Oj, co by twoja mama powiedziała? Odpheż się. Dostajesz płyny i wszystkie śhrodki odżywcze z khoplówki. A jak za dużo zjesz do tej mohfyny, to zwymiotujesz. Kawę pij powoli. Dasz hadę phowadzić? – skarciła go Justine.

– Zaraz się przekonamy – odparł Court z zawziętą miną, po czym wycofał mercedesa z miejsca parkingowego i powoli wyjechał z podziemnego garażu w noc.

Ruszyli drogą A15 przez północną część miasta. Tak jak zapewniała Justine, o czwartej nad ranem w niedzielę ruch był niewielki.

Zobaczywszy, że worek krwi skończył się już kilka minut za miastem, dziewczyna zaklęła szpetnie po francusku, po czym podpięła drugi litrowy i porcję glukozy, żeby płyny splywały przez kroplówkę.

Najszybszą trasą do Bayeux byłaby autostrada A13, ale Court stwierdził, że lepiej jechać inną drogą. Wiedział, że na głównej trasie do pałacu na pewno rozstawiono najwięcej obserwatorów. Zamiast tego wybrał objazd bocznymi szosami, które dodawały niemal pół godziny jazdy.

Przez pierwszą godzinę udawało im się odwlekać nieuniknione. Justine opowiadała mu o rodzinie, przyjaciółach i szóstce kotów. Lekkość rozmowy była pozorna, Court wyczuł jej zdenerwowanie. Kiedy do Château Laurent zostało im niespełna pół godziny, dziewczyna zamilkła i ostrożnie dodała małą dawkę morfiny do kroplówki Gentry'ego. Gdyby miał za niskie ciśnienie, czyli takie, jak w lecznicy weterynaryjnej, środek ten z pewnością zatrzymałby akcję serca. Stwierdziła jednak, że po dwóch i pół jednostkach krwi warto zaryzykować niewielką dawkę mocnego leku przeciwbólowego, biorąc pod uwagę to, co wkrótce miało go czekać.

Court w pewnym momencie poczuł się lepiej. Środki przeciwbólowe, krew i glukoza wzmocniły go fizycznie i psychicznie. Zaczęli omawiać czekający go zabieg. Justine przez kilka minut przygotowywała nici i bandaże na desce. Skrzywiła się, kiedy nawlekała ostrą igłę nitką, po czym zamoczyła ją w butelce ze środkiem odkażającym i położyła na sterylnej gazie. Rozpięła mu koszulę

i przecięła bandażę, po czym wylała połowę butelki na jego brzuch. Court aż zwinął się z bólu.

Oboje rozpięli pasy, a ona kucnęła na fotelu. Gentry przesunął ręce na górę kierownicy, aby ułatwić jej dostęp do rany. Wypił ostatnie łyki zimnej kawy i rzucił kubek na tylne siedzenie. Justine wzięła taśmę i przyczepiła nią małą latarkę na dole kierownicy, oświetlając miejsce szycia tak, żeby jej ręce nie rzucały cienia na całą operację.

– Nigdy tego nie hobiłam na człowieku, nawet w idealnych warunkach, ale mam doświadczenie w zszywaniu kotów.

– Będzie dobrze – powiedział Court. Zdawał sobie sprawę, że każde z nich usilnie próbowało uspokoić drugie.

To Justine pierwsza zaczęła panikować. Spojrzała na pacjenta i spytała:

– Jesteś pewien? Żeby to zaszyć, będę musiała wejść głębiej w mięsień. Jeśli zaszyję tylko skórę, to się hosedhze, jak tylko się huszysz.

Court pokiwał głową. Jego oczy napęłniały się łzami w oczekiwaniu na nadchodzącą męczarnię.

– Justine... – szepnął. – Cokolwiek będę mówił czy robił... Nie przerywaj.

Skinęła głową i uspokoiła nerwy.

– Gotowy?

Kiwnął głową, po czym odciągnął pas do góry i wsadził go w usta. Wgryzł się w niego mocno. Szosa przed nimi była prosta i płaska, reflektory pokazywały drogę.

Justine wbiła się w mięśnie pacjenta centymetr nad raną. Zakrzywiona igła znalazła drogę w głębinach jego mięśni. Przeszła przez nacięcie i w świetle latarki ukazała się świeża krew. Zagięcie igły wynurzyło się przez skórę, kolejny centymetr po drugiej stronie rany.

Krzyk Courta uwiązał w pasie wetkniętym w jego usta.

Justine chwyciła nić chirurgiczną dłonią w rękawiczce, następnie ostrożnie wyciągnęła igłę i ponownie nanizła nić. Mimo że dała pacjentowi ćwierć dawki morfiny, czuła, że on płacze z bólu. Kiedy łzy spadały jej na ramiona, założyła kolejny szew, tuż obok pierwszego.

Szyla tak przez dziesięć kilometrów. Skupiona cały czas mówiła do niego kojącym tonem po francusku, jakby uspokajała rannego pieska. Pacjent krzywił się i dyszał. Stwierdziła, że to cud, że wciąż był w stanie prowadzić, do tego tak łagodnie na zakrętach. Raz się prawie zatrzymał. Justine uznała, że jedyne, co go utrzymuje w stanie przytomności, to ciągnąca się przed nimi droga i konieczność skupienia się na niej.

Podczas pracy wycierała krew gazą, polewając ją środkiem odkażającym z butelki trzymanej pomiędzy jego nogami tak, żeby lepiej widzieć broczącą ranę.

– Już prawie koniec. Tylko muszę pociągnąć i zawiązać. Jeszcze kilka sekund – powiedziała w końcu.

Usłyszała dyszenie i płacz. Zaniepokoił ją regularny rytm tych odgłosów, wiedziała, że w każdej chwili mężczyzna może dostać wstrząsu.

– No i już... Postaham się najdelikatniej... – Pociągnęła za nić, rana się zamknęła i krwawienie ustało. – Tak, idealnie! Tehaz tylko zawiążę...

Poczuła, że koła przejechały po kilku nierównościach. Zawieszenie mercedesa było genialne – ledwo odczuła wstrząsy. Kiedy jednak podskoki nie ustały po kilku sekundach, spojrzała na pacjenta. Ku jej przerażeniu zobaczyła, że jego głowa wisi bezwładnie, a oczy ma zamknięte. Stracił przytomność.

O piątej trzydzieści rano czarny mercedes zjechał z drogi i się rozbił.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Cała dziesiątka Białorusinów stała już na posterunku wokół posiadłości: szóstka na zewnątrz, dwójka w oknach na parterze i dwójka w wieży. Serge i Alain, inżynierowie bezpieczeństwa elektronicznego, usadowili się w bibliotece na parterze, gdzie co chwila przekrwionymi oczami zerkali na ekrany, oglądając transmisję z kamer na podczerwień porozstawianych na całej posesji. Co pięć minut komunikowali się przez radio z patrolami.

Jedyną ekipą wyszkolonych w łowach zabójców w okolicy pałacu byli Libijczycy. Patrolowali vanem Bayeux, zmagając się z wyczerpaniem. Na tym etapie nie łudzili się już, że mają jakąkolwiek szansę na zdobycie głównej nagrody. Wszystkie pozostałe ekipy z okolicy, podobnie jak każdego artystę chodnikowego z odległości pięciuset kilometrów, wysłano do Paryża w poszukiwaniu celu. Jako że Libijczycy mieli okazję dorwać go na szwajcarskich stokach i zawiedli, teraz przykazano im trzymać się blisko pałacu i czekać na dalsze rozkazy. W najlepszym wypadku, a była to szansa jedna na sto, mogli znów zmierzyć się z Gray Manem.

Nikt już nie przypuszczał, że Gentry'emu uda się dotrzeć do Bayeux.

Riegel, Lloyd, Tech i pan Felix siedzieli w słabo oświetlonym centrum dowodzenia, popijali kawę za kawą i wpatrywali się w monitory pokazujące chwiejne i rozmazane obrazy z kamer cyfrowych znajdujących się w Paryżu obserwatorów i zabójców. Tech wciąż prowadził poszukiwania wzdłuż brzegów Sekwany. Na tym etapie Riegel i Lloyd uznali, że Gentry wy dostał się gdzieś w dolnym biegu rzeki i odkuśtykał, więc stopniowo poszerzano poszukiwania po obu stronach.

O wpół do szóstej rano dotarły z Paryża wieści, które wywołały w Château Laurent wielkie poruszenie. Obserwator, podsłuchujący radio policyjne, doniósł o włamaniu do niewielkiej prywatnej przychodni w Piątej Dzielnicy. Co prawda miejsce przestępstwa leżało w górze rzeki, ale Tech na wszelki wypadek wysłał tam kogoś, żeby dowiedział się jak najwięcej. Właściciele placówki przyjechali na

miejsce i obwieścili, że skradziono leki, krew i sprzęt oraz że wszystko to są przybory konieczne do opatrywania ran.

Riegel stanął za Techem.

– Musimy znowu rozdzielić teren poszukiwania. Niech Boliwijczycy i Lankijczycy zostaną w Paryżu. Każ Botswańczykom przyjechać do nas autostradą, a nuż go po drodze wypatrzą. Po Kazachów wyślij helikopter. To nasi najlepsi strzelcy. Chcę ich na miejscu. Mogą patrolować drogi za posiadłością, sprawdzać wszystko, co się rusza. I daj cynk Libijczykom w Bayeux! Muszą tam zostać, obserwować dworzec i trasy przez miasteczko. Jeśli jakimś cudem Gray Man jest wciąż w grze, przybędzie tu przed wschodem słońca.

– Przecież myśmy go, do cholery, widzieli! Widzieliśmy, kurna, jaki jest ranny. Widzieliśmy, jak wpada do tej zasranej Sekwany! – wymamrotał Tech pod nosem.

Lloyd wybiegł z pokoju, po drodze klepiąc Techa w głowę. Pobiegł na dół uprzedzić inżynierów oglądających zdjęcia na podczerwień, że cel może się jednak zbliżać.

\* \* \*

– Błagam, Jim! Jim, proszę, obudź się!

Court Gentry otworzył oczy. Tuż nad sobą, w ciemności, zobaczył postać. Instynktownie sięgnął i chwycił ją za szyję, po czym powalił i przycisnął do ziemi, próbując się na nią przetoczyć.

Padł na Justine wśród wysokiej trawy.

– Oj, przepraszam. – Tylko tyle był w stanie wykrztusić, schodząc z Francuzki. Poruszał się niezdarnie. Musiał dostać silne leki. Dziewczyna też poruszała się powoli. Było ciemno, widział tylko jej wielkie oczy. W końcu usiadła przy nim, a on niezręcznie się odwrócił. Próbował zorientować się w terenie.

Siedzieli na mokrej trawie. Oparci o mercedesa, znajdowali się w polu, a cztery piąte czarnego sedana tkwiło w krzakach. Gentry domyślił się, że po drugiej stronie zarośli jest droga. Lśnienie księżyca rozpraszała unosząca się wokół mgła, ale udało mu się wypatrzeć leniwie poruszające się krowy po zabłoconym pastwisku nieopodal samochodu.

Było zimno.



– Co to... Gdzie to... Gdzie jesteście?

– Nie dałam hady cię dobudzić. Jesteście na zachód od Caen, pół godziny od Bayeux.

– Cholera jasna. Która godzina? – Amerykanin powoli przypominał sobie o misji, jak gdyby wyłaniała się z mgły otaczającej jego przytłumiony prochami mózg.

– Phawie siódma. Za mniej niż godzinę wschód.

– Rozbiliśmy się, prawda?

– Nie, *monsieur*. My się nie hozbiliśmy. Ty nas hozbiłeś.

Powoli zaczynał sobie wszystko przypominać. Przyłożył dłoń do rannego brzucha, choć w tym momencie aż tak bardzo nie bolało. Miał na sobie czystą brązową koszulę. Wyczuwał mocno zawiązane bandaże.

Spojrzał niżej, na nowe spodnie.

– Przebrałaś mnie?

Justine odwróciła wzrok, patrząc na ciemne pastwisko.

– Znalazłam te ubhania w tohbie w aucie po wypadku.

– A tobie coś się stało? – zapytał.

– A, nic takiego. Kilka siniaków. Mieliśmy szczęście. Zjechałeś z szosy na ścieżkę dla khów, tyle że przez żywopłot. Dokładniej: przez te dhzewa. Auto się zaklinowało. Po wypadku dałam ci thochę leków, zabandażowałam i ubhałam. No i jesteście. Jakiś czas temu phzelatywał helikopteh. Phzesthaszyłam się. Pomyślałam, że może nas szukają.

Court przez chwilę dochodził do siebie, w końcu wszystko do niego wróciło.

– Już nie zdążę.

– Phzecież mówiłeś, że masz czas do ósmej. Jeszcze zdążymy.

– Muszę być w gotowości przed wschodem słońca. – Gentry westchnął i machnął ręką. Powoli wstał. O dziwo, było to łatwiejsze, niż przypuszczał.

– Co ty mi dałaś?

– Thochę leków przeciwbólowych. Do tego bahdzo mocno związałam bandaże, żeby mniej bolało.

Gentry sprawdzał opatrunek przez koszulę.

– Super. Nie czuję się źle.

– Będzie gohzej. Wkhótce whóci ból. Nie dałam ci tego dhugiego leku. Tego addehallu. Przeczytałam ulotkę. To bahdzo silny shodek z solami amfetaminy. Wystahczy jedna kapsułka, a twoje ciśnienie skoczy. A moje szwy nie są bahdzo dobhe, będziesz mocno khwawił. Może nawet wewnętrznie. Połknięcie choć jednej kapsułki w twoim przypadku to istne szaleństwo.

– Nie będę łykał jednej kapsułki. Otworzę trzy i wsypię zawartość do gorącej kawy. Usunę powłokę opóźniającą wydzielanie substancji i od razu będę miał pełen efekt.

– To samobójstwo! – oburzyła się. – Nie jestem doktohem, ale wiem, co to zhobi twojemu ohganizmowi.

– Zapewni czujność na mniej więcej pół godziny. Jeśli się potem wykrwawię, to trudno. Najpierw muszę wykonać zadanie.

Zaczęła protestować, ale jej przerwał.

– Potrzebujemy nowego środka transportu. Coś stąd, żeby nie przyciągało uwagi.

Sfrustrowana Justine pokręciła głową.

– Tam jest gospodahstwo. Może uda ci się pożyczyć ich samochód.

Court wyjrzał przez zarośla i zobaczył, że znajdują się siedemdziesiąt metrów od jakiegoś domu. W oknach budynku mieszkalnego już się świeciło. W blasku lampy stał stary czterodrzwiowy pojazd, oryginalnie biały, choć teraz nakrapiany błotem i nawozem.

– Rzeczywiście. Idę „pożyczyć” ich samochód.

Powoli nachylił się nad bagażnikiem mercedesa, po czym wyciągnął drugiego glocka. Pierwszego zgubił w paryskiej alejce. Nie patrząc, odciągnął zamek i czubkiem palca sprawdził, czy jest naładowany.

– Zaraz wracam.

\* \* \*

W ostatniej godzinie przed świtem Riegel kazał całej załodze Château Laurent stać w pełnej gotowości na pozycjach bojowych. Sądził, że jeśli Gray Man w ogóle ma się zjawić, stanie się to wtedy. Dziesięciu zbirów z Mińska zostało

podzielonych na pięć par. Trzy dwuosobowe patrole sprawdzały ogród i podjazd do głównej bramy, dzierżąc kałasznikowy. Kolejna dwójka z kałachami pilnowała parteru – jeden obserwował podjazd, a drugi ogród z tyłu.

Ostatnia para Białorusinów stacjonowała w wieży: jeden snajper z dragunowem z celownikiem optycznym, ten sam człowiek i karabin, który zakończył życie Phillipa Fitzroya. Obok stał obserwator z AR-15 na plecach, który skanował przez lornetkę otoczenie wokół pałacu.

Poza dziesięcioma Białorusinami było jeszcze trzech goryli Lloyd'a z Londynu: jeden Irlandczyk i dwóch Szkotów. Drugi typ z Irlandii Północnej leżał w piwnicy przy ciele Phillipa. Dwóch miało posterunek w kuchni, słuchawki krótkofalówek w uszach i pistolety maszynowe na kolanach. Czekali w rezerwie, aż Riegel każe im biec w miejsce, gdzie pojawi się Gray Man. Trzeci, McSpadden, stał w korytarzu przed sypialnią na pierwszym piętrze, pilnując Fitzroyów.

W bibliotece na parterze francuscy inżynierowie wpatrywali się w obrazy na monitorach z porostawianych w ogrodzie kamer na podczerwień. Obaj byli byłymi żołnierzami piechoty po czterdziestce. Każdy miał pistolet przy pasie i doskonale wiedział, jak go użyć.

W centrum dowodzenia pozostawali Tech, Lloyd, pan Felix i Riegel. Z tej czwórki tylko Riegel miał doświadczenie w walce przy użyciu broni palnej; pod zamszową kurtką trzymał pistolet w kaburze. Lloyd też był uzbrojony w niewielki pistolet samopowtarzalny, czy jednak dla kogokolwiek mógł on stanowić zagrożenie, pozostawało wątpliwe. Na biurku Techa położono naładowane uzi, choć Brytyjczyk z kucykiem nigdy dotychczas nie znajdował się tak blisko naładowanej broni.

W sumie wypadało dziewiętnastu na jednego, i to licząc wyłącznie wewnętrzną linię wokół pałacu. Czterech Libijczyków ze służb bezpieczeństwa Dżamahiriji pozostawało w ciągłym kontakcie radiowym z Techem, dziesięć kilometrów od centrum dowodzenia, w Bayeux. Obserwowali drogę z miasteczka do Château Laurent oraz mający się wkrótce otworzyć dworzec, czyli jedyną sensowną drogę z Paryża.

Wysoko nad nimi elegancki czarny eurocopter wywijał leniwe ósemki z pięcioma Saudyjczykami na pokładzie. Śmigłowiec patrolował drogi z Caen na zachód, a nawet na północy, wzdłuż wybrzeża, na wypadek, gdyby Gray Man

pojawił się nagle na plaży i postanowił dokonać jednoosobowej rekonstrukcji lądowania w Normandii.

Czterech Kazachów, którzy właśnie przyjechali z Paryża, patrolowało okolice w małym niebieskim citroënie z kałasznikowami ze złożonymi kolbami na kolanach. Jeździli po polach i wioskach, stawiali za wyjeżdżającymi o poranku kierowcami, kontrolowali rejestracje i kierując mocne światło do środka, sprawdzali, kto siedzi w pojazdach.

Kazachowie właściwie nie korzystali z radia. Owszem, śledzili komunikację między Techem a innymi zespołami, ale sami nie dawali znaku ani nie odpowiadali na prośby technika o zameldowanie się. Przyjechali, żeby zabić Gray Mana, wziąć forszę i wrócić do domu. Zamierzali porozumieć się z tymi z pałacu dopiero w celu zapłaty, podrzucając trupa Gentry'ego pod bramę.

Riegel kierował całą operacją z centrum dowodzenia na drugim piętrze. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ponad trzydziestu uzbrojonych facetów kontra jeden poturbowany przeciwnik, pracujący z ograniczonymi środkami i w stanie skrajnego niewyspania, to nie jest równa i sprawiedliwa walka.

Ale Riegel był przede wszystkim myśliwym. Nie interesowały go zasady fair play.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kanał La Manche odbijał poranne promienie słońca, muskając ramiona Justine, gdy jechała brudnym, białym fiatem na zachód przybrzeżną szosą. Pilnowała, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości, i uważnie czytała wszystkie znaki. Nikt nie siedział obok niej, miejsce pasażera wypełniało kilka metalowych skrzynek.

Zjechała w lewo w przybrzeżnej Longues-sur Mer. Kiedy kilkadziesiąt metrów nad nią przeleciał czarny helikopter, ani nie przyspieszyła, ani nie zwolniła. Śmigłowiec zrobił nad nią jeszcze dwa okrążenia, po czym zniknął jej z oczu, kierując się na południowy zachód.

Przez chwilę miała drogę tylko dla siebie, ale tuż po odlocie helikoptera z nieutwardzonej drogi z lewej strony wyjechał niebieski citroën, wznecając chmurę kurzu i spalin. Spojrzała w lusterko, ale widziała tylko ostry blask przednich świateł. Auto jechało tuż za nią przez kilkaset metrów, następnie znalazło się na pasie obok i zrównało się z nią. Justine chwyciła się kierownicy tak mocno, że bała się, iż ją urwie. Ktoś poświecił do środka fiata latarką, najpierw na nią, potem na tylne siedzenie. Następnie światło zgasło, a citroën ją wyprzedził. Była pewna, że zaraz zamiga i zmusi, by się zatrzymała. Auto jednak przyspieszyło i wkrótce jego światła zniknęły w porannej mgle.

Przez kilka kilometrów jechała na południe, po czym zerknęła na trzymaną na kolanach mapę i sprawdziła punkty zaznaczone przez Jima ołówkiem. Zbliżał się zjazd w lewo. Skręciła, ale najpierw zgasiła światła. Wąska droga prowadziła prosto, z obu jej stron rosły gęste, wysokie żywopłoty i inne zarośla. Po trzech minutach podróży zobaczyła, że droga skręca na południe. Justine zwolniła, zjechała z szosy, po czym przyspieszyła tak, żeby wjechać w gęstwinę.

Z zarośli wyrastał potężny kamienny mur, wysoki na trzy metry. Z jej perspektywy za kierownicą zdawał się wypełniać całą szybę i wznosić aż do nieba. Lekko obija o niego przedni zderzak sedana i wyłączyła silnik.

Po obu stronach drogi rosły wysokie, gęste drzewa, więc było tu ciemno. Justine szybko wyszła z samochodu, pamiętając, żeby nie zatrzaskać za sobą drzwi. Zastukała cztery razy w bagażnik fiata na znak, że wszystko w porządku. Po chwili podniosła się klapa. Jej oczom ukazał się skulony Jim przytulony do karabinu. Mężczyzna spojrzał na nią. Obok niego leżał pusty papierowy kubek po kawie.

– Bezproblemowo? – zapytał, gramoląc się powoli. Widziała na jego twarzy ból, który towarzyszył ruchom. Zostawił karabin w bagażniku i odszedł na bok, rozciągając się po niewygodnej jeździe.

– Pełno ludzi. W aucie i w śmigłowcu. Jestem pewna, że w śhodku jest ich więcej. Muszą myśleć, że jesteś bardzo niebezpiecznym człowiekiem, skoho tyle osób na ciebie czeka – powiedziała Justine, stojąc za autem, na drodze.

Amerykanin przecisnął się przez gęste krzaki od strony pasażera i otworzył tylne drzwi.

– Moja reputacja jest bardzo przesadzona.

– Phoszę?

– Nieważne. Chciałbym ci gorąco podziękować za wszystko, co zrobiłaś. Zapracowałaś ciężko na każdego centa, którego ode mnie dostałaś. Bez ciebie nic bym nie zrobił.

Justine uśmiechnęła się w półmroku.

– Wiesz, Jim... W sumie jeszcze nic nie zhobiłeś.

– Fakt.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Tak jakbym właśnie wypił podwójne espresso z potrójnym speedem. Szwy się trzymają.

Nagle, bez ostrzeżenia, Justine oświetliły reflektory samochodu. Odwróciła się do Jima po pomoc, ale jego już nie było. Po kilku sekundach niebieski citroën zaparkował za nią i wyskoczyło z niego czterech mężczyzn.

Justine stała w oślepiającym świetle. Podniosła rękę i osłoniła oczy. Była skąpana w blasku, czuła się w nim naga. Mężczyźni stanęli przed lampami tak, że widziała tylko zarysy sylwetek. W ich dłoniach dostrzegła profile długich luf.

Ktoś do niej krzyknął, ale ona nie rozumiała, co mówił. Nie była w stanie wydać z siebie głosu. Spojrzała najpierw na lewo, potem na prawo, w otaczającą ją

szarość przedświt. Wiedziała, że Jim uciekł przed tymi mężczyznami gdzieś daleko od niebezpiecznych świateł samochodu. Myślała, że jakimś cudem przedostał się za mur, a ją zostawił, żeby teraz spowiadała się z bagażnika pełnego broni, wymyślając, co tutaj robi o tej porze.

Była tak przerażona, że bała się, iż serce jej wyskoczy z klatki piersiowej.

– *Bonjour* – powiedziała w stronę czterech sylwetek tak cichutko, że to był nawet nie szept, lecz ciche skomlenie.

Postaci ruszyły w jej stronę ze skierowanymi do przodu nieruchomymi lufami. Piętnaście metrów, dziesięć metrów... w miarę jak się zbliżali, łączyły się ich cienie. Nagle ich regularny krok się zmienił. Mignęło jej coś z lewej strony, tam, gdzie obrócił się pojedynczy profil. Zobaczyła, że długa lufa zaczyna się podnosić. Rozległ się zaskoczony krzyk jednej z kulących się zjaw.

Justine szybko cofnęła się i wpadła na bagażnik samochodu. Oglądała odbywający się przed nią taniec światła i cieni. W zamieszaniu na drodze udało jej się dostrzec zarys rąk i nóg w deszczu uderzeń i kopniaków. Broń wyleciała w górę i spadła z hukiem na brudny żwir w akompaniamencie krzyków i trzasku pięści, uderzających w ciało, kości bijącej w kość.

Druga z figur znieruchomiała i upadła prosto pod blaskiem samochodowych reflektorów. Zobaczyła, że to nie Jim. Zarys mężczyzny oplótł we wzbijającej się chmurze kurzu swe ciemne kończyny wokół głowy i szyi innego widocznego w świetle profilu i przekreślił, podnosząc go z ziemi. Justine usłyszała trzask łamanego kręgosłupa szyjnego.

Widziała wcześniej bijatyki, tyle że na ekranie telewizora, w serialach akcji. To ich nie przypominało. Oglądane teraz ruchy były szybsze, bardziej brutalne i okrutne. Nie wyglądało to jak balet. Nie było nic poetyckiego w relacji pomiędzy przeciwnikami, żadnej wystudiowanej choreografii. Nie, to było spotkanie dwóch nieustępliwych brył, nagłe reakcje, jęki i mruknięcia dzikich bestii, ciężkie dyszenie z wyczerpania i przerażenia. Odgłosy trzaskania i szamotanina walki tak bezwzględnej, że była pewna, iż ci mężczyźni rozedrą się na strzępy na jej oczach.

Trzech napastników leżało już na ziemi. Czwarty wybiegł ze snopu światła w poszukiwaniu karabinu, który wypadł poza pole walki. Justine zobaczyła, że Jim poszedł za nim po zakurzonej drodze i uderzył go z tyłu. Nastąpiła wymiana ciosów. Jim został rzucony plecami na zimną ziemię. Francuzka szybko sięgnęła

do bagażnika po karabin zostawiony tam przez Amerykanina, choć nie miała pojęcia, jak go uruchomić, gdyby przyszło jej go użyć. Kiedy odwróciła wzrok od walki, usłyszała przejmujący krzyk bólu. Wzięła do rąk wielką giwerę i się odwróciła. Zobaczyła, że Jim podniósł się na kolana, a jego przeciwnik odsuwa się od niego, trzymając się za oczy. Jim stanął z uniesionym nad głowę karabinem i na oczach Justine tłukł męczyzną kolbą. Cios za ciosem, jakby ciął drewno siekierą, padały uderzenia w plecy drżącego przeciwnika. Ten uniósł ręce w obronnym geście, ale kolba trafiła w jego przerażone oczy, które trysnęły krwią. Wyłamana szczęka sterczała przerażająco. Dopiero kilkanaście bezlitosnych uderzeń w zmiażdżoną głowę leżącego na drodze mężczyzny sprawiło, że drżenia ustały. Justine nie była w stanie odwrócić wzroku.

Kiedy było już po wszystkim, Francuzka powoli zsunęła się po zderzaku na ziemię. Położyła karabin przed sobą, pustymi, drżącymi dłońmi zakryła twarz i się rozplakała...

\* \* \*

Court usunął cztery ciała z drogi, równocześnie walcząc z hiperwentylacją. W promieniach wschodzącego słońca usłyszał nadlatujący helikopter. Bujne zarośla po obu stronach drogi i wysoki mur otaczający Château Laurent były doskonałą ochroną, śmigłowiec musiałby lecieć bezpośrednio nad nimi, żeby go wypatrzeć, Gentry wiedział jednak, że każda sekunda stania bez osłony na zakurzonej drodze była ryzykowna.

Szybko sprawdził, czy w bagażniku Citroëna nie ma czegoś, co by mu się mogło przydać. Natychmiast znalazł cztery zestawy opancerzenia typu 3A. Prawie bezużyteczne przeciwko pociskom z karabinu, ale bardzo skuteczne w walce z amunicją pistoletu. Szybko nałożył przez głowę jedną z kamizelek i mocno zacisnął boczne paski. Znalazł też twarde wojskowe ochraniacze na kolana i łokcie. Założył je, stwierdzając, że choć pogruchotany łokieć to nic w porównaniu z tym, co go czeka w najbliższym czasie, to jednak szkoda było zostawiać jakikolwiek element uzbrojenia.

Usiadł za kierownicą małego Citroëna, wrzucił luz, żeby pojazd zanurzył się w zaroślach i nie był widoczny z góry. Spojrzał na brzuch. Zauważył, że kilka, jeśli nie wszystkie, szwy założone przez Justine na brzuchu pękły. Z rany sączyła się



krew, znacząc bandażę i koszulę pod kamizelką kuloodporną. Ciekła po brzuchu, przez spodnie, plamiąc fotel samochodu.

– Kurwa – zaklął na głos. Znow funkcjonował na kredyt.

Ukrywszy i ciała, i auto, wrzucił kałasznikowy w krzaki, po czym podszedł do Justine, która wciąż klęczała przy samochodzie. Starła z oczu łzy, odsunęła na bok kosmyki splątanych, przemoczonych włosów. Powoli wstała. Spojrzała na nieudolnie schowane w krzakach ciała. Odrzucone. Z rozłożonymi nienaturalnie rękami i nogami.

– To byli źli ludzie, phawda?

– Bardzo źli. Musiałem to zrobić. A teraz muszę przedostać się za ten mur i to powtórzyć.

Justine nic nie odpowiedziała.

Court po kolei otwierał aluminiowe skrzynki. Zapiął ciasno pas z nabojami, przymocował do niego kaburę udową z prawej strony, a z lewej etui na magazynki.

– Na mnie już czas. Muszę iść – powiedział. Karabin M4 przełożył przez szyję i lewe ramię i przytwierdził pistolet maszynowy HK MP5 lufą do dołu do kamizelki za pomocą znalezionej w niebieskim Citroënie przypinki. Wsunął glocka 19 do kabury udowej i przymocował do opancerzenia dwa granaty odpryskowe. Wyjął z auta telefon satelitarny i włożył go do kieszeni na biodrze.

W niecałe trzy minuty był gotowy do walki. Odwrócił się do Justine, która stała za nim, nic nie mówiąc, wciąż wpatrując się w kończyny czterech zmasakrowanych ciał.

– Będę musiał wspiąć się po masce, żeby dostać się na mur. Kiedy tylko sprawdzę górę, natychmiast wycofaj się, zawróć i kieruj się na wybrzeże. Jedź na zachód, nie na wschód. Zaparkuj przy najbliższej napotkanej stacji kolejowej i wejdź do pierwszego porannego pociągu do Paryża. Wracaj do domu. Jeszcze raz dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Oczy Justine miały nieobecny wyraz. Gentry wiedział, że widok tego, jak zabija czterech mężczyzn w walce wręcz bezpośrednio przy niej, mocno nią wstrząsnął. Stwierdził, że prawdopodobnie dla każdego to musi być traumatyczne przeżycie, przynajmniej dla kogoś normalnego, kto nie prowadził jego trybu życia.

– Jak się czujesz? Dasz radę? – spytał cicho.

– Czy ty jesteś złym człowiekiem, Jim? – spytała z wciąż szeroko rozszerzonymi źrenicami.

Położył dłoń na jej ramieniu, trzymał ją delikatnie.

– Chyba nie. Owszem, nauczono mnie złych rzeczy. Robię... trochę złych rzeczy. Ale tylko złym ludziom.

– Tak – odparła. Wydawało się, że już trochę ochłonęła. – Tak. Spojrzała na niego i rzekła: – Powodzenia.

– Może kiedy już to będę miał za sobą, porozmawiamy...

Dziewczyna przerwała mu.

– Nie. – Odwróciła wzrok i dodała: – Nie, lepiej będzie, jak sphóbuję o tym zapomnieć.

– Rozumiem.

Uścisnęła go pospiesznie. Gentry odniósł wrażenie, że była rozkojarzona. Jakby po tym popisie agresji widziała w nim już nie człowieka, ale jakieś zwierzę. Wyraźnie chciała jak najszybciej oddalić się od niego i tego szaleństwa. Nic nie mówiąc, wsiadła za kierownicę fiata, a on wszedł na maskę. Środki przeciwbólowe, które mu podała, gdy spał, dały mu trochę wytchnienia. Mimo to wspinanie się na mur było bolesne dla człowieka z raną w brzuchu, nie wspominając o uszkodzonym nadgarstku, przestrzelonym udzie i złamanych żebrach.

Gentry dostał się na górę kamiennego muru i zeskoczył na miękką trawę. Usłyszał, jak niewielki fiat cofa i zawraca. Spojrzał na zegarek. Siódma trzydzieści.

Pałac przysłaniała gęsta, ciężka mgła. Gentry widział jedynie początek sadu. Na ziemi, pod kolejnymi rzędami niewielkich drzew z cienkimi pniami leżały jaskrawoczerwone jabłka.

Po raz ostatni sprawdził sprzęt i opancerzenie, wziął głęboki oddech, aby zapanować nad bólem, po czym pobiegł przez sad w szarą mgłę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

– Wyłączcie to – polecił Riegel.

Dwóch Francuzów, którzy przez ostatnie pół doby nieustannie wpatrywali się na monitory w bibliotece, natychmiast posłuchało rozkazu. Zaczęli wciskać przyciski od lewej do prawej, wyłączając obrazy nadawane przez kamery na podczerwień, porozstawiane wokół rezydencji.

Tuż za nimi w drzwiach biblioteki pojawił się Lloyd.

– Co wyprawiacie? – zapytał.

– Kamery na podczerwień są na noc, Lloyd. A ta się skończyła – odparł Riegel.

– Mówiłeś, że przyjdzie nocą.

– Owszem, mówiłem.

– Ale przyjdzie, prawda?

– Nie wygląda na to – odpowiedział myśliwy Riegel. W jego głosie słyhać było i zdziwienie, i zawód.

– Mamy kwadrans, żeby dać panu Felixowi ciało. Co my teraz, kurwa, zrobimy?

Riegel zwrócił się do młodego Amerykanina:

– Jest helikopter i ponad setka ludzi, którzy go szukają, ponadto trzydzieści uzbrojonych głów w pałacu w pełnej gotowości. Postrzeliliśmy go. Raniliśmy w brzuch. Zrzuciliśmy go i z góry, i z mostu. Zabiliśmy mu kumpli, pewnie wykrwawiliśmy go na śmierć. Co jeszcze mamy zrobić?

W krótkofalówkach obu mężczyzn zaćwierkał głos Techa:

– Mamy kilka problemów.

– O co chodzi? – spytał Riegel.

– Boliwijczycy opuścili wyścig. Właśnie dzwonili z Paryża, że się poddali.

– Krzyżyk na drogę – mruknął wściekle Lloyd.

– I Kazachowie się nie zgłaszają.

Riegel wypiął telefon z paska.

– Oni się nigdy nie zgłaszają.

– Śmigłowiec Saudyjczyków nie widzi ich na drodze.

– Gdyby walczyli z Gray Manem, usłyszelibyśmy strzały. Nie przejmuj się, chujki pewnie zwały tak jak Boliwijczycy – powiedział Lloyd do telefonu.

Lloyd i Riegel weszli na trzecie piętro. Obaj byli zmęczeni, ale każdy pilnował się, aby ten drugi nie dostrzegł w nim oznak słabości. Kłócili się więc o to, co można było zrobić inaczej i jakie działania należy jeszcze podjąć.

Kiedy pojawili się w centrum kontroli, natychmiast zauważyli stojącego przy oknie pana Felixa z komórką przy uchu. Po kilku sekundach ten szczipły, wciąż elegancki mężczyzna rozłączył się i odwrócił do nich. Następnie przemówił, odzywając się pierwszy raz od wielu godzin:

– Mili panowie, obawiam się, że wasz czas dobiegł końca.

Lloyd podbiegł do niego z dzikim wyrazem twarzy.

– Nie! Zostało nam dziesięć minut! Musi dać nam pan jeszcze trochę czasu. Widział pan, jak wpada do wody. Przecież my go, do kurwy nędzy, zabiliśmy! Potrzebujemy tylko czasu, żeby znaleźć norę, w której się zaszył, by skonać. Niech pan powie Abubakerowi, że widział pan, jak pada...

– Dostaliście wyraźne instrukcje. Mieliście wejść w posiadanie ciała. To przedsięwzięcie wam się nie udało. Przekazałem wieści panu prezydentowi. Przykro mi, ale taki mam obowiązek, rozumie pan.

Szerokie ramiona Riegla opadły. Niemiec odwrócił wzrok. Nie mógł uwierzyć, że Gray Man, jeśli udało mu się przeżyć, nie stawił się, żeby uratować dziewczynki.

– Lada moment go znajdziemy. Abubaker może podpisać kontrakt za godzinę, kiedy opuści urząd – zauważył Lloyd.

– To już nie ma znaczenia. Zawiadomiłem pana prezydenta o waszych postępach... To jest o ich braku. Podpisał kontrakt z waszą konkurencją w chwili, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Nakazano mi wrócić do Paryża i czekać na dalsze rozkazy.

Riegel powoli pokiwał głową.

– Może pan lecieć z naszymi inżynierami. Wyruszą do Paryża w ciągu godziny – powiedział.

Pan Felix przytaknął.

– Bardzo mi przykro, że to przedsięwzięcie wam nie wyszło. Doceniam pański profesjonalizm i mam nadzieję, że kiedyś znów spotkamy się w interesach.

Niemiec i Nigeryjczyk skłonili się sobie. Pan Felix, ignorując Amerykanina, wyszedł z pokoju, by przygotować się do lotu.

Riegel spojrział na Techa.

– Powiadom ekipy. To koniec. Zawiedli. Daj im znać, że po południu skontaktujemy się z ich agencjami w celu wynegocjowania jakiegoś... pocieszenia.

Tech wykonał polecenie, po czym wyłączył znajdujące się przed nim monitory. Ściągnął słuchawki i powoli odłożył je na biurko. Przeczesał palcami długie włosy.

Przez chwilę cała trójka pozostała w centrum dowodzenia, siedząc w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Padające przez okna światło poranka zdawało się pełzać po podłodze w ich kierunku, dręcząc ich przypomnieniem porażki. Mieli przed świtem dorwać cel, a teraz świt z nich kpi.

Lloyd zerknął na zegarek.

– Za pięć ósma. Nie ma sensu tego odwlekać.

Kurt Riegel spoglądał na dno filiżanki po kawie. Był wyczerpany i rozkojarzony.

– Czego odwlekać? – zapytał.

– Obowiązki na pierwszym piętrze.

– Chodzi ci o sir Donalda? – dopytał Riegel. – Zostaw to mnie. Tobie to wieki zajmie.

Lloyd pokręcił głową.

– Nie tylko o Dona. O wszystkich. O całą czwórkę.

Riegel spojrział na niego.

– Co ty wygadujesz? Chcesz zabić kobietę? Dzieci?

– Powiedziałem Gentry'emu, że jeśli się nie pokaże, to zginą. Nie ma go. Nie rób takich wielkich oczu, do cholery.

– Nie pokazał się, to znaczy, że nie żyje. Po co masz karać truposza, idioto?

– Trzeba było się lepiej starać. – Lloyd wyciągnął srebrny pistolet automatyczny i trzymał go w spuszczonej dłoni. – Nie przeszkadzaj mi, Riegel. To ja tu dowodzę.

– Już niedługo – wycedził groźnie potężny Niemiec.

– Może i tak – powiedział Lloyd. – Ale wciąż mam zadanie do wykonania i nie widzę, jak byś miał mnie powstrzymać. Możesz się świętoszkowato unosić, jeśli chodzi o tę rodzinę, ale prawda jest taka, że wiesz, iż będą w stanie nas zidentyfikować. I nas, i to miejsce. Muszą zginąć – zdecydował, po czym odepchnął Riegla i wyszedł na korytarz.

Na biurku Techa zadzwonił telefon sir Donalda Fitzroya. Lloyd natychmiast wyłonił się zza drzwi. Młody technik szybko usiadł i założył słuchawki. Do pokoju wszedł zaciekawiony pan Felix z teczką w rękach. Przez ramię miał przewieszony camelowy płaszcz przeciwdeszczowy.

Tech włączył głośniki.

– Słucham! – rzucił Amerykanin.

– Dzień dobry, Lloyd! Jak leci?

\* \* \*

– Spóźniłeś się, Court. Straciliśmy kontrakt, a więc poniosłeś klęskę. Fitzroyowie już mi nie są do niczego potrzebni. Właśnie szedłem do nich postrzelać. Masz ochotę posłuchać?

– Teraz są ci potrzebni żywi bardziej niż kiedykolwiek.

Lloyd uśmiechnął się.

– O, czyżby? Czemu niby?

– Jako twoja polisa na życie.

– Serio, Court? Widziałem, jak wczoraj zleciało ci się z mostu. Nie mam pojęcia, gdzie się znajdujesz, ale na pewno nie jesteś w położeniu do...

– Zapomnij o kontrakcie z Abubakerem. Nie przejmuj się, że cię wyleją. Nie zaprzataj sobie głowy tym, że pewnej zimnej nocy zbiry Riegla zapukają do twoich drzwi. Nie zważaj na wszystkie czekające cię w przyszłości kłopoty. W tej chwili tylko ja stanowię prawdziwe zagrożenie twojego życia.

– W jaki sposób masz stanowić zagrożenie...

– Bo jestem uzbrojony po zęby, piekielnie zły, a do tego stoję pod twoimi drzwiami.

Centrum dowodzenia ogarnęła panika. Riegel błyskawicznie podbiegł do okna i koniuszkiem palca odsunął koronkowe zasłony. Wyjrzał na zamglony trawnik.

Tech sięgnął przez biurko po radio i gorączkowym szeptem przekazywał informacje do straży rozmieszczonej na terenie posesji. Pan Felix wyciągnął komórkę i wybiegł na korytarz, wciskając przyciski.

Tylko Lloyd się nie poruszył. Stał, jakby stopy miał przytwierdzone do podłogi.

– Błefujesz. Wydaje ci się, że wypuszczę Fitzroyów tylko dlatego, że twierdzisz, iż jesteś pod pałacem? Czy ty mnie masz za skończonego idiotę?

– Owszem, za idiotę z kończącą się datą ważności. Zakładam, że wasza firmowa kostucha też słucha, więc Riegel, to się tyczy i ciebie. Jeśli któremukolwiek z dzieci lub pani Fitzroy spadnie włos z głowy, to zginiecie w tym pięknym domu.

– Dzień dobry, Gentry. Skoro już jesteś niedaleko, to może wejdiesz frontowymi drzwiami? I tak straciliśmy kontrakt z Lagos, nie mamy po co cię zabijać. Odwołaliśmy ekipy zabójców. Już, jak to się mówi, po ptokach. Jeśli naprawdę jesteś w okolicy, zapraszamy na kawę – odezwał się Riegel.

– Jeśli macie wątpliwości, czy na pewno jestem w okolicy, to spróbujcie się skontaktować z tymi czterema śmierzdelami z niebieskiego Citroëna.

Zrozumieli dopiero po chwili. Riegel nie miał pojęcia, czym jeździli Kazachowie, Tech natomiast nerwowo próbował się z nimi połączyć. Nie otrzymał odpowiedzi, po czym spojrzał na przełożonych przerażonym wzrokiem.

– To naprawdę imponujące, że człowiek w tym stanie dał radę zlikwidować czterech najlepiej wyszkolonych ludzi bez oddania jednego strzału. Ale jak już mówiłem, nie obchodzi nas już twoja śmierć. Proszę przyjść, a my... – Riegel nie dokończył.

– Uwolnijcie Fitzroyów i przekażcie mi dokumenty agentów Sekcji Działań Specjalnych albo wszyscy w tym domu zginą!

Lloyd milczał. Stał, podpierając rękami boki. Przepocone rękawy koszuli miał podwinięte aż po łokcie. Poruszył się. Gwałtownie przeszedł przez pomieszczenie aż do biurka Techa i nachylił się nad mikrofonem:

– No to na co, kurwa, czekasz, kulawy kutasie? Już idę z brzytwą popodrzynać gardziółka małym suczkom...

Riegel odciągnął prawnika od telefonu i pchnął nim z całej siły na ścianę. Następnie nachylił się nad mikrofonem i powiedział:

– Halo? Czy możemy mieć chwilę na przedyskutowanie propozycji? Wiesz, jak to jest w korpo, trzeba wszystko przegłosować na zebraniu zarządu.

– Jasne, Riegel. Zaraz oddzwonię. Nie ma pośpiechu.

Połączenie zostało przerwane.

\* \* \*

– Sprowadź tu wszystkie ekipy, natychmiast! – wrzasnął Lloyd do Techa.

Riegel podniósł rękę, dając znak technikowi, żeby się wstrzymał. Kiedy się odezwał, w jego głosie słychać było większe opanowanie:

– A to po co, Lloyd? Tu już nie chodzi o kontrakt. Zawody skończone.

– Ale Gray Man wciąż żyje i do tego jest w okolicy!

– To już nasz osobisty problem, a nie problem LaurentGroup. Marc Laurent nie wyda złamanego grosza, żeby zagraniczne ekipy zabójców chroniły nasze tyłki. Już nie ma dwudziestu milionów dolarów nagrody.

Ten szczegół niewątpliwie umknął Lloydowi. Wzruszył ramionami.

– Ale nie musimy im tego mówić.

Riegel pokręcił głową.

– A więc teraz, zamiast walczyć z jednym ciężko rannym gościem, wolisz wkurzyć *monsieur* Laurenta i sześć agencji bezpieczeństwa różnych krajów, a potem stanąć w szranki z naszą firmą i sześcioma państwami? Od dawna wiem, Lloyd, że masz nierówno pod sufitem. To już stwierdziliśmy. Ale nie przypuszczałem, że masz tak duże skłonności samobójcze.

Tech zerkał to na jednego, to na drugiego z przełożonych, czekając na polecenia. W pewnym momencie przechylił głowę i przyłożył rękę do słuchawek.

– Ale, ale! Wszystkie ekipy i tak tu jadą!

– Dobrze – odparł z ulgą Lloyd, zadowolony, że sprawa wydaje się załatwiona.

– Dlaczego? – zapytał Riegel.

– Pan Felix dał im cynk. Oferuje dwadzieścia milionów gotówką od Abubakera ekipie, która zabije Gray Mana.

– Doskonale! – krzyknął Lloyd. – Jak szybko tu...

– Wcale nie doskonale! – odparł Tech. – Powiedział im, żeby zabić każdego, kto stanie im na drodze, w tym inne ekipy! Czyli także nas. Będą się bić o głowę Gentry'ego tu, na naszym podwórku!



Kurt Riegel nie wahał się ani chwili.

– Sprowadź całą mińską ekipę do środka! Ostrzeż Serge’a, Alaina i trzech ochroniarzy z Wielkiej Brytanii. Musimy chronić te mury przed każdym zagrożeniem! I przed Gray Manem, i przed ekipami.

Teraz Tech spojrzął znad ekranu na Riegla.

– Libijczycy będą tu lada moment! A Saudyjczycy już latają nad nami!

Riegel po raz ostatni wyjrzał przez okno.

– Zadzwoń do LaurentGroup w Paryżu. Niech przyślą po nas helikopter do ewakuacji! Następnie skontaktuj się z ekipami, przekaz, że wciąż możemy pracować razem. Powiedz im, że Court jest na zewnątrz i że nikogo nie wpuszczymy do środka. Muszą go zabić, zanim tu wejdzie.

Tech obrócił się w fotelu i zadzwonił do siedziby firmy.

\* \* \*

Gentry nie miał zamiaru oddzwaniać do Riegla. Każda sekunda zwłoki w atakowaniu Château Laurent to prezent dany oblężonym na przygotowanie się do przeszukania terenu i sprowadzenie posiłków, a w tym czasie mogli zabić dziewczynki.

Nie, musiał działać natychmiast. Leżał w sadzie z tyłu posesji, spoglądając na skąpany w świetle poranka ogród. W szarej mgle udawało mu się dostrzec ledwo widoczny zarys wielkiej budowli na niewielkim wzniesieniu. Po przeskoczeniu muru przeszedł czterysta metrów, ale wciąż do Château Laurent zostało ich ze sto osiemdziesiąt.

Najbardziej niepokoiła go konieczność przebycia otwartego trawnika. Kiedy tylko wyrwie się zza osłony drzew i wciąż unoszącej się w powietrzu ciężkiej mgły, będzie całkowicie odsłonięty. Ponadto nad posiadłością zatacza kółka jakiś helikopter. Nie widział go, ale odgłos donośnego śmigła rozślawiał jego obecność w przestworzach.

To nie byłoby łatwe zadanie nawet bez licznych ran i pękniętych szwów, ale nie mógł się nad sobą rozczulać – nie ma czasu do stracenia. Court podniósł się najpierw na kolana, następnie powoli przykucnął. Na lewej ręce poczuł świeżą krew. Wiedział, że znów swobodnie płynie z rany brzucha. Do tego duża dawka zażytej niedawno amfy znacząco zwiększa utratę krwi.

– A pieprzyć to wszystko – powiedział na głos. Odpiął M4 i wziął je do rąk.

Wstał. Następnie pobiegł do przodu ostatkiem sił, które mógł z siebie wykrzesać.

\* \* \*

Kiedy Tech zawiadomił kordon bezpieczeństwa rozstawiony wokół pałacu, że Gray Man znajduje się gdzieś w pobliżu, Serge pognał z kuchni do biblioteki i ponownie włączył monitory. Wiedział, że kamery na podczerwień wyłapią każdego, kto kryje się we mgle. Niecierpliwie wpatrywał się w przesyłane obrazy. W końcu wypatrzył go. Sięgnął ręką po leżące na biurku radio.

Nadał wiadomość do wszystkich jednostek w pałacu.

– Widzę ruch z tyłu! Ruch z tyłu! Jeden mężczyzna, zbliża się bardzo szybko!

Na falach rozległ się głos Lloyd'a:

– Gdzie? Gdzie on, kurwa, jest?

– Zbliża się przez sad! *Mon Dieu*, ale on pędzi!

– Gdzie w sadzie? – wrzasnął Lloyd.

– Biegnie przez środek!

Na tym samym kanale odezwał się obserwator z wieży. Jego głos z mocnym białoruskim akcentem był spokojny i opanowany, w przeciwieństwie do histerycznego skrzeku Lloyd'a.

– Nie widzę celu. Nie widzimy... Chwila. Tak. Jest. Jeden, z dużą prędkością! Załatwimy go!

\* \* \*

Maurice zostawił Gentry'emu imponujący arsenał, ale emerytowany szpieg zdecydowanie należał do starej szkoły, jeśli chodzi o udogodnienia, więc Court zmuszony był używać broni, która nie do końca odpowiadała jego potrzebom. Choćby to, że karabin marki Colt, który właśnie dzierżył w dłoni, był wyposażony w celownik mechaniczny, nie miał ani lunetki, ani celownika holograficznego, czyli żadnej wyrafinowanej magii technicznej, którą Gentry tak uwielbiał. Kiedy wybiegł z mgły, z każdym bolesnym krokiem szaleńczego sprintu zarys budowli stawał się coraz wyraźniejszy. Dostrzegł wznoszącą się nad pałacem wieżę.

Wiedział, że czai się tam snajper, który z pewnością jest strzelcem niezwykle wprawnym, z najlepszym możliwym celownikiem i karabinem. A do tego z największymi możliwościami, żeby przerwać to idiotyczne jednoosobowe natarcie.

Gray Man podniósł karabin na ramię, wciąż w pełnym sprincie. Celny strzał w biegu przy celowniku mechanicznym był niemożliwy. Chodziło mu o to, aby wyrzucić jak najwięcej pocisków w stronę wieży, zmusić przeciwników do chowania głów do czasu, aż dotrze do ścian budynku. Wiedział, że wewnątrz nie będzie nikogo tak doskonale wyszkolonego czy tak doświadczonego w walce w przestrzeniach zamkniętych jak on. Jeśli chciał mieć jakąkolwiek szansę, musiał po prostu utrzymać się przy życiu na tyle długo, aby znaleźć się w pomieszczeniu.

\* \* \*

Snajper dostrzegł cel wylaniający się z mgły. Mężczyzna biegł, a za nim wirowały strużki pary wodnej. Trzydziestoletni Białorusin namierzył Gray Mana i skierował celownik w jego klatkę piersiową. Położył palec na spuście, przygotowując się na szybki strzał. Zauważył, że Gray Man ma na sobie nie tylko kamizelkę taktyczną, ale także kuloodporną, więc obniżył o milimetr kolbę dragunowa, kierując tym razem celownik w czoło. Kiedy koniuszkiem palca już prawie naciskał spust, wyczuł, że cel podnosi broń. Zobaczył błysk na końcu lufy i usłyszał strzał z karabinu. Rozległy się trzaski i wybuchy na zewnątrz kamiennodrewnianej konstrukcji wieży. Powietrze wokół snajpera wypełniło się dymiącym kurzem, wzbitym, gdy szybkie serie pocisków płaszczowych siekały cegły. Z lewej strony rozległ się krzyk obserwatora, ale nie rozproszyło to snajpera. Ani na chwilę nie zdjął policzka z karabinu, nie spuścił oka z celownika.

Zdecydowanie przycisnął spust karabinu wymierzonego w pędzącego mężczyznę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Pędząc, Gentry wystrzelił już prawie cały trzydziestopociskowy magazynek w górującą nad pałacem wieżę. Chciał oddać w nią kilka celniejszych strzałów, więc podniósł czarny karabin do poziomu oczu, próbując wymierzyć przez celownik przeziernikowy na uchwycie bocznym. Broń trzasnęła mu w twarz, wypadła z rąk i poszybowała.

Court biegł dalej pozbawiony broni.

Po nie więcej niż czterech, może pięciu krokach po mokrym trawniku, z twarzą bolącą od uderzenia kolbą, dotarło do niego, że karabin został trafiony jakimś strzałem. Choć już go nie miał, zrozumiał, że uratował mu życie, odbijając pocisk skierowany w jego głowę. Nie zwalniając tempa, ściągnął pistolet maszynowy MP5 przypięty do klatki piersiowej. Ponownie strzelił w stronę wieży, będącej teraz już niecałe sto metrów od niego. Co prawda, MP5 był dla mężczyzny, biegnącego przez nieosłonięty teren i mierzącego do małego, odległego okienka bez celownika optycznego, skuteczny niczym packa na muchy, ale liczył, że może przynajmniej ci w wieży schowają głowy.

\* \* \*

Snajper zobaczył, że biegnący cofa się, więc podniósł głowę znad lunetki i zajął się towarzyszem w wieży trafionym w twarz odłamkiem ze ściany. Miał złamane okulary i ranę na czole, ale był przytomny i nie odniósł poważniejszych obrażeń. Nagle od strony trawnika dobiegł odgłos kolejnych strzałów. Zaskoczony Białorusin obejrzał się i zobaczył, że człowiek, którego, jak myślał, zabił, wciąż naciera na pałac. Po odgłosach trzymanego przezeń pistoletu snajper zorientował się, że Gray Man musiał zmienić broń na pistolet maszynowy kaliber 9 milimetrów. Dopadł stołu, na którym leżał jego dragunow. W mniej niż dwie sekundy wrócił do pozycji za celownikiem. Nagle rozległy się kolejne odgłosy strzelaniny, tym razem za Białorusinem, po drugiej stronie budynku. Przez chwilę

mężczyzna nie rozumiał, co się właściwie dzieje, do czasu, kiedy przez radio leżące na stoliku usłyszał głos jednego z rodaków:

– To Libijczycy! Są przed bramą frontową. Wieża, zlikwiduj ich!

Snajper niechętnie podniósł dragunowa i przeniósł go na drugą stronę wieży. Już nie musiał zawracać sobie głowy Gray Manem. Teraz jego zadaniem było zajęcie się na dystans Libijczykami.

A Gray Man już nie był celem odległym. Stał się celem bardzo bliskim.

Tuż za wieżą, w której znajdował się snajper, czarny eurocopter unosił się nad przejściem przez dach. Czterech uzbrojonych po zęby i opancerzonych agentów z Arabii Saudyjskiej wyskoczyło z niego i spadło dwa metry niżej na wschodnią część dachu. Nie zważali na prowadzoną od frontu strzelaninę, zajmując pozycje za dekoracyjnymi blankami wychodzącymi na trawnik i tym samym na samotnego człowieka biegnącego przez otwartą przestrzeń.

\* \* \*

Kiedy Gentry znalazł się bliżej budynku, zmienił cel ostrzału z wieży na okna parteru, zza których błyskały wystrzały. Opróżnił pierwszy magazynek. Ściany wokół niego były podziurawione, wszędzie leżały zakurzone odłamki pokruszonego granitu. Szyby pękały, koronkowe draperie falowały na boki, ale kilka pocisków trafiło do celu. Nielatwo było strzelać w pełnym biegu, a oddanie idealnego strzału graniczyło z cudem. Court nie zobaczył już więcej błyszczących luf zza okna, dostrzegł natomiast elegancki, czarny eurocopter na dachu i mężczyzn, którzy z niego wyskakowali.

– Kurwa mać! – zaklął. Był wciąż ponad sześćdziesiąt metrów od najbliższej osłony. Zmusił się do jeszcze szybszego biegu w nadziei, że uda mu się dotrzeć jak najbliżej budynku, zanim mężczyźni na dachu zdołają przyjąć pozycje bojowe. Tu, na odsłoniętym trawniku, byłby łatwym celem dla wprawnych strzelców.

Gentry wypiął granat odłamkowy z kamizelki, wyciągnął zawleczkę zębami i odrzucił bezpiecznik. Tuż przed nim, w oknie drugiego piętra ukazała się wielka blond postać, która wyciągnęła pistolet i strzeliła przez szybę. Court dał nura przez mokrą zieloną trawę, żeby ominąć kulę, wylądował na prawym ramieniu i potoczył się do przodu. Wstał z przewrotu prosto na nogi.

Bieg i przewrót nadały jego ciału rozpęd, którego użył, żeby wyrzucić granat tak wysoko i daleko, jak się dało. Rzucony z odległości czterdziestu metrów przeleciał łukiem nad gzymsem i wybuchł, niemal trafiając eurocopter, który pośpiesznie oddalił się z pola bitwy. Wybuch ponad głowami Saudyjczyków zabił jednego, a drugiego ranił w szyję i plecy. Pozostali dwaj zdążyli się schować, ale przegapili okazję, by strzelać do celu biegnącego przez odkryty teren.

\* \* \*

Dwóch Białorusinów i dwóch Libijczyków leżało martwych od frontu pałacu. Strażnicy z Mińska zostali zabici nieopodal głównej bramy. Biegli do środka, żeby się ukryć, kiedy samochód pełen agentów z Trypolis wjechał, nie zważając na kraty. Wojownicy z Afryki Północnej strzelali ze škorpionów jeszcze z pędzącego pojazdu. Dwóch Libijczyków dokonało żywota, kiedy samochód zatrzymał się na zwirowym podejździe. Siedzący z przodu agent został trafiony przez snajpera z wieży, a drugi, który zdążył pierwszy wyskoczyć z auta, dostał trzy naboje z kałachów należących do ostatniej pozostałej przed pałacem pary Białorusinów.

Dwóch ocalałych Libijczyków zabiło stojących na podejździe ochroniarzy i skupiło się na bramie głównej do pałacu. Wypuścili serię pocisków w okna po obu jej stronach, zachowując dyscyplinę i odpowiednią odległość, krzycząc, by ich kryć, kiedy przeładowywali broń i zmieniali pozycje.

Dwójka wystrzelił po pół magazynku w każdy z dwóch zawiasów potężnych dębowych drzwi, a następnie kopniakiem je otworzył. Przeładowując, wpadł na znajdujący się przed nim budynek, po czym oberwał dublecik od znajdującego się w sieni ochroniarza z Irlandii Północnej. Libijczyk okręcił się i padł martwy. Ostatni pozostały przy życiu Arab odpowiedział Irlandczykowi škorpionem. Biała ściana holu zabarwiła się krwią i tkanką padającego dryblas.

\* \* \*

Riegel jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Oto Gray Man na celowniku: Gentry miał na sobie ciemnobrązową koszulę z plamami krwi na brzuchu, kaburę udową zwisającą z prawego biodra, szybkoładowarkę z lewego. Na klatce czarną kamizelkę i pistolet maszynowy. Głowę miał ostrzyżoną. Nawet z odległości czterdziestu pięciu metrów Kurt zdawał się dostrzegać zawziętość w oczach.

Kiedy Riegel wyciągał pistolet i celował w biegnącego, dobrze wiedział, że to daleko jak na pistolet ręczny, ale zważywszy na doświadczenie, Niemiec wątpił, że chybi. Tymczasem Gentry dał nura w idealnym momencie, wymykając się jego pociskom, zrobił przewrót, wstał na równe nogi, po czym rzucił granat.

Riegel odruchowo padł na podłogę koło biurka Techa, zakładając, że to on był celem. Wybuch jednak rozległ się wyżej, na dachu. Przez okno dobiegły go krzyki, więc szybko wrócił do poprzedniej pozycji, chcąc oddać jeszcze kilka strzałów w kierunku zbliżającego się Gentry'ego.

Kiedy jednak wyrzwał przez okno, Gray Mana już nie było. Nie miał możliwości powstrzymać go przed wejściem do budynku.

Niesamowite.

Stało się dokładnie tak, jak zapowiadał Gentry poprzedniego wieczoru przez telefon: zwierzyna stała się łowcą.

\* \* \*

Court oparł się z impetem o ścianę pałacu i przeładował broń magazynkiem z uda. Wielki blondyn z pistoletem stał dwie kondygnacje nad nim. Jeszcze wyżej byli strzelcy z helikoptera. Podejrzewał, że udało mu się trochę przerzedzić ich szeregi, ale nie łudził się, że całkowicie wyeliminował czyhające na dachu niebezpieczeństwo.

Po lewej i prawej stronie miał okna na wysokości bioder. Szkło rozbite jego pistoletem sprawiło, że wejście przez nie bez uprzedniego przygotowania terenu było niebezpieczne. Po lewej wypatrzył schodki prowadzące do wejścia z tyłu, za rogiem, też po jego lewej znajdował się podjazd frontowy, na którym toczyła się walka, a po prawej rozciągała się długa ściana z rzędem okien, a następnie małymi drzwiami na końcu. Skulony pognał wzdłuż tej ściany, ocierając się ramieniem o kamień, próbując ukryć się przed znajdującymi się wyżej najemnikami.

Był już bardzo blisko drzwi, które nagle otworzyły się na zewnątrz. Gentry podniósł broń gotów strzelać, ale w ostatniej chwili się zawahał. A jeśli to któraś z bliźniaczek albo pani Fitzroy? Court zrozumiał, że nie nadawał się do akcji ratunkowych. W trakcie walki miał tendencję do strzelania we wszystko, co się rusza. Teraz musiał czekać kilka sekund, żeby zidentyfikować cel.

Zza framugi wychynęła głowa, wielka i niewątpliwie słowiańska. Kiedy zobaczył wysuwającą się zza drzwi lufę, Gentry był pewien, że może strzelać. Posłał osiem naboju w stronę obranego w biegu celu. Drzwi już miały się zamknąć, ale zatarasowało je ciało padającego najemnika. Gentry wszedł do ciemnego korytarza.

\* \* \*

Słyszając pierwsze odgłosy strzałów dobiegające z tyłu, Claire i Kate Fitzroy podbiegły do pogrążonej we śnie mamy i potrząsnęły nią z krzykiem, żeby się obudziła. Stanąwszy w końcu na nogi, Elise szła chwiejnym krokiem. Dziewczynki przytrzymały ją, każda obiema rączkami, i zaprowadziły do tej części sypialni, gdzie dziadziuś Donald siedział wyprostowany na łóżku z baldachimem. Claire przekazała, że Jim kazał im wszystkim schować się pod łóżko. Dziadzio Donald przytaknął.

Mama zasnęła ponownie z twarzą przytuloną do parkietu. Przestraszone bliźniaczki tuliły się do siebie. Raz po raz wychylały się zza narzuty w stronę drzwi na korytarz. Dziadek wciąż siedział na łóżku.

Gdy rozległ się głośny wybuch na górze, dziadek zawołał strażnika:

– McSpadden! McSpadden!

Claire zobaczyła buty Szkota. Usłyszała rozmowę toczącą się powyżej, choć nie rozumiała wszystkiego.

– Słuchaj, młody. Jeśli chcesz zwiewać, to nie zwlekaj. Ale bądź tak dobry i zostaw nam broń.

– Pierdol się, Fitzroy. Już za późno zmykać. Potrzebuję broni, żeby walczyć z twoim gończym. Przez radio mówili, że już jest w budynku.

– Słuchaj, McSpadden. Jeśli zobaczysz mojego gończego, to broń w rękę będzie ostatnią rzeczą, która cię może uratować. Równie dobrze możesz ściągnąć białe gacie i nimi zamachać nad głową, o ile ich jeszcze nie obsrałeś ze strachu. Słuchaj, młody. Wiesz przecież, co to za przeciwnik. Uratujesz się tylko pod warunkiem, że nam pomożesz.

Claire zobaczyła, że mężczyzna poruszył butami tak, jakby miał zamiar uciec, ale zamiast zwiewać, wrócił do jej dziadka. Schylił się. Dziewczynka dostrzegła, jak



jedną ręką podwija nogawkę, po czym wyjmując z za niej błyszczący srebrny pistolet.

Claire zasłoniła siostrze buzię, zagłuszając pisk.

– Zostawiam rezerwówkę. Mały, sześciostrzałowy.

– Jaki śliczny, młody. No dobra, a teraz zmykaj, wracaj nas strzec na wypadek, gdyby Riegel czy ten psychol Lloyd przyszli nas sprawdzić. Jeśli zobaczysz Gray Mana, to powiedz mu, że jesteś ze mną.

– Jasne, on rzeczywiście będzie chciał ze mną najpierw pogadać. Mam przesrane, Fitzroy.

Stopy strażnika obróciły się i mężczyzna wyszedł z pomieszczenia. Po kilku sekundach dziadzio Donald zsunął się z łóżka i wszedł pod nie, trzymając błyszczący pistolet w dłoni.

– Wszystko będzie dobrze, miłe panie. To już niedługo potrwa. Jimmy po nas idzie.

\* \* \*

Riegel, Lloyd i Tech zostali w centrum dowodzenia na drugim piętrze. Lloyd uzbrojony w pistolet stał przy otwartych na korytarz drzwiach. Ciemnoniebieski kołnierzyk miał rozpięty, poniżej zwisał lekko związany krawat.

Kurt i Tech byli nachyleni nad komputerami, tuż przy rozbitych oknach, pomiędzy dwoma wyjściami z pomieszczenia. Komunikowali się przez radio z pozostałymi przy życiu Białorusinami i francuskimi inżynierami na parterze. Jeden ze Szkotów zaginął, ale drugi Szkot i Irlandczyk wciąż stali na posterunku.

Nagle z dachu dobiegły ich odgłosy wymiany ognia. Niemiec stwierdził, że to pewnie Saudyjczycy z eurocoptera strzelają do ekipy snajperskiej w wieży. Zadzwonił do Szkota i rozkazał, aby stawił się na drugim piętrze i chronił korytarz przed głównym wejściem do ich pokoju.

W tej samej chwili jeden z Białorusinów oznajmił, że Lankijczycy wjeżdżają na podjazd od frontu. Poinformowano o tym snajperów z góry, ale nie otrzymali odpowiedzi.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie podział się Gray Man.

Riegel wiedział, że teraz jego jedynym zadaniem jest przetrwanie. Nie potrzebował zabijać Gray Mana, ta misja się skończyła. Mimo to, gdyby Gentry wszedł do pomieszczenia, czy to z korytarza po prawej, czy z krętej klatki schodowej po lewej – właściwie gdyby ktokolwiek wszedł którymkolwiek z wejść – dostałby trzy strzały z jego wielkiego steyra prosto w twarz jeszcze przed identyfikacją.

Zostało czekanie, aż z siedziby głównej przybędzie ktoś na ratunek.

\* \* \*

Court zamierzał iść przez pałac pochylony, ale ból w podbrzuszu mu to uniemożliwiał. Był gotowy – a wiedział, że nastąpi to prędzej czy później – padać, wywijać fikołki, skradać się, robić co trzeba. Ale bał się, że jeśli konieczne będzie leżeć czy rzucać się na ziemię, to nie podniesie się z powrotem. Szedł więc wyprostowany, niemalże ciągnąc za sobą opuchniętą lewą nogę.

Wchodził właśnie do przepastnej kuchni. Nad sobą usłyszał strzały. Dochodziły z drugiego piętra albo z dachu. Wprawne ucho Gray Mana wylapało, że na parterze, nieopodal sieni, walka właśnie ustała. Usłyszał też, że nadciągnęło nowe niebezpieczeństwo, chyba autem z napędem na cztery koła. Rozpoznał charakterystyczne trzaski kałasznikowów i broni gładkolufowej. Krzyki jednej ze stron zdawały się brzmieć po rosyjsku.

Court przeszedł przez kuchnię. Już prawie dotarł do przejścia na tyły pałacu, z dala od kanonady, kiedy przed nim, w drzwiach pojawił się czarny mężczyzna w brązowym garniturze.

Court wymierzył pistoletem maszynowym w patrzącego z przestraszeniem człowieka.

– Kim jesteś?

– Jestem tylko lokajem, proszę pana. Nie biorę w tym wszystkim udziału.

Gentry chwycił go za gardło i pchnął na ścianę. Przyciskając gorącą lufę do chudej szyi, Amerykanin dokładnie przeszukał więźnia, nie wyczuwając żadnej broni. Wrzucił komórkę nieznanego do garnka z wodą stojącego na kuchence. Nie znalazł też żadnych dokumentów.

– Jak się nazywasz?

– Felix.

- Niech zgadnę: jesteś Felix, nigeryjski lokaj.
- Ależ nie, proszę pana. Ja jestem z Kamerunu.
- Aha, jasne.

Court pchnął mężczyznę w stronę drzwi z tyłu kuchni. Zakładnik trzymał ręce wysoko nad głową. Gentry kroczył kilka metrów za nim. Przeszli przez bogato zdobioną jadalnię z połączonym kominkiem i obeszlą ogromny dębowy stół. Na ścianach wisiały arras i portrety. Wyszli na niewielki korytarz; tuż po lewej stronie zauważyli drzwi.

- Co tam jest? – Gentry szepnął do ucha zakładnikowi.

Tamten się zawahał.

- Yyyy... sypialnia.

- Nie jesteś pewien? Co to za lokaj, który nie zna rozkładu domu?

- Mówiłem... to sypialnia. Ja tu jestem nowy. Strasznie się boję.

– Otwórz je. Zobaczmy, czy masz rację. – Court wyciągnął glocka i celował w korytarz za nim lewą ręką, prawą mierząc w głowę Felixa z MP5.

Mężczyzna w garniturze otworzył drzwi i obrócił się do Gray Mana. Court zajrzał mu przez ramię. Pomieszczenie od podłogi do sufitu wypełnione było półkami z pościelą i kocami. To nie była sypialnia, tylko wielki schowek na bieliznę.

- Jeśli naprawdę jesteś lokajem, to powinni cię wylać.

Felix milczał. Strzelanina przed pałacem trwała.

Court wsadził glocka do kabury i odpiął z kamizelki ostatni granat. Wyciągnął zawleczkę, włożył ją do kieszeni, przytrzymał bezpiecznik i wcisnął granat w spoconą dłoń Felixa. Kiedy Amerykanin upewnił się, że więzień mocno trzyma, powiedział:

– Tylko tego nie upuść. I niech ci się nie wydaje, że możesz tego użyć przeciwko mnie. Bezpiecznik jest ustawiony na sześć sekund. To sporo czasu, żebym cię zastrzelił i skoczył do pokoju obok skryć się przed wybuchem.

Felix zapytał łamiącym się głosem:

- Co ja mam zrobić z...

– Idź przede mną. Zabiorę go od ciebie i puszcę cię, jak tylko dojdę do celu. Nie przejmuj się, niedługo wrócisz do Kamerunu.

Korytarz skręcał w lewo i kończył się na potężnych dwuskrzydłowych drzwiach. Court pchnął do przodu zdeorientowanego mężczyznę, który dwa razy próbował powiedzieć coś z mocnym afrykańskim akcentem. Za każdym razem Gentry go uciszył.

– Otwórz drzwi – rozkazał Court, idąc wciąż za nim.

– Ale ja...

Gentry wycelował pistolet maszynowy w głowę pojmanego.

Felix powoli się odwrócił, otworzył drzwi, trzymając ukryty za plecami granat.

Niemal natychmiast w pokoju rozległy się strzały z pistoletu. Z ciężkich dębowych drzwi trysnęły drzazgi. Felix wpadł przez próg do pokoju.

Court stanął tyłem do linii ognia, z jękiem padł na kolana i policzył do sześciu.

\* \* \*

Serge i Alain ruszyli w stronę drzwi biblioteki w szyku bojowym, trzymając w wyciągniętych przed siebie dłoniach beretty.

Alain zidentyfikował zastrzelonego przez nich mężczyznę.

– To ten Nigeryjczyk.

– *Merde* – zaklął Serge, klikając przycisk na krótkofalówce. W tej samej chwili leżący koło nieboszczyka granat wybuchł.

\* \* \*

I Lloyd, i Tech podskoczyli na odgłos eksplodującego dwa piętra niżej granatu. Dobiegł nie od strony trwającej w holu strzelaniny, lecz raczej z tyłu budynku. Usłyszeli go też przez radio.

Kurt Riegel zaryzykował szybkie spojrzenie przez okno. Zobaczył, jak czarny eurocopter wlatuje i wylatuje przez poranną mgłę, kierując się na południe. Poniżej, nieopodal marmurowej fontanny w ogrodzie skradało się dwóch mężczyzn. Byli niewysocy, wyposażeni w pistolety maszynowe i ubrani w czarne kurtki narciarskie.

– Przyjechała ekipa z Botswany. Albo z Liberii – oznajmił beznamiętnie Riegel.

– Mamy tu prawdziwą organizację narodów zjebanych – mruknął z tyłu Lloyd.

Niemiec patrzył, jak dwóch Afrykańczyków skrada się przez trawnik w stronę schodów i tylnego wejścia. Nie strzelał do nich. Kurt stwierdził, że w tej sytuacji nadejście Botswańczyków prędzej pomoże im, niż przeszkodzi.

– No dobra. Zabarykadujemy się w tym pokoju. Będziemy ich wszystkich odpychać we trzech, aż nadleci helikopter z Paryża – powiedział Riegel.

– Nawet jeśli to przeżyję, ty i tak mnie zabijesz, co nie? – spytał Lloyd.

Riegel odpowiedział, równocześnie wkładając pistolet z powrotem do kabury pod zamszową marynarką.

– Gentry miał rację: naprawdę masz w tej chwili większe problemy niż to, co ja ci kiedyś mogę zrobić. Chodź, pomóż mi. – Podniósł fotel, żeby zabarykadować nim drzwi prowadzące na kręte schody.

– Może i tak – odparł Lloyd. – Ale wolę zajmować się każdym zagrożeniem z jak najlepszej pozycji.

Riegel odwrócony był plecami do Lloyd'a. Przystanął, postawił fotel, wyprostował ramiona i odwrócił się powoli. Amerykanin mierzył w jego klatkę ze srebrnego pistoletu. Dzieliła ich odległość sześciu metrów.

– Odłóż ten cholerny pistolet. Co z tobą? Nie mamy na to czasu. Będzie czas na zajęcie się skutkami tej operacji, kiedy wyjdziemy stąd cało.

Tech siedział za biurkiem i w napięciu wpatrywał się w przełożonych. Milczał.

– Mogłem już mieć sukinsyna. I ocalić kontrakt. To twoja operacja się nie udała, nie moja – syknął Lloyd.

– Skoro tak mówisz, Lloyd.

– Nie... Chcę usłyszeć, jak ty to mówisz. Powoli wyjmij telefon. Zadzwoń do pana Laurenta i powiedz mu, że to twój plan zawiódł. Weźmiesz za to odpowiedzialność.

– I co, i dopiero wtedy mnie zastrzelisz? Zastanów się, Lloyd! Będzie wiedział, że mówię pod przymusem.

Dobiegł ich odgłos strzałów dochodzący z drugiego piętra, na końcu przeciwległego korytarza.

– Musimy się zabarykadować! I to teraz! Później pogadamy! – rzucił Riegel.

– Wyciągaj telefon, Riegel. Zadzwoń do Laurenta. Żadnych sztuczek.

Kurt westchnął i powoli sięgnął prawą dłońią do kieszeni marynarki. Patrzył prosto na Lloyda. Zamiast telefonu oplótł jednak palcami kolbę steyra. Kiedy zaczął wyciągać pistolet gotowy rzucić się na ziemię, kryjąc się przed nieuniknionym strzałem prawnika, zauważył, że spojrzenie Lloyda skupiło się na czymś za nim. Kurt skorzystał z okazji, dobywając steyra, którego wymierzył w klatkę piersiową Amerykanina. Już miał strzelić do rozkojarzonego Lloyda, kiedy z tyłu rozległ się głos:

– Czyżbym przyszedł nie w porę?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

– Ale krwawisz, Court – powiedział Lloyd, cały czas mierząc w Riegla. Stał zwrócony plecami do otwartych drzwi na korytarz na drugim piętrze, ale oczy miał utkwione w zakrwawionym mężczyźnie. Gray Man wszedł bezszelestnie drzwiami od strony krętych schodów i wycelował w Lloyda, kiedy prawnik skupiony był na sięgającej do kieszeni ręce Kurta. Celował z pistoletu maszynowego w klatkę piersiową Lloyda.

– Rzuć spluwę – rozkazał Gentry.

– Do którego z nas mówisz? – zapytał Kurt, wciąż stojący plecami do Gray Mana. Żeby go zobaczyć, musiałby odwrócić wzrok od Lloyda, a tego nie zamierzał zrobić.

– Jeśli masz spluwę w ręku, dupku, to mówię do ciebie – odparł Court.

– Ty to sobie długo nie pożyczysz, stary. Jesteś blady jak ściana. Słaby. Twoja krew brudzi nam posadzkę – rzekł Lloyd.

– Pożyję wystarczająco długo, żeby ci złoić dupę. Rzućcie broń. Ty, przy stoliku. Rusz się, ale powoli.

Tech pierwszy wykonał polecenie Gentry'ego. Wstał z rękoma wysoko nad głową, trzęsąc się ze strachu. Lloyd zaczął opuszczać pistolet. Kurt Riegel też. Niemiec zerknął na Techa.

Lloyd skorzystał z okazji, że Kurt na niego nie patrzy, i strzelił mu w klatkę piersiową. Niemiec zachwiał się i przewrócił. Steyr wypadł mu z rąk i odbił się od parkietu.

Tech wrzasnął przerażony.

Gray Man wystrzelił serię w Lloyda, który zniknął w drzwiach prowadzących na korytarz.

\* \* \*

Court próbował opanować zawroty głowy, nieunikniony skutek spadku ciśnienia. Zadrżały mu kolana, a oczy się zaszklily. W końcu jego mózg jakby się zresetował, a kiedy oprzytomniał, zorientował się, że opuścił wzdłuż boku pistolet maszynowy. Prędko podniósł go i wycelował w mężczyznę z kucykiem i w słuchawkach, który stał przy biurku z komputerami. Poza drzeniem człowiek ten się nie poruszył, wciąż trzymał trzęsące się ręce nad głową. Gentry zdał sobie sprawę, że przez kilka sekund był narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo. Typ z kucykiem na szczęście był zbyt przerażony, żeby zacząć działać.

– Kim jesteś? – spytał Court.

– Ja jestem tylko technikiem. Zajmuję się łącznością i takimi bzdurami. Nic do pana nie mam.

– Przynajmniej nie próbujesz mi wmówić, że jesteś lokajem.

– Proszę?

Court podszedł do niego z pistoletem skierowanym w stronę otwartych drzwi. Na wszelki wypadek kopnął steyra dalej od ciała Niemca. Na biurku Techa znalazł tajne pliki z danymi agentów.

– To wszystko?

– O ile mi wiadomo, tak.

– Są jakieś kopie zapasowe?

– Chyba nie.

Court podniósł teczki i wrzucił je do kominka. Następnie rozkazał Techowi je podpalić.

Kiedy tylko dokumenty zaczęły płonąć, Gray Man przesunął technika i posadził z powrotem na fotel, przodem do porozstawianego sprzętu.

– Czy to ty komunikujesz się z polującymi na mnie ekipami?

– Ależ nie, to nie ja! Ja tylko zajmuję się elektry...

– Czyli już nie jesteś mi potrzebny?

Słyszając to, Tech zaczął gorączkowo przytakiwać, w sekundę zmienił wersję.

– Ależ tak, odpowiadam za całą komunikację i koordynację pomiędzy artystami chodnikowymi a funkcjonariuszami służb specjalnych!

– Bardzo dobrze. To teraz do nich zadzwoń. Powiedz, że właśnie wyskoczyłem przez okno i zwiewam przez sad, od tyłu.



– Już się robi! – Tech drżącymi rękami majstrował przy konsoli, włączając równoczesne nadawanie na wszystkie kanały. – Info dla wszystkich, tu Tech. Cel właśnie opuścił pałac. Kieruje się na północ, pieszo przez sad.

– Dobra robota. No to ściągnij pasek.

Tech zrobił, jak mu kazał Gentry, i wręczył mu pas.

– Teraz zagryź go z całej siły.

– Co proszę?

– No już!

Z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia i przerażenia Tech wsadził pasek do ust.

– Gryziesz? – spytał Gentry.

Tech pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział Court, po czym uderzył go kolbą w skroń.

Tech zaczął zsuwać się na podłogę, ale Gentry złapał jego głowę i położył twarzą na stole. Następnie wystrzelił cały magazynek w stojące na biurku komputery i radia.

Court poczuł zawroty głowy i się zatoczył, ale wziął się w garść i przeładował broń. Sprawdził płonące w kominku dokumenty. Usatysfakcjonowany tym, że przynajmniej jeden element operacji się udał, wyszedł na korytarz, trzymając przed sobą pistolet maszynowy.

\* \* \*

Claire Fitzroy jako pierwsza usłyszała kroki na korytarzu. Przez kilka minut rozlegały się strzały, chyba tuż pod drzwiami, ale teraz zrobiło się cicho. Ktoś się zbliżał. Ze strachu ścisnęła mocno ramię dziadka. Zdenerwowana, mrugała szybko, ale nie spuszczała wzroku z drzwi na korytarz. Usłyszała dźwięk metalu uderzającego o drewno, szamotaninę, a następnie otwieranie zamka. Drzwi uchyliły się powoli. Claire poczuła, że dziadek mocniej zaciska rękę na trzymanym pistolecie, teraz wymierzonym w dwie pary nóg, które weszły do pokoju.

Lewy but mężczyzny był mokry i czerwony.

– Tu, Ewan, sir Donaldzie! Proszę nie strzelać.

Claire zaczęła się już wyczołgiwać, ale dziadek Donald ją powstrzymał. Kiedy tylko się podniósł, usłyszała rozmowę.

– Cholernie miło cię widzieć, mój drogi! – powiedział dziadek.

– Gdzie są dziewczynki?

Claire od razu rozpoznała głos pana Jima. Teraz nikt nie byłby już w stanie powstrzymać jej przed wyskoczeniem spod łóżka. Natychmiast wypęzła, wstała, podbiegła do niego i wbiła mu się w nogę i w brzuch, tuląc go mocno. Dopiero po kilku sekundach odsunęła się i popatrzyła na niego. Miał na sobie czarną kamizelkę, brązowe spodnie poplamione krwią, a z bioder zwisały broń i jakieś worki. W ręce trzymał karabin, a jego twarz i ogolona na łyso głowa były białe jak papier.

Oczy miał czerwone i pełne łez. Z jego twarzy lał się strumieniami pot, jakby stał w ulewie.

Dziadzius Don też zauważył plamy na ubraniu Jima.

– To twoja krew, młody?

– W sumie nie, chwilowo pożyczam.

– Cholera jasna. Potrzebujesz lekarza.

– Nie jest źle – odparł Gentry i wskazał na stojącego obok Szkota. – Ten typ twierdzi, że jest z tobą.

– Ewan okazał się doprawdy pomocny.

– Ufasz mu na tyle, by mu dać broń?

Fitzroy zawahał się, po czym odrzekł:

– Tak. – Następnie dodał: – Tylko uważaj, McSpadden.

– Tak jest!

Court ściągnął z szyi MP5 i podał ją Szkotowi. Wyjął z kabury u boku glocka i trzymał go prawą ręką.

– Gdzie Lloyd? Wydaje mi się, że go trafiłem, ale mi uciekł. Myślałem, że przyjdzie tutaj po zakładników.

– Nie widziałem pizdy – mruknął dziadzio Donald. Gentry spojrzał na bliźniaczki.

– Don! Zachowuj się, jak na dżentelmena przystało!

– Oj, wybaczcie.

Court rozejrzał się.

– A Elise?

McSpadden i sir Donald wyciągnęli panią Fitzroy spod łóżka za ramiona. Szkot przerzucił ją przez ramię. Ruszył, trzymając przed sobą pistolet maszynowy Heckler und Kocha. Ewan prowadził, za nim kuśtykał sir Donald, dzierżąc stalowy rewolwer. Dziewczynki szły tuż za dziadkiem. Gentry osłaniał tyły, idąc chwiejnie i powoli, opierając się o ściany i poręcze schodów. W pewnym momencie Claire usiłowała mu pomóc, ale on tylko uśmiechnął się, powiedział, że nic mu nie jest, i przykazał, by trzymała się blisko dziadka.

Pochód poruszał się powoli, ponieważ składał się głównie z dzieci, rannych i nieprzytomnej osoby. Kiedy w końcu dotarli do holu na parterze, Gentry zawołał z tyłu:

– Dziewczynki! Patrzcie prosto w plecy dziadka! Nie oglądajcie się na boki, rozumiecie? Nie rozglądajcie się dokoła.

W wielkim holu wyłożonym parkietem i marmurem odbyła się krwawa walka. Za wyważonymi, posiekanymi serią z broni maszynowej drzwiami leżały cztery ciała, pośrodku dwa zakrwawione trupy, a kolejne dwa minęli na klatce schodowej.

Dziewczynki zaczęły płakać. Kate zakrztusiła się cuchnącymi oparami kordytu, pyłu kamiennego i spalonego drewna. U dołu schodów leżał brodaty Arab. Żył jeszcze, jego ciałem wstrząsały drgawki. Grupa byłych zakładników minęła go. Ostatni przeszedł obok niego Court. Ich spojrzenia się spotkały, ale Court nie zatrzymał się, aby mu pomóc.

Gray Man nie okazywał litości swoim wrogom.

Weszli do otwartego salonu, w którym nie było ani śladu toczącej się w sąsiednim pomieszczeniu bitwy. Na ścianach wisiały wielkie rodzinne portrety. McSpadden zatrzymał się, poprawił przewieszoną przez ramię Elise, a Gentry oparł się o ścianę, aby chwilę odsapnąć. W tym momencie przez drzwi po przeciwnej stronie pokoju wszedł mężczyzna bez koszuli. To był jeden z Białorusinów. Miał obwiązaną ręcznikiem ranę na szyi, ale w prawej dłoni wciąż dzierżył kałasznikowa. Widok kroczącej przed nim grupy zaskoczył go. Instynktownie podniósł broń. Sir Donald strzelił do niego z rewolweru, mężczyzna bez koszuli padł przez otwarte drzwi na plecy.

Dziewczynki z piskiem zasłoniły oczy.

Court podniósł powoli głowę, kiedy było już po wszystkim. Nawet nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Szybko spojrzął za siebie, pewien, że zaraz dojrzy przy sobie Lloyda, ale nie było tam nikogo.

Kolana odmówiły mu posłuszeństwa i upadł do tyłu. Wylądował na podłodze. Fitzroy i bliźniaczki podbiegli do niego i próbowali go podnieść, a on powoli odzyskiwał równowagę.

– Wszystko w porządku. Ruszajmy dalej.

Cała szóstka wyszła przez boczne drzwi, a stamtąd na ścieżkę prowadzącą do wysypanego żwirem okrągłego parkingu. Szkot wciąż szedł przodem, niosąc nieprzytomną kobietę przewieszoną przez ramię. Z oddali, ze spowitego mgłą sadu, dochodziły ich odgłosy strzelaniny. Ekipy teraz były się między sobą. Sir Donald wypatrzył wielkiego czarnego sedana bmw z kluczykami w stacyjce i polecił, aby wszyscy weszli do niego jak najszybciej. Court kuśtykał daleko z tyłu. Claire odwróciła się i pobiegła go podeprzeć. Tym razem nie protestował. Gentry oglądał się za siebie, próbując wypatrzeć Lloyda. Kręciło mu się w głowie. Chwiejnie posuwał się w ślimaczym tempie przy pomocy ośmiolatki.

\* \* \*

Claire z całej siły starała się podtrzymać Jima. Zdawało jej się, że z każdym krokiem coraz ciężiej opierał się na jej ramionach. Jęczał i krzywił się, kiedy szli po żwirze w stronę wielkiego czarnego auta. Szkocki ochroniarz dał teraz broń dziadziowi i położył mamę na tylnym siedzeniu. Kate wsiadła z nią. Ochroniarz zajął miejsce za kierownicą, a dziadek obok niego. Włączył silnik. Court pchnął lekko Claire, żeby pobiegła do samochodu.

Posłuchała i odwróciła się, chcąc pomóc wsiąść wybawcy. On był tylko kilka kroków od auta, już się zbliżał. Ich wzrok się spotkał. Uśmiechnął się słabo.

Od strony pałacu dobiegł strzał. Claire patrzyła na ich obrońcę; jego oczy zrobiły się wielkie. Amerykanin upadł kolanami na żwir, spojrzął na Szkota za kierownicą i zawołał:

– Jedź!

Auto ruszyło do przodu, zatraskując drzwi od strony Claire. Z piskiem odwróciła się i wyjrzała przez szybę, bijąc w nią piąstkami.

Za nimi, na żwirze, Court zachwiał się, po czym upadł twarzą na ziemię.

Chmura kurzu wzniecona przez odjeżdżający samochód zasłoniła dziewczynce pozostawionego z tyłu mężczyznę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Court pełził przez żwir, podciągając się na rękach. Ledwo poruszał nogami. Kamyki przykleiły się do krwi na jego przedramionach i twarzy, a także do potu na głowie. Od trawnika dzieliło go czterysta pięćdziesiąt metrów. A stamtąd niecałe dwieście do skraju sadu. W tym tempie dotarłby do pierwszej możliwej kryjówki po zmroku.

Owszem, sytuacja była beznadziejna, ale poruszał się już nie za pomocą logiki, tylko instynktu. Musi się wydostać ze strefy śmierci. Kierunek nie ma znaczenia.

– Hejże, panie twardziel! A ty niby dokąd się wybierasz?! – Z tyłu dobiegł go krzyk Lloyda. Następnie rozległ się tupot stóp na żwirze. Coraz bliżej.

– Cóż, muszę przyznać... twoja reputacja jednak nie jest przesadzona. Sfajczyłeś dokumenty i udało ci się ewakuować Fitzroyów. Wygląda na to, że zdołałeś uratować wszystkich poza sobą.

Court wciąż pełził na zakrwawionych przedramionach na mokry trawnik. Lloyd postawił stopę na jego plecach, aby go zatrzymać. Gray Man obejrzał się przez ramię, nawet się nie krzywiąc. Prawnik trzymał przed sobą małą berette. Jego lewa ręka i ramię były pokrwawione i zwiotczałe. Lloyd wydawał się nie przejmować ranami.

– Tak, strzeliłem ci w plecy. Owszem, to niespecjalnie szlachetnie z mojej strony. Nie wiedziałem, że masz na sobie kamizelkę kuloodporną. Ale pewnie i tak bolało, co?

Court powoli przetoczył się na plecy. Poranne niebo stało się bardziej niebieskie, odkąd wszedł do pałacu, czyli jakiś kwadrans wcześniej. Lloyd stał nad nim i patrzył z góry. Court wiedział, że przy upadku zgubił glocka. Nie miał siły nawet podnieść głowy i poszukać go wzrokiem.

– Nadal cię nie pamiętam, Lloyd – powiedział Gentry, zanosząc się świszczącym kaszlem.

– Cóż, może w piekle mnie nie zapomnisz. W końcu moja twarz to ostatnia rzecz, którą zobaczysz.

Lloyd skierował pistolet na twarz Courta Gentry'ego. Rozległ się strzał.

Młody prawnik przechylił ze zdziwienia głowę i zatoczył się o pół kroku. Na jego wargach i w nosie ukazała się krew. Wciąż nie spuszczał wzroku z Gentry'ego, choć teraz mrużył oczy. Opanował się i znów podniósł broń, celując w Courta.

Z tyłu padł kolejny strzał. Tuż po nim jeszcze jeden. Z każdym trzaskiem Lloyd trząśił się coraz bardziej. Beretta wystrzeliła, ale teraz skierowana była w ziemię u jego stóp. Nabój wzbił białe kamyczki pomiędzy nogami Gentry'ego.

Lloyd puścił pistolet, który poleciał na żwir, po czym padł na swoją broń martwy.

Przez kilkanaście sekund Court gapił się w niebo. W końcu zmusił się do spojrzenia na pałac. W rozbitym oknie drugiego piętra stał Riegel, który teraz miał na celowniku Gentry'ego.

Niemiec powoli opuścił broń.

Przez parę sekund mężczyźni patrzyli na siebie. Obaj byli zbyt słabi, by coś powiedzieć, i zbyt daleko od siebie, aby utrzymać kontakt wzrokowy. Jednak ta chwila była okazaniem sobie wzajemnego szacunku przez dwóch wojowników, z których każdy doceniał działania drugiego.

W końcu Kurt Riegel zatoczył się do tyłu i zniknął z pola widzenia.

Głowa Courta opadła na trawę. Mimo dzwonięcia w uszach udało mu się rozpoznać charakterystyczny dźwięk nadciągającego śmigłowca. To nie był czarny eurocopter, tylko większa maszyna, statecznie nadlatująca ze wschodu.

Nie podniósł głowy znad trawy, ale udało mu się przetoczyć na bok i dostrzec, że jakieś siedemdziesiąt metrów od niego ląduje wielki biały Sikorsky. Z boku widniał błękitny napis: „LaurentGroup”. Z helikoptera wyskoczyło sześciu uzbrojonych najemników. Ostrożnie szli w stronę pałacu. Za nimi wyszło trzech mężczyzn w pomarańczowych kurtkach z plecakami: lekarze czy ratownicy. Następnie, schylając się pod wciąż wirującym śmigłem, pojawiło się trzech mężczyzn w garniturach. Jeden z nich trzymał notatnik, kolejny niósł dwie wielkie walizki, a trzeci – wyraźnie starszy od pozostałych, był w płaszczu narzuconym na plecy niczym peleryna.

Wyglądał na Francuza.

Court przestał rejestrować tę aktywność i wrócił do podziwiania przepięknego nieba. Po minucie – albo dziesięciu – stanął nad nim ktoś z karabinem, ale zdawał się bardziej zainteresowany leżącym koło niego ciałem Lloyda niż nim. Krzyknął coś do radia po francusku.

Po chwili nadeszli trzej mężczyźni w garniturach. Widząc ich, Court podniósł się na łokciach.

Gentry nie znał starszego mężczyzny w płaszczu przypominającym pelerynę, ale z jego postawy i wyraźnej dominacji nad pozostałą dwójką wywnioskował, że to Marc Laurent we własnej osobie.

– Przypuszczam, że mam przyjemność z *monsieur* Gentrym?

Court nie odpowiedział. Mały człowieczek z notatnikiem stojący po prawej Laurenta zrobił krok do przodu i kopnął go wyglądającym na dość drogi butem. Court jednak nie czuł ani tego, ani niczego innego – właściwie stracił czucie w całym ciele.

– Kiedy *monsieur* Laurent o coś pyta, to się mu odpowiada!

– W porządku, Pierre. Pan jest niedysponowany – stwierdził Laurent, po czym spojrzał na ciała, rozbite szkło oraz dym unoszący się z dachu jego rezydencji. – Pierre? Notuj: musimy zmienić miejsce tegorocznego wyjazdu bożonarodzeniowego rady nadzorczej. Wątpię, żeby do tego czasu udało nam się wysprzątać rezydencję.

– *Oui, monsieur* Laurent.

– Panie Gentry, widzę, że leży tu młody Lloyd. Wydaje się równie przydatny co zwykle. Czy może przypadkiem orientuje się pan, gdzie mogę znaleźć *Herr* Riegla?

Court odpowiedział cicho i sennie:

– Lloyd go zabił, a on zabił Lloyda. Tuż przed moim przybyciem miały miejsce jakieś międzywydziałowe niesnaski pańskich pracowników.

– Ach tak... – Laurent wzruszył ramionami, jak gdyby jego pracownicy ginęli i było to na porządku dziennym, a on się tym faktem nie przejmował.

– Nie miałem pojęcia, co tu się działo – oznajmił Francuz.

Gentry milczał. Laurent obwieścił to w sposób, w jaki robią ludzie posiadający wielką władzę, gdy przyjdzie im ogłaszać coś nieprawdziwego. Wcale nie obchodziło go, czy Gray Man mu uwierzył, czy nie. Czczą gadanina, jak gdyby chciał odbębnić jakiś prawny obowiązek.



Kolejne słowa Laurenta jednak zaskoczyły Courta.

– Potrzebuję... człowieka – powiedział, po czym rozejrzał się po rozświetlonym porankiem ogrodzie. – Bo widzi pan, mam kłopot. Pewien jegomość, z którym od wielu lat prowadziłem interesy, przestał być dla mnie użyteczny. I jakby tego było mało, jest on w posiadaniu informacji, które mogą zniszczyć reputację moją i mojej firmy. Pozwolenie mu na dalsze prowadzenie działalności nie leży w naszym interesie.

Marc Laurent wydawał się prawie znudzony. Podziwiał swoje wymanikiowane paznokcie.

– Tak się składa, że pan jest, zdaje się, specjalistą od tego typu zadań. Czy ma pan w najbliższym czasie wolne terminy?

Court podparł się łokciami, leżąc na mokrej trawie. Spojrzał na ciało Lloyda.

– Tak się składa, że obecnie jestem dość zajęty – powiedział w końcu.

Laurent machnął lekceważąco ręką.

– Och, ależ ja pomogę.

– Byłoby miło – odparł Court, co było dużym niedopowiedzeniem.

– Poza tym, o ile mi wiadomo, i panu może z powodów jakże oczywistych zależeć na zgonie byłego prezydenta, obecnie szarego obywatela Juliusa Abubakera. Chodzą plotki, że to pan zlikwidował mu brata, a obecnie był prezydent zajmuje się organizacją kolejnych zamachów na pańskie życie.

Court zamrugał, zanim odpowiedział.

– Też obilo mi się to o uszy.

Laurent pokiwał głową.

– Abubaker wysunął pod moim adresem pewne pomówienia. Rzecz jasna, wszystkie są wyssane z palca. Prowadzę firmę, której podstawą jest uczciwość i nieskazitelna przejrzystość.

Gentry nie zmienił wyrazu twarzy.

– Nie wątpię.

– Ale cóż, czasem takie sensacyjne bzdury zaczynają żyć własnym życiem i mogą niepotrzebnie niepokoić, przyciągać niezycziwą uwagę niektórych instytucji. Wolałbym tego uniknąć, jeśli się da.

– Czyli chce pan, abym go zlikwidował.

Laurent pokiwał głową.

– Sowiec pana wynagrodzę.

Court się zawahał.

– Widzę tylko jeden problem z pańską propozycją.

Francuz podniósł ze zdziwieniem brwi.

– Mianowicie?

– Właśnie wykrwawiam się na śmierć.

Laurent zarechotał i pstryknął palcami. W jednej chwili pojawiła się trójka pomarańczowo odzianych mężczyzn z noszami.

– Ależ, młody człowieku, to żaden problem – powiedział Laurent, kiedy Court stracił przytomność. Ta rozmowa wróciła do niego we śnie, zdecydowanie najdziwniejszym i najbardziej absurdalnym, jaki miał kiedykolwiek.

## EPILOG

Do przerwy świątecznej zostały tylko cztery dni. Mamusia powiedziała dziewczynkom, że jeśli chcą, to mogą wrócić do szkoły dopiero po Nowym Roku. Kate z tego skorzystała, ale Claire postanowiła jednak pójść na zajęcia. Utrzymanie stałego, regularnego rozkładu zajęć jest kluczowe dla dziecka. Poza tym chciała, żeby życie jak najszybciej wróciło do normy.

Być może wtedy uda jej się zapomnieć.

Bardzo chciałyby nie pamiętać pogrzebu tatusia, zapomnieć o pobycie we francuskim pałacu, pragnęła wymazać wspomnienia tych odgłosów, przerażenia, broni i krwi. Wolałyby nie myśleć o tym, że zostawili tam pana Jima. Dziadzius Donald przysięgał, że Amerykaninowi udało się uciec, ale już nie wierzyła w cokolwiek, co on mówił.

Wiedziała, że Jim, tak jak tatuś, nie żyje.

Weszła do Hyde Parku. Zawsze skracала sobie drogę do szkoły przez park, znała alejki na pamięć. Najpierw maszerowała zdecydowanym krokiem przez North Carriage Drive, następnie skręcała na ścieżkę prowadzącą do North Row, a stamtąd już do szkoły przy North Audley Street. Mamusia upierała się, żeby ją odprowadzić, ale Claire się nie zgodziła. Chciała, żeby wszystko było tak jak wtedy, kiedy tatuś był z nimi. Uparła się, żeby chodzić i wracać ze szkoły sama.

Na ławce przy ścieżce siedział jakiś pan. Nie zwróciła na niego większej uwagi, dopóki nie zawołał jej po imieniu, kiedy go minęła.

– Cześć, Claire.

Dziewczynka zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. Kolana ugięły się pod nią, aż upuściła torbę z książkami na ścieżkę.

– Nie chciałem cię przestraszyć. Twój dziadek wspomniał, że nie wierzysz, iż naprawdę nic mi nie jest. Postanowiłem więc przyjść i pokazać ci, że wszystko ze mną w porządku.

Uścisnęła go mocno, choć jeszcze nie do końca dotarło do niej, że to naprawdę on.

– Ale pan... pan był tak okropnie ranny. Czy czuje się pan dobrze? – zapytała przez łzy radości.

– Już mi znacznie lepiej. – To mówiąc, wstał, uśmiechnął się i przeszedł kilka kroków do przodu i wrócił. – Widzisz, już nawet nie muszę się o ciebie opierać, żeby iść.

Claire roześmiała się i znów go przytuliła. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Proszę od razu do nas przyjść. Mamusia się ucieszy na pana widok. Nawet nie pamięta, że pan był tam we Francji.

Jim jednak pokręcił głową.

– Przykro mi, ale muszę już iść. Mam tylko chwilę.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– Czy dalej pracuje pan dla dziadziusia?

Jim spojrział w dal.

– W tej chwili pracuję dla kogoś innego. Ale kto wie, może dogadamy się jeszcze kiedyś z twoim dziadkiem.

– Panie Jim? – Claire usiadła, a on obok niej. – Ci panowie, co zabili mojego tatę... Pan ich zabił, prawda?

– Już nikogo więcej nie skrzywdzą, Claire. Obiecuję.

– Nie o to pytam. Czy to pan ich zabił?

– Wiele osób wtedy zginęło. I dobrych, i złych. Ale to już przeszłość. Tylko tyle jestem ci w stanie powiedzieć. Nie mogę ci tego wytłumaczyć. Może komuś innemu się uda. Mam nadzieję, że tak. Ale nie mnie, przepraszam.

Claire spojrzała na park.

– Bardzo się cieszę, że dziadzio Donald nie kłamał, że pan żyje.

– Ja też.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Jim poruszył się niespokojnie.

– Już na pana czas? – zapytała.

– Niestety. Muszę zdążyć na samolot.

– Nic nie szkodzi. Ja muszę iść do szkoły. To bardzo ważne, żeby dziecko utrzymywało stabilny plan dnia.

– Tak – zawahał się. – Chyba rzeczywiście.

Oboje wstali i raz jeszcze się uścisnęli.

– Opiekuj się siostrą i mamą, Claire. Silna z ciebie dziewczynka. Wszystko będzie dobrze.

– Wiem, panie Jim. I wesołych świąt! – powiedziała, po czym się pożegnali.

\* \* \*

Court szedł powoli przez park, później dalej, aż na Grosvenor Square. Przed Claire udało mu się ukryć kuśtykanie, ale teraz nie był w stanie tego opanować. Z każdym krokiem krzywił się z bólu. Tuż pod bramą stał czarny peugeot z włączonym silnikiem. Gentry bez słowa zajął miejsce z tyłu.

Siedzący z przodu dwaj ubrani w garnitury Francuzi odwrócili się do niego. Kiedy samochód ruszył, jeden z nich przekazał mu teczkę. Court otworzył ją, sprawdził zawartość, po czym zamknął z powrotem.

Siedzący obok kierowcy mężczyzna w średnim wieku powiedział:

– Samolot czeka na nas na Stansted. Trzy godziny lotu, będzie pan w Madrycie wczesnym popołudniem.

Court nic nie odpowiedział, tylko wyjrzał przez okno.

– Abubaker przyjedzie do hotelu o szóstej. Czy to wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko przygotować?

Amerikanin wciąż milczał.

– Zarezerwowaliśmy panu pokój tuż pod jego apartamentem.

Gentry utkwiał wzrok w mijanym parku. Dzieci szły z rodzicami, zakochani spacerowali pod rękę. Siedzący przy kierowcy Francuz pstryknął palcami przed twarzą Gentry'ego, jak gdyby upominał nieuważnego sługę.

– Słyszysz pan?

Gray Man powoli obrócił się do mężczyzny. Teraz patrzył już trzeźwym wzrokiem.

– Rozumiem. Wystarczająco dużo czasu.

– I proszę mi tego nie spieprzyć – mruknął starszy Francuz.

– Nie potrzebuję pańskich rad. To moja bajka. Ja decyduję o czasie i miejscu.

– Monsieur, doskonale pan wie, że jest obecnie moją własnością. Wydaliśmy bardzo dużo pieniędzy, żeby pan wyzdrowiał. Zrobi pan, co każemy.

Court już miał się oburzyć, wychylić się i skrócić Francuzowi kark, ale się opanował. Następca Kurta Riegla okazał się jeszcze większym dupkiem niż sam Riegel, ale rzeczywiście był teraz jego szefem.

Nawet jeśli tylko przez chwilę.

– Tak jest – przytaknął Court, choć chciał powiedzieć więcej. Znów wyjrzał przez okno. Udało mu się dojrzeć południowy skrawek parku, zakochanych, dzieci, rodziny – wszystkich, którzy wiedli żywot tak różny od jego życia.

Peugeot skręcił w lewo na Piccadilly, zostawił z tyłu park, po czym wbił się w korki londyńskiego poranka.

## PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować Jamesowi Yeagerowi i jego wspaniałej kadrze trenerów z centrum szkoleniowego Tactical Response Inc. w Camden w stanie Tennessee za to, że wyposażyli mnie w najświeższe informacje o karabinach, pistoletach, polowej pomocy medycznej i strategiach działań zespołowych, a przede wszystkim za to, że byli tacy dobrzy i zgasili ogień po tym, jak mnie podpalili. Niech Bóg ma Was w swojej opiece; Stany Zjednoczone są bezpieczniejsze dzięki temu, co Wy i Wasi uczniowie robicie. No, to teraz możecie się ze mnie ponaśmiewać.

Najserdeczniej dziękuję też Jamesowi Rollinsowi, Devinowi Greaneyowi, Karen Ott Mayer, Johnowi i Carrie Echolsom, Mike'owi Cowanowi, Gregowi Jonesowi, April Adams, Nichole Geer-Roberts, Stephanie i Abbie Stovall oraz Jenny Kraft. Pisarze doceniają czytelników, ja zaś bardzo doceniam Was wszystkich.

Mój agent Scott Miller z Trident Media Group oraz mój redaktor Tom Colgan z Berkley również zasługują na moją głęboką i dozgonną wdzięczność. Fajnie było. To co, chłopaki – spróbujemy jeszcze raz?

## PRZYPISY

[1] S.T. Coleridge, *Pieśń o Starym Żeglarzu*, tłum. Z. Kubiak, w: Coleridge, *Poezje wybrane*. PIW, Warszawa 1987, s. 53.